

Lisicka Anna

OBRAZKI Z ŻYCIA

DZIWACTWO LOSU.

Miałem lat ; byłem zdrow, wesołego usposobienia, z majątkiem niezależnym, i  
mieszkałem na wsi, wraz z najlepszą — jaką kiedykolwiek świat widział — matką. W  
tak korzystnych warunkach, byłoby mi życie mlekiem i miodem płynęło, gdyby nie  
mała, ale dolegająca u tej najlepszej matki przywara, a raczej mania. Chciała  
koniecznie doczekać się wnuków, a że byłem u niej jedynakiem, nikt inny krom  
mnie, nie mógł życzeniu temu zadosyć uczynić. W życzeniu tem nie było wprawdzie  
nic zadziwiającego, a cóż dopiero zdrożnego — boć, kiedy mnie tak serdecznie  
matka kochała, byłaby najniezawodniej te samą miłość rozciągnęła i na moją,  
choćby najliczniejszą, progeniturę; sęk był w tem, że mając głowę ciągle jedną  
myślą nabitą, myśl ta zbliżała się zwolna do monomanii, która się we wszystkie  
zajęcia, rozmowy, czynności i zamiary życia naszego wplątywała. Nie byłem ja osobiście bynajmniej przeciwny małżeństwu; i owszem, pragnąłem tę  
naszą swobodną egzystencję obecnością młodej, ładnej, miłej żony — w swoim  
czasie i dziełek — jeszcze uprzyjemnić; ale tę właśnie żonę, chciałem sobie  
wyszukać zwolna, przy sposobności — może ją znaleźć i bez szukania. Tymczasem,

ciągle nawoływania mojej matki, zamiast mnie w zamiarach ożenienia  
utwierdzić,  
coraz mnie bardziej od nich oddalały. Niemal codzień, przy drugim  
śniadaniu  
pocziwa mania — gdy się już służący był oddalił, a my zwolna  
popijali herbatę —  
zaczynała przegląd wszystkich okolicznych panien na wydaniu. O  
każdej — co  
prawda — mówiła w taki sposób, że gdybym ją był wziął nagle za  
słowo

i oświadczył, że będę się starał czy o pannę Joannę z Krzykówki, czy  
o pannę  
Anielę z Ząbia, lub pannę Julię z Kosowa, byłaby najniezawodniej z  
zapalczywością przeciwko temu protestowała, bo choć chciała mnie  
jak  
najspieszniej ożenić, nie znajdowała jakoś przytem, aby jakakolwiek  
panna w  
naszem sąsiedztwie tak wielkiego zaszczytu godną była. Biedna,  
droga matka!  
patrzała na mnie przez powiększające szkło niezgłębionej miłości;  
lecz szkło to,  
jedynie zalety powiększało, nigdy zaś wad i narowów, właściwych  
każdemu  
człowiekowi, zatem i mnie właściwych. Obracaliśmy się w biednym  
kole, z którego  
jedno tylko było wyjście, mianowicie: żebym na kilka tygodni —  
może i parę  
miesiący — wyjechał gdzieś dalej, n. p. w Poznańskie lub na Podole,  
albo do  
Krakowa, owej perły, owego brylanta bez skazy, w innej szukać  
części naszego  
kraju. Po krótkiej walce, między żalem rozstania się ze mną, a  
życzeniem  
uzyskania wreszcie upragnionej synowej — postanowionem zostało  
dnia jednego, że

po zupełnem ukończeniu żniw, gospodarstwo oddam w ręce matki i  
rządzący, a sani  
puszczę się na matrymonialną Odysseę. Jeszcze miałem jakie trzy  
tygodnie czasu  
przed sobą, a już kochana matka, starannie przeglądała moją bieliznę,  
a nie  
znalazszy na poddaszu żadnego kufra, dość pokaźnie na taką podróż  
wyglądającego, w sekrecie przedemną sprowadziła nowy kufer —  
prawdopodobnie  
bardzo drogi, skoro się ceny nigdy dowiedzieć nie mogłem — aż z  
samej Warszawy.  
Lecz gwiazda moja, śnać nie była wędrującą gwiazdą. W jaki tydzień  
przed dniem  
oznaczonym na mój wyjazd z Żarnina, gdym przyszedł po  
całodziennej pracy w polu  
zgłodniały do domu na obiad, ledwo Siedliśmy do stołu, matka —  
której wzruszenie  
dopiero wówczas zmiarkowałem — rzekła do mnie po francuzku,  
żeby przez służbę  
nie być zrozumianą:  
— Stefku, mam dla ciebie ważne wiadomości. Być może, że się i bez  
podróży  
obejdzie.  
— Cóż takiego, mamo? — nie bez pewnego zapytałem żalu, bo  
jakkolwiek nie lubiłem  
w ogóle ruszać się z domu,

tym razem zamierzona przejażdżka jakoś mi się uśmiechała, com za  
dobry  
prognostyk uważał.  
— Dziś rano, wracając z kościoła — mówiła dalej matka —  
spotkałam prezesa;  
przywitawszy się ze mną, oznajmił mi, że jedzie na kolej po  
siostrzenicę, która  
do Olejówki na kilku tygodni przyjeżdża.

— Dobryś! — pomyślałem sobie. — Znów wyrosła z pod ziemi nowa pretendentka! —

jest powiedziane, że z domu nie wyjadę.

— No i cóż! nic na to nie mówisz? — już zniecierpliwiona pyta matka.

— Cóż mam mówić, kochana mamo? czekajmy przynajmniej aż panna przyjedzie. Nie wiemy, ani jak ona wygląda, ani jaka jest: czy zła, czy dobra, czy ładna, czy brzydka.

— Może garbata, albo kulawa! — dodała, niby śmiejąc się, ale nieco zirytowanym śmiechem.

Obiad był skończony, poszliśmy na terasę, gdzie się w pogodne dnię czarną kawę pijało. Usiadłem tuż przy matce i drogie ręce jej ucałowałem po parę razy.

— Niech się mama nie gniewa. Opatrzność wszystko i bez nas urządzi. Jeśli siostrzenica prezesa jest mi przeznaczona na żonę, to rzeczy same tak się złożą, że z domu nie wyjadę; ale nie zmieniajmy raz powziętego zamiaru; niech ja po świecie trochę się rozejrzę, zanim ostatecznie klamka zapadnie, żebyśmy czasem tego nie pożałowali później.

Matka pogłaskała mnie po głowie.

— Zrób, jak chcesz, mój Stefku, przecież to o twoją, a nie o moją idzie przyszłość.

— Alboż to moja przyszłość od matczynej da się rozłączyć?

— W moim wieku, o przyszłości już się nie mówi.

— A to dlaczego, matko droga? chwała Bogu, mama zdrowa, bynajmniej nie w podeszłym wieku, i będziemy jeszcze — da Bóg — długie lata szczęśliwie z sobą żyli. Czy tak?

— Może i tak, dziecko moje — serdecznym odrzekła

głosem — es kommt einem Alles, mem muss es mir erleben können, a  
jabym  
chciała...

— Już wiem, mamó, już wiem — przerwałem śmiejąc się. — Mama  
chciałaby mieć  
synowę, a nadewszystko wnuczęta. Wszystko to w swoim czasie  
będzie, tylko się  
nie spieszmy, bo "co nagle, to po..."  
— Niech i tak będzie, Stefku; wyjeżdżasz od jutra za tydzień, jak było  
postanowione; wszystko ci na podróż sama przygotowuję; wszystko przy  
sobie  
zapakować każę, tylko mi jedną jeszcze, przed wyjazdem, zrobić  
musisz  
przyjemność.

— Pojechać z mamą do Olejówki! — odrzekłem na to śmiejąc się. —  
Dobrze,  
pojedziemy czern, którego dnia mama zechce, byłem nie  
potrzebował zaraz, przy  
pierwszem spotkaniu, pannie się oświadczyć. Czy zgoda?  
— Zgoda, Stefku, zgoda! — i kochana matka uściskała mnie  
serdecznie. Szczęściem  
zameldował się ekonom, i tym sposobem przerwana zostaią rozmowa,  
która byłaby  
mogła inny jeszcze, niefortunny dla mnie wziąć obrót. Postanowiłem  
zatem z matką  
do Olejówki pojechać, przedstawić się tam w najświetniejszym  
humorze, prezesa i  
nowo przybyłą pannę oczarować, mamę uszczęśliwić ale swoją drogą  
w oznaczony  
pierwotnie dzień w zamierzoną puścić się podróż.

\* \* \*

Trzeciego dnia po powyższej rozmowie, wybraliśmy się do Olejówki.  
Matka, zawsze

bardzo starannie około swojej osoby chodząca, ubrana była w ciężką, materyalną suknię czarną — bo tylko czarną nosiła — i czarny koronkowy kapelusz, przy którym białe jej włosy, a dziwnie jeszcze młoda twarz, ślicznie wyglądały. Siadając do powozu, rzekłem do niej żartem, "że jeżeli panna we mnie się nie zakocha, to najniezawodniej w mamie zakocha się prezes", za co dostałem porządne klapsa. W godzinę potem, zajeżdżaliśmy przed dwór w Olejówce. Pan prezes do sieni wyszedł na nasze spotkanie, matkę kilka razy po staropolsku w rękę cmoknąwszy, popro-

wadził nas do salonu, gdzie, z powodu nieco wilgotnego powietrza, wesoły palił się ogień. Przy kominie stała panna Irena, wysmukła, o bardzo pięknych rysach brunetka, wyraźnie południowe zdradzająca pochodzenie, matka jej bowiem była Włoszką. Młodszy brat prezesa, pan Izydor, zaciągnąwszy się r. do znawów papieskich, ranny pod Meutaną, wyleczył się wprawdzie z odniesionych na polu bitwy ran, ale jedynie chyba na to, by nieco później, w samo serce być ugodzonym pięknymi oczami szesnastoletniej córki jednego z pierwszych rzymskich malarzy. Ożenił się z nią, wbrew woli brata — będącego zarazem i jego opiekunem — we Włoszech osiadł i w parę lat później nagle zmarł, pozostawiając młodziutką wdowę i dwuletnią córeczkę. Na wieść o śmierci brata, prezes od razu udał się do

Florencji, poznał się z bratową i zaofiarował podjąć się całkowicie wychowania i przyszłości Irenki, byle mu ta oddaną została. Na to oczywiście matka przystać nie chciała, obiecując wszakże solennie prezesowi, że gdy córka dojdzie do lat szesnastu, przysśle mu ją na parę tygodni do Polski. O byt ich materialny nie było co się troskać; prócz majątku odziedziczonego po mężu, miała jeszcze młoda wdowa dość znaczną rentę, przez ojca wypłacaną. Było coś dziwnie ujmującego w całym obejściu młodej dziewczyny. Mówiła po polsku płynnie, choć z lekkim, włoskim akcentem, znajomość naszego języka zawdzięczając staremu polskiemu emigrantowi, u którego umierający ojciec Irenki, łaskę tę dla córeczki wyblągał. Jakkolwiek prezes okazywał jej najserdeczniejszy, prawdziwie ojcowski afekt, widocznie czuła się jeszcze obcą w domu stryjaka-kawalera; to też, ujęta niezrównaną dystynkcją, oraz życzliwym wejrzeniem mojej matki, od razu do niej, niemal po dziecinnemu, przyłgnęła; czyż dodać potrzebuję, że jeśli ona "po dziecinnemu" do mojej matki się zbliżyła, to ta "po macierzyńsku" wabiła ją ku sobie. Attrakcyja zatem była wzajemna. Zabawiliśmy ze dwie godziny, przy pożegnaniu zaprosiwszy prezesa i siostrzenicę na obiad do Żarnina na następny dzień.

Jechaliśmy ku domowi tęgim kłusem. Wbrew memu oczekiwaniu, matka milczała;

przeczekałem cierpliwie kilka minut, potem rzekłem uśmiechając się wesoło: "Mama się obawia, aby słowami nie rozwiać doznanych wrażeń oraz towarzyszących im nadziei. Czy tak?"

— Może i tak, Stefku — odrzekła półgłosem i znów zamilkła.

— Oho! — pomyślałem sobie, to coś nie na żarty tym razem. Przy herbacie zacząłem mówić o naszej wizycie w Olejówce, o prezesie, nawet o panie Irenie; wszelkimi sposobami starałem się wyciągnąć z matki zdanie o tej pięknej dziewczynie, którą myśl jej widocznie zajęta była; otrzymałem ogólnikowe tylko, niemal obojętne odpowiedzi. Dałem więc za wygraną, postanowiwszy niezłomnie już ani słówkiem nie wspomnieć o panie Irenie, chyba że matka pierwsza sprawę poruszy. Nie poruszała jej wszakże, a my tymczasem — młodzi — widywaliśmy się niemal codzień, i to codzień z większym z mojej strony zajęciem, co nie mogło ujść uwagi ani mojej matki, ani prezesa. Zakochany — w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu — nie byłem, ale dziewczyna niewypowiedzianie mi się podobała, może dla tego, że była tak zupełnie inną od wszystkich panien na wydaniu, które się były dotąd przed moimi oczami przesunęły, może i dlatego, że matka, zamiast żeby mnie — jak to zwykle czyniła — do ożenienia namawiać, ułatwiała nam, co prawda, jak najczęstsze spotkania, to u nas, to w Olejówce, ale o panie Irenie mówiła ze mną jak najmniej, i jakby o obojętnej osobie. Ze jej jednak obojętną nie była, to z oczu mamy tryskało, gdy tylko śliczna postać dziewczyny na horyzoncie się ukazywała;



była nią poprostu oczarowana i nie łatwo jej przychodzić musiało, nie zdradzać się przedemną z wzrastającym tem wrażeniem. Co mnie także w niemały wprawiało kłopot, to że sobie nie mogłem zdać sprawy z uczuć panny Ireny względem mojej osoby. Swobodna, szczerą, wesoła, okazywała mi prawdziwą życzliwość; ale czy miłość jakkolwiek w uczuciu tem odgrywała rolę, tegobym nie mógł być powiedzieć.

Po dwóch tygodniach takiego arcymięłego, ale koniec końcem niepokojącego dla mnie stosunku, nagły wypadł mi interes i musiałem na dwa dni do Kowna pojechać. Na godzinę przed wyjazdem poszedłem do matki i tam — pomimo danego sobie słowa, że pierwszy o panie Irenie mówić nie zacznę — zapytałem się jej, uśmiechem ukrywając silne wzruszenie, czy nie znalazła wreszcie owej, od tylu lat upragnionej synowej? Na zapytanie, zapytaniem odpowiedziała: "A ty Stefku, czy znalazłeś upragnioną żonę?" I to mówiąc przyciągnęła mnie ku sobie; ukląknęłam, kolana jej obejmując. — Czy znalazłem, matko, tego nie wiem, ale co wiem, to, że Irena więcej mi się podoba od wszystkich panien, jakie dotąd zdarzyło mi się spotkać. Jeśli zatem ma ona być synowa według twego serca, a zechce być moją żoną, to niech mama do Olejówki jutro pojedzie i prezesa zapyta, czy o rękę siostrzenicy starać się mogę.

Matka tak była wzruszona, że na żadną odpowiedź zdobyć się nie mogła; tymczasem służący przyszedł oznajmić, że już wielki czas jechać. Ucałowałem więc jeszcze raz jej ręce i z pokoju wybiegiem. Gdy powóz z miejsca ruszył, ujrzałem w oknie ukochaną postać matki, znakiem Krzyża św. wyprawiającą mnie w drogę. Nieco zawiklany interes, zatrzymał mnie w Kownie o dwa dni dłużej, niżem się tego był spodziewał; z tem większą też niecierpliwością wracałem do domu. Ujrzawszy matkę, stojącą na progu drzwi wchodowych, zapytałem półgłosem:  
— Dobrze, czy złe wiadomości ?  
— I dobre i złe — odrzekła.  
Termometr od razu opadł na zero; uczułem to z przykrością, ale nie z owym srogim bólem, doznawanym przez ludzi prawdziwie zakochanych, gdy ich zła, lub co najmniej niepewna, dochodzi wiadomość.  
— Byłaż to przyjaźń, czyli też kochanie? — spytałem siebie samego, nie bez wewnętrznego frasunku.

Rezultat wizyty mojej matki w Olejówce był następujący: sam prezes, jak najzyczliwiej, jak najserdeczniej propozycję przyjął, dodając, że uważałby to za prawdziwe szczęście, gdyby Irenka za mnie wyszła. Wszelako różne przedstawiały się ku temu trudności. Przybywszy do Olejówki, Irena przywiozła list od matki, w którym wyraźnie wypisane było, że nie zgodzi się na wydanie córki za Polaka,

chyba w jedynym przypadku, gdyby Irenka w Polaku szalenie się zakochała — że i w takim jeszcze razie żąda, aby prezes nie dozwala! nikomu oficjalnie starać się o rękę jej córki, zanim ona, matka, konkurenta osobiście nie pozna, a doczekawszy się powrotu Irenki do Wioch, stanu jej serca nie zbada.

— A jakież jest tego serca stan ? — zapytałem, przerywając opowiadanie matki.

— Otóż właśnie w tem sęk; prezes bowiem, zobowiązany listem bratowej, żadnego wyraźnego zapytania siostrzenicy zadać nie mógł; a z drugiej strony, jakżeż bratowej donieść, czy Irenka zakochana lub nie, jeżeli z nią o tem się nie pomówi ? Chwilowo sama Opatrzność trudność tę rozwiązała, Irenka bowiem, powołana przez rodzinę, z którą do Polski z Wioch przyjechała, nagle wyjechać musiała do Warszawy, z kąd rodzinie tej do Karlsbadu towarzyszyć będzie.

— Jakto! — zawołałem z przerażeniem — więc Irenki już nie ma w Olejówce?

— Wyjechała rano tego samego dnia, kiedy ja wieczorem do prezesa w misyi jeździłam.

— Tym sposobem i z nią marna się nie widziała?

— Nie widziałam! — odrzekła matka ze smutkiem w głosie.

— Ale nie na tem koniec. Irenka z wyraźnej woli matki, nie ma wychodzić za Polaka, chyba że w nim zakocha się szalenie. Tymczasem, z wyraźnej woli ojca — i to zmarłego ojca — Irenka nie ma iść za Włocha.

— A to sprawa, jakby w jakim dramacie skomplikowana. Biedna Irenka! jeszcze jej wypadnie wyjść za Chińczyka! Cóż mama radzi mi robić? Pojechać do Karlsbadu?

— Powiem ci raczej, Stefku, co prezes radzi, żebyś uczynił.  
— Cóż takiego"? — zapytałem nie bez wzruszenia.  
— Radzi ci, sprawy tej nie odwlekając, pojechać wprost do Wioch, z przyszłą teściową się poznać, zezwolenie jej otrzymać, i dopiero wówczas za Irenką do Karlsbadu pojechać. Tak ci prezes zrobić radzi, jeżeliś w Irencie prawdziwie zakochany.  
Te ostatnie słowa wymówiła matka głosem dobitnym, w oczy mi się wpatrując. Ja zaś oczy spuściłem, jak skromna, piętnastoletnia panienka; lecz tylko na chwilę, poczem zerwawszy się nagle z miejsca, zawołałem wesoło:  
— Mam paszport w kieszeni — ten właśnie, co mi miał służyć na objechanie świata za wynalezieniem żony; jutro wyjadę do Włoch, a za jakie dwa tygodnie — da Pan Bóg, odbierze mama telegram z Karlsbadu, z prośbą o błogosławieństwo, podpisany:  
Irena-Stefan.  
— Oby tak było! oby tak było! — odrzekła matka, przyciskając mnie do łona. W głosie jej wszakże brzmiało pewne powątpiewanie, które mnie srodze trapiło.  
Czyżby i ona wątpiła — tak jak ja czasem powątpiewałem — o miłości mojej dla Irenki ?  
Bądź co bądź, postanowiłem zaraz nazajutrz do Wioch wyjechać... I wyjechałem, z góry uprzedziwszy matkę, że ją ani słówkiem o niczem nie uwiadomię, dopóki cała ta moja matrymonialna sprawa — czy tak, czy inaczej — ukończoną nie będzie.  
Listy lub telegramy, miały zawierać jedynie wiadomości o Szczęśliwym przybyciu

do głównych miast i o dobrym stanie mego zdrowia.

\* \* \*

Po trzech tygodniowej podróży wróciłem do domu w pierwszych dniach października.

Na samym wstępie oświadczył mi służący, że matka, po lekkim zaziębieniu jeszcze z pokoju

nie wychodzi. Nieco zaniepokojony, a niezmiernie żądny ucałowania drogich rąk

jej, jednym susem skoczyłem na gore,. Siedziała przy oknie w zwykłym, dużym

krześle, z otwartą książką na stoliku przed sobą i robotą w ręku.

Jeszcze nie

była miała czasu obejrzeć się, kto drzwi odmyka, a już byłem u jej kolan.

Ścisnęła mnie i znów ścisnęła, nie mogąc się nasycić obecnością moją, tak jak

człowiek bardzo spragniony podanej szklanki od ust oderwać nie może. Dopiero po

chwili obie ręce na moich ramionach złożywszy:

— No, i cóż Stefku? — zapytała z uśmiechem na ustach a łzą w oku.

Na to pytanie odpowiedziałem, pokazując na palcu moim pierścień z ogromnym

turkusem. Matka wówczas pierścień z palca mi zsunęła, zrobiła nad nim krzyżyk,

potem złożyła na nim pocałunek, dodając:

— Oby pierścień ten był zapowiedzią błogosławieństwa Bożego i szczęścia dla

ciebie, dziecko moje, i dla naszego domu.

Zamilkliśmy oboje na chwilę, by wzrastające stłumić wrażenie. Matka uspokoiła

się pierwsza; kazała mi powstać — bo wciąż jeszcze klęczałem — i wskazawszy tuż

przy sobie na zwykłe od lat niemal dziecinnych przezemnie zajęte  
miejsce,  
rzekła:

— Teraz Stefku opowiedz mi wszystko. Cierpliwość moja do ostatniej  
kropki

wyczerpana; należy mi się za nią sowite wynagrodzenie. Mów;  
słucham cię nie  
tylko uszami, ale sercem, duszą całą.

Po kilku chwilach skupienia, z bijącym sercem zacząłem moje  
opowiadanie.

— Nie wiem, czy droga mama dobrze zapamięta rozmowę naszą po  
powrocie mamy z

Olejówki, w wilię mego wyjazdu do Włoch?

— Czy zapamiętam! toć ja niczem innym nie żyję od trzech tygodni,  
jeno temi  
wspomnieniami.

— Zatem mama nie zapomniała także, że udzielając mi dosłowną  
treść rozmowy z  
prezesem, następującymi zakończyła ją słowami, silny na nie kładąc  
nacisk.

— Sama ci je powtórzę, jeśli chcesz, Stefku. Oto powiedziałam ci:  
jeżeliś w

Irence prawdziwie zakochany... Czy tak?

— Tak, matko droga. Na słowa te zaś nacisk kładłaś.

Dla czego? boś w głębi duszy nie była przekonana, abym był  
rzeczywiście  
zakochany.

— Tak jest, Stefku. Zdawało mi się, że ci się Irenka podoba, jak  
każdemu

spodobać się musi dziewczyna ładna, inteligentna, dystygowana,  
miła, a prócz

tego będąca dla ciebie widocznie dobrze usposobioną; ale prawdziwej  
miłości,

prawdziwego, co się zowie zakochania, w tobie nie widziałam. Więcej  
powiem, nie

widziałam tego i u Irenki względem ciebie. Ale to nic nie dowodzi, i jak widzisz

— dodała, wskazując na mój pierścionek — nie nie dowiodło.

Uczucie miłości różne

u różnych przybiera kształty; u jednych spada jak grom z nieba, nieprzewidzianie, nagle, bez przygotowania; u drugich, jak wschodzące słońce,

ukazuje się zwolna, różnemi poprzedzone na niebie barwami, zanim światłem i

ciepłem ziemię uraduje.

— Ślicznie powiedziałaś, matko moja — odrzekłem, ręce jej całując.

— Co zaś do

Irenki, świętą miałaś rację; podobała mi się niewypowiedzianie; widziałem, że i

mamie do serca przypada; dlaczegóż więc gdzieś daleko szukać żony, powiedziałem

sobie, skoro ta śliczna istota wszystkie przedstawia warunki, odpowiednie naszym

życzeniom. Dlatego postanowiłem — po maminej rozmowie z prezesem — nic rozbijając

się za dalekimi mrzonkami, lecz brać to, co mi Opatrzność sama w ręce wciskała,

i dlatego także odrazu do Włoch wyjechałem. Podróży mamie dziś opisywać nie

będę; odłożymy to na później. Jechałem bez przerwy, nie zatrzymując się nigdzie,

prócz raz w Wiedniu dla przenocowania, a drugi raz w Medyolanie.

Tak lecąc, już

piątego dnia koło południa stanąłem w San Remo. Przebrawszy się i zjadłszy

napędce trochę śniadania — przy którym, dla dodania. sobie fantazyi, wypilem

pół butelki szampana — kazałem się zawieźć do owej Filia Rosmarini,

o której nam Irenka tyle razy wspominała. Kartę oddałem pokojówce i po chwili oczekiwania, wskazano mi drogę do salonu, pełnego wschodnich plant, woniejących kwiatów i kilku pięknych obrazów, na ścianie wiszących. Nie mogę nie przyznać, że byłem gwałtownie wzruszony, tak dalece, że gdy po kilku minutach — zamiast oczekiwanej przyszłej świekry — weszła do pokoju młoda, jak bóstwo piękna dziewczyna czy mężatka, doznałem pewnej ulgi na myśl, że rozmowa, mająca o przyszłym moim losie nieodwołalnie zadekretować, choć na chwilę odłożoną została. Tymczasem moja bogini, ruchem pełnym wdzięku i prostoty, podała mi rękę, poczem wskazując mi miejsce na niskiej sofce, obok mnie usiadła. Czekałem, by pierwsza przemówiła, podziwiając swobodę jej wobec mego •głębokiego wstrząśnienia.

— Irena nieraz mi w listach swoich o panu wspominała — rzekła owym harmonijnym, ciepłym głosem, południowym kobietom właściwym. — Długo pan ma zamiar bawić we Włoszech?

— To od okoliczności zależeć będzie — odrzekłem, wpatrując się w nią jak w tęczę, bo mówię mamie: w życiu mojem nic tak doskonale pięknego nie widziałem.

— Jeśli pan jesteś po raz pierwszy we Włoszech — dodała — trzeba zacząć od Rzymu: a tout seigneur, tout honneur; mogę panu dać listy rekomendacyjne, jest to rzeczą bardzo pożądaną dla cudzoziemców.

— Dziękuję pani stokrotnie — odrzekłem, czując, że coraz głębiej pograżam się w



niewytłómaczony jakiś zamęt, że pomieszanie moje coraz wyraźniej się zdradza.

Zwolna ogarniało mnie poczucie, że mnie zmysły odchodzą. Musiała się moja

Włoszka czegoś dopatrzeć, bo wstała i okno naóścież otwarła, mówiąc z lekkim

drzeniem w głosie:

— Nadto tu jest kwiatów. Duszno się zrobiło. Chce pan do ogrodu wyjść ze mną?

— Jabym chciał widzieć się z panią domu, z matką panny Ireny.

Na te słowa, Włoszka rozśmiała się na głos i kłaniając mi się z filuternym

uśmiechem:

— Pani domu, oraz matka Ireny, stoi przed panem.

— Święty Boże! — zawołała moja matka, ręce załamując. — Ty się w niej kochasz, Stefanie!

— A mama zkad to wie? — zawołałem, zrywając się z miejsca.

— Zkad to wiem, Stefku? słyszę to w twoim drżącym od wzruszenia głosie; czytam

to w twoich rozżarzonych oczach; widzę to w każdym twoim ruchu, w całej twojej osobie.

I to mówiąc, powstała z miejsca i ująwszy mnie za rękę, przed duże poprowadziła zwierciadło.

— Spójrzjno tu i sam powiedz, czy to ten sam Stefek, który trzy tygodnie temu Zarniny opuszczał.

Rzuciłem okiem w zwierciadło i ujrzałem w niem, obok bladej, drżącej postaci

mojej matki, moją postać, rzeczywiście tak zmienioną, tak zupełnie inną, że aż

się zdumiał. Odprowadziłem matkę na jej zwykłe miejsce, ukląknę przed nią, i

wziąwszy ręce jej w moje, rzekłem do niej wzruszonym głosem:  
— Mamo moja najukochańsza; mówiłaś sama przed chwilą, że  
uczucie miłości, różne  
u różnych przybiera kształty, u jednych, spada jak grom z nieba,  
nieprzewidzianie, nagle, bez przygotowania. Otóż, matko droga, grom  
ten z nieba  
spadł na mnie w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem Leonie; spadł i  
serce moje  
zdruzgotał. Uczułem odrazu, że bez tej kobiety żyć nie potrafię, że mi  
jest od  
Boga przeznaczona, że mnie sama ręka Opatrzności wiodła aż nad  
morze Śródziemne,  
bo tam czekało na mnie spełnienie mego przeznaczenia. Grom ten, tak  
gwałtownie  
we mnie uderzając, żem o mało zmysłów nie postradał, uderzył tak  
samo i w  
Leonie. Broniliśmy się oboje; walczyli oboje z niewidomą tą potęgą,  
potężniejszą  
od wszelkiej ludzkiej woli, od wszelkiego ludzkiego postanowienia.  
Zaklinam  
ciebie więc na klęczkach, mamo droga, nie odmawiaj nam twego  
zezwoleń,  
błogosławieństwa twego, bez którego Leonia nigdy żoną moją zostać  
nie zechce;  
po-

wtórzyła mi to kilkakrotnie przy pożegnaniu. Piękna jest, jak anioł —  
i to  
mówiąc wyciągnąłem z kieszeni fotografię, nad którą, nawet  
chwilowo uprzedzone  
oczy mojej matki, podziwienia zataić nie zdołały — ale i dobra jest  
jak anioł.  
Będiesz w niej miała kochającą, wdzięczną córkę, a mnie zrobisz tak  
szczęśliwym, tak szczęśliwym, że już chyba w niebie większe nie  
znajdzie się  
szczęście!

— Cicho, Stefku, cicho; nie bluźnij.

Skryłem rozgorączkowaną twarz w matczyne, nie mniej rozgorączkowane dłonie;  
oboje zamilkliśmy na chwilę, poczem, już widocznie nieco ułagodzona matka,  
zapytała.

— Ale wieleż ona ma lat? musi być o wiele od ciebie starszą, skoro ma

szesnastoletnią córkę; to nie jest korzystna w małżeństwie różnica;  
powinno być

odwrotnie. Dużo od męża starsza żona, często mężowi się sprzykrzy.

— Oh! mamó, mnie Leonia do grobowej deski się sprzykrzyć nie  
zdoła! Żebyś ją

tylko znała! Zresztą, ma ona lat trzydzieści i trzy — nie miała bowiem  
nawet

szesnastu, gdy za mąż wyszła; ja skończę rok dwudziesty dziewiąty  
niebawem.

— Dopiero za pięć miesięcy, Stefku. Nie jest to zupełnie niebawem.

Ale mówiąc to, już matka się uśmiechała; żaden promień słońca nigdy  
mnie nie był

tak ogrzał, jak mi uśmiech ten jej w owej chwili ogrzał serce. Nie  
byłem wszakże

jeszcze u końca indagacyi, czułem to dobrze, ale na zbliżające się,  
nieuniknione

zapytania, miałem już w zanadrzu, chwała Bogu, gotową odpowiedź.

— Stefku, a co mi teraz powiesz... o Irencie?

— Powiem rzecz bardzo prostą, rzecz, która mamę co do niej  
zaspokoi zupełnie.

Gdyśmy się spostrzegli, Leonia i ja, że niespodziewana, wzajemna  
nasza miłość,

silniejszą jest od wszelkich, choćby najracyonalniejszych  
postanowień, moja

piękna pani, do której zastosować można słowa Szujskiego żelazna  
duszka w

pieszczonem ciele, stanowczo oświadczyła mi, że jakkolwiek kocha  
mnie całą duszą

i do końca życia kochać

będzie, ręki mi nie odda, póki nie przekona się naocznie, że córka jej  
mną nie  
jest zajęta, a powtóre, że ty, matko moja najdroższa, łaskawem okiem  
na nasze  
połączenie spoglądać zechcesz. Stańło więc na tem, że pojedziemy  
odrazu:  
naprzód do Karlsbadu, żeby tam gruntownie stan uczuć Irenki  
względem mojej osoby  
wybadać, a w razie szczęśliwego rezultatu onego badania, miała  
Leonia wraz z  
Irenką udać się do Drezna, ja zaś do Zarnin, by u nóg twoich, mamó,  
pokorną  
prośbę naszą złożyć.

— No i cóż dalej ? — pytała z wzrastającym wzruszeniem.

— W Karlsbadzie przekonaliśmy się, że Irenka, choć się ze mną  
bardzo serdecznie  
przywitała, nie tylko mną zajęta nie jest, ale że jej w oko wpadł  
młody, wielce  
przystojny magnat węgierski, który około niej się kręci. Ta pierwsza  
misyja udała  
nam się więc najzupełniej i nad wszelkie naszą spodziewanie, skoro  
Irenka, nie  
tylko że we mnie zakochaną nie jest, ale afekt jej w inną podążył  
stronę.

— W stronę Węgier — rzekła matka, śmiejąc się.

— Oh! kiedy się mama śmieje, to już widzę, że i druga misyja na nie  
najgorszej  
jest drodze. Czy tak, mamó jedyna ? — I ręce jej całowałem  
stokrotnie.

— Moje dziecko drogie — rzekła wreszcie, kładąc rękę na moją  
głowę. — Czy ty  
myślisz, że ja czego innego w życiu pragnę, prócz szczęścia twego?  
wszakże to  
jedyna moja myśl, jedyny cel moich modlitw. Ja o niczem innym nie  
marzę, niczego  
innego nie żądam, jak widzieć ciebie szczęśliwym.

— A zatem ?...

— A zatem... poszlij zaraz konnego posłańca do Kowna po paszport dla mnie; ja się tymczasem spakuję, ty interesa gospodarskie uregulujesz i w sam dzień przybycia paszportu, wyjedziemy razem do Drezna.  
— Mama mi niebo na ziemi uchyla! — zawołałem, upadając jej do nóg.

Z końcem listopada pobraliśmy się w Dreźnie. Prócz mojej matki, Irenki, prezesa i dwóch Włochów, dalekich krewnych Leonii, nie było nikogo. Wszystko odbyło się poważnie, cicho, skromnie. Moja matka, od pierwszej chwili oczarowana Leonia, nie mogła jej dosyć się napatrzeć. Poradziła nam — idąc w tem za milczącym popędem mego serca — abyśmy odrazu do Zurnin pojechali, szczęściem miodowych miesięcy szczęście przyszłości zapewniając tam, gdzieśmy odtąd życie spędzać mieli. Sama zaś, wzięwszy w opiekę Irenkę, w towarzystwie prezesa, rozpromienionego myślą, że odbędzie podróż z damami, co mu się jeszcze w życiu nie zdarzyło, pojechała na sześć tygodni do Wenecyi. Zjawił się tam niebawem i nasz magnat węgierski, co Irencie bynajmniej obojętnem nie było. Niespełna w rok po naszym ślubie, najdroższe marzenie mojej matki spełnionem zostało — i to nawet z nieprzewidzianym dodatkiem — Leonia bowiem, bardzo szczęśliwie powiła jej nie jednego, ale od razu dwóch wnuków. Trudno było więcej od niej żądać.

## MARZENIE I RZECZYWISTOŚĆ.

### MARZENIE.

Na stromej, olbrzymiemi jodłami okrytej górze południowych Alp Tyrolskich, jakby między niebem a ziemią zawieszona, wioska Brainz, poszczycić się mogła wyjątkowo pracowitą, uczciwą, do malowniczej miejscowości tej wielce przywiązaną ludnością. Z powodu dość nieprzystępnej drogi, mniej tam widywało się turystów, niż w innych okolicach Tyrolu; ztąd też nie grasowała jeszcze między mieszkańcami Brainz, owa szpetna chciwość w wyławianiu podróznym grosza, zatruwająca życie — i wypróżniająca kieszeń — tym, co jadąc w dalekie góry, szukają orzeźwiającego powietrza i pogody, ale bardziej może jeszcze łakną spokoju wśród ludności o patryarchalnych obyczajach, a spotykają się niemal zawsze z przewrotnością ludzi, których niedowarzona cywilizacja jedynie w finansowym rozwinęła się kierunku. Bydło, drób, miód z licznych pasiek, oraz umiejętne utrzymywanie sadów, dostarczało żywności niezbyt wybrednym góralom, a uciążliwa droga do najbliższego miasteczka, utrudniała udawanie się na targ, vulgo: na tę — grosz wiejski pochłaniającą przepaść. Zaczny miejscowy pleban, nad tradycyjną u Tyrolczyków pobożnością rozciągnąwszy pieczę, żadnym szkodliwym

"nowinkom" wstępu nie dozwalał, wiarę owieczek swych w całej swej niewzruszonej utrzymując potędze.

Tak mało mając ze światem styczności, wiejscy domatorowie ci, z niemałym dnia jednego ujrzeni zdziwieniem, wjeżdżający do wsi kocz, czterna wspaniałemi zaprzężony końmi.

Właściciel ekwipażu sam powoził, z wielką ostrożnością stępo pod stroma górę wjeżdżając, podczas gdy służący i góral — widocznie po drodze zwerbowany — podtrzymywali powóz, w którym na miękkich poduszkach siedziało sześćoiletne dziewczątko tak dziwnej piękności, że raz na nie spojrzawszy, już oczu od niej oderwać nie było można. Z pod słomianego, o szerokich skrzydłach kapelusza, spadały na ramiona dziecka istne fale włosów o złocistych blaskach, a duże, czarne oczy spoglądały ciekawie, to na prawo, to na lewo, bez najmniejszej troski o następstwa doświadczonego w drodze wypadku; widocznem było bowiem, że powóz jakiegoś szwanku był doznał. Ale cóż złego stać się mogło ? — myślała sobie dziewczeczka — skoro ojciec powozi ! wszak on wszystkiemu złemu zaradzić zdoła. — A daleko tam jeszcze do waszej kuźni? — zapytał podróżny, zwracając się do górala. — Już widać kuźnię, proszę pana. Ot, tu domek na prawo. Stoją przed nim konie do okucia. Zwolna, ostrożnie, z niemałym wysileniem i woźnicy,

i podtrzymujących powóz ludzi, dojechano wreszcie przed kuźnię, ku wielkiej

uciesze wiejskich dzieci, w mnogiej liczbie zbiegających się ze wszystkich stron

wioski.

O pięknych rysach, i silnej a zgrabnej budowy ciała kowal, niemal z dworską

grzecznością kapelusz zdjawszy, zapytał, czym służyć może.

— Pękła mi oś u koła — z wyraźnym włoskim akcentem odrzekł

podróżny. — Proszę mi

powiedzieć, ile będzie potrzeba czasu na zreperowanie szkody.

Obejrawszy koło, kowal odrzekł, że przy największym pośpiechu nie zdoła

ukończyć roboty przed czterema godzinami.

— Aż tyle! oj, to bieda. Śliczne to wprowadzie miejsce... — I to mówiąc,

rozglądał się podróżny na wszystkie strony po malowniczej okolicy.

— Warto tu

przyjechać umyślnie, a nie przypadkiem, poblądziwszy drogi. A jest tu gdzie

gospoda, gdzieby konie umieścić na ten czas można?

— A jakże, proszę pana, jest porządna gospoda na tamym końcu wsi.

— I to

mówiąc, zwrócił się kowal do stojącego we drzwiach kuźni pacholęcia. Hans —

rzeki do niego — zaprowadzisz pana do gospody i zaraz wrócisz.

Ośmioletnie, ładne pachole, którego oczy wlepione były jak w cudowny obraz, w

postać dziewczeczki w powozie siedzącej, wysunął się naprzód, dopomagając w

wyprzęganiu koni.

— A ze mną co się stanie, papo? — po włosku zapytała dziewczynka.

— Chcesz pójść ze mną do gospody, Lenoro?

— Nie chcę. Wolę tu zostać; ot tam, w tym ładnym ogródku! — I paluszkami



wskazała na sad przy kuźni, gdzie pełno było drzew i kwiatów.  
Kowal, którego nieboszczka żona była rodem z Werony, umiał po  
włosku; w tym też  
języku odezwał się do dzieciny:  
— Jeżeli Signorina chce tu zostać, to bardzo proszę; będzie tu jej  
lepiej,  
chłodniej i spokojniej niż w gospodzie. — I zbliżywszy się do  
powozu, dziewczeczkę  
wziął na ręce, delikatnie, jak jaką ptaszynę zaniósł do ogródka. Tyle  
malowało  
się poczciwości na twarzy kowala, że podróżny bez żadnego wahania  
córeczkę jego  
pieczy powierzył, sam " zaś poszedł za końmi w stronę gospody, by o  
ich wygodzie  
zarządzić.

Gdy w godzinę potem do kuźni powrócił, zastał w ogrodzie  
jedynaczkę, smacznie  
zajadającą poziomki, które jej na kapuścianym liściu, klęcząc przed  
nią jak  
przed królową, podawał mały Hans. Na stoliku stała miska z  
kwaśnem mlekiem,  
bochenek chleba i osełka masła.

— Papo! papo! pójdź tu prędko; czeka na ciebie wspaniały  
podwieczorek. — I ojca  
uściskawszy, zaczęła go częstować sielankowemi specyałami,  
bezustannie, jak  
skowronek szczebiocąc.

— Prawda, jak tu ładnie, papo? daleko ładniej niż w Wenecyi!  
Wszystko świeże,  
wszystko zielone, wszystko pachnie: drzewa, kwiaty, skoszone siano i  
poziomki!  
Mnie tu tak dobrze! ja tu chyba zostanę!

— A ja co pocznę bez mojej pieszczoszki? — odrzekł ojciec, z  
lekkim w głosie

odcieniem smutku, a priori na dalekim horyzoncie widząc już rysującą się postać  
przyszłego zięcia, owego najeźdźcy, który miał kiedyś najdroższy  
wywieźć z domu  
skarb, całe jego szczęście.

— Ale i ty tu zostaniesz, papo! wybudujemy sobie domek z balkonem  
i zielonemi  
okiennicami; urządzimy ładny ogród; ja będę z Hansem się bawić, a ty  
będziesz  
polował na dzikie kozy.

— A są tu gemzy? — zapytał ojciec Lenory, namiętny myśliwy.

— Czasem bywają — odrzekł chłopaczek i — W przeszłym tygodniu  
właśnie ojciec  
kozła zabił.

Dowiedziawszy się od kowala, że o tej porze wieczornej najłatwiej  
natrafić na  
dzikie kozy, podróżny czempredzej wydobyl z powozu strzelbę, wziął  
z sobą  
przewodnika i obiecawszy, że za dwie godziny powróci, puścił się  
wijącą się za  
domem kowala ścieżką, pod stromą górę, spieszenie dążąc aż na sam  
jej szczyt.

\* \* \*

Ukończywszy porządek w szafach, gdzie złożone były akta kościelne,  
sędziwy  
pleban z Brainz zabierał się do czytania brewiarza, gdy do drzwi jego  
zapukano i  
na wezwanie nie czekając, weszła do izby — nie mniej od proboszcza  
wiekowa, lecz  
i jak on krzepka jeszcze — tegoż kucharka.

— Czego chcecie, Lizo?

— Proszę waszej Wielbności, przyszedł tu Hans, syn kowala i  
przyprowadził z  
sobą jakieś śliczne paniątko, jeśli nie czasem aniołka, bo mu tylko  
skrzydeł

brakuje. W życiu mojem — a życie to już długie — nic tak pięknego jeszcze nie widziałam. Tak chyba wyglądać musiała Przenajświętsza Panna, gdy u Matki, u sędziwej Świętej Anny bawiła.

— Ale może mi wreszcie powiesz, czego te dzieci chcą — odrzekł proboszcz, widząc, że zanosi się na długą rozmowę zacnej zresztą, ale wielce gadatliwej sługi.

— Chcą się z waszą Wielbnością widzieć.

— To ich przyprowadź.

Gdy po chwili drzwi się otworzyły, zdziwiony proboszcz, in petto przyznać

musiał, że w opisie starej Lizy przesady nie było; ujrzał bowiem, jakby z samych

niebios przybyłe śliczne stworzenie, za którym stał Hans, syn kowala. Zwracając

się do pacholecia, dziewczeczka półgłosem zapytała, wskazując na księdza:

— A umie on po włosku?

— Ksiądz proboszcz wszystkimi mówi językami. Zbliżyło się wówczas dziewczątko

do plebana i ładnie

przed nim dygnawszy, rzekło:

— Mamy prośbę do waszej Wielbności.

— Jakaż to być może prośba, dziecieczki? — ozwał się proboszcz, z coraz to

wzrastającym zdziwieniem wpatrując się w tę śliczną, dziecięcą postać.

Dziewczeczka zwróciwszy się do stojącego na progu Hansa, wzięła go za rękę,

przyprowadziła przed krzesło, na którym siedział pleban i tam, gdy oboje

ukłękli, rzekła z największą prostotą:

— Prosimy, aby nam ksiądz proboszcz dal ślub. My się pokochali,  
Hans i ja —

chcemy być mężem i żoną. Wszak tak, carino mio? — dodała,  
spoglądając w  
zachwycone oczy chłopaczka.

— Tak, Signorina mia — odrzekł Hans — dziś i jutro i zawsze, tak  
na ziemi jak i  
w niebie, chcę być przy tobie i z tobą.

Dziwna była w dzieciakach tych powaga, dziwna stanowczość. Pleban  
patrzył na  
maleńką, klęczącą przed nim parękę i zamiast się rozśmiać, nagle  
posmutniał.

— Przedewszystkiem wstańcie, dziatki moje. Trzeba nam się  
rozmówić — i to  
rzekłszy posadził dziewczynkę na kanapie, kucharce coś do ucha  
szepnąwszy,  
Hansowi zaś wskazał ławeczkę, którą tenże umieścił tak, aby siedzieć  
u nóg  
dzieweczki.

— Powiedz mi naprzód, jak się nazywasz, signorino? — zapytał  
ksiądz.

— Nazywam się Lenora.

— A dalej? prócz imienia, musisz przecież mieć i nazwisko.

— Lenora di Lucrizio.

— Masz matkę?

— Nie mam. Jeszcze dzieckiem byłam, jak mama umarła. Pleban  
mimowolnie się  
uśmiechnął; już więc maleństwo to za dziecko się nie miało.

— Ale może masz ojca.

— O! mam! i to bardzo dobrego, bardzo kochanego ojca.

— A czemże on jest, twój ojciec?

— Czem jest?... — nieco pytaniem zakłopotana, odrzekła dziewczeczka  
— jest

sobie... panem.

— A co robi?

— Co robi?... — tu namyśliła się chwilę. — Czyta, pisze, konno jeździ, śpiewa,  
ah! jak ślicznie śpiewa.

— Czy z ojcem tu przyjechałaś?

— Tak jest, z ojcem; zbłądziliśmy w drodze, potem złamało nam się coś u powozu i musieliśmy się tu zatrzymać. Ale dobrze tak się stało, bo tymczasem Hansa

poznałam i pokochałam go.

Mówiąc to, dziewczeczka głowę pacholęcia objawszy, białą na niej położyła rączkę,

jakby dla poświadczenia, że główkę tę w posiadanie bierze. W dzieciennym, ale

zarazem już i po trochu kobiecym, ruchu tym, tyle naiwnego było wdzięku, tyle

nieświadomej siebie poezyi, że artysta dużo byłby dal, aby ruch ten, na gorącym

uczynku schwyciwszy, na płótno żywcem przenieść. Hans milczał, wciąż w dziecinę

wpatrzony; zdawało się, że cała jego dziecinna, ale już gorąca duszyczka, w

dużych, czarnych oczach tkwiła. Przypatrując się im, szepnął ksiądz półgłosem:

— Śliczny obraz bo śliczny, ale do przyszłości zastosować się chyba nie da.

Tymczasem weszła Liza, na tacy przeróżne przynosząc łakocie, wśród których stał

wazonik z bukietem alpejskich róż.

— Ach! co to za śliczne róże! — zawołała dziewczeczka — czy one są dla mnie?

Uradowana kucharka, o mało że nie na kolanach pięknej panience bukiet podała.

— Siadajcie dziateczki— rzekł proboszcz, krzesła do stołu zbliżając

— zjedzcie

trochę podwieczorku.

— A nasz ślub? — zapytała Lenora. — Możebyśmy naprzód ślub  
wzięli, a potem, z  
kościółką wróciwszy, zabrali się do podwieczorku?  
— Nie, dzieci, nie. Okna otwarte, gotowe wlecieć pszczoły i wszystek  
miód wam  
zjeść. Siadajcie. Szczebiotaniu rozbawionej dziewczynki  
przysłuchiwał się pleban  
z rozrzuconym uśmiechem, kucharka z zadziwieniem pełnym czci,  
Haus z czcią,  
równającą się ekstazie; nawet jeść trudno mu przychodziło.  
— A twój ojciec, gdzie się obecnie znajduje, signorino? — zapytał  
proboszcz.  
— Poszedł ze strzelbą w góry, szukać dzikich kóz. Wróci za dwie  
godziny.  
— No to, skoro niedługo tu ojciec będzie, poczekamy na niego ze  
ślubem waszym;  
bez jego zezwolenia dać wam go nie mogę.  
— Oh! pewno zezwoli! Papa mi nigdy niczego nie odmawia;  
dlaczegożby tym razem  
miał odmówić? Mniej niż dziecina, o uległości ojca jej przekonany  
ksiądz, rzekł:  
— Pójdźcie tymczasem bawić się w ogrodzie. Liza wam pokaże  
króliki, małe  
koźlątko, mnóstwo kurcząt, no, i cóż jeszcze? — pytał starej sługi.  
Liza tajemniczo palec na ustach położyła.  
— Jeszcze coś pokażę, coś ślicznego — rzekła kucharka — ale to  
wielki sekret.  
Pójdźmy.  
I w samej rzeczy, Liza tak gruntownie, nietylko zabawiła, ale i  
umęczyła małą  
signorinę, że gdy ojciec na plebanie po córeczkę zaszedł, następujący  
przedstawił mu się obraz.

Na kopicy świeżego siana leżała uśpiona dziewczeczka, na kolanach  
trzymając

białego królika, podczas gdy synek kowala gałązką kwitnącej akacyi  
od much ją  
oganiał. Zbiegły się jakby z umysłu w ten jeden kącik ogrodu  
wszystkie promienie  
i promyki zachodzącego słońca, którego blaski ostatnie czepiały się  
rozwiązanych  
włosów dziecińcy, jakby nimbem, całą, zgrabną postać jej otaczając.  
Snu tego z  
bałwochwalczą sumiennością pilnował chłopaczek, w duszy sobie  
powtarzając, że ta  
opromieniona, piękna istota, chyba nie może do tej samej należeć  
ludzkości, co  
wiejskie dziewczątka, z którymi zwykł się bawić.  
Długo w obraz ten ojciec Lenory się wpatrywał, i po chwili  
zdziwienia  
posmutniał; może mu w duszy coś szepnęło, że przyjdzie dzień i  
chwila, w której  
przed jego ukochaną jedynaczką klęczeć będzie, nie bosa, góralskie  
pacholę, ale  
taki, co ją zabierze na zawsze, a ona — w domu tym skarb najdroższy  
—  
uradowanem, bo rozkochanem sercem zgodzi się na to rozdzierające  
dla niego  
rozstanie.

## RZECZYWISTOŚĆ.

Na Wystawie Sztuk Pięknych w Monachium, zwróciły były na siebie  
ogólną uwagę  
publiczności, a bardziej jeszcze uwagę artystów, dwa posązki z  
białego marmuru,  
całkiem nieznanego dotąd rzeźbiarza. Jeden posązek przedstawiał: na  
szczycie  
spiczastej skały, walkę dwóch dzikich kozłów, jakby zawieszonych  
nad przepaścią;  
na drugim, widziano sześciolletnią, dziwnej piękności dziewczkę,  
śpiącą na

kopicy siana, podczas gdy tuż obok niej, nieco starszy, w tyrolskim ubraniu  
chłopaczek, od much dziecinę gałązką oganiał. Podziwiano artystyczną dokładność  
rysunku, niezrównaną lekkość dłuta,

ale podziwiano najbardziej oryginalność rzeźbiarza, żadnej współczesnej nie  
przypominającą szkoły. Ani Paryż, ani Londyn, ani żadna wioska lub niemiecka  
akademia, wykształceniem niepospolitego, a nieznanego artysty pochwalić się nie  
mogła; trudno zaś mniemać było, aby tak ukończone, tak mistrzowskie dłuto, było  
dłutem samouka; takiemu przypuszczeniu sprzeciwiała się wszelka teoria, wszelkie  
artystyczne doświadczenie. A nazwisko rzeźbiarza: Hans Klein, w niczem też  
tajemniczości nie odsłaniało, całkiem było bowiem nieznanne, tak, jak całkiem  
nieznaną pozostała osobistość artysty, aż do dnia, w którym przyszedł odebrać  
jednogłośnie przyznany mu złoty medal. Ujrzano wówczas młodego — zaledwo  
dwadzieścia dwa lat mającego — młodzieńca, o wysokim wzroście, pięknej,  
wyrazistej twarzy i dużych oczach, pełnych naprzemian to gorących płomieni, to  
jakiejś niewysłowionej, do samego dna duszy sięgającej tęsknoty. Gdy mu prezes  
komitetu wystawowego medal wręczał, w oczach laureata tak silny, tak nagły  
zabłysł promień, że mniej do promienia niż do błyskawicy się zbliżał. Po oddaleniu się młodego rzeźbiarza, zaczęto o nim żywo  
dyskutować. Młodzi



artyści czynili to z prawdziwym uznaniem, ale nie bez odcienia zazdrości;  
starsi, których ustalona sława już współzawodnictwa obawiać się nie potrzebowała, nie szczędzili gorących pochwał nowo odkrytemu koledze, prorokując mu wspaniałą przyszłość. Powagą i wiekiem najstarszy z obecnych, długo okiem wiodąc za oddalającym się rzeźbiarzem, widocznie nim się zainteresował; do ogólnej dyskusji nie dorzucił słowa, ale, gdy nieco ucichło, rzekł wzruszonym głosem:  
— Uchodzę ja, jak wszystkim wiadomo, za znawcę serc ludzkich, i rzeczywiście, zdaje mi się, że mam do tego osobny zmysł, na długoletniem oparty doświadczeniu. Otóż powiem wam, rodacy moi, że tylko u ludzi, których żywot cierniem a nie różami zasiany był za młodu, doznane szczęście z taką siłą odbić się może. Na pięknem obliczu młodego tego artysty, gdy mu medal oddawano, malowała się radość, i zdziwienie, i duma; ale prócz tego, błyskało w nim coś tajemniczego,

coś, czego sobie w tej chwili wytlómaczyć jeszcze nie mogę. Wszelako, jeśli mnie mój zwykły dar czytania w ludzkich duszach i tym razem nie myli, to od tego złotego medalu chyba zależy całe szczęście, cały żywot, cała przyszłość tego chłopca. Wszystko to widziałem, odzwierciedlające się w tych płomiennych, czarnych jego oczach.

\* \* \*

W jakie trzy lub cztery dni po odbytej ceremonii wręczania nagród  
artystom na  
Wystawie monachijskiej, ku wieczorowi, ten sam młody człowiek  
wysiadł z gondoli  
na Piazzetta, w Wenecyi. Zachodzące słońce rzucało tu i owdzie snopy  
światła,  
które odbijając się na wszystkich splendorach wspaniałej Królowej  
Adryatyku,  
czarowały oczy tych nawet, co cudowny widok ten podziwiali co  
wieczór — o ileż  
bardziej musiały zatem czarować oczy artysty! Hans Klein szedł  
z wolna, z powagą  
człowieka, którego los ma się rozstrzygać. Przechodząc koło kościoła  
św. Marka,  
usłyszał dźwięk organów.  
— Wstąpię, pomodłę się i uspokoję trochę, zanim tam pójde —  
szepnął półgłosem.  
Jarzącem światłem setek świec promieniejący wielki ołtarz, otoczony  
był licznymi  
wiernymi, tak licznymi, że Hans do ołtarza zbliżyć się nie mógł.  
Usiadł więc na  
uboczu i przysłuchując się wspaniałym dźwiękom z prawdziwą  
maestryą śpiewanego  
Veni Creator, modlił się i czekał wyjścia ślubnego orszaku. Po kilku  
minutach,  
cały wytworny tłok poruszył się i rozstał, by nowożeńcom drogę  
utorować.  
Jakkolwiek dość obojętny na całą tę ceremonię, Hans przecież  
podniósł oczy, gdy  
młoda para tuż obok niego przechodziła. Wpatrzył się chwilę  
wyteżonym wzrokiem  
w piękną twarz oblubienicy, i słowa nie rzekłszy, najlżejszego nie  
wydawszy  
jęku, zsunął się bez zmysłów na kamienną posadzkę. Po oddaleniu się  
weselnego

orszaku, służba kościelna zaniósła młodego człowieka do zakrystyi.  
Jeden z  
księży pobiegł co tchu po doktora; drugi próbował między zaciśnięte  
zęby  
zemdlonego młodzieńca

wlać kilka kropel wina, lecz wszystko bezskutecznie; trzeci udzielał  
mu  
rozgrzeszenia in extremis. Wkrótce przybył lekarz, nieznanego  
starannie  
zbadał, wszelkich używając środków, aby go do życia powrócić.  
Wszystko okazało  
się daremnem.  
— Biedny chłopak! — rzekł wreszcie wzruszony doktor — szkoda  
go, taki miody!  
taki piękny! musiał chyba mieć zaród sercowej choroby; w takich  
razach, lada  
gwałtowne wzruszenie zabić może na miejscu.  
Tak jest; zabić może... i biednego Hansa zabiło.

\* \* \*

Wsparta na ramieniu tego, któremu przed chwilą dozgonną miłość i  
wierność  
zaprzysięgała, z kościoła jeszcze do domu ojca powróciwszy — by  
potem dom i ojca  
tego odjechać na zawsze — uroczą panną młodą zapytała męża:  
— A teraz, pokażesz mi wreszcie, ów tak dawno zapowiedziany  
prezent?  
— Oto go masz, carina mia — odrzekł pan młody, odchylając  
makatę, zasłaniającą  
stojący na sztaludze obraz. Okrzyk radosny wyrwał się z piersi młodej  
kobiety,  
gdy ujrzała na płótnie własną postać, sześćioletnią dziewczynkę,  
śpiącą na

kopiey siana, z królikiem na kolanach, z wiejskim chłopaczkiem w tyrolskim ubraniu, kwitnącą gałązką akacyi na klęczkach oganiającym ją od much.

— Ależ to śliczne! śliczne! Jakże po tylu latach zdołaliście tak wiernie scenę tę oddać?

— Wiesz, ile to razy twój ojciec nam opowiadał wrażenie, jakie mu w pamięci zostawiło to właśnie, tak malownicze zdarzenie. Postanowiłem tedy udać się do

Brainz z naszym utalentowanym przyjacielem, Walterem Gay.

Kazałem sobie ogródek

ten pokazać i rzecz całą przez miejscowego, już bardzo wiekowego plebana

opowiedzieć. Walterowi zaś dałem, jakie tylko ojciec twój posiada fotografie i

miniatury z lat twoich dziecinnych — i oto wiernie oddał, jak widzisz, tę

śliczną dziewczeczkę i tę śliczną sielankę.

— Bardzo to ładne, i bardzo ci dziękuję, mój miły; nie mogłeś mi większej

sprawić uciechy — i mówiąc to męża uściskała serdecznie. — Moja postać wyborna,

jakkolwiek może trochę pochlebiona, ale Hans nie bardzo podobny.

On był

piękniejszy; takie miał śliczne, czarne oczy i tak niemi ślicznie na mnie

patrzył!

Temi ślicznymi, czarnymi oczami, biedny Hans na Lenorę ślicznie patrzeć już nie

będzie. Leży teraz w kostnicy, sam jeden, z pękniętym sercem.

## SZTUKA CZY MIŁOŚĆ?

O szarej godzinie, w altance, dzikiem winem obrosłej, pięcioletnią,  
rzewnie

płaczącą jedynaczkę tuliła młoda matka do łona.

— Czego ty płaczesz, Rózieczku? — serdecznym pytała głosem. —

Czy ci się co

stało? Powiedz dziecino, powiedz mamusi, co tobie jest?

Ale dziecko zalane łzami, na odpowiedź zdobyć się nie mogło, tylko  
wsparłszy się

na matce, cicho łkało.

Nie nagliła jej matka, lecz głaszcząc po jasnej, kędzierzawej główce,  
uspokajała

ją zwolna, i dopiero gdy całkiem płakać przestała, znów rzekła:

— Czy ci kto co zrobił, Rózieczku moja?

— Nie, mamusiu; nic mi nikt nie zrobił. Ja tu już od dawna, od bardzo  
dawna

siedzę w altance.

— Toś może czego się przestraszyła, kiedyś była tak sama?

— Nie mamusiu, nic mnie tu nie straszło.

— Więc czegożeś tak płakała, dziecino, gdym tu do ciebie przyszła?

Nie

płakałabyś przecież bez żadnego powodu?

Widocznie zakłopotana dziewczeczka, nie wiedziała jak wyrazić, co w  
serduszku jej

się działo, a czego może sama dobrze nie rozumiała; milczała zatem,  
tuląc się

coraz bliżej do matki. Księżyc, przepuszczając gdzieniegdzie przez  
liście cienką

smugę srebrzystego światła, misternie obraz ten opromieniał. Słowiki  
śpiewały

zapamiętałe; jeden zwłaszcza, istny wirtuoz, cudowne wysnuwał z  
gardziolka

trele.

— Słyszysz Rózieczku, jak ten słowik ślicznie śpiewa?  
— Słyszę, mamusiu, ach! słyszę! — i dziecko znów płakać poczęło.

— Czy dlatego płaczesz, Rózieczku, że słowik ładnie śpiewa? —  
uśmiechając się  
zapytała matka.

— Nie, mamusiu... ale dlaczego ja tak śpiewać nie mogę? Powiedz  
mamusiu,  
dlaczego?

— Jakto? dlatego płaczesz, dziecino, że nie możesz tak śpiewać, jak  
śpiewają  
słowiki ?

Rózia potakująco główką kiwała, otarła coraz gęściej cisnące się łzy,  
poczem  
drżącym głosem pytała znowu:

— Dlaczego mnie Bozia stworzył dziewczynką, a nie słowikiem?  
Powiedz mamusiu,  
dlaczego?

— Dlatego, Rózieczku, że ci Bozia dał duszę nieśmiertelną, żebyś Mu  
wiernie  
służyła; a słowikom Bozia duszy nie dał.

— Jakto, mamusiu, słowiki żadnej nie mają duszy? To być nie może.  
Muszą one tam  
gdzieś, pod skrzydełkiem mieć choć małą, maleńką duszyczkę.

— A dlaczegoż myślisz, Rózieczku, że słowiki muszą mieć duszę?

— Bo gdyby nie miały choćby maleńkiej duszy, toby tak ładnie  
śpiewać nie mogły.

Wszak tak mamusiu ?

— Nie, Rózieczku; Bozia żadnemu zwierzęciu, nawet słowikom, nie  
dał duszy; dał  
ją tylko człowiekowi; słowikom zaś dał śliczny głos, aby nim duszę  
człowieka i

twoją duszę, pięknym śpiewem radowały.

Zamyśliła się dziecina głęboko; po chwili milczenia, westchnąwszy  
ciężko, rzekła

półgłosem, do pierwotnej wracając myśli:

— Jabyam chciała, mamusiu, aby mnie Bozia zamienił w słowika, ale żeby mi duszę moją zostawił. Tobym ja śpiewem także ludzi radować mogła. Czy tak, mamusiu?

— Nie potrzebujesz na to być słowikiem, Rózieczku; jak trochę podrośniesz, nauczę cię śpiewać i będziesz ludzi radować, naśladowując słowiki. A teraz pójdziemy do domu; już rosa opadać zaczyna; mogłabyś się zaziębić. Dzieweczka z ławki zeskoczywszy, zwróciła się ku krzakom perskiego bzu, gdzie najpiękniejszy w tej chwili odbywał się koncert skrzydlatych artystów.

— Dobranoc wam, słowiczki moje ukochane — rzekła Różia — szczęśli wiście, oj! szczęśliwi, że tak noc całą śpiewać będziecie! Dlaczegoż ja słowikiem być nie mogę, mój Boże! takbyrn chętnie z wami śpiewała! Parę godzin później, gdy już oddawna w białym łóżeczku błogim snem dziecina spała, a na terasie zamkowej rodzice jej herbatę pijąc, podziwiali śpiew przyjaciół Rózi, hrabina Marya Porajowa rzekła do męża: — Mówiłam ci kiedyś, mój drogi, że mnie nieraz zastanawia, nawet niepokoi, z dniem każdym wzrastająca u Rózi wrażliwość. Miałam tego dziś nowy, wymowny dowód, zastawszy ją w altance, o szarej godzinie, rzewnie płaczącą. Długo utulić jej nie mogłam. Wreszcie po różnych perswazyach i pieszczotach, wyznała mi wśród łez i łkania, że płacze dlatego, że... No, zgadnij dlaczego? — Może dlatego, że jej gwiazdki z nieba się zachciało? — odrzekł mąż. — Tak dziś właśnie pięknie świecą.

— Niedaleko jesteś prawdy. Otóż, Różia płakała, i to płakała rzewnie, że ją Bóg stworzył dziewczynką, a nie słowikiem, i że wraz ze słowikami całą noc śpiewać nie może. Smutek jej był tak szczery, tak głęboki, że mnie to za serce ścisnęło.

— Mniej jestem tem zadziwiony, niżbyś sądzić mogła, Maryniu; Ignie ona do muzyki, z rzadkiem u takiego maleństwa zamiłowaniem. Gdybyś wiedziała, jakimi rozradowanemi, iskrzącemi się oczami patrzy na ciebie, gdy przy fortepianie siedzisz! Onegdaj wieczór śpiewałaś ulubioną moją pieśń Gounoda: O Magali, ma hien aimée! Siedziałem na kanapie, a Różia na moich kolanach. W miarę, jak postępowałaś w śpiewie, w Rózi wzrastało wzruszenie; to bladła, to rumieniła się, oczy w ciebie wlepiwszy; serce jej bilo jak młotem, coraz silniej, coraz szybciej, tak dalece, że gdy pieśń się skończyła, wyniosłem ją do ogrodu, starając się ją rozerwać, czemkolwiekbądź, co mi się oczywiście po chwili udało, boć u pięcioletniej dzieciny uczucia mogą być wyjątkowo silne, głębokie nawet, ale długotrwałemi być nie mogą.

— Dlaczegożes mi tego wówczas nie powiedział ?

— Byłaś cierpiąca dnia tego; nie chciałem ciebie niepotrzebnie wzruszać.

Nastała chwila milczenia, poczem pani Marya rękę na rękę męża kładąc, cichym,

łagodnym, pełnym serdeczności głosem rzekła:

— Widzisz, mój ty drogi, ja tej dziwnej wrażliwości naszej jedyńaczki dlatego



się obawiam, martwię się nawet, że tego rodzaju wrażliwość, złym  
bywa warunkiem  
w życiu kobiecym; złym dla umysłu, dla zdrowia, dla szczęścia...  
złym nieraz i  
dla duszy.

— Bynajmniej nie przeczę temu; twoja też to rzecz będzie, moja  
Maryniu,  
roztropnem, psychologicznie mądrym wychowaniem, wrażliwość  
naszej córeczki w  
pewne ująć karby; przyjdzie ci to zadanie tem łatwiej, że wrażliwość  
jej  
wcześnie się zdradziła i że wcześniej do poskromienia tejże zabrać się  
możesz.

Wierzaj mi, Maryniu, takie organizacyę bywają niebezpieczne  
czasami, ale przy  
rozsądnem wychowaniu są najwdzięczniejsze zwykle.

— Mój drogi — rzekła na to pani Porajowa, czułem lecz smętnem  
wejrzeniem na męża  
patrzac — wiesz dobrze, że jeżeli ja wychowanie Rózi rozpocznę... to  
nie ja je  
ukończę...

— Zlituj się Maryniu! — boleśnie zawołał młody mąż, do ust obie  
ręce żony  
przyciskając.

— Nie miej żalu do mnie za te słowa, mój jedyny; ja to na wszelki  
tylko mówię  
wypadek. Bóg miłosierny może się zlituje nad nami, ale od  
prawdopodobnej  
przyszłości nie wolno nam oczu odwracać. Silną nie jestem, z latami  
sił tych mi  
jeszcze ubywa; mam więc to sobie za obowiązek, zawczasu zwrócić  
twoją uwagę na  
usposobienie naszej jedynaczki, żeby ci łatwiej potem przyszło nią  
pokierować,  
co może nieraz i trudnem będzie dla ciebie zadaniem.— Młoda  
kobieta z zupełnym  
mówiła spokojem, nie patrząc wszakże na męża, który twarz obiema  
rękami

zakrywszy, w bolesnem milczeniu słów żony słuchał.

— Widzisz mój drogi — mówiła ona dalej — nasza Różia w innych urodziła się była warunkach, gdyby nie była hrabianką Porajówną, posażną... i prawdopodobnie piękną jedynaczką, wyszłaby może z czasem na wielką artystkę; ma po temu bowiem wszystkie wrodzone instynkta i zaięty, wrażliwość uczuć i nerwów, dziwnie na wiek swój bujną wyobraźnię, do muzyki zamiłowanie i zdatność niesłychaną; raz usłyszaną melodye w lot chwyta od razu, a jak jej przypadkiem pamięć nie dopisze, to się martwi i płacze, jakby ją było jakie nieszczęście spotkało.

— Tak, jak płakała dziś wieczór, że nie jest słowikiem — wzruszonym głosem wtrącił pan Poraj.

— Obawiam się bardzo, mój drogi, że gdy mnie już nie stanie, będziesz miał z Rózią nie mało kłopotu. Posłuchajże mnie więc z uwagą, nie dlatego, abym ja już koniecznie niebawem umierać miała.

— Maryniu!

— Nie, mój drogi, nie dlatego, na wszelki tylko przypadek.

Wysłuchasz mnie  
cierpliwie?

Czując, że każde wymówione słowo łkaniem mu się wyrwie, pan Poraj w milczeniu głową potakująco skinął.

— Przedewszystkiem zapominać nie należy nigdy, jaka po kądzieli w żyłach Rózi niebezpieczna krew płynie. Piękna, bogata, w zbytki i szczęście opływająca a

wielce rozpieszczona jedynaczka, babka moja, wiedziona  
niepohamowaną żądzą  
artystycznej chwały, wrodzonym obdarzona przytem talentem i  
wspaniałym głosem,  
dom rodzicielski tajemnie opuściła i została śpiewaczką, obce  
przybrawszy  
nazwisko. Szalone powodzenie utrzymało ją przez lat parę, w dziwnej,  
prawdopodobnie gorączkowej sile; lecz przy wątłej organizacyi  
gwałtowne  
wrażenia, od artystycznego zawodu nieodłączne, musiały wkrótce siłę  
tę zużyć.  
Odszukali, ją rodzice, do domu przywieźli, starannie odchuchali;  
widziało się im  
nawet, że i fizycznie i moralnie całkiem uzdrowili, więc ją świetnie za  
mąż  
wydali; pokazało się wszakże niebawem, że był to sztuczny tylko  
powrót

do zdrowia, i w rok później życiem przyplącała ona przyjście na świat  
mojej  
matki. Srogiem doświadczeniem nauczony dziadek, zaczął lecz nieco  
szorstką ręką,  
wszystkie wrodzone instynkta, popędy, uczucia wnuczki,  
odziedziczone po matce,  
naginał od lat najmłodszych w stronę wstrętną jej naturze. Nie mniej  
od babki  
wątego zdrowia matka moja, fałszywemu kierunkowi oprzeć się nie  
zdołała, uległa  
więc, ale ją to fizycznie i moralnie złamało. Młodo wydano ją za mąż i  
młodo...  
parę lat zaledwo po mojem urodzeniu... do rodzinnych złożono  
grobow. Ani chwili  
wątpić nie można, że ją zwolna o życie przyprawił nadmiar wiecznie  
tłumionych a  
gorących wrażeń.  
— Tu się-samo przez się rozumie — rzekł pan Poraj.

— Widzisz więc, drogi mój, że obie teorye, tak dobrze zbytniego  
pobłażania, jak  
zbytniej surowości, najzupełniej w powyższych wypadkach celu  
chybiły. Dla naszej  
Rózieczki będzie trzeba zatem znaleźć teorię pośrednią, nie tłumiącą  
bezwzględnie, gwałtownie, bez litości instynktów wrodzonych, które  
z krwi i  
kości w sobie nosi, lecz z drugiej strony, teorię nie pozwalającą zbyt  
bujnemu  
rozrastaniu wrażliwości czy to nerwów, czy też wyobraźni  
wrażliwości, mogącej z  
latami zmienić się w gwałtowną jaką namiętność, a wówczas: *Ia ame  
userait le  
fourreau.*

— Piękniej i mądrzej chyba nie wyrażałby się sam św. Jan Złotousty,  
moja Maryniu  
droga! — rzekł mąż, siląc się na ton wesoły. — Da Bóg miłosierny,  
teorię twoją  
stosować będziemy wspólnie oboje, do wychowania naszej  
jedynaczki.

— Której to jedynaczce śni się prawdopodobnie w tej chwili, że jest  
słowikiem, i  
że buja po błękitnej przestrzeni, cudowne wyśpiewując melodye — z  
łagodnym lecz  
smętnym uśmiechem dodała pani Marya. Zwolna, nieznacznie  
zmieniła przedmiot  
rozmowy, przechodząc do rzeczy najwięcej męża zwykle  
zajmujących. On udawał, że  
niemi się interesuje, że słów jej z uwagą słucha, lecz gdy wybiła  
godzina  
jedenasta i młoda kobieta udała się na spoczynek, biedny Poraj do  
późnej nocy  
błąkał się po parku, płacząc jak dziecko.

Minęło lat pięć. W czarnej, wełnianej sukience, z krepą u szyi i rąk —  
przed

kilkoma miesiącami spełniły się były smutne przeczucia jej matki —  
ładna,  
dziesięcioletnia Rózia Porajówna, na oknie oparta, z żywym zajęciem  
przysłuchiwała się, mniej więcej w jej wieku będącej dziewczynce,  
śpiewającej na  
ulicy; mężczyzna, w stroju wieśniaczym mieszkańców Toskanii, na  
gitarze  
dziewczynce akompaniował. Nędznie ubrane to biedactwo, z  
zsiniałymi od zimna  
rękami, o zmarzniętą ziemię od czasu do czasu nogami tupało, aby się  
ogrzać. Ze  
stref południowych pochodzące dziecko, pomimo mrozu, do którego  
przyzwyczajone  
być nie mogło, pomimo podartej, wiatrem podszytej sukienki i  
dziurawych  
trzewików, z dziwnym animuszem śpiewało śliczną pieśń  
Gordigiauiego: Non ti  
maravigliar se tu sei belki, w której kochance kochanek tłumaczy, że  
własnej  
piękności dziwić się nie powinna, bo kto nad błękitnem rodzi się  
morzem, ten  
pięknym być musi. Mała Włoszka, z tak głębokim przekonaniem  
poetyczne słowa te  
śpiewając wymawiała, że nikt wątpić o jej pochodzeniu nie mógł, ani  
o tem, że  
gdzieś nad malowniczymi brzegami Śródziemnego morza zrodzona, o  
morzu tem  
śpiewając myśli, i nad tem morzem, z biegiem czasu, na piękną  
wyrośnie  
dziewczynę, której kochanek powtarzać będzie na prawdę tym razem:  
Non ti  
maratigliar se tu sei bella.  
Oczami, uszami, duszą całą chwyciła Rózia śpiew malej, ulicznej  
artystki;  
chętnie byłaby do niej na ulice wybiegła, by za nią powtarzać piękną  
Gordigianiego melodye. Z żalem wielkim pozwolić sobie tego nie  
mogąc, zwróciła

się do dawnej niańki, od śmierci pani Porajowej, pilnującej Rózi jak oka w

głowie, i pieszczotliwym rzekła do niej głosem:

— Elżbieto, moja ty Elżbieto, chcesz wielka zrobić mi przyjemność?

— Pewno że chcę, moja ty gołąbko, byle tylko przyjemność ta była rozsądną. O cóż to chodzi?

— Otóż, chodzi o to, moja ty poczciwa, dobra Elżbieto,

żebyś prędziutko skoczyła po twoją chustkę, na ulicę zeszła, i tę tam śpiewającą

dziewczynkę do mnie przyprowadziła.

— Co, tu, do salonu? A co papa na to powieć?

— Ja papie zaraz, gdy tylko do domu powróci, wszystko sama opowiem. Gniewać się

on nie będzie, bądź o to spokojna; już ja papę znam. Tylko się pospiesz moja

Elżbieto kochana; oni tak na jednym miejscu długo stać nie będą. No, idź już...

proszę cię idź prędko!

Elżbieta niczego Rózi odmawiać nie umiała, chyba, że o zdrowie dziewczynki

chodziło; wtedy była nieubłagana. Skoczyła więc na górę po chustkę, a potem

wyszła na ulicę. — Rózia tymczasem, wszystkie szuflady w swoim pokoju do góry

nogami przewracawszy, z całego stosu najrozmaitszych ubrań, wybrała ciepłą

węlnianą sukienkę, pończochy, buciki, włóczkowy na głowę kapturek, i wszystkie

skarby te na krześle w salonie złożywszy, pędem pobiegła do klucznicy. Tam

kazała sobie wydać i w papier upakować pro wizyę zimnego mięsa, bulek,

pierników, a zaledwo pakiecik na ubraniu złożyła, posłyszała kroki powracającej

Elżbiety. Spiesznie podeszła ku niej do przedpokoju; za nią, onieśmielona, ż  
ogromnemi, jak węgiel czarnemi oczami postępowała małą Włoszka. Zbliżywszy się do niej, podała jej Rózia rękę, po francusku przemawiając.  
Dzieweczka głową, kiwnęła, że nie rozumie; przemówiła więc Rózia po niemiecku, z  
tym samym wszakże skutkiem. Wówczas nie wiedząc co dalej robić, przyszło Rózi na  
myśl zanucić dopiero co usłyszaną melodyę Gordigianiego; uradowana dziewczynka w  
ręce klasnęła, wołając: Si, si, signorina mia! i dalejże całym głosem śpiewać  
zaczęła, a nie mniej od niej uradowana, wtórowała jej Rózia; po skończonej zaś  
piosence uściskała małą artystkę, odwołując się do wszystkich znanych sobie  
języków, żeby jej wdzięczność swą okazać; wołała zatem:  
— Dziękuję, ich danke; nierci; thank you ! — Lecz dla Włoszki, cały ten  
filologiczny skarb, żadnego nie miał znaczenia; śmiała się tylko, pokazując dwa  
rzędy jak perły białych zębów.

— Niech jej Rózia da co zjeść — odezwała się na to praktyczna Elżbieta — głodne to być musi biedactwo! a chude jak miody chart;  
najedzenie nie potrzeba jej będzie obcych języków. Poskoczyli! Rózia do krzesła, na którym złożone były zapasy dla  
biednej dziewczynki i wybrawszy bulkę z szynką podała jej. Włoszka uśmiechnęła się  
wdzięcznie, powtarzając: Grazie, grazie signoriia — lecz bulkę wraz z mięsem  
do kieszeni wsadziła, tłumacząc się, że będzie to per il pnrero mio padre. Wtedy

Różia pokazała jej cały pakiet prowizyj, zmuszając ją, aby coś zjadła, a resztę zwinąwszy wręczyła jej mówiąc: il padre, il padre. Doprowadziwszy wreszcie do tego, że mała śpiewaczka smacznie zajadać zaczęła, Różia siadła do fortepianu i tam, z zadziwiającą na tak młody wiek intuicją, dobierając z wolna akompaniament, powtórnie zanuciła piosenkę Gordigianiego. Gdy akordy były dobrze dobrane, włoskie dziewczatko z radością potakiwało główką; gdy nie zupełnie do melodyi się stosowały, wołała: No, no. ! — Wreszcie dobrała Różia cały, nie zbyt zresztą skomplikowany akompaniament, i wtedy, z nieopisanym zapałem, obie dziewczynki całym głosem unisono pieśń po kilka razy prześpiewały. Na odgłos improwizowanego koncertu, uchyliły się z wolna boczne drzwi, i hrabia Poraj, Elżbiecie palcem milczenie wskazując, zdziwiony i uradowany, stanął na progu, zakrywszy się ciężką portyera. Obraz przedstawiający się jego oczom, byłby w malarzu, lubującym się w kontrastach, istny wzniecił zapał. Przy nieco wiotkiej postaci, o złotych włosach i bielutkiej cerze Rózi, silnie odbijały krucze sploty, czarne oczy i niemal bronzowa płeć córy południa; lecz tak z czarnych, włoskich oczów jednej dziewczynki, jak z modrych oczu drugiej, ten sam artystyczny tryskał zapał; obie śpiewały z takim szałem, jakby śpiewem tym uprosić sobie miały szczęście na ziemi i zbawienie wieczne. Hrabia Poraj uszom za ledwo chciał wierzyć; nawet Elżbieta podziwieniu oprzeć się nie mogła, i po



cichu powtarzała:

— Jakżeż te dzieci ślicznie śpiewają! Istni aniołkowie w niebie!  
Ze trzy razy już powtórzyły były dziewczątka: Non ti maravigliar, se  
tu sei  
helia, gdy nagle mała Włoszka przypomniała sobie, że ojciec tam na  
zimnie czeka  
na nią. Zaczęła więc czempredzej coś Rózi po włosku tłumaczyć,  
dziękować,  
kłaniać się i już ku drzwiom uciekała, gdy chwyciwszy ją za rękę,  
wstrzymała ją  
Rózia, do niańki zaś zwracając się rzekła, wskazując na ubranie leżące  
na  
krześle:  
— Elźbieto, wybrałam z pomiędzy moich zimowych rzeczy ciepłe  
ubranie dla tej  
biednej dziewczynki; czy myślisz, że mogę jej to dać, nie zapytawszy  
się papy?  
— Możesz, Rózieczko moja złota, możesz — odezwał się na to, jakby  
czarodziejską  
rózdką wywołany glos p. Poraja.  
Rzuciła się w objęcia ojca uradowana córeczka, chcąc cały zaszły  
epizod od  
samego początku opowiadać.  
— Dajże naprzód dziewczynce, co jej przeznaczasz, Rózieczko —  
rzekł ojciec — i  
puść ją; ojciec jej musi być bardzo o nią zaniepokojony.  
— Ach! prawda, biedny człowiek! gotów myśleć, żeśmy mu córeczkę  
wykradli.  
Zaprowadziła więc małą Włoszkę do krzesła, na którym złożone były  
przeznaczone  
dla niej szaty, i z dziecinną radością wręczała jej każdy przedmiot z  
osobna;  
poczem serdecznie uściskawszy szczęściem odurzoną dziewczynkę,  
oddala ją w

opiekę Elżbiecie, sama zaś skoczyła do okna, żeby widzieć przywitanie córki z ojcem. Było ono tem radośniejsze, że do ręki biednego Włocha Elżbieta wsunęła jeszcze dwa ruble, przysłane mu przez hrabiego Poraja. Kłaniał się biedny wędrowny artysta, kłaniał się kapeluszem i głową i rękami na sercu złożonemi. Wreszcie, nie znając wymowniejszego sposobu wynurzenia wdzięczności swej nad śpiew, pełnym głosem zaintonował duet z Normy; wtórowała mu córeczka. "Czem chata bogata, tem rada."

Na poduszkach od okna wsparta Różia, całą duszą wsłuchiwała się w śpiewny duet, a gdy tenże się skończył i śpiewacy skłoniwszy się jeszcze kilkakrotnie z wielkimi oznakami wdzięczności, w inną wreszcie zwrócili się ulicę, poskoczyła do fortepianu i od razu znaną sobie zresztą melodyę Belliniego śpiewać zaczęła. Oczy jej, jakby dwie pochodnie pały, a na policzkach karminowe występowały wypieki. Z niepokojem patrzył ojciec na rozgorączkowaną córkę i widmem stanęły mu przed oczami, złowrogie wyrazy zmarłej żony: La leme uscra le fourreau. Mimowolnie zaszły mu oczy Izami na wspomnienie przeszłości, połączonej z obawą o przyszłość; poszedł do okna, by przed córką utaić wzruszenie. Lecz ona tak była w śpiewie duszą i zmysłami zatopiona, tak o Bożym świecie nic już nie wiedziała, że piorun w dom uderzający, zaledwo byłby zdołał oderwać ją od fortepianu. Po

dość długiej chwili, zapanowawszy nad ogarniającym go smutkiem,  
zbliżył się do

córki pan Poraj i kładąc rękę na jej ramieniu:

— Idź włóż futerko i czapkę, Róziu; wezmę cię na sanki i  
pojedziemy daleko,  
daleko.

Cicho sobie zaś w duszy powtarzał:

— Obym ja tylko znaleźć mógł jak najwięcej dla niej rozrywek, w  
których muzyka

nie odgrywałaby żadnej roli!

W czasie blisko dwugodzinnego spaceru, wynajdywał zafrasowany  
ojciec

najróżnorodniejsze przedmioty do rozmowy, aby tylko czempredzej  
zatrzeć u córki

wrażenie epizodu z małą Włoszka. Ale Rózia z dziwną, może i  
bezwiedną

uporczywością, znajdowała zawsze sposób nawiązania obecnej  
pogadanki ze świeżem

jeszcze wspomnieniem spotkania z wędrującą śpiewaczką. Ojciec  
niby nie zważał na

to, zwolna ale wytrwale starając się umysł córki w inny zwrócić  
kierunek, ale,

gdy zbliżając się ku domowi, wyrwały się Rózi z nienacka, widocznie  
z pod samego

serca pochodzące słowa:

— Bądź co bądź, ona jest szczęśliwa!

Hrabia Poraj, już z pewnym odcieniem irytacji zapytał:

— Kto taki jest szczęśliwy?

— Moja mała Włoszka — odrzekła Rózia, zbyt we własnych myślach  
zatopiona, by

pomiarkował niezwykłą intonację w głosie ojca.

— A zkądże wnosisz Róziu, aby to, o chłodzie i głodzie, po ulicach, w  
obcym

kraju wędrujące biedactwo szczęśliwe być miało?

— Szczęśliwa, oj! szczęśliwa, skoro od rana do nocy śpiewa... nic  
innego nie  
robi, tylko śpiewa!  
Umilkł ojciec, o nic więcej nie pytając, lecz przez dzień cały przed  
oczami  
snuła mu się postać, to Różinej prababki, porzucającej dom  
rodzicielski, by  
zostać śpiewaczką, to jej babki, życiem przyplacającej spełnienie  
obowiązków w  
powołaniu wstrętnem jej naturze, to wreszcie matki, która instynktem  
miłości  
macierzyńskiej wiedziona, w pięcioletniej jedynaczce przeczuwała,  
odnajdywała,  
zgadywała wszystko, co dziś już było dla niego powodem ciężkiej  
troski, a mogło  
być w przyszłości przyczyną bezustannej walki, może i nieszczęścia.

\* \* \*

Na śliczną, pełną wdzięku i życia, siedmnastoletnią pannę wyrosła  
hrabianka Róża  
Porajówna. Ojciec nie zamierzał jej zbyt wcześnie w świat  
wprowadzać, dość  
wątego bowiem była zdrowia, a dobrze wiedział, że ładna,  
intelligentna, dobrze  
urodzona i posażna jedynaczka, zaraz na wstępie mnogimi  
konkurentami otoczoną  
będzie; wydać jej zaś za mąż nie chciał przed ukończonym  
dwudziestym rokiem  
życia, a jeśli się uda, to i później.  
Szczęściem, Różia bynajmniej do świata się nie rwała; pożycie z  
rozumnym,  
dobrym, a tak serdecznie córkę kochającym ojcem, najzupełniej jej  
dotąd do  
szczęścia wystarczało. Żadna przytem wiedzy, a artystyczną w niej  
zwłaszcza  
odnajdując stronę, Różia czytywała dużo. Z każdego przeczytanego, a  
potem z

ojcem przedyskutowanego dzieła, notatki lub streszczenia robiąc,  
kształciła się  
szybko; kształcenie to wszakże, uważała w głębi duszy, bardziej za  
środek ku  
udoskonaleniu

artystycznych zdolności, któremi ją Opatrzność hojnie była obdarzyła,  
niż za  
sposób wzbogacenia zasobów umysłowych. Wprawdzie, dorosła dziś  
już panna, nie  
zalewała się łzami, jak ongi pięcioletnia dziecina, że ją Bóg  
dziewczynką a nie  
słowikiem stworzył; ale natura owej dzieciny odzywała się i w  
dorosłej pannie.  
Jakżeż często dziś jeszcze cisnęły się jej łzy do oczu, gdy marzeniom  
wybujalej  
wyobraźni, nie dość dokładnie odpowiadał pędzel, lub gdy wspaniały  
kontraltowy  
jej głos, czy pieśń Schumanna, czy Lied Schuberta, czy hymn  
Pergolesa, nie tak  
oddawał, jak ona w umyśle, w duszy, w nerwach czuła, że oddane być  
powinny.  
Prócz wrodzonych, niepospolitych do malarstwa i do muzyki  
zdolności, miała Różia  
jeszcze i tę, prawdziwych artystów właściwość, że do doskonałości  
dążąc, o  
doskonałości marząc, nigdy z tego co robiła, zupełnie zadowoloną nie  
była,  
czując zawsze, że lepiej być powinno, że lepiej być mogło, że lepiej  
być musi.  
Umysłowo, moralnie i fizycznie, była to więc na wskrós, z krwi i  
kolei, jak to  
matka prze widywała, artystyczna organizacja, artystycznych  
nałogów dotąd  
pozbawiona, lecz w łonie niosąca płomień, aż nadto wystarczający na  
rozzarzenie,

w danym razie, nie jednej artystycznej namiętności. Za młoda jeszcze,  
aby  
dokładnie zgłębić i zanalizować mogła i to co czuje, i to o czym marzy  
i za czym  
tęskni, wiedziała tylko, wiedzona instynktem, że jest na świecie coś  
takiego w  
dziedzinie sztuki, czego pragnie gorąco, i że jej coś w życia do  
szczęścia  
brakować będzie, póki pragnienia tego nie zaspokoi. W długich,  
poufałych  
rozmowach z ojcem, którego zdanie we wszechrzeczach było dla  
córkę alfą i omegą  
ludzkiej wiedzy i ludzkiej mądrości, napomknąwszy kilkakrotnie — z  
pewną atoli,  
a nie zwykłą u niej wstrzemięźliwością — o tej wewnętrznej tęsknocie  
za jakimś  
ideałem piękna i doskonałości w sztuce, z niewymownym  
zadziwieniem nie znalazła  
u ojca owego sympatycznego, ciepłego echa, do którego od lat  
dziecinnych  
przyzwyczajona była, echa, odpowiadającego dotąd bez zawodu  
każdej jej myśli,  
każdemu umysłowemu pragnieniu.

Z początku tłómaczyła to sobie tem, że prawdopodobnie nie dość  
wyraźnie  
estetyczne wrażenia swe wyrazić umiejac, nie od razu też od ojca  
zrozumianą  
zostaia; ale, gdy kilkakrotnie powróciwszy do tego samego  
przedmiotu, z tą samą  
spotkała się obojętnością, zwolna przypuszczać zaczęła, że ojciec z  
umysłu może  
przybiera pozory obojętności, chcąc ją jakoby hamować na drodze,  
wiodącej ku

wyżynom sztuki. Przypuszczenie to nie zupełnie jeszcze  
sformułowane, było raczej  
instynktowym przeczuciem nerwowej, w estetyce zbyt rozmiłowanej  
wyobraźni, niż  
rzeczywistem przypuszczeniem złej woli u ojca. Z czasem wszakże,  
przezucie  
zamieniało się w rodzaj pewności, bardzo dla niej przykrej; zaczęła  
więc zwolna,  
niemal niepostrzeżenie, coraz więcej o umysłowych, a coraz mniej o  
artystycznych  
przedmiotach rozmawiać; ojciec zaś, widząc, że przezorność, z jaką  
od pewnego  
czasu delikatnie usuwał zbyt gorące o sztuce dySSERTacje, dopięła  
zamierzonego  
celu, radował się w głębi duszy odniesionem zwycięstwem, a tylko  
radował się  
przedwcześnie.  
Gorącym, wdzięcznym sercem ojca ubóstwiając, Różia ciężko bolała  
nad tworzącą  
się mimowolnie między nimi próżnią, próżnią, zwolna nabierającą w  
jej żywej  
wyobraźni, rozmiarów nieprzebytej przepaści; cierpiała nad tem  
niewymownie, że  
przedmiot, będący dla niej tak ważnym, stanowiący jakoby rdzeń jej  
całego  
jestestwa, najlepszemu temu, najmędrszemu ojcu, obojętnym być się  
zdawał. Trawić  
poczęła ją wewnątrz dziwna ta umysłowa troska; dziewczę w skutek  
tego  
posmutniało, zmizerniało i hr. Poraj musiał wreszcie dostrzedz, że  
dotąd  
nadzieją zwycięstwa łudził się tylko i że mu trzeba będzie innych  
szukać  
sposobów, by zamierzony cel osiągnąć.  
Od lat szkolnych w serdecznej będąc przyjaźni z doktorem C, wysoko  
ceniąc rozum  
jego oraz złote serce, postanowił do niego udać się o radę; wiedział, że  
mu nie

łatwo przyjdzie ująć w słowa to, co było troski jego powodem; lecz od  
czegoż  
jest się znakomitym lekarzem, jeśli nie od tego, aby zgadywać  
tajemnice ludzkiej  
natury? Zresztą doktor C. był

nie tylko przyjacielem Poraja, ale zarazem i chrzestnym ojcem jego  
córkę; kochał

ją, jakby był kochał własne dziecko, znał na wskroś misterny ten  
organizm i

bezwątpienia odgadnie to— myślał ojciec — czegooby zrozumieć od  
razu nie mógł.

Nazajutrz poszedł więc hr. Poraj do doktora; wypowiedział mu  
dokładnie,

szczegółowo, wszystko co mu na sercu ciążyło. Sam sposób, w  
którym doktor mu się

przysłuchiwał, pytania, jakie mu od czasu do czasu zadawał,  
przekonały Poraja,

że troska jego zrozumianą zostają, a przez to samo, że niebawem  
znajdzie się i

rada na jej usunięcie.

Po długiej pogadance obiecał doktor przyjść wieczorem do  
przyjaciela, by

nieznacznie stan Rózi, z psychologicznego stanowiska, zbadać. Nie  
tak łatwo

przyjść mu to wszakże miało; znając bowiem zamiłowanie doktora do  
muzyki,

dziewczyna czarem swego śpiewu srogo spokój jego naruszała.

Istotnie, śpiewała

tego wieczora jak Serafinowie w niebie chyba tylko śpiewać mogą.

Przysłuchiwał

się jej doktor z niewymowną, głęboką rozkoszą; lecz swoją drogą,  
lekarska

analiza pola nie zalegała. Nie spuszczał Rózi z oka, i nie uszło też  
uwagi jego,



jak z każdą nutą wzrastało wzruszenie śpiewającej, a ze wzruszeniem  
zwolna

wzrastała i gorączka, jak od czasu do czasu to na niego, to na ojca  
spoglądała,

i jak poznać można było wyraźnie, że cała śpiewem uniesiona, ani  
obecnych nie

widzi, ani o nich myśli, że jedynie słucha własnego śpiewu, słucha  
duszą całą,

coraz więcej dodając, mu żaru.

Nie mniej od doktora oczarowany, ale bardziej od niego

zaniepokojony, zbliżył

się hr. Poraj do fortepianu i kładąc rękę na ramieniu córki,

serdecznym rzekł

głosem:

— Spocznij chwilkę, Róziu, i nam daj odetchnąć, bo nas wzruszenie  
pokona.

Dziewczyna, widocznie na wpół tylko słyszająca wyrazy ojca,

uśmiechnęła się jakby

we śnie. Z ciemnego kąta, w którym siedział, doktor C. bezustannie

Rózię

śledził; żaden ruch jej, żadne wejrzenie, uwagi jego nie uszły.

Wreszcie

zbliżyła się sama do niego; zachowaną z dawnych lat dziecinną

pięszczętą, położyła mu rękę na łysinie, rękę jak rozpalony węgiel  
gorąca, i

głosem, drżącym jeszcze od wzruszenia zapytała:

— Czy mi kochany chrzestny ojciec nic miłego nie powie?

— Owszem, złota moja chrzestna córeczko; dwie rzeczy powiem.

— A zatem: primo ? — rzekła uśmiechając się Rózia.

— Primo, że śpiewasz tak, iż w człowieku dusza się raduje.

— Dobrze. A secundo?

— Secundo: że dziś już więcej śpiewać nie pozwalam, a natomiast  
proszę, abyś

grzecznie do łóżeczka się położyła, i w łóżeczku grzecznie zasnęła.

— Do łóżeczka grzecznie się położyć, i owszem; ale w łóżeczku grzecznie zasnąć... to co innego.

— A dlaczego: co innego?

— Bo ja po takim śpiewaniu, nigdy, do białego dnia zasnąć nie mogę. Choć pacierz zmówię, do łóżka się położę, świecę zdmuchnę, zasnąć nie zasnę, bo...  
bo...

— Bo co? — patrząc jej w oczy, zapytał doktor.

— Bo wszystko we mnie śpiewa, śpiewa noc całą, śpiewa do samego rana! — I to powiedziawszy, zarumieniona dziewczyna, złożyła pocałunek na łysinie doktora, ojca uściskała serdecznie, ręce jego całując, i szybkim krokiem z salonu wybiegła.

— No i cóż mówisz kochany doktorze? — zapytał Poraj po odejściu córki — cóż mądrość twoja i wiedza, i doświadczenie, a nadewszystko, co mówi zacne twoje serce. Widziałem ja, żeś nietylko jako lekarz, ale jako prawdziwy przyjaciel jedynaczkę moją badał.

Doktor, po chwili milczenia, poważnym odparł głosem:

— Z naszą Rózią trzeba będzie bardzo oględnie, bardzo ostrożnie postępować, afin  
que la lame n'use pas le fourreau.

Słowa te, w takiej chwili i to przez doktora C. wyrzeczone, przygnębiające zrobiły na Poraju wrażenie. Czyż zawsze i wszędzie ścigać go będzie smętne echo przeczuc zmarłej żony? Z ciężką troską na czole i ze łzami w oczach, w mil-

czeniu chodził po salonie. Po dłuższej chwili, upamiętawszy się nieco, usiadł przy lekarzu.

— Teraz, kochany doktorze, mów, radź, rozkazuj. Wszystko, do joty, ze ślepem wykonam posłuszeństwem. Przekonałem się dziś wieczór, że ty jeden moje obawy rozumiesz; każdy inny śmiałby się z nich, patrząc na świetną postać Rózi.

— Ale bo zapominasz, mój kochany, że połowa ludzkości nic nie widzi i nic nie rozumie, dlatego, że głupia; z drugiej połowy, większa część nie widzi i nie rozumie dlatego, że rozumieć i wiedzieć nie chce; a pozostająca dopiero, mała, maluteczka cząstka ludzkiego rodu widzi, wiedzieć chce, i co widzi, rozumie. Otóż powiem ci teraz, że z zawodu i konieczności, zmuszony zwykle będąc do szybkich decyzji, już ułożyłem cały plan kampanii w postępowaniu z naszą młodą artystką. Zaprzeczyć bowiem temu nie można, jest to, niestety! na wskroś artystyczna organizacja: jak iskra gorąca, a krucha jak szkło, jak z ogniem więc, jak ze szkłem obchodzić się z nią musimy. Czarę artystycznych rozkoszy, którą Rózia się upaja, z namiętnością, właściwą i takim naturom i jej młodym latom, zwolna tylko i bardzo ostrożnie od ust jej oddalać będziemy. Dwa środki zaradcze umyśliłem, podczas gdy śpiewu jej słuchałem; jednego ze środków tych użyjemy niezwłocznie; drugi odłożony będzie na później. Czas to dopiero pokaże, czy potrzebnym będzie.

Mówiłem ci już, o ile pamiętam, że jutro rano do Petersburga na jakie dwa

tygodnie, a może i więcej, jechać muszę; dlatego, pierwszą receptę dla Rózi,

udzielał ci od razu, i to ustnie. Musisz z nią dłuższy czas podróżować, i to nie odwlekając wyjazdu.

— Jużem i ja o tem myślał. Gdzież nam jechać radzisz, kochany doktorze? Może do Włoch?

— A broń Boże! we Włoszech wszystko śpiewa, nie jedni tylko ludzie; przyroda cała, jakby przesiąknięta jest melodyą. Dla naszej, do zbytku rozśpiewanej pacjentki, niebezpieczny byłby to pobyt. Otóż, mojem zdaniem, najrozsądniej będzie, jak się udacie naprzód do Szwajcaryi na jakich sześć

tygodni, czyli do końca jesieni. Zdrowe, nerwy wzmacniające górskie powietrze,

kraj śliczny, ciekawy, przez angielskich turystów do zbytku ucywilizowany, a co

dla nas najważniejsze od wszystkiego: muzyki w nim ani krzty, boć muzyka nazwać

chyba nie można owego przebrzydłego jodłowania, do złudzenia przypominającego

ostatnie jęki dorzynanego prosięcia.

— Doskonały pomysł! Rózia Szwajcaryi nie zna; będziemy więc bujać po górach jak

ptaki, a po jeziorach pływać jak kaczki, nie zatrzymując się nigdzie do tyła,

aby za fortepianem zatęsknić się dało.

— Widzę, żeś mnie wybornie zrozumiał — rzekł doktor dalej rzecz prowadząc. — Gdy

was pierwszy mroźnik ściśnie, zawieź córkę na zimę do Paryża; wprowadź ją i w

polskie i we francuzkie towarzystwo; baw ją; jednym słowem, staraj się zrobić z

Rózi kobietę światową, używszy do tego całej energii, jakiej zwykle rozsądni ojcowie dokładają, aby temu zapobiedz. Śliczna, rozumna, pełna wdzięku dziewczyna, nieomieszka głów zawracać; niechże je zawraca, a może da Bóg, że przy tej sposobności i jej główkę kto zawróci; po główce przyjdzie kolej i na serce, a wówczas śmiało już kroczyć będziemy po drodze zupełnego uzdrowienia.

— Czy na to liczysz doktorze, że u Rózi miłość zabije sztukę ?

— Zabić sztuki, może i nie zabije; szkodaby nawet była, gdyby ją zabić miała...

ale pozbawi ją głównej roli. W objęciach ukochanego, lub nad kołyską pierwszego

dziecka, nasza Rózia prawdopodobnie śpiewać będzie, ale bardziej już dla nich,

niż dla siebie. Sztuka wówczas na drugim stanie planie; pierwsze miejsce zajmie

miłość, ta wszechwładna, Wszystko dla siebie absorbująca jejmość.

— Obyś był prorokiem, mój doktorze drogi!

— Niech ci jedno jeszcze zrobię polecenie, a potem czas mi ztąd uciekać; już

dobrze po północy, a jutro o -ej zrana musze być w wagonie. Kiedyż będziesz

mógł puścić się w drogę?

— Najdalej za tydzień.

— Bardzo pięknie. Podróż po Szwajcaryi zajmie wam z jakie pięć do sześciu

tygodni; będziecie zatem, mniej więcej, z końcem listopada w Paryżu. Na

przeprowadzenie moich światowych względem Rózi planów, pozostawiam ci aż dwa

miesiące czasu., W pierwszych dniach lutego, napiszesz do mnie list obszerny,

szczegółowy, wyczerpujący, z dokładną i sumienną relacją o fizycznych, umysłowych, moralnych i światowych warunkach, w jakich w owym czasie twoja córka znajdować się będzie. Choćby list twój na prawdziwą wyrósł broszurę, nigdy nie będzie dla mnie za długim. Zgoda? — Czy zgoda? ach! mój doktorze kochany, na grochu chyba gołemi klęcząc kolanami, list ten do ciebie pisać będę. — Nie koniecznie tego żądam — śmiejąc się rzeki doktor — tem bardziej, że pokaleczone kolana twoje w niczemby się nie przyczyniły do osiągnięcia celu naszych starań i zabiegów. A teraz, bywaj mi zdrów kochany przyjacielu; fantazyjnie nie trać, rad moich słuchaj, a co najważniejsze, spuść się na Opatrzność; nikogo ona jeszcze nie zawiodła. I to powiedziawszy, doktor za kapelusz chwycił i spieszonym krokiem z pokoju wyszedł. — Gdyby więcej takich ludzi było na świecie — półgłosem mówił do siebie hrabia Poraj, po schodach do swego pokoju idąc, lepiejby i na duszy i na ciele ludzkości się działo.

\* \* \*

W dzień Matki Boskiej Gromnicznej, z kościoła powracając, doktor C. zastał na biurku, jak zwykle, cały stos listów. Odrazu zwróciła jego uwagę koperta z paryskim stemplem pocztowym, tak gruba, że niemal na pakiecik wyglądała. Doktor poznawszy pismo hrabiego Poraja, list, długi a wielce zajmujący zapowiadający

czytanie, na bok odłożył, resztę korespondencji przeglądając, poczem, przy kominie zasiadłszy, nie bez pewnego wzruszenia czytać zaczął, co następuje:

"Kochany doktorze i nieoszacowany przyjacielu!  
Rozkazy twoje, przepisy i napomnienia, sumiennie wszystkie spełniwszy, przychodzę stosownie do twego życzenia, złożyć obszerny i dokładny z czynności naszych raport, tak obszerny i dokładny, że w biurze pocztowem za ledwo uprosiłem, aby przesyłkę moją, jako list przyjąć zechcieli. Wyznaczonej mi przez ciebie marszruty, trzymałem się ściśle. Zacząłem więc od zwiedzenia Szwajcaryi, jak długa i szeroka. I tak: oglądaliśmy na Righi-Kulm wschód słońca, wraz z kilkunastoma angielskimi turystami obojej płci, otulonymi w najdziwniejsze kołdry i koce; winne uszanowanie złożyliśmy kapliczce Wilhelma Tella na malowniczym jeziorze Czterech Kantonów; z niekłamanym zachwytem podziwialiśmy wodospad w Schaffuzie, oraz w Giessbach i Staubach; śnieżne szczyty rumieniące się Jungfrau i poważnego Mont Blanc, nie uszły naszej uwagi; w Genewie, nie tylko oglądać poszliśmy sławetną fabrykę Patka, aleśmy jeszcze i nabyli dwa zegarki, które nas mają, wedle uprzejmej przepowiedni sklepowego subiekta, najniezawodniej przeżyć. W Bernie, rzuciliśmy kilka bochenków chleba na pastwę herbowym tego miasta niedźwiedzom; w pysznej dolinie Gruyere opiliśmy się mlekiem, jakiego świat

światem równego nie widział; w Zurychu zapragnąłem, skoro już  
mieliśmy każdego  
miasta oglądać specjalność, choćby jednego rzeczywistego poznać  
nihilistę, ale  
mi się to nie udało; rwałem się i do Fryburga, by raz jeszcze przed  
śmiercią  
cudowne tamtejsze usłyszeć organy, lecz pamiętny twych rozkazów,  
aby z wyjątkiem  
jodłowania, żadnej do Rózi nie dopuścić muzyki, wyperswadowałem  
jej, że organy  
są w reparacji, i że ich przed tygodniem nie będzie można słyszeć.  
Czy zaś do  
nich się rwała, tego ci chyba mówić nie potrzebuję. Popełnione  
kłamstwo,  
okupiłem w obec niebios osobistem poświęceniem; niema bowiem dla  
mnie, z  
wyjątkiem tylko chyba Rózinego głosu, miłszej muzyki, i  
wspanialszego od organów  
instrumentu.

Po sumiennej, sześciotygodniowej podróży, w ciągu której pacjentka  
twoja była  
jak skowronek swobodna, a świeża jak bengalska różyczka, udaliśmy  
się wreszcie  
do Paryża, gdzie nam -wspólny nasz przyjaciel, Feliks Zadora, śliczne  
na ulicy  
des Capucines wynajął był mieszkanie. Po raz pierwszy znajdować się  
w Paryżu, i  
to za lat młodych, a nie być Paryżem oczarowanym, nie potrafi chyba  
nikt, co ma  
choć trochę krwi w żyłach; a gdy w dodatku ma się jeszcze nieco  
estetycznej  
wyobraźni, nie można obojętnie spoglądać na tego olbrzyma,  
sypiącego jak z rogu  
obfitości, czego tylko dusza ludzka zapragnie, czy nią będzie dusza  
sawanta, w



problematach wiedzy zatopiona, czy też lżejsza duszyczka,  
światowych żadna  
rozkoszy, czy wiecznie wewnętrznym ogniem trawiona dusza artysty,  
czy dusza  
chrześciana, szukająca i znajdująca najwznioślejszy pokarm  
duchowny, czy  
wreszcie antychrześcijańska dusza, której Paryż aż nadto obfitego  
plonu  
dostarcza.

Domyślasz się więc łatwo, kochany doktorze, że do zbytku  
rozmiłowana we  
wszystkiem co do umysłu, do wyobraźni i do serca przemawia, twoja  
artystyczna  
chrzestna córka, nie okazała się tam obojętną. Zaczęliśmy od  
zwiedzania muzeów i  
galeryj obrazów, gdzie zachwyty Rózi nie miał nieraz granic.  
Obawiając się  
wszakże nadto silnych dla niej, czysto estetycznych wrażeń,  
umyśliłem z każdego  
pogodnego dnia skorzystać, żeby zwiedzać okolice Paryża, jak  
Fontainebleau,  
Chantilly, Saint-Cloud, Saint-Germain. Jednym słowem, bezustannie  
się starałem  
rozważną ręką trzymać szalę naszych codziennych zajęć i rozrywek,  
aby zawsze  
pewną zachować równowagę w artystycznych i umysłowych  
wrażeniach.  
Póki tylko się dało, wykręcałem się pod różnymi pozorami od  
uczęszczania na  
operę; przyszła wszakże chwila, w której konieczności tej poddać się  
musiałem, w  
obawie, aby Rózia się nie domyśliła, że cały żywot nasz od czterech  
blisko  
miesięcy, jest jedną, nieprzerwaną tkaniną, wspólnie przez nas  
uknutego na nią  
spisku. Na moje szczęście, dopiero kiedyś

po Nowym Roku, zjawić się miały na artystycznym firmamencie tegoroczne gwiazdy.

Śpiewali zatem drugorzędni artyści, zwani tu des doublures, co doskonałości żadnej córki mojej, bynajmniej nie zadawała. Aby w domu nie śpiewała i grała choćby godzinę lub dwie dziennie, temu oczywiście zapobiedz nie mogłem, ale dzięki mojej chytrności, dużo jej na to czasu nie pozostawało. Kolo połowy grudnia, zacząłem ją zwolna w świat wprowadzać. Recepcye w hotelu Lambert i nad wyraz miły salon państwa Zadorów, nastęczył mi sposobności przedstawienia Rózi i polskiemu i francuskiemu towarzystwu. Czy jest to illuzya mojej ojcowskiej miłości, czy też tak się ma w rzeczywistości, ale zdaje mi się, że moja jedynaczka ogólnie się podoba. Powierzę ci nawet w sekrecie, kochany doktorze, co o niej powiedziała księżna Gontaut, jedna z tutejszych salonowych wyroczni. Otóż rzekła do Zadory: *Donnex a cette ravissante Polonaise un brin de notre coqitetterie parisienne, et aucun de nos cerveaux masculins ne lui reststera.* Oby się źdźbło zalotności tej na korzyść jej szczęścia znalazło! Widzisz więc, kochany przyjacielu, że wszystko dość po naszej myśli, i według twego programu dotąd, składało się. Od dwóch tygodni, zaczyna się wszakże nieco psuć ta pogodna atmosfera. Muszę ci to opisać ia extenso, z góry przepraszając uniżenie, za niedyskretne rozmiary niniejszego rękopisu. — Obym tylko jak najwięcej takich rękopisów odbierał — pomyślał sobie doktor, na komin drzewa sporo dorzuciwszy. I zabrał się znów do listu przyjaciela, ze

wzrastającym czytając zajęciem.

"Wiadomem ci jest może, że kochana nasza księżna Gryfita spędza w tym roku zimę w Paryżu (mimoходом dodaję, że jest ona wielką twoją admiratorką). Od pierwszego zaraz spotkania dostrzegłem, że jej Rózia do gustu przypadła, a że sympatya okazała się wzajemną, nie zabroniłem córce w rannych godzinach, gdy nikogo obcego u księżnej jeszcze nie było, do niej jeździć. Towarzystwo kobiety inteligentnej,

dobrej, miłej, używającej nieposzlakowanej reputacyi, jakkolwiek nieco może nadto światowej — ale my się tego dla Rózi nie obawiamy — nie mogło jak tylko korzystnie wpłynąć na wykształcenie mojej córki. Wieczorami, gdyśmy w świecie się spotykali, co po parę razy na tydzień się zdarzało, miała księżna w zanadrzu zawsze coś pochlebnego a przytem i szczerego do powiedzenia mi o mojej jedynaczce. Przytem, przepada jak wiesz za muzyką, więc i śpiew naszej Rózi wielką sprawiał jej przyjemność, o czem Rózia wiedząc, istnemi obdarzała ją koncertami, tem wyżej cenionemi, że wyłącznie jej tylko samej poświęcane bywały. Przystąpmy teraz — pisał dalej hr. Poraj — do owej chwili, w której rzeczy psuć się zaczęły. Zaproszeni byliśmy dwa tygodnie temu na wieczór do hotelu Lambert; było na nim zaledwo pięćdziesiąt osób. Miano się umawiać o program koncertu na

rzecz polskich emigrantów. Jak zwykle bywa w takich okolicznościach, dyskusye były o tyle ożywione, o ile bezużyteczne, każdy bowiem zbijał podany przez bliźniego pomysł; w czasie rozpraw tych jedna ze starszych dam napomknęła, że skoro pani Viardot-Garcia przybyć obiecała, lepiej nieco się wstrzymać, a ona wszelkie rozpędzi trudności i wszystkich pogodzi. W tej chwili, jakby na zawołanie, otworzyły się podwoje i wielka artystka do salonu weszła. Nic bardziej do wyobraźni mojej nie przemawia, jak ruiny, gdzieś na szczycie skal zawieszane, lub odbijające się gdzieś w lazurowych falach jeziora; ale co do kobiecych ruin, tych stanowczo nie lubię. Panią Viardot znałem jakie lat temu trzydzieści; ładną nie była ona nigdy co prawda — daleko od tego — ale świeżość młodości, wraz z czarem niezrównanego śpiewu, zastępowały u niej piękność; dziś młodość pogrzebana od niepamiętnych czasów, a głos chyba także już do dalekiej należy przeszłości. Zrobiła mi więc w pierwszej chwili przykre wrażenie, przykre, ale przemijające, bo nie minęło pół godziny, a już byłem znów pod urokiem — nie śpiewu jej tym razem, ani jej młodości — ale pod urokiem

rozumnej, dowcipnej rozmowy, oraz niczem niezmienionej żywości wrażeń. Taką dozgonną umysłową i artystyczną młodość czuć i zachować mogą chyba tylko istoty,

estetycznym geniuszem uposażone. Przypomniałszy sobie w tej chwili, że marzeniem było Rózi, od lat dziecinnych, poznać kiedyś wielką tę artystkę, spojrzałem na około siebie; siedziała Rózia wsunięta w sam kącik kanapy, tuż obok księżnej Gryfity, wzrokiem literalnie panią Viardot pożerając. Tymczasem, salon coraz więcej się napełniał; przybyło jeszcze kilka muzykalnych powag; zwolna przechodziło towarzystwo do wielkiej sali. Tam młody jakiś artysta siadł do fortepianu; po nim przysła kolej na ładną Hiszpankę, która z wielkiem brio zaśpiewała parę bolerów. Z ogólnego korzystając zamieszania, zbliżyłem się do pani Viardot, przypominając się jej pamięci, oraz wspominając pobyt jej w Warszawie, gdzie za każdym koncertem szalony wywoływała zapal, zwłaszcza pewnym mazurkiem Chopina, śpiewanym po polsku. Artystka bardzo mile i wdzięcznie o Warszawie wspominała, i niebawem rozgadaliśmy się jak dwoje starych znajomych. Po chwili zbliżyła się do nas księżna Gryfita wraz z Rózią; tę ostatnią przedstawiłem pani Viardot, która jej rękę podawszy, mnie do ucha szepnęła:  
— Oh! la jolie apparition!  
Na co księżna Gryfita śmiejąc się dodała: — Si elle n'etait que jolie! mais je vous dis, chere madame, qu'elle chante comme un ange.  
— Cela s'appelle cumuler — rzekła na to pani Viardot, namawiając Rózię, aby co zaśpiewała.  
Złękło się biedactwo na samą myśl tę, i ja się przeraziłem; lecz księżna, która, jak wiesz, od zamiarów swych nie łatwo odstępkuje, zaczęła nalegać, aby Francuzom

przecież pokazać, że i u nas w Polsce śpiewać umieją i napomknęła o  
ślicznej

pieśni Schumanna: Mondnacht.

— C'est cela — rzekła pani Viardot, podchwyciwszy wyraz

Mondnacht. — Chantez

nous le Mondnacht; je vous l'accompagnerai. — I siadłszy do

fortepianu, zaczęła

od razu

ową cichą, misterną, światło księżycy przypominającą, eteryczną  
przygrywkę.

Przy artystce stała Rózia, blada jak ściana; dwa razy większe niż  
zwykle oczy we

mnie wlepiwszy, wyglądała jak ofiara, pod topór katowski idąca.

Zrobiło się to wszystko tak niespodziewanie, tak dziwnie prędko, że  
mi zabrakło

było czasu, aby Rózię od gwałtownego uratować wzruszenia; teraz już  
było za

późno. Uśmiechnąłem się więc tylko do niej serdecznie, chcąc jej  
dodać odwagi,

na której mnie samemu najzupełniej zbywało, i oparłem się o  
fortepian, bo

podemną nogi się uginały. Pani Viardot coś półgłosem szepnęła —  
prawdopodobnie

coś ośmielającego, bo Rózia z lekka się uśmiechnęła — poczem, z  
początku nieco

drżącym, lecz dźwięcznym, jak kryształ czystym głosem, śliczną  
pieśń Schumanna

śpiewać zaczęła. W sali cisza zapanowała jak makiem zasiał; jedynym  
odgłosem

było chyba gwałtowne bicie mego serca. Po pierwszym kuplecie, z  
właściwą

artystycznym organizmom elastycznością, już nie istniała dla Rózi  
trwoga;

zapomniała była o wszystkim; geniusz śpiewu już ją był schwycił,  
już ją na

złotych skrzydłach ku niebiosom wznosił. Gdy trzecia, ostatnia  
zwrotka się  
skończyła, pani Viardot z krzesła powstawszy, Rózię całem sercem  
uściskała, ze  
wzruszeniem rzekłszy: Mon enfant, Dieu vous a cree artiste! — Do  
mnie zaś  
zbliżywszy się, prosiła mnie, jak o prawdziwą łaskę, abym Rózi  
pozwolił choćby  
dwa razy w tygodniu u niej, bywać, "bo ona chce sama ukończyć, co  
do zupełnej  
doskonałości brakować jeszcze może."  
Gdy o pierwszej po północy wracaliśmy powozem do domu, Rózia,  
główkę na ramieniu  
mojem wsparłszy, milczała. Ale ja czułem przez skórę, że ona w  
siódmym jest  
niebie; czułem także, niestety, że ten jeden wieczór prawdopodobnie  
zniweczy do  
szczętu, przez ciebie tak mądrze obmyślony, a przezemnie tak  
starannie  
przeprowadzony plan, ku uratowaniu Rózi od grożącego jej  
niebezpieczeństwa.  
Powiadam ci i powtarzam raz jeszcze, kochany doktorze: czar śpiewu  
potężniejszy  
pono

będzie od naszych wspólnych, połączonych sił, a tu przybywa jeszcze  
po stronie  
Rózi a na naszą biedę, taka potęga, jak pani Viardot!  
Po wieczorze tym, noc całą oka zmrużyć nie mogłem, bijąc się z  
myślami, a do  
żadnej decyzji przyjść nie mogąc; odmówić Rózi takiego zaszczytu,  
takiej  
artystycznej rozkoszy jakimi są lekcye pani Viardot, byłoby  
niepodobieństwem;  
zezwoić, innem zagrażało niebezpieczeństwem. Byłem więc istotnie  
między miotem i

kowadłem. Po śniadaniu, przy którym wyglądała Różia, jak oprawny  
w złote ramy  
obraz szczęścia, postanowiłem udać się do księżnej Grafity po radę.  
Kobieta  
rozumna — pomyślałem — dla Rózi bardzo życzliwie usposobiona,  
może też wymyśli  
coś mądrego. Otóż, nietylko że nie wymyśliła zgoła nic, ale mnie  
jeszcze trochę  
wyśmiała, obiecując wszakże, że gdy sam nie będę mógł towarzyszyć  
córce do pani  
Viardot, to ona mnie chętnie zastąpi. Być zresztą może, że przyjazdem  
jedynaka  
do głębi duszy rozradowana, nie była w stanie dnia tego  
czegokolwiek bądź innego  
brać do serca, ani na poważną nastroić się nutę. Z mojej strony, nie  
chciałem ja  
robić mojej córce reputacyi jakiejś artystycznej Corinny. Pożegnałem  
więc  
księżnę i już byłem przy drzwiach, gdy żwawym krokiem syn jej  
wszedł do salonu.  
Powiadam ci doktorze, młodzieniec tak porywającej  
powierzchowości, z taką  
rasową, taką niezrównaną w całym obejściu dystynkcyą, że stanąłem  
jak wryty. On  
zaś zbliżywszy się do mnie, odezwał się, nie mniej od postaci  
wdzięcznym,  
głosem:  
— Może pan we mnie nie poznaje owego arcy-swawolnego  
Henryczka, co to dnia  
jednego, małą pańską córeczkę tak mądrze gdzieś dla zabawy ukrył,  
że jej sam  
potem odnaleźć nie mógł i dopiero tłumione jęki, wydobywające się z  
głębi  
jakiejś szafy, zdradziły ukrycie biednej Rózieczki. Śliczna dziecina ta,  
musi  
dziś być nie mniej ślicznym już podlotkiem.  
— Będziesz miał niebawem sposobność podziwiać tego podlotka —  
rzekła na to



śmiejąc się matka, mnie zaś do przedpokoju eskortując, zapytała półgłosem:

— Jak się panu mój Henryk podoba?

— Istny królewicz! — odrzekłem, i ucałowawszy ręce jej wróciłem do domu.

Od pamiętnego wieczoru w hotelu Lambert, minęło dwa tygodnie; lekcye u pani

Viardot postępują z wzrastającym zapalem, i to wzajemnym, bo, jeśli Różia

gorączkowo genialną artystki chwyta wiedzę, to artystka namiętnie kształci

pojętną uczennicę, w której formalnie się rozkochała. Księżna Gryfita wspomniała

jej raz we cztery oczy o moich obawach; odrzekła jej na to pani Viardot po

chwili namysłu, że obawy może i nie są bez pewnej podstawy, iskra bowiem,

tlejąca w łonie Rózi, mogłaby z nienacka w istny pożar się zamienić.

Teraz, jeśli chcesz całą prawdę wiedzieć, kochany doktorze, to ci powiem, że

pani Viardot nie sama jedna w Rózi się kocha; wszyscy tu za nią szaleją,

aczkolwiek nie odkryłem w niej dotąd owego źdźbła paryskiej "kokieteryi",

nieodzownego, zdaniem księżnej Gontaut, do zawracania męzkich głów. Jeśli mnie

miłość ojcowska nie łudzi, to się w niej kocha i nasz "królewicz."

Dalby Bóg

Wszechmogący, abym się nie mylił! Dalby Bóg, aby także w ślicznej urody

młodzieńcu zakochała się nawzajem i Różia, choćby tylko o połowę tyle, ile się

kocha w muzyce. Wyrwalibyśmy ją — i to w sposób odpowiadający najśmielszym

marzeniom ojcowskiego mego serca — z kwiecistej otchłani  
artystycznych  
namiętności; ale jak dotąd, nie ma się co łudzić. Widzę ja, a bardziej  
może  
jeszcze czuję, że choć Henryk Gryfita Rózi się podoba, choć z  
upodobaniem z nim  
godzinami rozmawia, jeszcze ją miłość złotem skrzydłem swem ani  
musnęła. Co się  
tyczy księżnej Gryfity, życzliwość jej dla Rózi nabiera z dnia na dzień  
wyraźniejszego odcienia macierzyńskich uczuć; aż miło patrzeć, czy  
to na matkę,  
czy na syna, gdy Rózia śpiewa, tak mają rozpromienione oblicze. —  
Mój ty drogi,  
kochany doktorze, niechby tylko jak najprędzej twoje ziściły się  
przepowiednie;  
niechby twoja chrzestna córka, a moja ubóstwiana jedynaczka, czem  
rychlej się  
zakochała; ale mnie się widzi, żeśmy od tego jeszcze daleko.

Wstyd mi doprawdy, gdy spoglądam na tę szesnastą stronnice niego  
listu, i to  
listu pisanego do człowieka tak zapracowanego, jak ty nim jesteś.  
Przebacz,  
daruj i przyjm serdeczne uściśnienie. Bóg z tobą, mój drogi.  
Poraj."  
Zaledwo minęło dni dziesięć, a "zapracowany" doktor C. odebrał  
powtórny, mało co  
od poprzedniego krótszy, list z Paryża; tyra razem wszakże nie od  
hrabiego  
Poraja, ale od księżnej Gryfity. Zasmuciła go, niemal przeraziła treść  
tego  
listu:  
"Szanowny Panie Doktorze!  
"Mówił mi nieraz wspólny nasz przyjaciel, hrabia Edward Poraj, że  
pan jego córką

z wielką zajmujesz się życzliwością. Otóż więc, powiem otwarcie, że  
sądząc po  
tem co mi serce nasuwa, wielki byłby czas, aby Porajowie opuścili  
Paryż. Rózia,  
przyjechawszy tu trzy miesiące temu, śpiewała już ślicznie; dzięki  
lekcyom pani  
Viardot, dzięki może także szalonemu, jakie ma w świecie  
powodzeniu, śpiewa jak  
najlepsze naszych czasów artystki, w niczem im nie ustępując. Ale  
dziś także,  
zrozumiałam po raz pierwszy obawy ojca Rózi. obawy, z których się  
śmiałam z  
początku pobytu ich w Paryżu, gdy mi powtarzał, że gorące  
zamiłowanie jego córki  
do muzyki, do sztuki w ogóle, zawiera w sobie zaród  
niebezpieczeństwa. Od kilku  
tygodni zaczęłam już zwolna przypuszczać, że troska jego nie była  
bez pewnej  
podstawy; od wczoraj zaś, nie tylko że jestem najmocniej o tem  
przekonana, ale w  
dodatku, taki mnie o Rózię ogarnął niepokój, że postanowiłam od razu  
wprost udać  
się do kochanego pana doktora, wiedząc, że jego rada będzie w oczach  
naszego  
przyjaciela skuteczna, wszechwładna. to w najkrótszem streszczeniu,  
co temi  
dniami zaszło.  
Chcąc arystokracji paryskiej wywdzięczyc się za okazaną jej od lat  
tylu  
życzliwość, pani Viardot umyśliła zrobić jej miłą niespodziankę, i  
takową z  
właściwym sobie artyzmem uskuteczniła. Sprosiwszy do siebie z jakie  
dwieście  
osób, la creme de la creme paryskiego towarzystwa — obdarzyła ich  
trzecim aktem  
"Don Juan'a", śpiewanym tak, jak go nie sły-

szalałam dotąd ani w Paryżu, ani w Wiedniu, ani we Włoszech, tak, jak  
go  
prawdopodobnie nie słyszał nikt od czasów pani Malibran, Rubiniego  
i Lablache'a.  
Wszystkie role powierzone były, z wyjątkiem panów Reszke, uczniom  
i uczennicom  
pani Viardot, należącym w części do towarzystwa. Zerliną — i to jaką  
Zerliną! —  
była nasza Różia Porajówna. W obawie, aby współdziału w  
przedstawieniu tem  
ojciec jej nie zakazał — a byłby zakazał święcie, i to słusznie —  
wyperswadowała  
pani Viardot, że mu nic mówić nie trzeba. Na recepcyę jeździła Różia  
z  
guwernantką Angielką, u której sobie zastrzegła zachowanie  
tajemnicy; ja, wtedy  
właśnie miałam lekki ból gardła i o niczem nie wiedziałam. Gdyśmy  
się u pani  
Viardot wszyscy zjechali, Różia zgrabnie się wysunęła, mnie zaś  
posadzili  
niebawem wraz z panem Porajem, w drugim rzędzie krzeseł; był on  
jakiś nie swój,  
jakby niewytłómaczonym wiedziony przeczuciem, szukał Rózi po  
całej sali, nie  
domyślając się wszakże bynajmniej, na którym miejscu ją niebawem  
obaczy. Gdy  
wreszcie ukazała się na scenie Zerliną — czyli Różia — ojciec jej tak  
gwałtownego doznał wzruszenia, że mnie w pierwszej chwili strach  
zdjął, aby z  
krzesła nie zleciał. Zbladł jak ściana, za rękę chwycił mnie nerwowo i  
oczy  
zamknął. Różia nie spojrzała w naszą stronę — może i spojrzeć nie  
śmiała;  
dopiero po kilkunastu minutach, gdy ojciec jej już nieco był z  
gwałtownego  
wstrząśnienia ochłonał, rzuciła ku nam trwożliwe wejrzenie wraz z  
błagalnym

uśmiechem. Taka śliczna była w kostiumie Zerliny, tak cudownie śpiewała, że zachwyty obecnych w sali słuchaczy, nie miał granic; i mnie niebawem zachwyty ten porwał. Jeden tylko biedny pan Poraj, siedział nieruchomy, jakby z niego dusza była uleciała. Napomknęłam mu delikatnie, żeby nie zwracał na siebie ogólnej uwagi, coby na Rózię złe światło rzucić mogło. Rady posłuchawszy, otrząsł się trochę i gdy przy szalonych oklaskach doborowej publiczności kurtyna zapadła, już był w stanie niemal przyzwoicie przyjmować, gradem spadające nań powinszowania. Mnie zaś poprosił po chwili, abym

córkę jego wyszukała. Z trudnością przedostawszy się za kulisy, Rózi tamie nie zastałam; zaniepokojona, wracałam już ku sali, gdy spotkawszy panią Viardot, o Zerlinę zapytałam: Elle se repose de ses triomphes, odrzekła wpuszczając mnie do swego pokoju. Ujrzawszy mnie, z taką gwałtownością rzuciła się Rózia w moje objęcia, że mnie o mało nie obaliła, rozgorączkowanym wołając głosem:  
— Widzi księżna, że ja się nie pomyliłam: jestem artystką i pozostanę artystką, choćbym o zebranych chlebie śpiewać miała!  
Nie było co dyskutować z dziewczyną, na wpół tylko przytomną. Rzekłam jej więc tylko, o ile mogłam najspokojniej:  
— Ojciec ciebie szuka, Róziu, pójdz ze mną.  
— A czy ojciec bardzo na mnie się gniewa? — zapytała oprzytomniając zwolna.

— Nie wiem, czy się gniewa — odrzekłam — ale jest niespokojny i  
pragnie cię  
widzieć jak najprędzej.  
Drżąca i wzruszona, poszła za mną; na progu pierwszego salonu,  
czekał na nas hr.  
Poraj. Rózia zbliżyła się do niego nieśmiało; on ją uściskał, jak gdyby  
nic  
nadzwyczajnego nie było zaszło, ale rzekł głosem stanowczym:  
— Zaraz jedziemy.  
I to powiedziawszy, nie dając córce wejść nawet do sali, w której  
świecna  
oczekiwała ją owacya, wziął ją pod rękę i do przedpokoju z nią  
wyszedł. Na pozór  
okrutne postępowanie ojca, było koniec końcem i rozsądne i  
zasłużone; ale bądź  
co bądź, biednego dziecka żal mi było serdecznie. Zbliżający się w tej  
chwili  
syn mój, odprowadził ich aż do samego powozu; wróciwszy mówił  
mi, że pan Poraj  
milczał jak głaz, a Rózia spazmatycznie szlochała.  
Nazajutrz rano, poszedł mój syn do Porajów dowiedzieć się, co się  
dzieje;  
powiedziano mu, że pan hrabia nie przyjmuje nikogo, bo panna  
hrabianka leży w  
gorączce, i że sprowadzili doktora.  
Oto moja relacya, szczerą i dokładną; jakie z niej wnioski kochany  
doktor  
wyciągnie, to już wyłącznie do niego na-

leży. Serdeczna przyjaźń, łącząca mnie z hr. Porajem od jakich lat  
trzydziestu,  
nie mniej serdeczna dla córki jego sympatya, wtłoczyły mi pióro do  
ręki, sądzę  
więc, że mi pan doktor za złe tego nie weźmie i że przyjąć zechce  
wyrazy, z  
głębi serca pochodzącego poważania. Idalia Gryfita."

List księżnej z największą przeczytawszy uwagą, doktor tym razem nie zawahał się ani chwili i tego samego jeszcze dnia następujący do Poraja wysłał telegram:

"Radzę i nalegam, abyś bez zwłoki do kraju powracał.  
Doktor C."

\* \* \*

Większą niż zwykle ilością wizyt u chorych umęczony, siedział doktor C. przy kominie, ciszy i chwilowego używając spokoju, z rozkoszą jedynie zapracowanym ludziom znaną, gdy znów odezwał się dzwonek i pomimo oporu służącego, szybkim krokiem wszedł do pokoju hrabia Poraj. Po serdecznem przywitaniu, oraz poleceniu doktora, aby czempredzej przyniesiono herbatę, zapytał tenże, powtórnie przyjaciela za rękę ściskając:

— No i cóż, mój drogi, czyż plan nasz rzeczywiście celu chybił?  
— Najzupełniej! — smutnym głosem odrzekł zapytany.  
— Kiedyżeś przyjechał?  
— Godzinę temu.  
— Z córką?  
— Ma się rozumieć, że z córką. Odebrawszy twój telegram, tylko tego czekałem, aby Rózię do tyła na nogi postawić, żeby ją mój zwolna, zatrzymując się wszędzie dla wypoczynku, do Warszawy przewieść. Oddać ją znów w twoje ręce, jedynem już było mojem pragnieniem, jedyną myślą moją.  
— Biedny Edwardzie! widzę z oczów twoich, żeś nie mało się nakłopotal, nie mało namartwił. Opowiedzże mi wszystko, co zaszło od owej pamiętnej a niefortunnej reprezentacyi "Don Juan'a" u pani Viardot. Z ostatniego twego listu, oraz z

listu księżnej Gryfity, jestem dokładnie z sytuacją obznajomiony.

— Prawdę powiedziawszy, kochany doktorze, nie wiele odtąd zaszło.

Jak ci

wiadomo, zaraz nazajutrz po wieczorze tym, Rózia silnej dostała gorączki, tak

silnej, że od czasu do czasu majaczyła, to rozmawiając o muzyce z panią Viardot,

to śpiewając ustępy z roli Zerliny. Posłałem po doktora Charcot.

Zbadawszy Rózię

starannie, oświadczył, że jak dotąd, nie widzi nic, prócz silnego wstrząśnienia

nerwów, i zapytał, czy są jakie moralne tego wstrząśnienia powody.

Opowiedziałem

mu reprezentację u pani Viardot i udział w niej, wzięty przez Rózię. Z

największą przysłuchiwał się mi uwagą, zadając od czasu do czasu pytania,

wymownie świadczące, z jaką psychologiczną znajomością, ludzkie przenika

organizmy. Po dość długiej ze mną rozmowie i przepisaniu

uspakajających środków,

rzekł odchodząc: "Obecnie nie widzę powodu, abyś pan zbyt często się niepokoił;

nie radziłbym wszakże nadal zezwalać na takie artystyczne

doświadczenia, łatwo

mogące zamienić to, co dzieć jeszcze jest. u pańskiej córki tylko

zamiłowaniem do

sztuki, w namiętność do niej, z namiętnościami zaś, to zawsze już sprawa

trudniejsza. O ile z pierwszego badania sądzić mogę, jest to

organizacja zdrowa,

ale delikatna, nerwowo-wrażliwa; z takimi zaś organizacjami, nie

można dość

ostrożnie działać, afin que la lanie n'use pas le fourreau."

I oto znów znalazłem się w obec przysłowia, tak złowrogo mnie prześladowającego od



lat niepamiętnych. Po kilku dniach uspokoiła się Różia. Pozostało tylko ogólne osłabienie i jakieś dziwne, jej charakterowi niezwykle, ponure milczenie, które mnie bardziej może od poprzedniej gorączki niepokoiło. Tego samego doznała wrażenia i księżna Gryfite, codziennie po parę godzin u mojej córki bawiąca. Gdy już doktor zezwolił, aby Różia łóżko opuściła, przyszedł niebawem i syn księżnej; taki zaniepokojony, taki, jednym słowem, szalenie zakochany, że już i Różia nawet, nie bez pewnego rozczulenia mu się przyglądała. — Oj! to! to! — przerwał doktor, ręce zacierając. — W nim ja to widzę naszą deskę zbawienia. Mów dalej, mój

drogi, aby nam czasem rozmowy nie przzerwali; a u mnie, jak wiesz, o to nie trudno.

— Po pierwszej przejażdżce w lasku Bulońskim, nie mniej odemnie uporczywem milczeniem Rózi uderzona, rzekła do mnie księżna Gryfita, że tam chyba jakiś artystyczny, w skrytości ducha knuje Różia spisek, i że może należałoby temu zapobiedz zawczasu. I my więc uknuliśmy na nią sprzysiężenie. Zacząłem od tego, że grzecznie, ale stanowczo, a zwłaszcza z pośpiechem wydalilem z domu guwernantkę Angielkę, nie mogąc jej darować, że przez Rózię namówić się dała do ukrycia przedemną przygotowującej się reprezentacyi u p. Viardot. Tę sprawę ułatwiwszy, kazałem starej naszej Elżbiecie, na którą zupełnie spuścić się mogę,

w największym przed Rózią sekrecie kufry nasze spakować, abyśmy z  
końcem  
tygodnia wyjechać mogli. W wigilią zaś dnia, w którym mieliśmy  
Paryż opuścić,  
oświadczyłem Rózi, że odebrałem z domu depeszę, wymagającą  
natychmiastowego  
naszego powrotu do kraju. W pierwszej chwili oniemiało biedactwo z  
osłupienia i  
oczy jej zapełniły się Izami.  
— Jakto, papo? czy ja nawet pożegnać się z nikim nie będę mogła? —  
drżącym  
zapytała głosem.  
— Nie, dziecko moje jedyne. Byłaś słaba; całkiem zdrową jeszcze nie  
jesteś.  
Doktor Charcot ani sobie dal wspomnieć o jakichbądź pożegnalnych  
wizytach.  
I z oczów jej poznałem, że mnie poprosi, abym jej choć do pani  
Viardot pojechać  
pozwolił. Nie chcąc jej zatem zbyt wielkiej robić przykrości,  
obiecałem, że do  
pani Viardot sam pojedę i zaproszę ją do nas dziś jeszcze na herbatę.  
Księżnę  
Gryfitę zaś wraz z jej synem o tem uprzedziłem, aby wieczór ten z  
nami spędzili,  
jak oka w głowie Rózi pilnując. Płonnemi wszakże okazały się nasze  
obawy: pani  
Viardot przybyła, ale tylko na chwilę, bo miała przed sobą muzykalny  
wieczór w  
ambasadzie angielskiej. Przytem, uwiadomiona przez księżnę o  
przerażających  
skutkach przedstawienia "Don Juan'a", a może sobie i to wyrzucając,  
rozmawiała o  
wszystkiem, tylko nie

o. śpiewie, gdy zaś nadeszła chwila pożegnania, serdecznie Rózię  
uściskała,

szeptnąwszy jej do ucha — ale tak, aby i mnie słowa jej doszły:  
— Soyez heureuse, chere enfant, et soyez benie. Chacun son metier: a  
moi celui  
d'artiste, a vous celui de princesse.  
I to mówiąc, znacząco spójrzała na Henryka Gryfitę. Podałem jej rękę  
i ze  
schodów sprowadziłem, z czego korzystając przeprosiła mnie jak  
najmocniej, za  
to, co zaszło, powtarzając kilkakrotnie, że jedynie na gorące naleganie  
Rózi nie  
wspomniała przedemną o urządzającym się u niej przedstawieniu.  
Dodała jeszcze,  
że jako artystka — ale i jako matka dzieci — radzi mi z serca, abym  
córce nie  
pozwalał dużo śpiewać, zwłaszcza w obec licznej publiczności.  
Poczem uśmiechając  
się dodała jeszcze: Ce beau Prince Cheri abondera dans votre sem et  
Ie flambeau  
de Famour, éteindra momentanément le flambeau de Fart. —  
Nazajutrz rano wpadł  
jeszcze na chwilkę doktor Charcot; puls Rózi znalazł znów  
przyspieszonym, ale  
odjazdu nie odwołał, owszem, powtarzał ciągle, że przede wszystkim  
trzeba nam  
Paryż opuścić, zmiana bowiem powietrza, miejsca i zajęć większe ma  
w takich  
wypadkach znaczenie od wszelkich leków. Nakazał tylko, aby  
wypocząć ze dwa dni w  
Brukselli. Trudno jakoś przychodziło poczciwej księżnie rozstać się z  
Rózią;  
przecież skończyło się na tem. Gdy przyszło nam wszakże na dworcu  
brukselskim i  
z synem się żegnać, szepnął tylko słówko do matki i wskoczył do  
naszego wagonu.  
Pojechał z nami aż do Kolonii; pełen najczulszych dla Rózi attencyj,  
wpatrywał  
się w nią jak w obraz święty, nie mniej odemnie bladością jej i

nieprzewyciężonym smutkiem przerażony. W Kolonii zatrzymałem się dwa dni, nie tyle może, aby Rózi nie męczyć, ale przez litość dla młodego Gryfity, którego istna na myśl bliskiego rozstania, rozpacz brała. Czy tego nie widziała, czy też widzieć nie chciała, dość, że Rózia obojętną była na wszystko; dopiero, gdyśmy już siedzieli w pociągu dążącym do Berlina i gdy nadeszła ostateczna chwila pożegnania, z przerażeniem dostrzegła nagle

skurczone, boleścią męzkie lica Gryfity. Obie mu wtedy podawszy ręce, zawołała:

— Ależ my przecież niedługo zobaczymy się w Warszawie! Niech tylko księżę pospieszy się z wyjazdem z Paryża. Proszę matkę wdzięcznie stokrotnie odemnie uścisnąć.

— Skoro mi pani pozwala za sobą pospieszyć — odrzekł na to, ręce Rózi całując — to mnie tam Warszawa niebawem ujrzy.

— Tem lepiej. Z upragnieniem oczekiwać będziemy.

— Z upragnieniem? Oby to była prawda! — ręce Rózi do ust namiętnie przyciskając, zawołał rozkochany młodzieniec.

— Ależ jest prawda — poważnym głosem odrzekła Rózia — i to mówiąc, pełnym naiwnego wdzięku ruchem, zrobiła mu krzyżyk na czole.

W chwili tej, silnem szarpnięciem konduktor odciągnął Gryfitę od pociągu, już w

ruch puszczonego. — Patrzała Rózia za młodym człowiekiem, póki go dojrzeć mogła;

gdy z oczu zniknął, wsunęła się w sam kącik wagonu i długo, cicho płakała.

— I tyś łez jej, żadnem, spodziewam się, nie płoszył pytaniem —  
rzekł doktor.

— Żadnem, ani wtedy, ani odtąd. Jeżeli Różia Henryka Gryfitę  
pokochała, to słów  
moich nie potrzeba na wzmocnienie jej uczucia; ale, prawdę  
powiedziawszy, nie  
mam ja przekonania, aby łzy jej, a często łzy roni, z tęsknoty za  
Henrykiem  
płynęły.

— Sądzisz, że płyną raczej z tęsknoty za śpiewem.

— Tak, za śpiewem, i co więcej, za artystyczną chwałą, której raz  
zakosztowawszy, zapomnieć o niej nie może. Albo ja się mylę... a  
dałby Bóg, abym  
się mylił... albo ona szalone w sobie tłumi marzenie zostania  
śpiewaczką, tak  
jak nią była jej prababka.

— Święty Boże! tegoby nam też tylko brakowało! — niemal z  
oburzeniem zawołał  
doktor. — Ale od czegoż jesteś ojcem, Edwardzie? na to przecież się  
nie  
zgodzisz.

— Ma się rozumieć, że się nie zgodzę; ale znasz Rózię,

wiesz jaka nieszczęsna, artystyczna krew w żyłach jej płynie; ona  
gotowa to  
życiem przyplącić.

— Tylko cię proszę na wszystko, mój drogi, nie bierzże w tragiczny  
sposób, i to  
a priori, tej fantazyi Rózi. Znajdzie się i na to rada.

— Znajdzie... albo i nie znajdzie. Widzisz, kochany doktorze, że ta  
nasza  
kilkomiesięczna, tak mądrze obmyślana podróż, nic dobrego z sobą  
nie przyniosła.

— Przyznaję, przyznaję. Tylko nie zapominaj, że obecnie bardzo  
potężny przybył  
nam sprzymierzeniec w osobie Imci pana Kupidyna.

— Ach! niech tylko zwycięży skrzydlaty ten bożek, a postawię mu posąg z kararyjskiego marmuru, na środku dziedzińca, wprost okien pokoju Rózi.

— Zawczasu go sobie więc obstaluj i to u Brodzkiego; amorki, to jego właśnie

specjalność. Ja zaś ręczę, że Kupidyn będzie górą. Tymczasem jutro, o godzinie

dziesiątej, ucałuję rączki mojej, nieco krnąbrnej, chrestnej córki.

W kilka dni po powrocie Porajów do kraju, przybył do Warszawy i książę Henryk.

Powitała go Różia serdeczniej ale bez owego, głębokie uczucie zdradzającego

wzruszenia. Ojciec coraz bardziej się martwił; doktor C, całą psychologiczną i

fizyologiczną wiedzę na pomoc powoławszy, do samego dna duszy Rózi zaglądał,

stan jej przy tem najstaranniej śledząc, i to śledząc nie bez pewnej trwogi.

Dziewczę na nic się nie skarżyło, nic ją nie bolało, ale trawiła ją zwolna

wewnętrzna gorączka, której nic przerwać nie mogło. Zawsze uprzejmie, mile, ale

bez śladu rumieńca przyjmowany młody Gryfita, godzinami przy Rózi przesiadywał,

to o podróży swej na Wschód opowiadając, to czytając zajmujące książki, to

przeróżne, przez nią żądane rysując wschodnie szkice; ale na tem wszystko się

kończyło. Zakochany młodzieniec czuł instynktowo, że między nimi wznosi się

ołtarz sztuki, że Różia na ołtarzu tym bezustannie płonące stawia pochodnie, z

własnej duszy ognia do nich dostarczając, i o uczuciach swych wspominać nie

śmiał.

Były wszakże dnie, chwile raczej, gdy mu się zdawało, że on jej  
przecież całkiem  
obojętnym nie jest, że Rózia od czasu do czasu czulej na niego się  
patrzy, że  
miękkim do niego przemawia głosem; ale były to tylko chwile, a on  
nie chwil, ale  
życia jej całego był żądnym.  
Matka jego, w tydzień po synie do Warszawy powróciwszy, po  
starannem zbadaniu  
uczuc jedynaka i stosunku jego do Rózi, postanowiła zwierzyć się ze  
wszystkiem  
doktorowi C. i światłej jego rady zasięgnąć.  
W milczeniu, z największą uwagą wysłuchał doktor opowiadania  
stroskanej matki;  
kilkanaście zadał pytań, świadczących, że gruntownie stan rzeczy  
zglebił, lecz  
rady nie udzielił, wymawiając sobie kilka dni do namysłu.  
— Otóż widzi księżna, trzebaby u Rózi "klin klinem wybić", ale jak tu  
do tego  
się zabrać? Taka to filigranowa, krucha istota, że mimowolnie strach  
człowieka  
bierze, aby mu się w rękę nie stłukła. Tylko silnem uderzeniem miota,  
"klin  
klinem" wybić można, a jakżeż tu na tyle zdobyć się odwagi, aby silny  
cios zadać  
tej alabastrowej figurce? Z drugiej strony, słabe, połowiczne środki,  
nie  
wydobędą Rózi ani z moralnej atonii, w którą od jakiegoś czasu  
zapadła, ani z  
lekkiej wprawdzie jeszcze, ale nie mniej trawiącej gorączki, ani z tej  
chorobliwej, namiętnej, nie całkiem dla mnie jeszcze wyjaśnionej  
tęsknoty.  
— Dla mnie, panie doktorze, tęsknota Rózi, jasna jest, jak dzień  
słoneczny. Raz  
zakosztowawszy upajającego nektaru artystycznych powodzeń,  
artystycznej chwały,

do której rwała się dusza jej, niemal od urodzenia... wszystko jej dziś się  
wydaje bladym, mdłym, obojętnym. Myślą, wyobraźnią, pamięcią,  
każdym tętnem  
nerwów, jest ona dziś jeszcze, nie hrabianką Różą Porajówną, ale  
Zerliną z  
przedstawienia pani Viardot. Więcej śmiem powiedzieć — ale niech  
to między nami  
zostanie, kochany doktorze, pan Poraj bowiem bynajmniej tego się nie  
domyśla —  
pomimo głębokiego, serdecznego przywiązania Rózi do ojca, gdyby  
jej sił  
fizycznych starczyło, gdyby

się chorą nie czuła, dziśby do Paryża cichaczem uciekła, w zamiarze  
pozostania  
śpiewaczką. Bynajmniej to nie przeszkadza, że raz na miejsce  
przybywszy, rady  
daćby sobie nie umiała, by cel życzeń swych osiągnąć — bo pani  
Viardot w  
niczemby jej nie dopomogła, za to słowem ręczyć mogę — i  
prawdopodobnie Różia  
powróciłaby do ojca, ale już tym razem powróciłaby... zupełnie  
złamana.  
— Zdanie księżnej podzielałam najzupełniej, podziwiając trzeźwość jej  
sądu.  
Jakkolwiek wierzę w głębokie przywiązanie Rózi do ojca, w tej chwili  
i w  
obecnym, tak skomplikowanym położeniu, potrzebaby mi wzbudzić u  
niej silniejsze,  
nie tyle sercowo, ile fizycznie wstrząsające uczucie. Miłości nam tu  
trzeba:  
gorącej, silnej, namiętnej miłości. Czyż ten piękny, miły, zacny, a w  
dodatku  
szalenie w niej zakochany syn księżnej, nie zdoła w Rózi uczucia  
takiego



wywołać?

Księżna namyśliwszy się parę minut, odrzekła:

— Mam przekonanie, że jej się Henryk podoba, że ma dla niego szczerą sympatyę i że zakochałaby się w nim, gdyby nie stała tu na przeszkodzie nieszczęsna namiętność jej do sztuki.

— Jest to zatem zdaniem księżnej walka na śmierć między sztuką a miłością. Od

dwudziestu pięciu lat mojej praktyki lekarskiej, po raz pierwszy zdarza mi się

mieć w ręku tego rodzaju problemat do rozwiązania; a rozwiązać go muszę, i to

sprawy nie zwlekając, bo albo Rózia, siłą woli jako tako do zdrowia powróci i

wówczas, jak to księżna sama przewiduje, przez palce nam się wyśliznie, na jej

własną i naszą biedę największą, albo nam zwolna, niepostrzeżenie w oczach

zgaśnie.

— Co za straszna alternatywa! — zawołała księżna, ocierając gęsto po twarzy

spływające łzy. — Mój biedny, mój jedyny Henryk! onby ciosu tego nie przeżył!

— A Poraj ? — przerwał doktor — jego chybaby śmierć córki na miejscu zabiła,

tak, jak go o włos nie zabiła strata ukochanej żony.

Ciężkie nastąpiło milczenie. Księżna cicho płakała, bardziej może nad możliwym

nieszczęściem jedynaka, niż nad

dziwnym stanem Rózi; doktor zamyślony i mocno zafrasowany po pokoju chodził. Po

kilku minutach milczenia usiadł znów przy księżnie i rzekł do niej, głosem

głęboko wzruszonym, lecz zarazem i stanowczym:

— Otóż, księżno moja łaskawa, jutro przed południem będę u Rózi;  
raz jeszcze  
zbadam dokładnie stan jej fizyczny, i o ile mi się to uda, stan jej  
moralny, i  
jeśli po zbadaniu tem uznam, że chwycić mi się wypada środków  
ostatecznych,  
wahać się nie będę ani chwili. W zamiary moje, ani Poraja, ani  
księżnej nawet, a  
mniej od wszystkich syna jej, wtajemniczać obecnie nie mogę.  
Upraszam jedynie o  
zupełną, bezwzględną, ślepią uległość. Czy mogę na nią liczyć ze  
strony księżnej  
i księcia?

— Najzupełniej, kochany doktorze, choćby nas to nie wiem jak drogo  
kosztować  
miało. Ręczę zatem, i za siebie i za mego Henryka.

— Wierzę księżnie, na dane spuszcza się słowo, za okazane  
zaufanie dziękując.

Jutro, albo osobiście, albo listownie donieść nie omieszkać jak rzeczy  
stoją, i

o ile będę mógł, do tajemnicy mojej księżnę przypuszczę. Proszę  
zatem z domu nie

wychodzić, co najmniej do godziny czwartej po południu; lepiej może  
będzie

księcia Henryka o niczem nie uwiadamiać; miłość wielką jest potęgą,  
w mojej grze

atutem ona nawet będzie, ale u rozkochanego młodzieńca,  
niebezpiecznym byłaby w

tej chwili żywiołem. Przedwczesnym wybuchem, czy to żalu, czy  
radości, mógłby

nam książkę Henryk cały plan pokrzyżować, może i zniweczyć.

Z głębokim wzruszeniem i nie mniej głęboką wdzięcznością zegnała  
księżna

zaczyna doktora, obiecując, że przybycia jego nazajutrz jak zbawienia  
oczekiwać

będzie, oraz Boga prosić gorąco, aby wszystko szczęśliwie się udało.

— Tak — z przejęciem rzekł doktor, księżnę do drzwi odprowadzając

— niech

księżna się pomodli, boć koniec końcem, wszystko jest w rękach Opatrzności.

Na staroświeckim, lepsze czasy pamiętającym zegarze, wiszącym nad biórkim księżnej Gryfity, bila godzina pierwsza z południa. Siedziała przy kominie, w ręku trzymając robotę, która o jej pilności coś źle dnia tego świadczyła. Syn po pokoju chodził nerwowym krokiem, na matkę rzucając od czasu zaniepokojone wejrzenie. Miał on do matki nieograniczone zaufanie; ona zaś wiedziała, że na syna zawsze i we wszystkim liczyć może; nic nigdy przed nim nie tiała; to też sam cień ów tajemnicy, kamieniem od samego rana nad nimi ciążył. Chciała koniecznie matka gdzieś syna wyprawić, mnóstwo wynajdując po temu powodów; lecz zabierała się do tego niezgrabnie, nerwowo, jak osoba niepokojem przygnębiona i pragnąca być samej sobie pozostawiona, co oczywiście tylko w trójnasób wzmagало już i tak ciężką młodego człowieka troskę. Zbyt naprężona struna lada chwilę pęknąć musiała.

— Miała mama dziś jakie wiadomości od Porajów? — zapytał wreszcie książę Henryk, starając się drżący głos w karbach utrzymać.

— Żadnych dotąd nie miałam. Kolo godziny czwartej pojedę do nich; albo może i piechotą pójdę, bo jakoś ładnie na świecie, zdaje mi się.

— Otóż źle mamie tym razem się zdaje, bo śnieg grubemi pada płatami.

— Ach! to pewno dlatego tak mi dziś nie sporo idzie robota — odrzekła matka,

siląc się na uśmiech w sprzeczności będący z tem, co w sercu jej się działo.

— Może dlatego... ale może i dla czego innego — smutnym głosem szepnął syn. W chwili tej wszedł kamerdyner i księżnie list podał. Tak drżącą wzięła go ręką, że koperty żadną miarą rozerwać nie zdołała. Syn po list sięgnął, dostrzegłszy, że matka z oddaniem mu go się waha.

— Niechże się mama nie obawia; cudzych listów, a cóż dopiero maminych, nie czytam nigdy.

I to rzekłszy, kopertę przeciął, list wyjąwszy, matce go podał i podszedł do okna, co było szczytem dyskrecyi z jego

strony, lecz zarazem i poświęcenia szczytem; poznał był bowiem na kopercie pismo doktora C. i teraz wątpić już nie mógł, że list zawiera wiadomości o Rózi.

Odczuwając we własnem sercu każdy odcień udręczenia, które trapiło jej syna,

zbliżyła się księżna do niego i przeczytany przez siebie. list doktora mu

podała; obawiała się bowiem, że jak mu nic nie powie, to gotów pomyśleć, że

Rózia dogorywa.

List doktora chciwem okiem przez młodego człowieka pożarty, zaledwo kilka słów

zawierał:

"Niech księżna z domu się nie oddala i zatrzyma syna przy sobie.

Przed wieczorem

przyjdę wszystko wytłómaczyć. Mam wszelką w Bogu nadzieję, że mi szczęśliwie się

powiedzie. Powolny sługa Doktor C."

Księżna milczała; syn o nic nie pytał; milczenie to trwało dość długo,  
lecz

wiecznie trwać nie mogło.

— Słuchaj Henryku — rzekła matka, na dawne miejsce wracając, na  
drżących bowiem

nogach utrzymać się nie mogła. — Wiesz, że ciebie kochani nad  
wszystko na tej

ziemi; wiesz, że każde najmniejsze twoje cierpienie jest dla runie  
krwawym w

sercu kolcem.

— Wiem, matko najdroższa — odrzekł syn, zsuwając się na kolana, w  
dłoniach

matczynej bladą twarz ukrywszy.

— Skoro o tem wiesz, skoro matce wierzysz i ufasz jej, mój ty  
jedynaku, to

ufajże i wierz do końca, o nic nie pytając, bo ci nic powiedzieć nie  
mogę, sama

zresztą nie wiele i wiedząc. Zdrowie Rózi, cała przyszłość jej, a przez  
to samo

i twoja przyszłość, spoczywają obecnie w rękach doktora C, zatem w  
rozumnych,

doświadczonych rękach zdolnego lekarza i szczerego przyjaciela.

Spuśćmy się więc

na niego i czekajmy, o ile być może, cierpliwie.

— To będzie najtrudniej, mamó.

— Tak jest, Henryczku, najtrudniej; ale darmo, innej rady na to  
niema. Do

wieczora czekać musimy.

Czem to kilkugodzinne wyczekiwanie być miało, odgadł doktor C. po  
sposobie, w

którym go i matka i syn, na odgłos

dzwonka w przedpokoju przywitali; aż się przeraził widokiem ich  
wzburzonych

twarzy.

— Ależ uspokójcie się, moi państwo łaskawi. Dotąd nie ma nic złego,  
i da Bóg  
wszechmocny, będzie wkrótce wszystko i całkiem dobrze; tylko  
słuchać mnie trzeba  
i nadal z nieograniczonym zaufaniem.

— Wszystko zrobimy, co kochany doktor nakaze — odrzekł młody  
Gryfita, dla  
lekarza krzesło do komina przysuwając — tylko na Boga prosimy,  
zaklinamy o  
wiadomości.

— Niech pan doktor nie wnosi, z tego co syn mój mówi — rzekła  
księżna — abym mu  
cokolwiekbądź zwierzyła. On nic nie wie.

— Otóż — zaczął doktor, zwracając się do księżnej — nie miałem ja  
zamiaru, tego  
zakochanego młodzieńca do naszego spisku przypuścić; widzę  
wszakże, że już bez  
tego chyba się nie obejdzie. Ostrzedz wszakże księcia winieniem  
zawczasu, że w  
całej tej sprawie, w której może o życie Rózi chodzi, rozwaga i spokój  
są  
warunkiem sine qua non powodzenia, i że jeśli z państwa obojga nie  
mam mieć  
narzędzi ślepego i cichego posłuszeństwa, to zamiar cały staje się  
niemożliwym,  
i ja od wszystkiego ręce umygam. Proszę słów moich z wielką  
słuchać uwagą, o ile  
być może, bez przerywania... każda bowiem chwila czasu mego jest  
obrachowana i  
za godzinę muszę być na konsultacyi na drugim końcu Warszawy, a  
wiadomą jest  
rzeczą, że koledzy in sapientia czekać nie lubią. Bawiłem więc dziś u  
Rózi  
przeszło godzinę; gruntownie stan jej zbadłem, jako lekarz,  
psycholog i  
przyjaciel. Zbadanie to do następującego doprowadziło mnie  
przeświadczenia.

Sztukę kocha Różia namiętnie, kocha od samej kolebki, do grobowej deski kochać ją będzie; na to rady niema i nikt temu nie przeszkodzi. Ale przy tem najmocniejsze mam przekonanie, że i księcia Henryka kocha więcej, niż to sama wie, a zwłaszcza więcej, niż to w obec siebie, a cóż dopiero w obec drugich, przyznać chce.

Na te słowa doktora, młody Gryfita zbladł jak ściana, zasłaniając twarz obiema rękami. Z serdecznem wzruszeniem spoglądali na niego i matka i lekarz.

— Stanowcza nadeszła obecnie chwila — ciągnął dalej doktor — walną bitwę stoczyć nam trzeba między sztuką a miłością, i da Bóg, po stronie miłości wygramy. Dziś, pierwszą rozpocząłem utarczkę. Niech państwo dobrze uważają.

Polecenie całkiem było zbyteczne. Doktor C. prawdopodobnie w ciągu życia całego, tak wsłuchanego nie spotkał był audytoryum. Mówił więc dalej: — Od dziś dnia, księżę Henryk zamknie się w swoim pokoju na cztery klucze. Prócz matki, nikogo widywać nie będzie i ludzkim oczom się nie pokaże. Służba będzie miała nakazaniem zgłaszającym się wizytom oświadczyć, że księżę słaby, i z rozkazu doktora, nie przyjmuje nikogo.

— Jakto, doktorze, więc i do Porajów nie będę mógł chodzić? — niemal z przerażeniem zapytał młodzieniec.

— Do Porajów mniej, niż gdziekolwiekbądź — stanowczym głosem odrzekł lekarz.

— Czy i mnie nie będzie wolno tam zaglądać? — nieśmiało zapytała księżna.

— Owszem, księżna będzie miała u Porajów nawet ważną do odegrania rolę, która dziś jeszcze się zacznie. Pytała się mnie przed godziną Rózia o państwa; odpowiedziałem, że księżna prawdopodobnie wpadnie do niej na chwilkę, ale tylko na chwilkę, bo syn jej jest chory. — Czy ciężko chory? — zapytała wzruszona. — Dotąd nie ciężko — odrzekłem głosem poważnym — niewiadomo wszakże, co z gorączki tej się wywiąże. — Wszak kochany doktor co dzień tam bywać będzie? — pytała dalej z wzrastającym w głosie drżeniem. — Oczywiście, że będę. — A mnie doktor potem zawsze prawdę powie? całą prawdę? Czy tak? — Nie wiem — odrzekłem, udając mocno zafasowanego — może i powiem. Wówczas zawołała: — O! niech mi kochany, drogi chrzestny ojciec, męki tej nie zadaje, żebym już i jego słowom wierzyć nie

mogła! I to mówiąc, rzewnie płakać zaczęła, z czego byłem, między nami powiedziawszy, serdecznie zadowolony. Śnać zaraźliwe były łyzy Rózi, bo i księżna i syn jej, płakali jak bobry. Poczciwy doktor, dla dodania i im i sobie fantazyi, nos utarł z wielkim hałasem, poczem na zegarek spojrzawszy, z przerażeniem zawołał: — Za dziesięć minut muszę być w powozie. Otóż więc ostatnie moje na dziś polecenia. Księżna za chwilkę pójdzie do Rózi; o synu mówić będzie mało, jakby tając z umysłu wewnętrzny o niego niepokój; jednym słowem, księżna będzie



zamyślona, roztargniona, widocznie zafrasowana, do żadnych  
gwałtownych wszakże  
nie dopuszczając wynurzeń; te bowiem zostawiamy na później; będą  
one niebawem  
jedną z najsilniejszych naszych broni. Co się tyczy kochanego księcia,  
raz to  
jeszcze powtarzam stanowczo, w żadnym razie nie wolno mu z domu  
wychodzić.  
To powiedziawszy, doktor zerwał się z miejsca, kapelusza szukając.  
— A hrabia Poraj — zapytała go jeszcze księżna — czy wie co o tem  
wszystkiem ?  
— Nic nie wie i obecnie nic jeszcze wiedzieć nie powinien; dlatego i  
jego księżę  
przyjąć nie może, gdyby do państwa przyszedł, czego zrobić nie  
omieszka,  
dowiedziawszy się od córki, że księżę jest chory. Zamiarem moim  
jest, lada dzień  
do ostatecznego doprowadzić przesilenia; będą płacze, będą spazmy,  
może nawet  
nastąpić zemdlenie. Wobec takiego stanu córki, nigdyby Poraj nie  
dotrwał do  
końca; gdybyśmy się przed nim zwierzyli, odkryłby Rózi nasz spisek  
od razu, i  
wszystkoby przepadło. Teraz uciekam, prosząc raz jeszcze, abyście  
państwo oboje  
ściśle trzymali się moich przepisów, Jutro, albo sam tu wpadnę, albo  
słódko  
napiszę, co nam dalej robić wypada.  
I to powiedziawszy, z umysłu pożegnanie skracając, doktor szybkim  
krokiem z  
salonu wyszedł.

Koło południa następnego dnia, księżna Gryfita króciutki list od  
doktora C.  
odebrała. Z jakim go matka i syn odczytywali wzruszeniem, tego już  
chyba i

mówić nie potrzeba.

"Łaskawa księżno!

Dotąd wszystko idzie po mojej myśli — pisał doktor — i mam

wszelką w Bogu

nadzieję, że ostatecznie zwycięstwo po naszej będzie stronie. Księżna niech dziś

wpadnie do Rózi, ale na chwilę tylko, krótkość wizyty zdrowiem syna tłómacząc.

Nie dawać żadnych szczegółów o stanie chorego, szerokie zostawiając pole

domysłom i udręczeniu, ale nie taić głębokiego zaniepokojenia.

Uwięzienie

księcia Henryka niech zawsze będzie najściślej; skończy się ono niebawem.

Jutro rano sam będę u państwa. — Do nóżek się ściele.

Doktor C."

Nie przyszedł wszakże doktor nazajutrz; na karcie wizytowej napisał tylko, aby

dnia tego księżna całkiem do Porajów nie przychodziła, że zaś on przed wieczorem

wpadnie na chwilę. Coraz sroższy ogarniał księżną niepokój, zwłaszcza, gdy

patrzała na rozpacz syna; na wpół tylko przytomny chodził biedny chłopiec po

pokoju, od czasu do czasu rozdzierającym wołając głosem:

— Gotów ją zabić tą próbą!

Tym razem doktor dotrzymał słowa i o dziewiątej wieczorem przybył; aż mu się

serce ścisnęło na widok spustoszenia, udręczeniem u matki i syna wywołanego.

Zaraz też z progu zawołał:

— Wszystko. dobrze! wszystko dobrze! Tylko mi sił i odwagi proszę nie tracić,

boście, kochani państwo, wszystko popsuć gotowi. Tak jestem obarczony pracą, że

nawet siadać nie będę. Proszę mnie wysłuchać uważnie, aby czasem jakie fatalne

nie zaszło nieporozumienie. Dziś rano dałem Rózi do zrozumienia,  
choć nie  
całkiem wyraźnie, że ksiązę Henryk się strzelał.  
— Jezus! Marya! — przerwała księżna.

— Że jest lekko ranny — ciągnął dalej doktor. — Jutro, najdalej  
pojutrze, powiem  
jej, z zastrzeżeniem, że była bezwiednie powodem pojedynku.  
Ciche łkanie wyrwało się z piersi młodego Gryfity. Szczerą a głęboką  
boleścią  
jego za serce ujęty, doktor serdecznym przemówił doń głosem:  
— Nie martw się, Henryku, Opatrzność nad nami czuwa; wszystko  
szczęśliwie się  
skończy. Jutro, niech księżna wraz z synem przyjdzie do Porajów koło  
godziny  
jedenastej przed południem. Ksiązę musi mieć rękę na temblaku. W  
halli będziecie  
państwo na mnie czekać; ja zaś osądzę, czy nadeszła chwila przecięcia  
gordyjskiego węzła.  
— Ale jakżeż kochany doktor Rózi wytłómaczyć potrafił, że jej osoba  
jest powodem  
tego pojedynku? — zapytał młody Gryfita. — Nikt się tu nie stawił  
jako  
współzawodnik o jej rękę; a jeszcze mniej jest prawdopodobnem, aby  
ktokolwiek w  
Warszawie odważył się być coś takiego powiedzieć, coby sławie jej  
uragać mogło.  
— Aha! tu was czekałem, kochani państwo, bo tu właśnie, w  
pokonaniu tej to  
trudności, świeci cały blask mego geniuszu! — odparł śmiejąc się  
doktor. — Wśród  
bezsennych nocy... cała sprawa ta bowiem, tak mi w mózg i w serce  
się wryła, że  
już i spać mi nie daje... rzecz całą ukartowałem. W dwóch słowach  
wytłómaczę, bo

mi bardzo spieszo do Zadorów, gdzie dziecko na szkarlatynę  
zapadło. Otóż  
jutro... nota bene, jeśli chwilę uznam za stosowną... postaram się o to,  
aby  
mnie Rózia gwałtownie znagliła do wypowiedzenia jej całej prawdy;  
wówczas powiem  
jej, z największą niby ostrożnością, że jakiś młody człowiek z  
towarzystwa,  
którego mi nazwać nie wolno (chwała Bogu, że nie wolno), w  
obecności księcia  
Henryka i kilku jeszcze osób, żartować zaczął, że na artystkę  
stworzona  
hrabianka Róża Porajówna, o tem tylko marzy, aby z domu ująć  
cichaczem i dostać  
się na scenę, czy to w Paryżu, czy w Londynie, dość, że gdzieś daleko  
od kraju.  
Ze wówczas księżę Henryk żywo za nią się ujął, całej bajce

tej przecząc, na co mu ów młody człowiek odrzekł: "Jeśli panna  
Porajówna nie  
wybiera się w świat artystyczny, dlaczegóż za księcia nie idzie?" Ztąd  
do  
ostrych przyszło słów, od słów do wyzwania, a od wyzwania do  
pojedyńku, w którym  
nasz szlachetny rycerz, broniąc czci ukochanej, odniósł ranę w rękę.  
Jeśli  
straszny dramat ten nie wywoła oczekiwanego przesilenia, oraz  
zupełnego  
zwycięstwa miłości nad sztuką, to już chyba nic nie poradzi, i Rózia...  
zostanie  
śpiewaczką.  
— Ale jakżeż sobie w tem wszystkim kochany doktor z ojcem Rózi  
poradził? —  
zapytała księżna.  
— W zupełnej nieświadomości naszego spisku pozostawić go dłużej  
nie mogłem;

powiedziałem mu więc tyle, ile powiedzieć musiałem, żeby nam sprawy nie popsuł.  
Szczęściem, Poraj ma do mnie zaufanie bez granic. Poddał się zatem moim warunkom, z których główny na tem polega, aby przed Rózią udawał, że jest w zupełnej o wszystkim niewiadomości. Ją zaś, do zachowania tajemnicy wobec ojca zobowiązałem groźbą, że jak przed nim się zdradzi, to jej już niczego nie powiem i żadnych o księciu nie przyniosę wiadomości. Widzicie więc państwo, że cała ta ciężka odpowiedzialność w moich rękach spoczywa. Badawcze spojrzenie księżnej dostrzegło, że pomimo wyrazów pełnych otuchy, którymi doktor chciał im dodać odwagi, sam mocno był on zaniepokojony. Byłaby rada zapytać, czy się czasem nie obawia, aby nadmiar wzruszenia nie spowodował jakiej ostatecznej katastrofy; ale zapytania tego wobec syna, zadać nie śmiała; syn zaś, tą samą dręczony śmiertelną trwogą, obawy swej nie miał odwagi w słowa wcielić. Rozstano się więc pod wrażeniem, że zbliża się chwila nieuniknionego, może fatalnego w skutkach swych, przesilenia.

\* \* \*

W marmurowej halli wspaniałego pałacu hrabiego Poraja, trzy osoby w nieopisanych mękach oczekiwały od godziny ukazania się doktora C, co chwilę w stronę pokojów Rózi rzu-

cając spojrzenia pełne trwogi. Jak istne z kamienia wykute posągi,  
opodal od  
siebie siedzieli Poraj i księżna Gryfita. Henryk z płomieniem w  
oczach i ustami  
drżącymi jak w febrze, z ręką na temblaku, to chodził po halli, to  
siadał, to  
stawał w oknie, patrząc na świat, którego nie widział. Godzina ta  
zdawała się im  
nie kończąca się wiecznością. Bez śladu litości dla obecnych, zegar  
wybił  
dwunastą.

— Jakto? dwunasta dopiero? — szepnął miody Gryfita. — To chyba  
być nie może.

Jemu się zdawało, że już tu dzień cały w rozpaczy przeczekał, że już  
noc  
niebawem nadejdzie.

— Jakież będzie dekret doktora? — każdy z nich z drzeniem w duszy  
siebie pytał.

Pięć minut po dwunastej. Odemknęły się zlekka drzwi saloniku Rózi i  
ukazał się w

nich doktor; bardzo był blady, ale spokojny. Spojrzawszy na te trzy  
postacie

jakby w trwogach konania pogrążone, rzucił im półgłosem — niby  
złotą jałmużnę

litości — wyraz: "dobrze", poczem ręką kiwnął na Henryka i obydwaj  
za drzwiami

zniknęli. Nie minęły\* dwie minuty, a doleciał do halli krzyk kobiecy,  
za nim

zaś, jakby krzyku tego echo, odgłos męskiego łkania. I znów we  
drzwiach ukazał

się doktor, jeszcze może bledszy niż przed chwilą, ale z  
rozradowanym obliczem

wołając:

— Miłość górą! Zwycięstwo! Zabiliśmy sztukę!

Czy poczciwy doktor rzeczywiście na zawsze sztukę zabił? Być może;  
ale co pewne,

to że o mało nie zabił przyjaciela, bo gdy we drzwiach lekarz się  
ukazał, nie

dosłyszawszy już słów jego, Poraj z krzesła bez zmysłów na dywan się zsunął.  
Lecz szczęście, bądź co bądź, człowieka nie zabija. Nie zabiło więc i Poraja,  
choć może zbyt daleko, od tego nie było. Do odzyskania sił,  
skutecznie dopomóż  
mu miała szczęśliwa przyszłość jedynaczki.

## MIODOWA SIELANKA.

Śliczna — ale bo śliczna — była to para; przytem tak wesoła, tak  
szczęśliwa, tak  
serdecznie rozkochaną, że patrząc na tych dwojga młodych ludzi,  
błogo robiło się  
każdemu na duszy.  
Już tylko tydzień dzielił ich od upragnionego dnia, w którym  
nierozzerwalnym  
węzłem połączeni być mieli.  
Na czas, staranną ręką kochającej matki, ukończona wyprawa Marylki  
składała się  
do niezliczonych kufrów rozmaitego kształtu i rozmaitych rozmiarów;  
ekwipaże p.  
Kazimierza lada godzinę do Bukowca nadejść miały; z zaproszonych  
na wesele  
mnogich gości, szczęśliwym a rzadkim jakimś trafem, przybyć  
obietali wszyscy  
właśnie, których obecność upragnioną była, gdy ci, co ich z  
obowiązku lub dla  
formy się zaprosiło, rozmaitemi wymówili się powodami. Można więc  
było śmiało  
spodziewać się, że w rodzinnem tem gronie, nie tylko szczęście,  
będące dnia tego

wyłącznym udziałem państwa młodych, ale i wesołość przyświecać  
będzie, i że na  
prawdziwe zaniesie się wesele.  
Bywa atoli nieraz, że jak kto żadnego nie ma kłopotu, go sobie z  
umysłu stworzy;  
świadczy o tem nieco trywialne, staropolskie przysłowie, o pewnej  
babie i  
nabytem przez nią prosięciu, czy też cielęciu. Dość, że kłopot taki  
wynaleźli  
sobie narzeczem nasi, nie mogąc się zgodzić na miejscowość, w której  
spędzić im  
przyjdzie miodowe miesiące.  
Przeszło od tygodnia łamali sobie oboje nad tem głowę, z oburzeniem  
odrzucając  
wszelkie naturalne, proste, bardzo nawet przyjemne projekta przez  
rodziców  
podsuwane; chciało

się im koniecznie czas ten spędzić "inaczej", niż go spędziły wszystkie  
znajome  
im młode pary.  
Matka Marylki, woli swej nie narzucając, radziła, aby się udali wprost  
do  
siebie, na Podole, gdzie pan Kazimierz miał wspaniały dwór, bardzo  
dawne  
pamiętający czasy. "Tam zawieźcie wasze szczęście, gdzie odtąd żyć  
będziecie —  
mówiła ona, z rozczeniem na nich patrząc — tem bardziej dom wasz  
ukochacie, i  
sprawdzi się na was przysłowie, że wszędzie dobrze, a w domu  
najlepiej." Ojciec  
namawiał, by zwiedzili Włochy, później bowiem, różne zajść mogą  
przeszkody ku  
ureczywistnieniu tak pięknej podróży.  
Lecz przyszli państwo młodzi, ani o Podolu, ani o Rzymie, jako o  
rzeczach zbyt



powszednich, słyszeć nawet nie chcieli i dalej szukali czegoś "niezwykłego",

czegoś "nadzwyczajnego."

Trzy dni przed ślubem, Marylka kazała p. Kazimierza poprosić do salonu, ale

zaraz, bo ma bardzo pilny interes.

— Cóż takiego? — zapytał rozkochany młodzieniec, całując serdecznie podaną rączkę.

— Znalazłam! — zawołała rozpromieniona Marylka. — Czy pani co zgubiła? — ze

zdziwieniem zapytał pan Kazimierz.

— Nie zgubę ja znalazłam, ale miejsce, do którego pojedziemy po ślubie.

— Ach! przecież... bo już myślałam, że nam przyjdzie tu pozostać.

— Otóż, opowiem panu cały mój plan... śliczny, idealny plan, nie podobny do

żadnego innego, ale opowiem pod warunkiem, że pan nikomu, nawet rodzicom, nic o

tem nie wspomni; bo to tylko o tyle udać się może, o ile zupełny sekret

utrzymany będzie. Siadaj pan i słuchaj uważnie.

— Słucham duszą całą.

— Kilka lat temu, byłam wówczas jeszcze bardzo młodą, prawie dzieckiem...

— Mnie się widzi, skoro to dawno było, że nie prawie, ale całkiem dzieckiem —

przerwał śmiejąc się młody człowiek.

— Miałam już lat czternaście — z odcieniem obrażonej godności odrzekła Marylka —

jechałyśmy z mamą do Szczawnicy; czas był wspaniały, okolica śliczna, ale za to

wóz góralski, na którym jechałyśmy, tak nielitościwie trząsł, żeśmy obie co

chwila wysiadały, nie mogąc, zwłaszcza mama, na nim wytrzymać. W ciągu takiego spaceru pod stromą górę, ujrzałyśmy domek niby góralski, niby szwajcarski, trochę lepszy i ładniejszy od wiejskich chat, ale prosty i niezmiernie malowniczy. Stał tam całkiem odosobniony, na polance lasem otoczonej. — "Patrz mammo na ten domek — rzekłam do mamy — jeżeli kiedy pójdę za męża, to tu z mężem na resztę życia osiąśćbym chciała." Mama się rozśmiała, pogroziła mi palcem, a nadjeżdżającego górala zapytała, do kogo ten ładny domek należy. "Do księcia Montleart" — odrzekł góral — "ale on tam nigdy nie mieszka. Zaledwo czasem w lecie przyjeżdża na kilka dni, na przepiórki zapolować. Leśny z Izdebnika zagląda tam co parę miesięcy, okna w domu otwiera, wszystko trzepie z kurzu, potem dom zamyka, i znów w nim cicho." — "Ja tu kiedyś wrócę, mammo!" — rzekłam na to, i w obawie, by mi mama znów palcem nie pogroziła, zaczęłam czempredziej o czym innym mówić. Otóż panie Kazimierzu, marzenie czternastoletniej dziewczynki było marzeniem proroczem, przecuciem serca, które się niebawem urzeczywistni, jeśli pan pragnie mnie uszczęśliwić. — Jako? — zawoła! p. Kazimierz — chciałabyś tam na przyszłe lato pojechać? — Nie, nie na przyszłe lato, ale we wtorek, zaraz po ślubie, abyśmy tam spędzili miodowe miesiące. — Ależ, Marylko moja złota... — Niema ze mną ale; jeśli mnie pan choć trochę kocha, to do tego domku po ślubie pojedziemy.

— Dobrze, pojedziemy; muszę wszakże przedtem zwrócić twoją uwagę, mój aniele drogi, że ten nigdy niezamieszkały dom musi być niezmiernie wilgotny, że jesteśmy w drugiej połowie października, co znaczy, że w górach może lada dzień śnieg spaść, że tam nie będziemy mieli nawet co jeść.

— O jedzenie... niech się pan nie troszczy. Zaopatrzę się ja w zapasy z marninej spiżarni, i będziemy mieli prowizję choćby i na pół roku. Obmyśliłam to przez noc cała.

— Dobrze; głodu więc nie mamy czego się obawiać. Ale tam, na szczycie tej góry, żywej duszy niema. Lecz Zaledwo wymówił te słowa, ugryzł się p. Kazimierz W język; przerwała mu bowiem Marylka ze łzami w oczach.

— Żywej duszy! żywej duszy! a mnie tam nie będzie?... Czy ja panu już do szczęścia nie starcze?... Jeszcześmy się nie pobrali, a pan już za ludźmi, za światem tęskni... O ja biedna! I to mówiąc, Marylka zakryła twarz rękami, tłumiąc coraz to głośniejsze łkanie.

Oczywiście, pan Kazimierz upadł przed nią na kolana, przysięgając, że on niczego, prócz niej samej, w życiu nie pragnie, że gdyby mu kto kazał z nią pojechać do odludnych, dzikich stron północnej Australii, ani chwiliby się nie wahał.

— Tak, do Australii, toby pan ze mną się wybierał, bo rzecz nieprawdopodobna,

abyśmy tam pojechać, czy popłynąć mieli, ale o sześć lub siedm mil od Krakowa,  
do ślicznego domku, w ślicznym kraju, to pana nie nęci, boby pan się nudził sani  
na sam ze mną!

Wyraz nudził, wymówiła tak rozziewającym głosem, że narzeczony byłby w tej chwili podpisał kontrakt obowiązujący go do całorocznego pobytu w Karpatach,  
byle ukochaną w żalu swym utulić.

— Marylko moja jedyna, wiesz, że ciebie kocham nadewszystko, że twoje szczęście jest jedynym celem mego życia...

— A zatem...

— A zatem, pojedziemy w dzień ślubu do obranego przez ciebie domku w Karpatach;  
tylko obowiązek wskazywał mi przestrzedz cię, że pozbawiona tam będziesz wszystkich wygod, do których od kolebki przyzwyczajona jesteś...  
— Tem lepiej. Niech mi będzie jak najniewygodniej,

przekonasz się wtedy, że byłem ciebie miła, wszystko zresztą jest mi obojętne.

I jakżeż tu było za takie słowa, wdzięczności swej pocałunkiem nie stwierdzić?

— Więc pan się zgadzasz na moją prośbę?

— Zgadzam, moja jedyna, zgadzam na wszystko!

— Dziękuję panu... albo nie... dziękuję ci Kaziu... P. Kazimierz byłby w tej

oliwili nie w Karpaty, ale do kończyn Laponii za Marylką pojechał.

— Ale to jeszcze nie koniec mojej prośby — uradowana zwycięstwem rzekła dalej

Marylka — jeszcze mi musisz obiecać, że nikomu na świecie, nawet rodzicom, nie

wyjawisz naszych zamiarów, że nikt wiedzieć nie będzie, dokąd jedziemy, nawet

służba nasza, którą w Krakowie pozostawimy.

— A potrafisz się obejść bez twojej Marcysi?

— Ja wszystko potrafię, byleśmy tam pojechali, byleśmy tam byli sami... daleko

od ludzi... daleko od świata... Zobaczysz mój drogi, że to będzie niebo na

ziemi! — I to mówiąc, rozgorączkowane dziewczę zacierało ręce z dziecinną radością.

— Ja już wszystko w głowie ułożyłam, zobaczy pan, jak mądrze i praktycznie.

Otóż: ślub będzie o -ej godzinie, o -ej zasiądziemy do śniadania; o w pół do

-ej pójdę się przebrać; o -ej będziemy w powozie, niby spiesząc na pociąg

wychodzący z Krakowa o -ej. Tymczasem z Krakowa pojedziemy zaraz, zostawiwszy

ludzi i większe kufry w hotelu, do Izdebnika. Tam udamy się do rządcy, albo do

leśnego księcia Montleart, poprosimy o wynajęcie nam, choćby na miesiąc, domku

na polance i czempredziej tam pojedziemy. Dobremi końmi, zajedziemy najdalej o -

ej wieczór. Boże! co za szczęście! — I byłaby Marylka narzeczonego uściskała,

gdyby nie odgłos nadchodzących do salonu osób.

Cała nedorzecznosc zamierzonego planu, utonęła w blasku rozpromienionego

oblicza ukochanej, tak iż wracając do swego pokoju, już i pan Kazimierz widział

owe zapowiedziane przez Marylkę "niebo na ziemi!", w domku na polance.

— A kogoż tam lichy niesie o tej późnej godzinie, że tak psy ujadają?

— pytał

otyły Niemiec, z widocznym żalem opuszczając wygodne krzesło przy kominie, oraz fajkę o olbrzymim cybuchu i nie mniej olbrzymi kufel piwa, i uchyliwszy okna, stentorowym głosem na parobka krzyknął:  
— Józek, któż tam u bramy się dobija?  
— A stoi ta jakaś bryka, panoczku; pójdziewa zobaczyć. Niemiec okno zamknął, dziwiąc się, że w październiku już tak mroźny dolatuje wiatr i wyszedł do sieni, w towarzystwie nieodstępnego czarnego wyźła. Teu warczeć zaczął na widok obcej postaci, która wraz z Józkiem ku domowi się zbliżała.  
— Ruhig, Satau, ruhig!  
Pies, do uległości snąć wdrożony, warczeć przestał, ale pana swego nie odstąpił.  
Józek pierwszy podszedł do Niemca.  
— Proszę panoczka, to jakiś pan ma tu interes.  
— Pan! pan! Co to być może za p a n, o tej porze roku i o tej godzinie?  
Lecz gdy ujrzał zbliżającego się mężczyznę o arcypańskiej postaci, pomyślał sobie, że to może krewny lub przyjaciel księcia, i do pokoju grzecznie go poprosił, pytając, czym służyć może.  
— Wszak jest tu niedaleko od Izdebnika, mały domek na polance, należący do księcia Montleart ? — zapytał nowoprzybyły.  
— A jest — nie bez zadziwienia odrzekł Niemiec.  
— Czy zamieszkany?  
— O tej porze roku? O nie. Tam tylko co parę lat księżę na kilka dni przyjeżdża w sierpniu, jak dużo zjawia się przepiórek.  
— A nie możnaby domku tego wynająć?  
— Mogę do księcia napisać, czyby go wynająć zechciał, ale do lata daleko, możemy jeszcze poczekać.

— Kiedy jabym domek ten chciał zaraz wynająć.

— Zaraz?... O tej porze roku? — z osłupieniem zapytał Niemiec. — Ależ to w górach zima za pasem, lada dzień śnieg spadnie. Cóż pan tam robić będzie?

— Mniejsza o to, co ja tam robić będę, niech mi pan tylko domek wynajmie na miesiąc. Zapłacę z góry co pan zechce.

— Der junge Herr muss verrilck't sein — mruknął po cichu Niemiec, pragnąc jak najprędzej niebezpiecznego gościa się pozbyć, głośno zaś dodał: — Zaraz do księcia napiszę...

— Nie, mój panie kochany — odrzekł na to, nieco już rozgorączkowany młody

człowiek — nie pisz pan do księcia i weź to na swoją odpowiedzialność. Oto sto

reńskich (i to rzekłszy, położył storeńskówkę na stole); za miesiąc odbierzesz

pan domek w najlepszym stanie, a teraz... proszę o klucze...

Niemiec poskrobał się w głowę, chciał jeszcze rzecz przedyskutować, ale z jednej

strony widok banknota na stole, a z drugiej obawa, aby, widocznie co chwila

wzrastająca niecierpliwość gościa, nie skończyła się porzuceniem całej

propozycji, poszedł do szafy, klucze z kołka zdjął i nieznajomemu je podał.

Ten chwycił klucze skwapliwie, zapytując jeszcze, czy do domku daleko.

— To pan i drogi nie zna? — zapytał z największym zadziwieniem Niemiec.

— Ja drogi nie znam, ale musi ją mój góral znać, skoro jest z tych okolic.

— Jeszcze z godzinę drogi pod stromą górę, a będzie pan na miejscu — odrzekł

Niemiec — zresztą powiem ja jeszcze góralowi, którądy ma jechać.  
I wyszli razem.  
Doszedłszy do krytej fury, nie byłby Niemiec dostrzegł przy ciemnej  
nocy, że  
prócz "postrzelonego" młodzieńca, jeszcze tam druga postać na tę  
szaloną  
wybierała się willegiaturę; ale w chwili, gdy do wozu się zbliżali,  
świeży,  
dźwięczny odezwał się niewieści głosik: "No cóż, Kaziu, udała ci się  
missya ?"  
Lecz Kazio, zmięszany i widocznie niekontent, na zapytanie nie  
odpowiadając,  
Niemca spiesznie pożegnał i na kozioł wskoczywszy, kazał góralowi z  
miejsca  
ruszyć.  
Niemiec, patrząc przez chwilę za oddalającą się furą, ręce zatarł:

— Das lass ich mir gefallen! — i głośno się zaśmiał; poczem  
zwróciwszy się do  
parobka: — Pójdźcie sam, Józek, dostaniecie kieliszek wódki.  
Uradowany Józek, ani się domyślał, że miał to być dla niego rodzaj  
procentu od  
owej storeńskówki na stole rządcy spoczywającej.

\* \* \*

Góral, szczęśliwie dowiózłszy swoich gości do domku na polance,  
manatki ich  
starannie na ganeczku poskładał, zapłatę, na którą zgodził się był w  
Myślenicach, odebrał i grzecznie młodemu państwu się skłoniwszy, ku  
domowi  
nawrócił. Drżący promyk księżycy powitał na progu stojącą parę;  
przyjrzał się  
jej chwilę i już miał za nadchodzącą chmurę się schować, lecz po  
namyśle,



jeszcze się nieco zatrzymał; może go ciekawość zdjęła, po co ci  
ludzie, o tej  
porze roku, na szczyt góry zawitali, może też, jako tradycyjny opiekun  
zakochanych, miał sobie za obowiązek z bliska im się przypatrzeć, i w  
danym  
razie dopomódz. Dość, że im promieni swoich nie odmówił, wbrew  
cisnących się ku  
niemu czarnych chmur i mógł rozmowę ich dosłyszeć:  
— Widzisz, Kaziu, jaki księżyc grzeczny! gdyśmy tylko u celu naszej  
podróży  
stanęli, zaraz przybył nas przywitać i królestwo naszą opromienić.  
Patrz, jaki  
ładny widok tam w głębi.  
I palcem wskazując coś w dali, czego wcale widać nie było, spojrzęła  
w oczy  
męża. On ją do siebie przytulił, kilkakrotnie pocałował, nie mniej od  
niej  
księżycowi wdzięczny, że ich od egipskich ciemności uratować  
raczył.  
— Zaraz, trzeba nam się wziąć do roboty, panie mężu; rozpakować  
się, roztasować,  
przygotować lukullusową wieczerzę. Na tem górskim powietrzu,  
toby się ciągle  
jadło.  
— A nie zimno ci czasem, Marylko moja?  
— Właśnie, że mi zimno — odrzekła pani Kazimierzowa — i pilno  
mi nastawić  
samowar. Dopiero, jak dobrze się

ogrzejemy herbatą, nowy duch w nas wstąpi; ale tymczasem wstąpmy  
do naszego  
gniazdeczka.  
Klucz od gniazdeczka był co prawda trochę zardzewiały i pan  
Kazimierz długo  
męczyć się musiał, zanim drzwi się otworzyć raczyły. Zbutwiała  
wilgoć, właściwa  
długo nieprzewietrzanym pokojom, niemile przybyłych owionęła.

— Zaświećno prędko zapałkę, Kaziu, zobaczmy, jak tu u nas wygląda  
— rzekła młoda  
kobieta, niechcąca ani na chwilę przypuścić, że może wyglądać  
ponuro, i choć  
zapałka wymownie "ponurość" tę potwierdziła, Marylka przyznać  
tego nie chciała,  
a zresztą może tego i nie widziała. Zaczęli się rozglądać, gdy pan  
Kazimierz  
coraz to nową poświęcał zapałkę. Cały domek składał się z dwóch,  
dość dużych  
pokoi, z których ten, w którym obecnie stali, widocznie służył  
właścicielowi za  
salon i jadalny pokój. Kanapa, cztery krzesła, duży stół ceratą pokryty,  
całe  
składały umeblowanie; drugi pokój, sypialny, tą samą odznaczał się  
prostota.  
Jedynie ozdoby, do zbytku skromnego tego pomieszkania, stanowiły:  
olbrzymi komin  
i przed nim rozciągnięta, nie mniej olbrzymia skóra niedźwiedzia. Pan  
Kazimierz,  
zawołany myśliwy, z upodobaniem głaskał lśniący włos zwierza, już  
przemyśliwając  
in petto, jakby tu kiedy na polowanie się wymknąć. Lecz zanim do  
tych  
nemrodowych rozkoszy przyjść miało, nasz młody myśliwy o czym  
innem myśleć  
musiał. Marylka wprawdzie, wciąż nad wszystkim się rozplywała, n.  
p. z  
uniesieniem porwała stojący na kominie lichtarz z niedopaloną  
świecą, wołając na  
męża: "Już mamy Illuminację Kaziu! schowaj twoje zapałki!" Kazio  
wszakże nie  
mógł nie dostrzedz, że żona dygoce z zimna.  
— Napij się tymczasem trochę koniaku, Marylko; nic tak nie ogrzewa.  
— Kiedy mi wcale zimno nie jest — odrzekła, starannie wszakże  
chowając pod  
płaszczek skostniałe rączki.

Zaczęto potem dobierać klucz do szafy, wiszący obok klucza od domu.

Widok samowara wywołał okrzyki szalonej radości.

— Będzie herbata! Będzie herbata! zawołali oboje, z okoliczności korzystając, żeby się uściskać. O jednej tylko zapomnieli rzeczy, to, że samowar sam z siebie, herbaty nie wyda, że potrzebuje na to wody i węgla. Węgla zaś niema bez ognia, ognia bez drzewa, wody bez studni lub strumyka. Robiusionowe odkrycia te wymagały niezwykłego zasobu energii i odwagi, trzeba więc było i na jedno i na drugie się zdobyć.

— Chodźmy szukać wody i drzewa — rzekła śmiejąc się Marylka — w kraju lasów i potoków, nie zabraknie nam przecież ani jednego, ani drugiego. — Wyszli, trzymając się pod rękę.

Opiekun kochanków znów z pod chmury oblicze wychylił, chcąc młodej parze w wycieczce tej znajomością miejscowości nieco dopomódz. Rzucił więc sinawy promień w stronę, gdzie szumiało źródółko; nabrano wody.

— Teraz chodźmy za drzewem — rzekł pan Kazimierz, niespokojny o żonę, bo powietrze srogo było zimne, a na to, pomimo najlepszych chęci, księżyc poradzić nie mógł.

— Idź do domu, kochanie, otul się w kudły niedźwiedzia i czekaj na mnie; łatwiej

mi będzie samemu znaleźć co suchych gałęzi.

Ale Marylka ani o tem słyszeć chciała, nie tyle, co prawda, z miłości dla męża,

ile z obawy pozostania samej w domku na polance. O gałęzie wśród lasu nie trudno; zebrano ich więc ile się zebrać dało, spiesząc do domu. Pan Kazimierz ukląkł przed kominem, nałożył patyków i wsunął między nie co tylko miał pod ręką gazet; lecz drzewo mokre, palić się nie chciało, a natomiast pokój w jednej chwili napełnił się dymem. Marylka kaszłąc i kichając, uciekła do drugiego pokoju, niby herbaty szukając. Po chwili wróciła uradowana, trzymając w ręku kilka próżnych pudełek od cygar. "Te się chyba już palić będą." Rozłupano je starannie, by ogień podsycić, wstawiono garnek z wodą i wreszcie, po dwóch godzinach ciężkiej pracy, młodzi małżonkowie, bardzo zakochani i jeszcze kontenci, zasiedli do owej lukullusowej wieczerzy, skła-

dającej się z herbaty bez śmietanki, dwóch suchych bułek i kurcząt pieczonych, przywiezionych z domu. Jedli, pili i śmiali się. — Coby to mama powiedziała, gdyby za pomocą teleskopu dojrzeć nas mogła — rzekła Marylka. — Powiedziałyby prawdopodobnie, żeśmy poszaleli — odrzekł pan Kazimierz (w duszy zaś dodał: I nie całkiemby się myliła). — Ale cóżeś do niej z Krakowa napisała, Marylko? — Napisałam tak: niech mama o nas się nie troszczy; przed dwoma tygodniami pisać nie będę. Do Australii nie jedziemy. — A wytrzymasz ty dwa tygodnie bez pisania do mamy?

— Może i nie wytrzymam — odrzekła Marylka niezupełnie pewnym głosem.

\* \* \*

Piątego dnia po przybyciu młodej pary do domku na polance, stali oboje przy oknie, ona blada i mizerna, w grubą chustkę otulona, on z wyrazem niepokoju na twarzy. Przedstawiający się im krajobraz, dziwnie był smutny: na wszystkie strony śnieg; na ziemi, śnieg; na drzewach, śnieg; na futrynach od okien, śnieg; chyba i na słońcu śnieg padać musiał, tak jakoś ono markotno na świat spoglądało. Patrzali, patrzali, nic do siebie nie mówiąc, tylko pan Kazimierz od czasu do czasu tulił do siebie żonę, składając pocałunek na jej czole. Po chwili uczuł na ręku spadającą z oczu jej gorącą łzę:  
— Czego płaczesz, aniele mój ? — miękko spytał głosem.  
— Wiesz czego płaczę, Kaziu? Ot płaczę, żeś ty taki dobry, taki cierpliwy, taki wielkoduszny...  
— Taki... co jeszcze? — zapytał mąż, chcąc żartami przerwać wzrastające wzruszenie Marylki.  
— Nie śmieję się Kaziu; ja dobrze wiem co mówię i co czuję. Wiem, że folgując dziecinnemu memu dziwactwu, blisko od tygodnia poświęcasz się od rana do wieczora, bez słowa nagany, bez skargi... że cierpisz głód, bo od sześciu dni, prócz herbaty, na którą ciężko sobie jeszcze zapracować musisz, nie miałeś nic ciepłego w ustach... że znosisz bezustannie zimno,

bo pieców w domku niema, a komin zwykle dymi... że pracujesz, jak żaden stróż w  
maminym domu...

— Ależ, dziecko moje złote, jeśli ja to wszystko filozoficznie znoszę, toć i ty  
to znosisz tak samo...

— To całkiem co innego, Kaziu. Ja znoszę skutki własnego widzimisię, własnego nierozsądku, własnego uporu; ale ty cierpisz niewinnie, bo nieszczęśliwy ten pomysł był mój własny; zgodziłeś się nań z miłości dla mnie, jedynie z

miłości... — I to mówiąc, Marylka objęła szyję męża, całowała go serdecznie,  
tłumiąc dobywające się co chwila z piersi łkanie.

— Słuchaj, Marylko moja, słuchaj i nie płacz, bo na prawdę nie ma o co.

Pomyliliśmy się oboje i na tem koniec.

— O nie oboje! nie oboje... Tybyś był wolał pojechać do Wenecyi, gdziebyśmy byli płynęli w gondoli na Canal Grande lub na Lagunach, kąpiąc się w promieniach południowego słońca...

I to mówiąc, na samą myśl wszystkich rozkoszy, których dobrowolnie pozbawiła

męża, Marylka na nowo płakać zaczęła. Biedactwo! była też i ona fizycznie

rozstrojona życiem, składajacem się z samych od tygodnia najsroższych niewygód,

a na domiar nieszczęścia, gdy dziś z kosza wyciągała prowizye do śniadania,

przekonała się z niewymownem przerażeniem, że im już tylko pozostawał jeden ozór

i pół bochenka chleba, a chleb nota-bene, już od trzech dni, tylko maczany w

herbacie jeść mogli, bo był twardy jak drewno. Wymawiała sobie więc gorzko

wszystko złe co się działo i dziać miało, nie widząc żadnego wyjścia z tego

rozpaczliwego położenia.

Ale i pan Kazimierz ciężko sobie obecnie wyrzucał, że ulegając dziecinnym

prośbom żony, nie zastanowił się nad niepraktycznością pomysłu i naraził ją na

zimno, głód i wszelkiego rodzaju niewygodę. Od dwóch dni nosił się już wprawdzie

z zamiarem opuszczenia owego "nieba na ziemi", lecz dotąd nie wiedział, jak

zamiar ten w czyn wprowadzić, Marylka bowiem, na samą wzmiankę, że ją samą, na

klucz zamkniętą, w domku na polance zostawi, oburzała się do najwyższego

stopnia. Nawet gdy ze strzelbą na plecach kręcił się

naokoło polanki, chcąc nader mizerną domową spiżarnię zapasem zwierzyny

zaopatrzyć, towarzyszyła mu żona, co oczywiście o wiele zmniejszało szanse

ubicia czegokolwiek bądź. Jakżeż jej tu więc powiedzieć, że ją na kilka, może na

kilkanaście godzin samą pozostawi, żeby iść szukać gdzieś ludzkiej pomocy ku

wydostaniu ich ztamtąd? z drugiej strony, jakżeż zezwolić na to, aby mu

towarzyszyła w wycieczce, o której sam nie wiedział, jakie przedstawiać mogła

trudności, jeżeli nie niebezpieczeństwa?

Im więcej nad tem rozmyślał, tem mniej wiedział co postanowić, i tem sroższe

robił sobie zarzuty, całą winę i teźże skutki biorąc na siebie; czuł bowiem

dobrze, że pomimo namiętnej zapalczywości, z jaką Marylka zabrała się była do

urzeczywistnienia pomysłu swego, urzeczywistnienie koniec końcem  
od niego  
zależało, i że byłby jej to mógł od razu wyperswadować.  
Im bardziej do winy się poczuwał, tem bardziej chciał własnym  
pomysłem z toni  
wy płynąć i do szczęśliwego jakiego portu czempredzej dobić.  
Gdy tak oboje stali w oknie, smutnie spoglądając na coraz to większe,  
z  
ołowianego nieba spadające płaty śniegu, zdało im się, że słyszą  
daleki odgłos  
dzwonka.  
— Słyszałeś Kaziu? — zawołała Marylka.  
— Niby słyszałem; ale to nam tylko tak się zdawało, dziecko drogie.  
Któż chcesz,  
żeby tu do nas się wybierał, skoro nikt nie wie, że tu jesteśmy?  
— Masz rację, mój drogi; przyśniło nam się..  
— Albo nam w uszach dzwoni, coby dziwnem nie było, bo tam w  
Bukowcu dużo o nas  
mówić muszą.  
Na wzmiankę o rodzicielskim domu, serce Marylee się ścisnęło, i łzy  
coraz  
gęściej po twarzy spływać poczęły a biedny mąż byłby chętnie każdą  
taką łzę  
własną krwią okupił. Lecz oto i naprawdę dosłyszeli znów oboje, tym  
razem dużo  
wyraźniej, odgłos dzwonka.  
Pan Kazimierz porwał za czapkę, zaklinając Marylkę, aby na to zimno  
z pokoju nie  
wychodziła; sam zaś wybiegł

jak szalony, Boga w duszy prosząc, aby to rzeczywiście okazało się,  
że jakaś  
ludzka istota zbliża się do ich domku. Śnieg i zimny wiatr dał mu w  
oczy, tak,  
że nic przed sobą nie widział; postąpił parę kroków i przystanął;  
dzwonek znów



się odezwał.

— Przecież to nie czary! — pomyślał sobie — ktoś się tu kręci; tylko czy ku nam

właśnie się zbliża?

Podszedł w stronę, z kąd go dźwięk dochodził; po chwili zdawało mu się, że dźwięk

ten się oddala; wówczas puścił się, o ile mu ślizki śnieg pozwalał, jak najprędzej ku lasowi, w którym mu się zdawało, że dzwonek słyszy, a że ów dźwięk

znów się powtórzył, zaczął wołać: "Hop! hop!" i po chwili znów:

"Hop! hop!" —

Wreszcie, o rozkoszy ! dosłyszał wyraźnie odpowiadający głos: "Hop ! hop !"

Marylka tymczasem w gorączkowym oczekiwaniu, chodziła od okna do drzwi, od drzwi

do okna; póki widziała . postać oddalającego się męża, jakoś to jeszcze było,

ale gdy znikł wśród gęstwiny a dzwonek umilkł, czarna ją porwała rozpacz.

Rzuciła się jak długa na skórę niedźwiedzią, leżącą przed kominkiem i twarz

rękami zasłoniwszy, głośno płakać zaczęła.

Tak ją zastał mąż, gdy po pół godziny powrócił, i porwawszy w objęcia,

uradowanym zawołał głosem:

— Marylko! Maryleczko! Marysieńko! Jesteśmy ocaleni! I z wielkiego szczęścia o

mało sam się nie rozplakał — i uściskali się tak serdecznie, jak tylko w radości

ludzie się ściskają.

— Teraz opowiadaj, Kaziu mój, co się stało? czyje to były dzwonki?

Kto tu

przyjedzie? mów prędko.

— To się stało, zem spotkał księdza, wracającego od umierającej żony leśnego,

mieszkającego o pół mili od nas, że dzwonki do jego sanek należą i że za parę

minut przybędzie do nas.

— Przybędzie, doprawdy, przybędzie? To go z pewnością uściskam, o tem cię  
zawczasu uprzedzam, Kaziu.

— Nie mam nic przeciwko temu; starowina musi mieć z jakie lat co  
najmniej  
siedmdziesiąt; jest przytem bardzo miły. Ale zkądże ten twój nagły do  
niego  
zapał? Gdzież raptem podział się nieprzezwyjężony ów wstręt do  
ludzi, który nas  
o mało co nie zagnał na wybrzeża niezamieszkałej strony Australii?  
I to mówiąc, wpatrywał się pan Kazimierz w oczy, pełne skruchy,  
młodej żony; ona  
się zarumieniła i chcąc wzruszenie swe ukryć, zaczęła się krzątać  
około  
przyjęcia upragnionego gościa. Dorzuciła do komina trochę suchych  
gałęzi, na  
stole postawiła butelkę, ostatnią nota bene butelkę Madery, i również  
ostatni  
kawalek ozora; byłaby chciała chleba bochenek też obok położyć, ale  
tego  
pieczywa, co jeszcze na dnie kosza zostawało,  
siedmdziesięciuiego starca  
zęby nie byłyby nigdy zmogły. Tymczasem saneczki chłopskie  
stały przed domem;  
pan Kazimierz wybiegł by rękę księdzu podać, Marylka zaś stojąc na  
progu z  
uradowanym na ustach uśmiechem, upragnionego oczekiwała gościa.  
— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł sędziwy pleban,  
do pokoju  
wchodząc.  
— Na wieki wieków Amen — odrzekli młodzi małżonkowie —  
witamy księdza proboszcza  
w naszej pustelni. Proszę przy kominku się ogrzać i wypić kropelkę  
Madery.

Pleban ofiarowany kieliszek przyjął wdzięcznie, bo bardzo był przemarznięty i usiadł na przystawionem do komina krześle. Chcąc korzystnie okazać się w roli pani domu, co jej pierwszy raz się zdarzało, Marylka zaczęła się wypytywać o chorą, do której proboszcz był jeździł.

— Oj! ciężko, bardzo ciężko chora — odrzekł pleban — a szkodaby jej było, bo zacna kobieta, a dużo w chacie drobnej dziatwy!

— A cóż doktor mówi?

— Doktor? Gdzieby oni doktora mieli. Trzebaby go aż z Myślenic sprowadzić i drogo zapłacić, a pytanie jeszcze czyby przyjechał. Sanna dotąd nie ujeżdżona, droga prawie nieprzystępna.

— A ksiądz proboszcz jak zrobił? — zapytał p. Kazimierz.

— Ja, to co innego; pojechałem z Panem Jezusem. Zbudowani prostą tą a tak wymowną odpowiedzią, mąż i żona z rozczuleniem na staruszkę patrzyli. Ten, po chwili milczenia zapytał:

— Ale co państwo tu robią o tej porze roku? Czyście w drodze zbłądzili?

— Tak jest, księżo proboszczu — odrzekła na to wzruszona Marylka — zbłądziliśmy, i to ciężko. Należałoby nam się ostra pokuta; niech ją ksiądz proboszcz na nas nałoży.

Pleban z zadziwieniem na nich spoglądał; nie wyglądali na żadnych winowajców; uczciwość z oczu im biła; on znał się na tem.

— Aby pokutę nałożyć, trzebaby mi znać rodzaj winy i tejże rozmiary.

— Otóż, ja księdzu proboszczowi w paru słowach opowiem nasze przewinienie, a raczej moje, bo mój mąż jest zupełnie niewinny, jak baranek niewinny.

— Niech ksiądz proboszcz temu nie wierzy; właśnie, że na mnie cała odpowiedzialność spada...

— Daj pokój, Kaziu. Niech ja rzecz całą opowiem; bo jak tak zaczniemy oboje się tłumaczyć, to ksiądz proboszcz nie zrozumie naszej sprawy. Staruszek patrzył na nich z uśmiechem na ustach.

— Niechże pani opowiadanie zacznie, a jak pan mąż będzie przerywał, to go w drugim pokoju na klucz zamkniemy.

— Taka to sprawiedliwość najwyższego sądu? — zawołał pan Kazimierz. — To ja się cofam i nie wrócę, aż dekret na mnie zapadnie. I to mówiąc, nalał kieliszek wina i wyszedł, by go dać woźnicy z plebanii.

— Niechże pani spowiedź zaczyna czemprowadzej, aby mąż za drzwiami nie marzył.

— Otóż, księżo proboszczu — odrzekła po uszy zarumieniona Marylka — pobraliśmy się dziś tydzień. Mama radziła nam zaraz w dzień ślubu pojechać do siebie, na Wołyń...

— Mama miała rację.

— Tak, ale mama ma rozpieszczoną, dziwaczną, a zwłaszcza upartą jedynaczkę, która nie tylko, że za matczyną radą pójść nie chciała, ale uknuwszy sobie jak najdzikszy, najnierozsądniejszy zamiar, póty męża nudziła i naleganiami trapiła, póki go nie zmusiła do przeprowadzenia tego zamiaru.

— A jakież był ten zamiar?

— Nad wszelki wyraz niedorzeczny: koniecznie mi się zachciało  
miodowy miesiąc  
przepędzić daleko od ludzi, ale tak daleko, tak daleko...

— Żeście się państwo aż na tę górę wdrapali?

— A tak, aż na tę górę. Mój mąż byłby oczywiście sto razy wolał  
pojechać do  
siebie, jak radziła mama, albo do Wenecyi, jak papa radził. Ale gdzie  
tam! ani  
mu chwili spokoju nie dałam, dopóki mnie tu nie przywiózł... A odkąd  
tu  
jesteśmy, Kazio drzewo rąbie — i to mówiąc, głos młodej kobiety  
łzami zadrżał —  
wodę nosi, w pokojach sprząta, na kominie pali, bo mnie nic robić nie  
pozwala...  
a ja na niego patrzę... i płaczę.

— Tak to bywa, moje dziecko, jak kto zbyt uporczywie własną chce  
przeprowadzić  
wolę.

— Od sześciu dni nie mieliśmy ciepłej strawy w ustach; żyjemy  
zimnem mięsem... i  
marzniemy.

— To pokuta już sama z siebie przyszła — rzeki staruszek łagodnym  
głosem.

— Ale to nie dosyć, ja pragnę odpokutować naprawdę, i to ostrą  
pokuta, krzywdę  
wyrządzoną mężowi.

Właśnie w chwili tej wracał do pokoju ów pokrzywdzony, ale bądź co  
bądź  
uśmiechnięty i bynajmniej losem swym nie przygnębiony mąż, i zaraz  
na wstępie  
zapytał:

— Czy spowiedź skończona? Możeby teraz na mnie przyszła kolej,  
ukłękawszy  
zawołać: Pater, peccavi!

— Spowiedź skończona — odrzekł proboszcz — teraz wam udzielię  
obojgu, nie  
absolucyi, bo niema do tejże powodu, ale błogosławieństwa i...  
pokuty.

— Oj to, to! księżu proboszczu, ta nam się należy.  
— Tak jest... pokuta wam się należy i będziecie ją mieli. Otóż,  
nakazuję wam,  
abyście czempredzej manatki zapakowali, na sanki moje siadali i  
pojechali ze mną  
na plebanię. Tam uradzimy, jaką drogą najbezpieczniej i najprędzej do  
matki  
powrócić będziecie mogli.  
Gdyby nie sukienka duchowna poczciwego staruszka, byłaby go  
Marylka za  
wypowiedziany dekret, naprawdę tym razem uściskała; nie mogąc  
sobie tego  
pozwolić, uściskała męża. Nie minęło pół godziny, już siedzieli  
wszystko troje,  
trochę natłoczeni co prawda na saneczkach, a o -ej po południu, stara  
gospodyni  
na plebanii z niemąłą dumą chwaliła się przed parobkiem, że gdy  
temu ładnemu  
państwu rosół podała, oświadczyli oboje, iż tak wybornego rosołu  
jeszcze w życiu  
swojem nie jedli.

\* \* \*

Nazajutrz wieczorem, siedzieli państwo Kazimierzowie w Bukowe  
przy kominku.  
Rodzice, z nie wysłowioną, acz dyskretną radością, używali ich  
niespodziewanej  
obecności, o nic nie pytając, niczemu się nie dziwiąc, a ciesząc się  
jedynie  
widokiem ukochanej pary. O godzinie -ej, stary, drugiemu już z rzędu  
służący,  
pokoleniu kamerdyner, dymiący wniósł samowar. Na widok ten,  
Marylka spojrzała na

męża, mąż na nią; uśmiechnęli się oboje, poczem ona wstawszy  
zbliżyła się do  
niego i do ucha mu szepnęła:  
— Co to za rozkosz niezrównana, spotkać się z samowarem i  
pomyśleć, że nie  
potrzebowało się do tego ani drzewa rąbać, ani wody nosić, ani na  
węgle dmuchać.  
Piękna to rzecz miłość małżeńska, piękne w życiu ludzkim chwile  
miodowych  
miesiący, ale dobrobyt i wygody cywilizacyi mają także swoją  
wartość! O tej  
prawdzie niech poświadczy obrazek naszej miodowej sielanki w  
domku na polance.

## ALBOŻ JA WIEM?

### I.

— A ja ci powiadam Idalko, i to powiadam, co najmniej po raz setny,  
że to raz  
skończyć się musi, bo sobie tem lekkomyślnem postępowaniem cała  
przyszłość  
zmarnujesz.

— Oj ! oj ! burza nadciąga!

— Nie, Idalko, nie burza, ale poważna, stanowcza, a przytem, wierzaj  
mi, bardzo  
serdeczna rada.

— O tem i chwili wątpić nie będę, moja Tereniu droga, i zawczasu cię  
przepraszam, jeżeli twoja rada tak skutecznego nie odniesie rezultatu,  
jak tego

się spodziewasz i jakbyś tego pragnęła.

— Aha! więc nie wysłuchawszy mnie nawet, już z góry orzekasz o  
bezskuteczności

moich uwag?

— Ja nic nie orzekam; tylko znając na wskrós tę moją krnąbrną,  
niepoprawną  
naturę, przeczuwam, że najrozumniejsze, najserdeczniejsze  
napomnienia twoje,  
rozbić się niestety mogą o ten twardy głaz.

— Nie przeczę temu, że masz nieco krnąbrny charakter, ale czemu  
przeczę zupełnie  
i na co nie zgodzę się nigdy, to na użycie wyrazu "twardy głaz. "

Przeciwnie

Idalko; ty masz serce szlachetne, ciepłe, do poświęcenia skore,  
miałam tego sama  
nieraz dowody, przy łóżeczku chorych dzieci moich; tylko  
nieszczęście chciało,  
może wskutek po zapomnianej od wieków prababce rodowego  
jakiegoś dziedzictwa,  
żeś wzięła w spadku namiętność, nietylko do zawracania głów (toby  
jeszcze pół  
biedy było), ale jeszcze i do niemiłosiernego dręczenia właścicieli  
tychże.

— Mnie się widzi, że w tem, po trochu, może i twoja jest wina,  
Tereniu.

— Moja? a to zkadże znowu? Bardzom ciekawa.

— Ztąd, że po naszych ukochanych, tak gruntownie zacnych i  
dobrych rodzicach,  
tyś sobie wszystkie zalety i cnoty ich przywłaszczyła, mnie nic nie  
pozostawiając. Musiałam zatem odnieść się aż do najdawniejszych  
antenatów;

niefortunna zaś gwiazda zrządziła, że rękę w cały stos przodków  
wsunąwszy,  
trafiłam właśnie na ową arcy-krnąbrną prababunię.

— Ależ to czysty atawizm, Idalko! czy czasem przyjmujesz zasady  
Darwina?

— O nie. Choćby w przedpotopowej przeszłości, nie zgodzę się nigdy  
na



powinowactwo z małpą.

— Doprawdy! co za łaska. Ale ty po prostu wszystko w żart obracasz, Idalko, żeby

naszej rozmowie inny nadać kierunek.

— Ależ ja nie żartuję bynajmniej. Sama osądź, i osądź bezstronnie, o ile to być

może. Wzięłaś po matce naszej niezrównaną dobroć i słodycz charakteru; po ojcu

odziedziczyłaś trzeźwość umysłu, zacność i niezwykłej miary rozsądek. W chwili

naszego tak nagłego osierocenia, ja, miałam zaledwie lat jedenaście, ty zaś,

miałaś ich już dwadzieścia i od roku byłaś zamężną. Nie byłam więc jeszcze w

stanie, upomnieć się o moją część duchowego po rodzicach spadku, a tem mniej o

spadek ten z tobą zwycięzko walczyć. Takim to sposobem, tyś wszystko wzięła. Nie

wymawiam ci tego, droga moja, bo z zalet i cnót rodzicielskich, nikt lepszego od

ciebie nie mógł zrobić użytku; nietylko bowiem jesteś szczęśliwa... zawsze

wskutek zagrabienia tego... ale jeszcze tych wszystkich, co ciebie otaczają,

szczęściem obdzielać musisz: męża, dzieci, krewnych, przyjaciół, domową

czeladkę, wreszcie i meine Wenigkeit.

— Skoro takie pochlebne jest twoje zdanie o mnie, dlaczegoż nie chcesz iść za

moim przykładem, obierając sobie tę samą, co ja w życiu drogę? Nie jest to żadna

dla kobiecego

serca filozofia, szczęściem obdarzać tych, których się kocha, i gdybyś tylko

chciała pójść za moją radą, wnet przekonałabyś się, że cały nasz  
żywot na tem

właśnie ugruntowany. Dobrze powiedział poeta:

Le seul bonheur qu'on a

Vient du plaisir qu'on domie.

— Bliźniego sądzisz z wyżyn twej doskonałości, Tereniu, a że bliźni  
tej

doskonałości nie posiada, zatem, sądzisz go jednostronnie, błędnie,  
może nieraz

i niesprawiedliwie.

— A ty, dziecko, bredzisz; po prostu bredzisz, i to jedynie, żeby mnie  
nie

dopuścić do słowa. Ale nic z tego nie. będzie. Choć raz, muszę ci całą  
wypowiedzieć prawdę.

— La vérité toute mie, sortit un jour de son puits. Czy. ja z tą lekko  
odzianą

jejmością, nieodwołalnie dziś już spotkać się muszę?

— Nieodwołalnie — odrzekła pani Teresa, serdecznym, ale  
poważnym głosem. —

Wierzaj mi, Idalko, że gdyby moja Andziunia, zamiast mieć lat ośm,  
miała ich

ośmnaście, mówiłabym do niej z tą samą o przyszły los jej  
troskliwością.

— O tem nie wątpię i chwili, moja kochana Tereniu — i to mówiąc  
Idalka czule

siostrę uściskała — niegodną byłabym doprawdy istotą, gdybym cenić  
nie umiała

twojej dobroci, zwłaszcza twojej cierpliwości, której ogromny mieć  
musisz zasób,

skoro go dotąd wyczerpać nie zdołałam. Obiecuję ci więc solennie,  
jeśli nie

koniecznie poprawę...

— Ależ, kiedy ja tylko poprą w y właśnie żądam.

— Przyjdzie i ona... z czasem.

— Oby tylko przyszła, a nie zbyt żółtim postępowała krokiem.

— Przyjdzie, Tereniu, zobaczysz, że przyjdzie kiedyś, może nawet  
niezadługo.

Obecnie wszakże ręczyć mogę tylko za to, że w pokorze i skupieniu ducha,  
napomnień pani siostry wysłucham do końca; sam nieboszczyk  
Skarga piękniejby się  
nie wyraził.

Pani Teresa na chwilą zamilkła, jakby się namyślając; lecz naprawdę,  
wznosiła  
ona duszę do Boga, by jej natchnąć raczył wyrazy, mające trafić do  
przekonania  
zbyt rozpieszczonej siostry.  
U Idalki tymczasem wewnętrzna toczyła się walka między poczciwem  
jej sercem a  
"krnąbrną" naturą: serce zdradzało się wzruszonym spojrzeniem,  
natura  
żartobliwym, niemal szyderczym uśmiechem, zapobiedz się starała  
skutkom  
wzruszenia tego.  
— Wysłuchajże mnie więc cierpliwie, Idalko; tem cierpliwiej, że ci po  
raz  
ostatni... uważasz, po raz ostatni wypowiadam, co mi tak srogo na  
sercu ciąży.  
Staraj się mi nie przerywać.  
I to powiedziawszy, pani Teresa pogłaskała siostrę po twarzy,  
młodym matkom  
właściwą, miękką, serdeczną pieśczętą. Głaszczącą rękę, Idalka  
ucałowała, z  
mocnem postanowieniem homilii mężnie, i o ile się uda, w milczeniu,  
wysłuchać do  
końca.  
— Otóż, moja Idalko, muszę ci szczerze powiedzieć, że mniej niż  
kiedykolwiek,  
mogę sobie w obecnej chwili twoje postępowanie wytłómaczyć.  
Spędzamy tu już  
drugą z rzędu zimę. Podobnie jak w zeszłym, tak i w tym roku, jesteś  
otoczona

najświetniejszymi w Polsce partjami, i to świetnemi, nie tylko w  
czysto  
doczesnem znaczeniu tego wyrazu, ale świetnemi zacnością  
charakteru i wyższością  
uczuć. Przeszłej zimy, odmówiłaś pana Henryka Radwana, którego  
sobie wszystkie  
matki dla córek swych rozrywały, a wszystkie córki starały się każda  
do siebie  
przyciągnąć. Nie zrobiłam ci wówczas żadnej wymówki, bo  
jakkolwiek nie miałam  
nic bardzo ważnego do zarzucenia panu Radwanowi, charakter jego  
zbyt lekkomyślny  
i niestałość uczuć nie dawały mi dostatecznych rękojmi dla twego  
przyszłego  
szczęścia, Zresztą, miałaś niespełna lat ośmnaście; pilno mi nie było  
widzieć  
ciebie, w tak młodym wieku, walczącą z troskami od małżeńskiego  
pożycia  
nieodłącznemi. Ale w pół roku potem, tym razem ku mojemu

głębokiemu już zmartwieniu, odmówiłaś panu Romanowi Gozdawie,  
czego ani ja, ani  
mój mąż, ani, o ile mi się zdaje, ty sama, Idalko, nie zdołaliśmy  
zrozumieć. Czy  
ci się pan Roman na prawdę nie podoba!?  
— Alboż ja wiem? — z pewnem zakłopotaniem odrzekła dziewczyna.  
— Otóż, Idalko, tego ja właśnie u ciebie pojąć nie mogę; to mnie w  
tobie oburza  
i martwi. Jakto? gdy chodzi o całą twoją przyszłość, o życie całe,  
odrzucasz bez  
namysłu, bodaj! czy nie i bez powodu, rękę jednego z najlepszych,  
najzacniejszych ludzi, właściwie, nie wiedząc nawet dlaczego  
odmawiasz, skoro na  
zapytanie moje, czy pan Roman ci się podoba, odpowiadasz mi: Alboż  
ja wiem? czyż

w obec propozycji tego rodzaju, najmniejsze może być  
powątpiewanie? Przecież  
mujesz wiedzieć, czy ci się ten lub ów podoba, czy niepodoba?  
— Kiedy właśnie, że nie zawsze wiem! W tem tkwi sęk.  
— Nie Idalko, nie w tem tkwi sęk; tkwi on w czem innym. Czy  
powiedzieć ci w  
czem?  
— I owszem.  
— Tkwi w tem, że dla ciebie zawracanie głów większą stanowi  
rozkosz, niżby było  
osiągnięcie prawdziwego, domowego szczęścia.  
— Jest w tem może i nieco prawdy — z pewnym odcieniem smutku  
odrzekła Idalka. —  
Ale cóż na to poradzić? Już mnie bogi taką stworzyły, że jak wchodzę  
do salonu,  
od razu, na pierwszy rzut oka widzę, komu się podobam, a komu  
jeszcze nie, i  
wówczas, nie mam chwili spokoju, dopóki, po udzieleniu wiernym  
łaskawego  
uśmiechu, nie doprowadzę tamtych, t. j. les récalcitrants, do tego, aby  
bardziej  
jeszcze od pierwszych, w prochu przedemną czołem bili.  
— To już na prawdę, chyba nie Bóg, ale bogi ciebie stworzyły. Ale  
czy tobie  
nigdy na myśl nie przychodzi, Idalko, że tego rodzaju postępowanie  
jest  
moralnie, po prostu nieuczciwe, niemal potworne, i że kiedyś, los  
tych, na  
torturę wystawionych bliźnich, srogo na tobie zemścić się może.

— Nie przeczę temu, tylko stwierdzam fakta. Ale, cóż na to poradzić,  
skoro już  
taka na świat przysłałam?...  
— Że u ciebie kokieterya jest wrodzona...  
— Zawsze, po tej tajemniczej prababce — przerwała Idalka,  
uśmiechając się

mimowolnie.

— Jest wtem i nieco prawdy — mówiła dalej pani Teresa, na przerwę nie zważając —

ale dlatego właśnie, że kokieterya jest u ciebie wrodzona, a przez to samo

głęboko zakorzeniona, powinnaś tem silniej przeciwko niej walczyć, wszelkiemi

siłami starając się ją pokonać. Ty zaś, nie tylko, że tej twojej nieszczęsnej

zalotności w ryzach trzymać nie umiesz, a raczej trzymać nie chcesz, ale od

pewnego czasu, coraz więcej puszczasz jej wodze. Kocha się w tobie obecnie kilku

młodych ludzi...

— Alboż tylko kilku? obgadujesz mnie Tereniu; leur nom est légion.

— Są między tymi młodymi ludźmi — ciągnęła dalej p. Teresa — i zacni, i rozumni,

i wysokiego urodzenia, i bogaci...

— I garbaci nawet, dodać możesz — śmiejąc się, dorzuciła piękna dziewczyna.

— Pfe Idalko! to już doprawdy zakrawa na złośliwość, żeby wciągać w sidła twoich

czarów biednego, ułomnego Wadwicza. Wstydziałabyś się.

— Ja pana Wadwicza nie kokietuję.

— To on ciebie może kokietuje?

— Prawdopodobnie. Ale mów dalej, Tereniu, bo katalogu moich zbrodni nie

ukończysz, tem mniej twojej homilii, a o godzinie -ej ma twój mąż po nas

przyjechać. Niechże już raz do samego dna wychylę ten kielich goryczy.

— Masz słuszność Idalko; trzeba rzecz tę gruntownie zbadać. Chcesz mi teraz

odpowiedzieć szczerze, z ręką na sumieniu, na kilka moich pytań?

— Słucham uniżenie i nie mniej uniżenie odpowiem.

— Czy masz powołanie do życia zakonnego?

— O nie, nie mam najmniejszego. Sam widok murów klasztornych dreszczem mnie

przejmuje.

— To może pragniesz zostać starą panną?

— Nie, niekoniecznie.

— Wedle mnie, staropanieństwo nigdy nie jest powołaniem kobiety, jakkolwiek

bywa, dla istot poświęcenia żądnych, źródłem niewyczerpanych dla cierpiącej

ludzkości dobrodziejstw. Powtarzam wszakże, że to nie jest powołaniem.

— Zwłaszcza dla mnie — uśmiechając się, dorzuciła Idalka.

— A zatem dowiedzione nam jest, że nie pragniesz zostać ani zakonnica, ani starą

panną... że chcesz wyjść za mąż, i to oczywiście w najlepszych warunkach. Ceci

une fois posć, idźmy dalej. Nie licząc nawet mniejszego drobiazgu, masz obecnie

dwie, ze wszechmiar wspaniałe partye. Z dawnego rodu, dobrej używający

reputacyi, jak bożek piękny, majątny, Stefan Sulima, jednego tylko czeka

łaskawego spojrzenia, by wszystko to, wraz z sercem u nóg twoich złożyć. Masz mu

co do zarzucenia? Czy ci się nie podoba?

Idalka milczała.

— Może mi znów, jak przed chwilą, odpowiesz, gdy o pana Romana chodziło: Alboż

ja wiem?

— Jabym właśnie tak odpowiedziała... gdyby nie to, że się boję twego gniewu

Tereniu.

— To może wiesz, czy... nie mniej od Stefana Sulimy zakochany, książę Odrowąż ci

się podoba? Daje on wszystkie rękojmie domowego szczęścia. Cóż? nie odpowiesz mi

Idalko?

— A gdyby o twoją przyszłość chodziło, Tereniu, któregoś z tych dwóch wybrała?

— Dziecinne pytanie! Ja już od lat blisko dziesięciu wybór zrobiłam i przez to

samo innem zupełnie okiem na młodych ludzi patrzę.

— To zamknij oczy na chwilę, na wszystkie doskonałości twego męża, pomyśl o

moich, dopiero co przez ciebie wymienionych konkurentach i powiedz, któregoś z

nich wzięła: Stefana Sulime, czy księcia?

— Skoro żądasz szczerzej odpowiedzi, to ją masz: z tych dwóch, wzięłabym...

trzeciego.

— Pana Romana Gozdawę, naturalnie.

— Naturalnie.

— Wiec stanowczo, nieodwołalnie radzisz, Tereniu, abym raz na zawsze zaniechała

harcowania po salonach z pochodnią kokieteryi w ręku, jak twój mąż mówi, i to

wielce miłe... harcowanie zamieniła na łańcuch, złoty wprowadzie, ale nie mniej

zawsze łańcuch, małżeńskiego jarzma?

— Tak jest, drogie dziecko; jest to moja stanowcza, nieodwołalna, ale i

serdecznie macierzyńska rada. Czy masz zamiar zastosować się do niej ?

— Na to jeszcze odpowiedzieć tak od razu nie mogę, ale rozmowy naszej nie

zapomną; będę nad nią rozmyślać; wypróbuję własne siły, własne serce zbadam do

samego dna, do każdego zajrzę tam zakątka; a może i Bóg da, że za jakie dwa lub

trzy tygodnie, będę ci mogła dać ostateczną decyzję. Tylko mnie zbytecznie nie



naglij, moja Tereniu; miej wzgląd na tę moją, po prababce  
odziedziczoną,  
knaźbrną naturę i powiedz sobie, że natury tej nie potrafię tak od razu,  
na  
zawołanie przerobić. Za jedną tylko rzecz ręczyć z góry mogę, to, że  
niegodnego  
wyboru nie zrobię; niechże więc twoje poczciwe serce zbytnio się nie  
frasuje.  
Ostatnie słowa te, wyrzekła Idalka zniżonym nieco, drżącym od  
wzruszenia głosem.  
Oczy starszej siostry zapęłniły się łzami, uściskała ją serdeczniej  
jeszcze niż  
zwykle i dodała:  
— Pamiętaj Idalko, że namawiając ciebie do zameścia, największy  
daję ci dowód  
mego przywiązania; zaręczyć ci bowiem mogę, że pomimo  
ubóstwianego męża i  
ukochanych moich dzieciątek, niewypowiedzianie pusto i smutno mi  
będzie, gdy mi  
drogiej obecności twojej nie stanie, po tylu latach wspólnego z tobą  
pożycia.  
Na dobre rozrzewnione siostry, byłyby prawdopodobnie, na tę smętną  
nutę dłużej  
jeszcze treny wywodziły, gdyby nie wejście pana domu. Oświadczył,  
że powóz  
zajechał, konie się rwą, słońce przepysznie świeci, i że trzeba  
czempędzej  
zbierać się na umówiony od dawna spacer.

## II.

Tego samego wieczora zapowiedziany był olbrzymi bal u prezesowej  
X. Chcąc  
siostrze dowieść, że ranną rozmowę szczerze do serca wzięła, panna  
Idalia

wsiadła do powozu z najmocniejszym postanowieniem dotrzymania danej obietnicy, wrodzonej kokieteryi wodzów nie puszczając. Na samym atoli już wstępie, gdy przechodząc około olbrzymiego zwierciadła, ustawionego wśród rozmaitych krzewów w przedpokoju prezesowej, ujrzała w niem wspaniałą swą postać, w powiewnej pąsowej sukni, bez koronek, bez kwiatów, bez klejnotów, z wyjątkiem jednego dużego brylantu, nad śnieżnym czołem pięknej dziewczyny, wśród kruczych jej splotów, ciskającego świecące płomienie, gdy wszedłszy do pierwszego salonu, od razu, niby rojem motyli, otoczona została całą młodzieżą, od godziny z gorączkowym upragnieniem oczekującą jej przybycia, Idalka z niekłamanem zakłopotaniem szepnęła do siebie: "Ciekawa jestem doprawdy, jak ja sobie pocznę, żeby dziś nie kokietować nikogo?" Tuż obok niej stojąca siostra, niemal te same powtarzała w duszy słowa: "Nigdy może tak piękną jeszcze nie była, jak właśnie dziś wieczór! Jakżeż tu od niej żądać, aby od razu się zmieniła? cudu na to by trzeba. Należy więc być wyrozumiałą i cierpliwą." W cichości ducha wymówione wyrazy pani Teresy: "Nigdy może tak piękną jeszcze nie była, jak właśnie dziś wieczór," już nie w cichości serca, ale na głos, i to głosem pełnym zachwyty u mężczyzn, u kobiet zaś pełnym źle tajonej zazdrości, powtarzała cała, od ludzi rojąca się sala. Od razu w wir tańca porwana, jak po firmamencie spadająca gwiazda, szybowała panna Idalia na lśniącej posadzce, wszystkie zwracając na

siebie oczy.

Nie mogący się dotąd w żalu utulić, odrzucony zeszłoroczny konkurent, pan Henryk

Radwan, wsparty o marmurowy komin, rozpaczliwym wzrokiem śledził każdy ruch dziewczyny.

Śledził ją również oczami pan Roman Gozdawa, i to oczami tak rzewnym

przepelnionym smutkiem, że zdjęta litością, nad człowiekiem, którego wysoko

cenila i lubila szczerze, pani Teresa, usiadła przy nim.

— Cóż pan porabia, kochany panie Romanie?

— Porabiam to samo co zawsze, moja łaskawa, dobra pani: patrzę na pannę Idalię.

Jeszcze wypiękniała od zeszłego roku. Niech to tak jeszcze jakiś czas crescendo

pójdzie, to z końcem bieżącego karnawału zabraknie miejsca u Bonifratrów, cała

bowiem nasza młodzież kwalifikować się będzie do obłąkanych.

Pan Roman mówił to niby żartem, ale sztuczna ta wesołość, stokroć była

smutniejszą od prawdziwego smutku.

— Nie mogę nie przyznać, choć to moja rodzona siostra, że Idalka jest bardzo

ładna.

— Bardzo ładna! niech pani raczej powie od razu: szalenie piękna!...

Mój Boże!

komuż ten klejnot się dostanie? żeby choć w dobre wpadł ręce!

— Gdyby wybór od mojej woli zależał, wiem w czyichby rękach nasz "klejnot"

spoczywał.

I to mówiąc, pani Teresa podała panu Romanowi rękę, którą on z serdecznym

uszanowaniem ucałował, z wzrastającym walcząc wzruszeniem.

Widząc to, mimowoli, a może i bezwiednie pani Teresa dodała półgłosem:

— Dałabym dziś dziesięć lat życia, wierzaj mi pan, żeby Idalka za pana poszła.

— A cóżby na takie szafowanie latami powiedział mąż pani? coby powiedziały dzieci? Do nich, nie do panny Idalii, życie pani należy, a oni, chwała Bogu,

umieją własność swoją cenić, tak jak i szczęście swoją cenią.

W chwili tej, wiedziona silnem ramieniem najlepszego w sali tancerza, Stefana

Sulimy, w wirze porywającego walca przeleciała Idalka tuż obok siostry i pana

Gozdawy. Uśmiechnęła się do pani Teresy; na towarzysza jej, nie śmiała wszakże

spojrzeć, przypomniawszy sobie nagle, daną siostrze obietnicę, że "wrodzoną

kokieteryi w ryzach odtąd trzymać będzie"; srogą atoli było to dla niej ofiarą,

nie móż się odwdzięczyć, choćby tylko uśmiechem, za wejrzenie pełne miłości i

niewysłowionego żalu, jakim ją pan Roman obrzucił. Tenże po chwili milczenia,

drżącym nieco głosem zapytał:

— Czy pani sądzi, że nasz klejnot do skarbca Sulimów się dostanie?

— Otóż, że nie wiem. Ta to właśnie ciągła niepewność, tak srogo mnie dręczy. Gdy

mi się dostrzedz zdaje, że ten lub ów, zawsze, dzięki Bogu, człowiek zacny i

uczciwy, bardziej od innych Idalce się podoba, pytam się jej o to w cztery oczy;

wówczas, odpowiada mi zwykle: Alboż ja wiem? Zniecierpliwiona i zagniewana,

odpowiedziałam jej niedawno, że ją ludzie przezwać powinni: Panną "Alboż ja

wiem". Tymczasem, starannie sytuację zbadawszy, dochodzę zwykle do jednego tylko rezultatu, mianowicie, że nawet się nie spostrzegła, jak tego lub owego większa odznaczyła życzliwością. Gdy ją o to łagodnie strofuję, odpowiada mi z nieklamaniem zadziwieniem, że ona wcale nie myślała, aby ją to do czegokolwiekbądź zobowiązywało.

— To może dowodzi, prócz wrodzonej chęci przypodobania się, iż w niej serce na dobre jeszcze się nie zbudziło. Gdy raz się zbudzi na prawdę, kokieterji! usunie się sama z siebie na drugi plan. Iskry zginą przed płomieniem. Zdaje mi się, że jej do stanowczego wyboru naglić nie trzeba.

— Ja jej też nie naglę, broń Boże, tylko się o jej przyszłość niepokoję i martwię. Serce ma ona złote, ale czy jemu czasem zalotność nie nakazuje milczenia? zalotność z natury wymowna.

— A serce z natury nieśmiałe — dodał pan Roman.

— Toż właśnie dlatego nie należy go tłumić.

Uroczej dziewczyny postać, znów koło nich frunęła, już nie ze Stefanem Sulimą, ale wsparta na ramieniu księcia

Odrowąza. Tym razem już nawet i na siostrę Idalka nie spojrzęła; księżę wyglądał rozpromieniony.

— To już chyba on! — równocześnie zawołali pani Teresa i pan Roman, tylko z różniącym się w głosie wrażeniem.

Nastała cli wila milczenia; lecz wnet dostrzegłszy wyraz srogiego bólu na twarzy towarzysza, pani Teresa chcąc go pocieszyć, dodała półgłosem:

— Kochany panie Romanie, wierzaj mi, że jakkolwiek bardzo cenię księcia  
Odrowąza, panu oddałabym Idalkę ze stokroć spokojniejszym sercem.  
— Bo pani, tem właśnie złotem sercem czuje, że poświęciłbym życie dla  
zapewnienia jej szczęścia.  
Byliby tak prawdopodobnie do białego dnia o Idalce oboje  
rozmawiali, gdyby się  
nie była do nich zbliżyła prezesową, prosząc do przyległego pokoju na  
herbatę.  
Idalka tymczasem, coraz natarczywiej o stanowczą odpowiedź przez  
księcia  
naglona, z iście niewieścim sprytem, w coraz to inny kierunek  
zwracała rozmowę,  
najrozmaitsze zadając pytania, na które sama grzeczność nakazywała  
odpowiadać;  
zwolna wszakże, zaczął się i ten zasób pytań wyczerpywać, a tu księżę  
coraz  
żywiej docierał. Już mu się znów z drżących ust wyrazy miłości  
wyrywać  
zaczynały; i już Idalka, jak rybka w sieć złapana, z bijącym od trwogi  
sercem  
szukała wyjścia, by się ustrzedz od owej chwili, mającej o całej  
przyszłości jej  
ostatecznie rozstrzygnąć. Nagle wpadło jej na myśl zapytać się,  
dlaczego nie  
widzi na balu pana Wadwicza, z którym wiedziała, że księżę w ścisłej  
jest  
zażyłości.  
— To pani nie wie dotąd — odrzekł księżę — że szwagier Wadwicza  
umarł dziś po  
południu?  
— Jakto! — z przerażeniem zawołała Idalka — pan Paweł umarł, a tu  
nikt o tem  
nawet nie wspomniał. Jakżeż to być może?  
— Otóż Wadwicz, jak pani wiadomo, wielki przyjaciel prezesowej,  
uie chcąc

spokoju jej mąć w sam dzień zapowiedzianego u niej balu, tylko  
najbliźszym z  
rodziny o śmierci

szwagra doniósł, usilnie prosząc, aby o tem do jutra rana, a raczej do  
dziś  
rana, bo już jest druga po północy, nie wspominali nikomu. Żałuję  
mocno, że i  
ja polecenia tego ściślej się nie trzymał, widzę bowiem z przykrością,  
że panią  
wiadomość o zgonie pana Pawła mocno wzruszyła.  
— O tak! wzruszyła i zasmuciła szczerze. Biedna, nieszczęśliwa pani  
Pawłowa! co  
ona teraz pocnie z pięciorgiem drobnych dzieci? Szczęściem jeszcze  
dla niej, ma  
brata, który jej z pewnością nie opuści i serdeczną otoczy opieką.  
— Otóż właśnie, że pani w tem się myli. Wadwicz wyjeżdża za  
tydzień do  
Australii.  
— Dokąd? — zapytała Idalka, szeroko oczy roztwierając.  
— Do Australii. Pani musi, z nie tak dawno jeszcze porzuconej  
geografii,  
wiedzieć mniej więcej, w której części półkuli leży Australia?  
— Mniej więcej wiem i właśnie dlatego, że wiem, trudno mi  
przychodzi wieści tej  
uwierzyć. Zkądże to raptem panu Wad wieżowi przyszło? Nigdy o tak  
dzikim  
zamiarze przed nami nie wspominał. Tam musi być jakaś tajemnica.  
— Prawdopodobnie jedna i ta sama tajemnica, która i mnie, i wielu,  
wielu innych  
lada dzień zapędzi gdzieś na fale oceanu, albo na pustynie Sahary;  
tajemnica ta  
zowie się rozpacz. Czy pani czasem sądzi, że Opatrzność odmówiła  
Wadwiczowi  
serca, dlatego, że mu dała garb?

— Nie, tego nie sędzę — przejętym głosem odrzekła Idalka. — Ale ta nieszczęsna pani Pawiowa! nie mogę o czem innem myśleć i trudno byłoby mi doprawdy, dalej tańcować. Niech mnie książę odprowadzi do siostry; musi tam być gdzieś nie daleko.

— Siedzi tuż obok w salonie i z Romanem Gozdawą (ten także kwalifikowałby się do Australii) piją herbatę.

I to mówiąc, książę rękę podał towarzyszcze.

— O śmierci pana Pawła wspominać nie będziemy — rzekła Idalka, przechodząc do drugiego pokoju — po co zasnucać moją siostrę? W domu dopiero o tem jej powiem; ona wszystko tak żywo bierze do serca.

Po chwili siedzieli około małego stoliczka, pani Teresa, jej siostra, pan Roman

Gozdawa i książę Odrowąż. Nie bez zdziwienia, niemal z pewnem zbudowaniem,

patrzała Terenia na siostrę, radując się w głębi duszy, że ich ranna rozmowa tak

świetny odniosła skutek, bo kokieterya stanowczo "w ryzie trzymaną była."

Wpatrując się w śliczne, zamyślane oblicze Idalki, szepnęła sobie w duszy, że

prawdopodobnie stanowczą dała księciu odpowiedź, że jest "po słowie" z nim, i że

to nadaje jej niezwykły, a dziwnie rozpromieniony spokój.

Potwierdzała ją

jeszcze w tem przypuszczeniu blada twarz i nad wszelki wyraz smutne oczy pana

Romana: żal jej się go zrobiło serdecznie; ale z drugiej strony, jakżeż nie



miała się radować, że wreszcie ukochana ta, aczkolwiek nieco lekkomyślna siostra, stanowczy, i to ze wszechmiar świetny i dobry zrobiła wybór.

### III.

Nazajutrz po balu u prezesowej, spełniwszy sumiennie wszystkie w obec dzieci i domu obowiązki, pani Teresa spokoju i milczenia żadna, o szarej godzinie wyciągnęła się na szezłagu w saloniku. Na przemian marząc, to o siostrze, idącej do ołtarza w ślubnej sukni, raz z panem Romanem Gozdawa, to znów z księciem

Odrawązem, to o dziecinnym pokoju, gdzie jakiś ważny łagodziła spór między

Andziunią a młodszym o dwa lata braciszkiem — aż wreszcie zdrzemnęła się na

dobrze. Po jakiej godzinie zbudziło ją lekkie skrzypnięcie drzwi; otworzywszy

oczy, ujrzała przed sobą siostrę w kapeluszu i futerku.

— Wychodzisz, Idalko ? — zapytała, otrząsając się ze snu.

— Nie; wracam. — I to mówiąc, zrzuciła z siebie płaszczyk i kapelusz i

przysiadła się do szezłagu, tuż obok siostry, na niskiej ławeczce.

— Zkądże wracasz?

— Od pani Pawiowej.

— Ach! biedna kobieta! w okropnym musi być stanie.

— W okropnym. Powiadam ci Tereniu, że jej nagle, co najmniej dziesięć lat przybyło.

— I to w takiej chwili, po takim nieszczęściu! — z oburzeniem w głosie rzekła

pani Teresa — jedna pozostająca się nieszczęsnej kobiecie pociecha,  
jedyna  
opieka, rodzony jej brat, opuszczają, wyjeżdża, ucieka. I to dokąd? Do  
Australii. I to dlaczego? bo w ładnej dziewczynie się zakochał. Po  
francuzku  
zowie się to: un franc égoïste. Ale lepiej nie mówmy o nim, bo we  
mnie cała krew  
się burzy. Powiedz mi raczej co więcej o pani Pawłowej; tak mi jej  
serdecznie  
żał, zwłaszcza, odkąd się dowiedziałam, że ją brat w nieszczęściu  
opuszcza.  
— Jeszcze ci jej serdeczniej żał będzie, Tereniu, jak się o wszystkim  
dowiesz.  
Sluchajże więc. Krótco przed śmiercią, której tak rychło ani on sam,  
ani doktor  
się nie spodziewał, pan Paweł, widząc, że stan ich majątku z dnia na  
dzień się  
pogarsza, w sekrecie postanowił, w jakiejś olbrzymiej, giełdowej  
spekulacyi,  
szczęścia spróbować. Spekulacyi tej, naturalnie, że ci nie wytłomaczę,  
bo jej  
naturalnie nie rozumiem; dość ci wiedzieć, że w interes ów włożył  
wszystko, co  
im się jeszcze zostawało, i że w ciągu paru dni... wszystko stracił.  
— Święty Boże! Ależ to chyba ostatnia nędza zagraża wdowie i  
dzieciom, bo o ile  
pamiętam, pani Pawłowa posagu nie miała. On z nią z miłości się  
ożenił, wbrew  
woli rodziców.  
— Ale to jeszcze nie koniec, Tereniu — mówiła dalej Idalka — są  
rzeczy gorsze od  
nędzy; słuchaj tylko. Pozostały po panu Pawle długi honorowe, tego  
rodzaju  
długi, że je żona spłacić musi, jeśli chce pamięć męża od wszelkiej  
uratować  
skazy.  
— Rozumiem to. Ale długi te czymże ona spłaci?  
— Dał jej na to brat pięćdziesiąt tysięcy reńskich.

— A! przecież! odnajduję zwolna mego dawnego Wadwicza! Ale na miły Bóg, wytłómaczże mi Idalko, dlaczego człowiek, mający tak zacne serce, wyjeżdża, i to w chwili, gdy sama przyzwoitość, jeżeli już pominiemy milczeniem wszelkie braterskie uczucie, wymagałaby, aby siostry nie opuszczał"

choćby tylko w początkach jej wdowieństwa? Dlaczego Wadwicz wyjeżdża, i to jeszcze do Australii, na sam koniec Bożego świata, jeśli w ogóle Australia jeszcze do Bożego świata należy? To do Wadwicza, bądź co bądź, nie podobne.

— I o tera mogłabyś się dowiedzieć, Tereniu — z uśmiechem rzekła Idalka — gdybyś mnie tylko do dłuższego słowa dopuścić chciała, — Masz rację, Idalko; przepraszam cię stokrotnie. Mów dalej, mów prędko; już ci przerywać nie będę.

— Otóż, pan Wad wież, spłaciwszy honorowe długi szwagra, musi jeszcze zapewnić środki do życia siostrze i dzieciom jej; pani Pawiowej bowiem, pozostaje wszystkiego tysiąc reńskich dochodu z odziedziczonego po rodzicach kapitaliku.

Przyznasz, qu'on ne va pas loin avec cela, zwłaszcza jak się ma pięcioro dzieci, z których najstarsze ma zaledwie lat dziewięć. Otóż pan Wad wież, oddaje drugie piętro swego domu siostrze; zapewnia jej prócz tego trzy tysiące reńskich dochodu, co wraz z jej tysiącem umożliwi, skromną wprowadzić, ale przyzwoitą pani Pawiowej egzystencję. Sam zaś wyjeżdża do Australii na lat kilka...

— Zawsze, w skutek miłosnej rozpacz — mimowolnie wtrąciła pani Teresa.

— Miałaś mi nie przerywać, Tereniu; takim sposobem nie dojdziemy nigdy do końca.

— Jeszcze raz pokornie przepraszam, siostrzyczko; nie gniewaj się i mów dalej.

— Nie zapomniałaś może wizyty w Iglówce przeszłej jesieni, owego dziwnie  
intelligentnego, osiadłego w Australii, angielskiego inżyniera, którego  
nam pan

Wad wież przywiózł?

— Spodziewam się, że pamiętam! siedzieliśmy do drugiej po północy,  
zachwyceni

jego porywającymi obrazami z australskiego życia. Gdyby nie ja i  
dzieci, to

bodaj czyby nie był mego męża z sobą do Melbourne porwał.

— Otóż, interesujący Australczyk ten, żegnając się na wyjeździe z  
panem

Wadwiczem powiedział mu: "Proszę pa-

miętać, że jakby kiedy się znalazł w waszym tak sympatycznym kraju,  
człowiek

energiczny, intelligentny, pracowity, chcący się dorobić, w krótkim  
stosunkowo

czasie, majątku, to mi go bez zapytania się do Melbourne przyslijcie,  
a ja wam

go po kilku latach odeszłę, jeśli nie milionerem, to bezwątpienia ze  
znacznym  
majątkiem".

— Może mi jeszcze powiesz, Idalko, że Wadwicz wybiera się do  
Melbourne, żeby...

— Tak jest Tereniu, żeby wrócić milionerem — dokończyła za nią  
Idalka — i żeby  
milionami temi, choćby tylko krociami, zapewne los dzieci pani  
Pawiowej.

— A to mi dopiero kochany człowiek! — z uniesieniem zawołała pani Teresa. — Ależ

za to w złote ramy go oprawić!

— A widzisz Tereniu, co to jest zbyt płocho o ludziach wydawać sądy! Dopieroś pana Wadwicza napiętnowała mianem d'un franc égoïste, a teraz chcesz go już w złote ramy oprawiać. Przyszła wreszcie "kreska na Matyska", i oto ja, tej mojej arcyrozsądnej, arcydoskonałej siostrze morały prawić mogę, i to jeszcze morały zasłużone.

— Masz świętą rację, Idalko: moja wina, moja bardzo wielka wina. Niechno tylko

Wadwicz do nas przyjdzie, rzucę mu' się na szyję. Większego zadośćuczynienia chyba odemnie żądać nie będziesz?

— Ale na tem jeszcze nie koniec twoich niespodzianek, Tereniu.

— Cóż jeszcze ? może Wadwicz zabiera z sobą do Australii wszystkich twoich przeszłorocznych i tegorocznych konkurentów, jeśli nota bene na jakimś statku taki tłum pomieścić się zdoła? Trzebaby Lewiathana na to.

— Nie; niedołęgi te nie chcą z nim jechać. Widzisz więc, moja Tereniu droga, że ich rozpacz miłosna nie jest na wysokości, ani tak długiej przeprawy, ani tak długiej morskiej choroby. Ale dlatego, pan Wadwicz przecież nie zupełnie sam do

Australii wyjeżdża. Kogoś z sobą zabiera.

— Naprawdę? kogóż takiego? Bardzom ciekawa.

— Mnie z sobą zabiera — z prostotą odrzekła Idalka. Pani Teresa chciała się zaśmiać serdecznie, ale było coś w głosie jej siostry, w wyrazie twarzy jej, co

dowodziło wymownie, że o żartach w tej chwili nie myślała.

— Idalko! — zrywając się z miejsca, zawołała pani Teresa. — Jak ty możesz

spokojnie takie niedorzeczności mówić? spodziewam się, że żartujesz, albo że ja

źle słyszę — i to mówiąc, siła się na śmiech.

— Nie, Tereniu moja złota, ani źle słyszałaś, ani ja żartuję. Idę za wyraźnym

dziś już głosem mego serca, oddając rękę najzaciejszemu,

najlepszemu,

najrozumniejszemu człowiekowi, jakiego kiedykolwiek Bóg stworzył.

Może pojmiesz

teraz, dlaczego tak długo ociagałam się z przyjęciem mnogich małżeńskich

propozycją, któremi zaszczyconą zostałam w tych czasach. Od dawna już

wiedziałam, że pana Wadwicza lubię i wysoko cenię; dziś

zrozumiałam... że go

kocham.

— Nie, to być nie może! ja temu nie uwierzę nigdy! — wołała pani Teresa, nie

mogąc z myślą tą się pogodzić. — Nie przeczę ja bynajmniej, że

Wadwicz jest

rozumny, i dobry, i szlachetny, ależ, Idalko, moja jedyna, on przecież jest...

ułomny.

— I cóż z tego? ani dusza jego ułomną nie jest, ani rozum, ani serce.

Tembardziej mnie on kochać będzie; chcesz zaś wiedzieć, Tereniu, czy mnie kocha,

i jak mnie kocha? Oto, gdy mu powiedziałam, wyraźnie (bo ja mu się oświadczyłam,

nie on mnie), że chcę być jego żoną, z nadmiaru radości... zemdłał.

Ledwieśmy

się go docucili.

Lecz i ten dowód przywiązania, jeszcze pani Teresy przekonać nie

mógł; z jakimś

nerwowym pośpiechem mówić znów zaczęła:

— Gdyś się do naszego stolika na wczorajszym balu przysiadła,  
Idalko, szyję  
byłabym dała, że jesteś po słowie z księciem Odrowążem. On  
wyglądał  
rozpromieniony.

— To już doprawdy nie wiem, dlaczego.

— Ty zaś, byłaś spokojniejsza, swobodniejsza, niż zwykle,  
z odcieniem jakiejś wewnętrznej błogości; a co więcej, byłaś mniej...

— Mniej kokietująca? — śmiejąc się, przerwała Idalka. —

Czy tak, Tereniu?

— A tak. I to właśnie najwięcej mnie może zastanowiło.

Tego samego widocznie doznał wrażenia i biedny pan Roman,  
którego blada twarz i

rozpaczliwy wzrok ścigały mnie potem cała noc we śnie. Wyglądałaś  
tak

niewypowiedzianie szczęśliwa, żeśmy oboje, pan Roman i ja, do tego  
samego doszli

wniosku, t. j. że coś stanowczego w życiu twojem zajść musiało.

— I dobrzeście zgadli, zbłądziwszy tylko co do przedmiotu tego  
szczęścia.

Przysiadając się do waszego stolika — mówiła dalej, z niezrównaną  
prostotą

Idalka — właśnie postanowiła ty była, w cichości duszy, zostać żoną  
pana

Wadwicza i z nim do Australii popłynąć. Nie szlachetne poświęcenie  
jego dla

siostry, skoro o poświęceniu tem nic jeszcze nie wiedziałam, ale  
doznany głęboki

w mem sercu ból, na samą myśl kilkoletniego z nim rozstania,  
przekonały mnie

wyraźnie o całej głębokości, o całej prawdzie mego przywiązania do  
niego. Chwila

ta, była istnem dla mnie, choć nie zupełnie niespodziewanem  
objawieniem;

oddawna, bezwiednie tlejące we mnie uczucie, na wczorajszym balu  
wydostało się  
nagle na wierzch, serce całe zalewając. Jasno wówczas ujrzałam, że  
jeśli tak  
uporczywie odrzucałam polecane mi przez ciebie, zwykle świetne,  
nieraz nawet  
sympatyczne partye, to dlatego, że nieświadomie jeszcze, ale nie  
mniej  
rzeczywiście, już serce moje do mnie nie należało. Wszystko to snąc,  
przebijało  
wczoraj na mojej twarzy, skoroście oboje, ty i pan Roman, wyczytali  
na niej  
spokój i swobodę, nadane stanowczem postanowieniem; tylko  
pomyliliście się,  
powtarzam, co do osoby elekta. Dziś, Tereniu moja droga, wiem, że  
oddawna, choć  
bezwiednie, kocham pana Wadwicza. Przyznaję, że gdybym poszła za  
Stefana Sulimę,  
miałabym egzystencję niezaprzeczenie świetniejszą, oraz szersze pole  
na  
długoletnie jeszcze harcowanie po sal-

nach z pochodnią kokieterii w rękę; niemniej ci przyznaję, że oddając  
rękę,  
bardzo zresztą cenionemu przezemnie księciu Odrowążowi,  
najszlachetniejsze moje  
ambicję, tak dla niego jak i dla siebie, zadowolone byćby mogły. Ale  
co wiem  
nadewszystko, to, że zostając żoną pana Wadwicza, rozpocznę  
całkiem inny żywot:  
zaciejszy, lepszy, godniejszy kobiety i chrześcianki. Powiedział mi  
raz pan  
Wadwicz, dawno już temu, że wziął sobie za godło życia wyrazy:  
Sursum corda;  
odtąd, biorę i ja to za godło; czy znajdujesz, że źle robię, Tereniu?



Zacna dusza pani Teresy szeptała jej pocichu, choć wyraźnie, że siostra robi rozumnie, dobrze, że powodowana jest szlachetnem, wniosłem uczuciem — lecz przekonania tego ani całkowicie przyjąć nie chciała, ani go zwłaszcza w słowach ująć nie mogła. Rzuciła się więc tylko, płacząc, siostrze na szyję. Idalka uściskała ją całym sercem, ale bez łez. — Czego płaczesz Tereniu? Zastanówże się tylko chwilę. Nie dalej jak wczoraj rano, nagliłaś mnie "prośbą i groźbą" abym raz już wreszcie ostateczny zrobiła wybór. Prosiłam o dwa tygodnie czasu do namysłu. I oto, zamiast czekać dni piętnaście, zaraz w następny dzień po tej naszej rozmowie, usłuchałam twojej rady, i jestem po słowie z człowiekiem, któremu nic zarzucić nie możesz, zupełnie nic... prócz garbu. Ostatnie słowa wymówiła z prostotą i spokojem, świadczącemi, że raz rzeczywistości w oczy spojrzawszy i tę rzeczywistość przyjąwszy, powzięła stały zamiar widzenia jedynie dodatniej strony życia. Ale pani Teresa, bądź co bądź, na żaden wyraz zdobyć się nie mogła. Młodsza siostra ujęła serdeczną dłonią obie jej ręce. — Nie sądź, moja Tereniu, abym ja w twojem milczeniu widziała żal do mnie lub naganę. Przeczekał spokojnie to pierwsze, nieco przykre u ciebie wrażenie; nie minie dużo czasu, a pewna jestem, że przejdiesz do mego obozu. Pan Wadwicz jest gruntownie religijny; sama mi to nieraz ze zbudowaniem mówiłaś. Lepsze, szlachetniejsze bije w nim serce,

niż u któregoś z moich konkurentów. Ród jego sięga  
najdawniejszych wieków.

Rozum ma niepospolity, i jak mawia twój mąż: najlepszego gatunku;  
wszystko

rozumie, wszystko wie, wszystko zgłębił, a pomimo tej swojej  
wyższości... może

właśnie, dzięki wyższości tej... sąd jego o ludziach jest pełen  
wrozumiałości,

pełen z dobrego serca pochodzącego pobłażania.

— Jak mi Bóg miły, Idalko, tyś w nim na prawdę zakochana! — ze  
wzruszeniem

zawołała pani Teresa.

— Oczywiście, że na prawdę. Czy myślisz, że gdybym zakochaną nie  
była, poszłabym

za pana Wadwicza?

— Ale co powie na to świat? znajomi, przyjaciele nasi? a zwłaszcza  
co powiedzą

adoratorowie twoi?

— Przyznam ci się, że z wyjątkiem pana Romana Gozdawy, ten  
bowiem na wyjątkowe w

mojej sympatii zasługuje miejsce, jest mi to dość obojętne. Gdybym  
się nie

obawiała gniewu pani siostry, dodałabym nawet, że nie bez małego  
odcienia

Schadenfreude myślę, nie tyle może o zmartwieniu ich, ile o ich  
gruntownem

upokorzeniu Każdy taki pewny zwycięstwa, jakkolwiek żadnemu z  
nich rzeczywistych

do tego nie dałam powodów! Zwłaszcza Stefan Sulima; ten bo jak  
paw kroczył

wczoraj po sali u prezesowej. Toż samo i księżę Odrowąż, choć u  
niego

zarozumiałość trzymana jest w karbach rodowej dystynkcji. Mais le  
diable n'y

perd rien, za to ci ręczę, Tereniu.

— Jedno jeszcze radabym ci zadać pytanie, moja Idalko, gdybym pewna być mogła,  
że o to na mnie gniewać się nie będziesz.

— Cóż takiego? mów bez obawy; odpowiem szczerze, a co do gniewu, dziśbym się na  
samego Bismarka, a cóż dopiero na ciebie, Tereniu, gniewać nie mogła.

— Więc kiedy tak, to moją dziecko drogie, co ty poczniesz z twoją "wrodzoną  
kokieterią" w Australii? To mnie niepokoi po trochu.

— Już i ja o tem myślałam — śmiejąc się odrzekła; Idalka. — Ot! wiesz co zrobię  
? Kokieterię moja, wraz z niefortunnym dziedzictwem owej, od lat kilku  
pokutującej we mnie prababki, na pastwę rzucę australskim wielorybom. Pytanie  
tylko, czy niestrawności z tego nie dostaną.

#### IV.

Pękająca w środku rynku miasta, dynamitowa bomba, większego nie  
byłaby wywołała  
między mieszkańcami zdumienia, niż go wywołała wiadomość, że  
najsławniejsza  
stolicy gwiazda, piękność nad pięknościami, o którą pierwsze w kraju  
ubiegały  
się partye, i ubiegały na darmo, jednym słowem, że panna Idalia  
wychodzi za  
mąż... i to... za garbusa!  
W sam rdzeń serca, a może bardziej jeszcze, w sam rdzeń olbrzymiej  
miłości  
własnej razony, Stefan Sulima, w istną wpadłszy passyę, rozgłaszał  
urbi et orbi,

że panna Idalia, najniespodziewaniej dostała pomieszczenia zmysłów, a ponieważ najlepsze zakłady dla obłąkanych znajdują się obecnie w Australii, zatem wywożą nieszczęśliwą dziewczynę do Melbourne, w towarzystwie Wadwieza, przyjaciela całej rodziny. Rozpacz księcia Odrowąza, jakkolwiek upokorzona miłość własna była i u niego główną tejże rozpaczy podstawą, trzymała się (jak to przewidziała była Idalka) "w granicach rodowej dystynkcji. " Dziwacznej wieści długo wierzyć nie chciał; gdy jej już uwierzyć musiał, nikomu się nie opowiedziawszy, nie pożegnawszy się ani z najbliższą rodziną, ani z najlepszymi przyjaciółmi, manatki spakował i wybrał się na lat kilka do Indyj, z kąd do dziś dnia znaku życia nie dał. Dwóch tylko znalazło się ludzi, uznających, że aczkolwiek, światowo rzecz biorąc, wybór pięknej dziewczyny był o tyle zadziwiający, o ile niespodziewany, umysłowo i moralnie był jednak szlachetny i dobry. Gdy pani Teresa, z serdeczną delikatnością srogą wieść tę udzieliła panu Romanowi Gozdawie, odrzekł głęboko wzruszonym głosem:

— Dotąd wiedziałem, że piękna; wiedziałem, że rozumna; wiedziałem, że wbrew pozornej lekkomyślności, dobra jest jak anioł. Teraz dopiero poznaję, że serce jej od piękności piękniejsze, od rozumu rozumniejsze. Oby im Bóg dal szczęście, na jakie oboje zasługują. Drugi, któremu wiadomość o "ekscentrycznym" wyborze Idalki, nie równała się

społecznej katastrofie, był mąż pani Teresy. Łagodnym rzekł on  
głosem do żony,  
nie mogącej się jakoś z rzeczywistością pogodzić:  
— Wadwicz garbaty, to prawda, ale na świecie całym, jak długi i  
szeroki, nie  
zdarzyło mi się spotkać człowieka ze szlachetniejszym sercem i  
zdrowszym  
rozumem. Ze z nim Idalka, nawet w Australii, zupełnie szczęśliwą  
będzie, o tem  
jestem najmocniej przekonany, tem mocniej, że jakkolwiek nie  
domyślałem się dla  
kogo od dawna ciche twoja siostra żywi uczucie, nie mniej  
widocznem dla mnie  
było, że serce jej wolnem nie jest. Instykt na wskrós szlachetnej  
dziewczyny,  
wskazał jej, gdzie najwięcej znajdzie zacności. Zawsze spokojny i  
zawsze dobry,  
Wadwicz stworzony jest na najlepszego męża, i da Bóg, najlepszego  
ojca. O czem  
mniej może przekonany jestem, to aby z Australii Wadwicz wrócił  
milionerem; ale  
mniejsza o to! Pomimo poświęconego kapitału na spłacenie długów  
szwagra i  
zapewnienie losu siostry, dosyć mu i bez tego zostanie się jeszcze  
majątku.  
Tymczasem posag Idalki, jak na drożdżach w rękach moich wzrastać  
będzie. Niechże  
i bez milionów z Australii do nas wracają; zastaną tu jeszcze spory  
mająteczek i  
brak dochodów nie zamąci im spokoju małżeńskiego pożycia.  
W tej chwili wbiegła do pokoju Idalka. Ujrzawszy szwagra, dla  
którego serdeczną  
miała przyjaźń i głębokie poważanie, uśmiechnięta i zarumieniona  
wyciągnęła do  
niego obie ręce.  
— Na tem się więc skończyło siostrzyczko: "nosił wilk owce,  
poniosły i wilka."  
To powiedziawszy, mąż pani Teresy po bratersku Idalkę uściskał.

## KOSZTEM ŻYCIA.

### I.

W ładnym salonie, przy kominku, z którego strzelał płomień żywy i wesoły, rozmawiały dwie kobiety. Zaszczycie znane obydwie, obydwie przyczyniły się nie mało do rozwoju literackiego i artystycznego życia swojej epoki, a każda w swoim zawodzie trzymała palmę pierwszeństwa. Jedna z nich malowała, druga była pisarzem; piękne to korony, trwalsze nieraz i pewniejsze od tych, które zdobiły czoło niejednej dawnej, a może i niejednej nowszej królowej. Autorka podpisywała swoje dzieła imieniem Delfiny, druga, znana, była całemu światu artystycznemu pod imieniem Oktawii St.; i w jej to salonie znajdują się obie w zimny marcowy poranek. — Powtarzam ci, moja droga — mówiła Delfina — że nikt o niczem innym nie mówi. Szał prawdziwy, furja, i gdybym sama nie była tą furją zarażona, powiedziałabym, że cały świat waryuje. Pierwszem pytaniem, jakie od każdego usłyszysz, jest: "Czy znasz Nową Armidę?". "Kto może się ukrywać pod tem zmyślonem nazwiskiem Filinasa? Co myślisz. o tej nowej gwiazdzie, która nie wiedzieć z kąd ukazała się na naszym literackim horyzoncie?" I tak dalej bez końca. Ja odpowiadam na to

wszystko półsłówkami, bo wstydzę się przyznać do mojej  
niewiadomości a jeszcze  
bardziej do mojej nieograniczonej ciekawości. Ale tutaj, między nami,  
we cztery  
oczy, wyznaję bez ogródki, że nie wiem nic o tem incognito tak  
dobrze  
utrzymanem, że mnie to korci niepospolicie i że dałabym nie wiem co,  
żeby  
wiedzieć prawdziwe nazwisko autora,

— A gdybym ja ci powiedziała? — rzekła artystka z uśmiechem —  
cóżbyś mi za to  
dała?

Delfina aż skoczyła na fotelu.

— Więc ty wiesz? — zawołała — wiesz i nic mi nie mówisz, kiedy ja  
tu siedzę od  
godziny i modłę się do wszystkich bogów pogańskich i wszystkich  
chrześcijańskich  
świętych, żeby mi pomogli odkryć to nazwisko!

— Mówże, okrutna, miej litość nademną, czyż nie widzisz, że jestem  
na mękach?

Oktawia śmiała się ciągle. Gwałtowny ten wybuch ciekawości i  
wymowy

przyjaciółki, nie zatamował jej złośliwej nieco wesołości.

Poznała się na tem Delfina, i miała niemałą ochotę rozgniewać się na  
prawdę, ale

czując instynktem, że toby jej do celu nie doprowadziło, spróbowała  
dojść do

niego pewniejszą drogą.

— Oktawio — rzekła — robisz mi na przekór; i dlaczego? Jeżeli znasz  
prawdziwe

nazwisko Filinasa, to je powiedz; jeżeli nie, nie żartuj ze mnie, bo mi  
to

drażni nerwy, żeby nie powiedzieć coś więcej.

— Dobrze! wpadamy w liryzm! czemuż nie w wiersze odrazu? Ty, co  
masz taką

łatwość, powinnyś zaraz napisać skargę na twardą nieczułość twojej przyjaciółki. Damy temu tytuł: "Do kobiety bez serca", i pošemy zaraz do gazet.

Już widzę, jak czytelnicy rzucają się z chciwością, bardzo zresztą naturalną, na ten poemat z podpisem Delfiny. Znam kobiety, które będą płakać rzewnemi łzami, zanim jeszcze kartki porozcinają, na sam widok imienia autora i tytułu wiersza.

Delfina, pomimo całej niecierpliwości, nie mogła się wstrzymać od śmiechu; ale rozdrażnienie, które radaby była ukryć przed Oktawią, zdradzało się w każdym ruchu jej drobnej ręki i nóżki, która wybijała na dywanie takt jakiegoś bardzo burzliwego agitato. Artystce żal się w końcu zrobiło przyjaciółki i całego tego próżnego wydatku nerwowych niespokojności. Postanowiła więc powiedzieć, co wiedziała; lecz

na nieszczęście mogła tylko zrobić zwierzenie bardzo niedokładne i nie spodziewała się uspokoić kilkoma słowami tę ciekawość namiętą i rozdrażnioną.

— Przedewszystkiem -- rzekła — musisz przygotować się na to, że ci wszystkiego nie powiem.

— Ej! powiesz — odpowiedziała Delfina, tonem najbardziej ujmującym, jaki znaleźć mogła w skali swojego głosu, a Bóg wie, że nie zbywało jej na takich tonach,

któremi ludzi czaruje, ile razy jej do tego przyjdzie ochota.

— Nie powiem — rzekła Oktawia. — Nie powiem, bo nie mogę. Mogę tylko



rozpowiedzieć ci, z kąd i jakim sposobem powstała ta powieść, którą  
cały świat  
podziwia; a ty, która szukasz zawsze typów nowych i nieużytych  
jeszcze przez  
naszych tuzinkowych powieściopisarzy, znajdziesz w mojem  
opowiadaniu gotowy  
przedmiot, nad którym radzę ci pomyśleć. Zanim jednak zacznę,  
muszę się zapytać  
na prawdę, czy twoja ciekawość przestanie na tem, co jej udzielić  
mogę, i czy  
nie będzie starała się wdrzeć głębiej w tajemnicę. Dałam słowo  
uczciwe i chcę  
go dotrzymać.  
— Obiecuję nie pytać się o więcej — rzekła Delfina po namyśle —  
ale wolno mi  
będzie pomagać sobie przenikliwością i doświadczeniem, władzami  
nieoddzielnymi  
od mojego pisarskiego rzemiosła. Wystarcza ci ta obietnica?  
— Wystarcza. Ale punkta przedugodne naszego układu na tem się nie  
kończą. Muszę  
jeszcze mieć twoje zdanie o Nowej Armidzie na piśmie, twoją własną  
ręką. Nie  
żądać ani krytyki, ani sprawozdania, nawet ich nie chcę, bo nie  
nadają się do  
mojego zamiaru. Potrzebuję tylko biletu w kilku słowach od ciebie do  
mnie, w  
którym udzielisz mi wrażenia odniesionego po pierwszym  
przeczytaniu Armidy.  
Naturalnie musisz się podpisać wszystkiemi literami. Takiego biletu  
potrzebuję  
natychmiast... Obok siebie masz na stole wszystko, czego ci potrzeba  
do pisania.  
— Czy ten autograf jest warunkiem sine qua non?  
  
— Jednym z warunków, bo oprócz niego postawię ci jeszcze parę  
innych.

— Jesteś stworzona na żonę jakiego ministra, moja Oktawio, i gdyby nie to, że owa zagadka ukryta pod tak dziwnym pseudonimem i pod tak oryginalnym stylem, rozciekawia mnie do najwyższego stopnia, zostawiłabym cię na lodzie z twojami punktami przedugodnemi. Ale cóż robić, ciekawość bierze górę. Stawiaj odrazu swoje ultimatum, potem napiszę ci bilet.

— Broń Boże, bilet muszę mieć w tej chwili. Delfina siadła do pisania.

— Oto go masz — rzekła po chwili — niczego nie brakuje, moja myśl, moje pismo i mój podpis.

— O ten chodzi mi najwięcej — odrzekła z uśmiechem artystka, składając bilet i przykładając na nim pieczętkę. — A teraz podpisz.

Delfinie niecierpliwość zaczęła uderzać do głowy; położyła adres Oktawii S. ręką cokolwiek niespokojną i drżącą.

— Doskonale, właśnie czego mi potrzeba, pismo zaniedbane, pospieszne.

— Powiedz odrazu, nerwowe, namiętne, co ci się podoba, ale przejdźmy raz do rzeczy.

Oktawia śmiała się, pokazując ząbki białe, jak perły, wzięła bilet, a złamawszy pieczętkę, czytała co następuje:

"Dzień dobry, moja droga! Śmiałam się wczoraj z ciebie i z twojej gorączki po przeczytaniu Armidy. Dziś sama mam sto pięćdziesiąt pulsacyi na minutę, a obok mnie leży książka z kartkami drżącemi jeszcze od drżenia mojej ręki. Jesteś

pomszczona. Ten, kto tę powieść pisał, ma więcej niż wielki talent, ma wielkie

serce. Jeżeli kiedykolwiek będzie mi dano spotkać Filinasa, rzucę mu się na

szyję — tymczasem faute de mieux rzucam się w twoje objęcia."

Pod spodem było imię i nazwisko Delfiny.

— Wybornie — rzekła Oktawia, wsuwając napowrót bilet w kopertę.

— Nie wiem, czy uważasz — odparła Delfina — że od godziny ja ustępuję wszystkim  
twoim zachceniom i miałabym ochotę powiedzieć: kaprysom, kiedy ty  
nie ustąpiłaś

mi jeszcze w niczem. Zkąd to może pochodzić?

— Ztąd, że mam cię w mojej mocy, genialna przyjaciółko. Twoja  
ciekawość autorska

oddala mi cię ze związanymi rękami na łaskę lub niełaskę.

— A ty korzystasz z tego bez najmniejszego skrupułu, moje dziecko.

Starsza od swojej przyjaciółki o jakie lat dziesięć, często Delfina  
nazywała ją

swojem dzieckiem. Robiła to umyślnie, czyli przypadkiem, nie  
wiemy. Ale Oktawia,

która od dzieciństwa nie miała matki, a która w skutku już to swojego  
charakteru, już niezależnego stanowiska artystki, od młodości nie  
zaznała była

nigdy czułości i przywiązania żadnej kobiety, Oktawia bez swojej  
wiedzy może,

doznawała zawsze pewnego wzruszenia, ilekroć usłyszała tę nazwę  
dziecka,

zastosowaną do siebie. Słowo to dawało jej, jak żeby przeczucie  
jakiejś czulej

opieki, której nigdy nie znała, a na dźwięk jego ruszał się w jej sercu  
rój

mglistych wspomnień i tęsknot nieokreślonych.

— I cóż — rzekła Delfina — zadumałaś się o niebieskich migdałach,  
może stawiasz

jakie zamki na lodzie, zamiast...

Tym razem przenikliwość autorki wpadła na fałszywe domysły.

Oktawia

przyzwyczajona panować nad swojemi uczuciami i wrażeniami,  
wróciła niebawem do

wesołego tonu rozmowy.

— Mam jeszcze jeden postawić warunek, a potem już bez przeszkody puścimy się z

rozwinętymi żaglami na ocean mojej romantycznej powieści. Być może, że nigdy w

życiu nie spotkasz Filinasa. Jeżeliby jednak wypadek jaki nieprzewidziany...

Tu lekkie uderzenie do drzwi przerwało artystce.

— Oto masz, jaka fatalność ściga nas w stanowczej chwili. Drzwi się otwarły i

weszła przez nie młoda dziewczyna

w żalobie; spostrzegłszy, że Oktawia nie była samą, chciała się cofnąć, ale ta w

jednej chwili była już przy niej i chwyciłszy ją za rękę:

— Chciałabyś uciekać — rzekła — podług chwalebego zwyczaju twojej dzikości, ale

tym razem nic z tego nie będzie, zostaniesz. Ta pani jest moją przyjaciółką,

prawie siostrą, nie masz się czego płoszyć. Zresztą w mojej pracowni nie ma

nikogo i możesz tam przejść jeżeli zechcesz, jak się cokolwiek ogrzejesz. A

teraz usiądź tu, przy samym ogniu.

Nowo przybyła zbliżyła się niechętnie. Zatrwożył ją widok nieznannej osoby.

Delfina ze swojej strony pragnąc, żeby się oddaliła jak najprędzej, nie zrobiła

nic, by ją ośmielić i zatrzymać.

Kobieta, która doszedłszy do pewnego wieku, nie zaznała nigdy rozkoszy

macierzyństwa, a zwłaszcza też kobieta, która brak tego

najrzeczywistszego

szcęścia zastąpić usiłowała zawodem pisarskim lub sztuką, traci najczęściej

wszelkie uczucie, wszelki instynkt macierzyństwa. Młodość, nieśmiałość, są dla takich kobiet martwą literą, której nie rozumieją — w oczach młodej dziewczyny nie umieją one czytać, wdzięczny uśmiech dziecka nie przemawia do nich wcale. Delfina nie była nigdy matką; a powołanie pisarskie tak wzięło górę nad wszystkimi jej uczuciami, że przestała nawet tęsknić do tego szczęścia, którego nie знаła. "Nie mam dzieci i lepiej mi z tem" mówiła Delfina. "W cóżby się obróciły moje książki." Tak mówiły usta, tak za ustami powtarzały chórem upodobania, przyzwyczajenia i rozsądek. Ale na dnie duszy, tej duszy cielesnej, która pali w łonie życiem i miłością, czy wyrok był potwierdzonym? Niech kobiety autorki odpowiedzą za nas na to pytanie.

## II.

— Pozwól mi pani odejść do twojej pracowni — rzekła nowo przybyła do Oktawii —  
mani tylko parę godzin czasu, a chciałabym skończyć mojego Świętego Jana.  
— Idź, moja droga, na nicby mi się nie zdało zatrzymywać cię tutaj, kiedy jest ktoś obcy. Ty jesteś sobą samą we cztery oczy i z paletą w ręku.

Młoda osoba uśmiechnęła się z pewnym rodzajem smutku i odeszła.  
— Ta twoja protegowana jest bardzo ładna, ale pomimo tego wolę, że sobie poszła do swojego Świętego Jana — rzekła Delfina. — Czy ma talent? — dodała po chwili.

— To wchodzi już w zakres mojego opowiadania — odrzekła Oktawia.

— Jakto? Ja cię proszę na wszystko o historię Filinasa, a ty mi chcesz opowiadać o tej dziewczynie, co trzech zliczyć nie umie. Jeżeli tak ma być, to odchodzę.

— Poczekaj, zmierzam właśnie do Filinasa.

— Przynajmniej nie pospieszonym marszem.

— Chi va piano va sano, carina!

— Wiem, wiem, znam to wszystko... słuchaj Oktawio, doprowadzasz mnie do niecierpliwości. Powiedz raz, będziesz mówiła, albo nie?

— Będę mówiła — odpowiedziała Oktawia tonem tak poważnym, że się rozśmiały obydwie, poczem dołożyły dREW do ognia, rozsiadły się jak najwygodniej, i Oktawia zaczęła.

— Wiesz może, że zeszłej jesieni moja siostra wyjeżdżając w podróż do Anglii, zostawiła u mnie swego synka, którego zabrać nie mogła. Raz potrzebowałam pójść dosyć daleko, nie wiem już po co, i wzięłam z sobą mojego malca. Szliśmy piechotą, mnie zatrzymała przed sklepem jakiegoś antykwarza śliczna rycina, którą spostrzegłam, gdy na raz usłyszałam krzyk przeraźliwy. Wyobraź sobie mój przestrah, kiedy zobaczyłam pomiędzy kołami wielkiego wozu ciężarowego mojego siostrzeńca. Struchlałam, straciłam głowę. Dziecko już miało zginąć, kiedy jakaś kobieta, niebacząc na niebezpieczeństwo, rzuciła się między koła i porwała małego w chwili, kiedy koło już zaczęło wciągać pod siebie jego sukienkę. Co się ze mną działo, nie próbuję opisać, zresztą nie ma to nic do rzeczy. Musiałam być

bardzo zmieszana, kiedy nie pamiętam, co się potem stało. Tyle wiem,  
że kiedyś  
się już opamiętała, byliśmy w jakimś pokoju, ja, i dziecko na moich

kolanach, a kobieta, która mu życie uratowała, podawała mi kieliszek  
wina.

"Niech pani wypije — mówiła — to panią orzeźwi. Maleniu nic się  
nie stało, ma  
tylko skórę zadraśniętą na kolanie i dużo błota na sukience. Zaraz go  
opatrzymy  
dokładniej, tylko pójdę uprzedzić moją panią. Po chwili wróciła,  
zapraszając  
mnie do jej salonu."

"Nie chcę pani przeszkadzać — odpowiedziałam — proszę tylko o  
trochę zimnej  
wody, żeby mojemu trzpiotowi obwiązać kolano, a potem nie  
będziemy was dłużej  
trudzić. " Zabierałam się do zrobienia zimnego okładu, kiedy drzwi się  
otworzyły  
i weszła ta panienka, którą widziałas w tej chwili, tylko bledsza i  
cokolwiek  
wzruszona.

"Nie raczy pani wejść do salonu? — zapytała. — Tam byłoby  
wygodniej opatrzyć  
małego."

Zdawało mi się, że nie mogłam nie przyjąć, tem bardziej, że jak się  
pokazało,  
mój chłopiec nie mógł chodzić; wzięłam go więc na ręce i poszłam za  
moją  
nieznajomą. Pokój, do którego nas wprowadziła, był pracownią  
malarską, a zanim  
jeszcze miałam czas rzucić okiem na znajdujące się tam obrazy, już  
moje serce  
artystki zabiło silniej, i doznało tego wzruszenia, jakim przejmuje  
nas zawsze  
bliskość jakiegoś arcydzieła.

Nieznajoma, odprowadziwszy nas do pokoju, zabierała się do wyjścia;  
jawnem było,  
że moja obecność zawadzała jej w najwyższym stopniu, prosiłam więc,  
żeby posłała  
swoją służącą po pojazd, do którego możnaby zanieść małego, wcale  
go nie budząc.  
Ona, uczuła widać, że uchybiła prawom gościnności i odpowiedziała  
głosem tak  
słodkim, że trudno było go pogodzić z jej lodowatą  
powierzchnością.  
"Zdaje mi się, że nie byłoby roztropnie ruszać to dziecko w tej chwili.  
Zostań  
pani; nie zawadzasz mi bynajmniej."  
— Chciej mi pani tego dowieść, zabierając się napowrót do swojej  
pracy. Ta  
paleta ze świeżymi farbami świadczy dostatecznie o zajęciach pani.  
Żałowałabym  
niezmiernie, gdyby przypadek mojego siostrzeńca miał panią od tej  
pracy oderwać.

Ona popatrzyła na mnie wzrokiem dziwnie przenikliwym i głębokim,  
i nic nie  
mówiąc, wzięła pędzla i paletę i poszła do swojej sztalugi.  
Ja nie mogąc widzieć rozpoczętego obrazu, przypatrywałam się  
malarce.  
Podziwiałam ten profil delikatny a nieco surowy, którego sylwetka  
alabastrowej  
białości odbijała się na ciemnym tle pokoju, tak, jak to bywa w  
obrazach  
Rembrandta, i w końcu zamyśliłam się głęboko. W pracowni tej  
wszystko  
przemawiało do duszy, były tam przeciwieństwa światła i cienia,  
oświetlenia  
jakieś niepewne, nie wiedzieć z kąd wychodzące, które nie oświecały  
dostatecznie



obrazów, ale się ich domyślać kazały. Czuło się w powietrzu, że w  
tem  
schronieniu żyła dusza artysty, jak czasem się czuje jakieś prądy  
ciepła w  
falach oceanu. Wrażenia te opadły mnie same, bez żadnych z mojej  
strony  
refleksyj, bez pomocy myśli prawie; byłam, że tak powiem,  
owładnięta, opanowana  
atmosferą tego pokoju.  
Nie wiem, jak długo siedziałyśmy tak w milczeniu, gdy nagle zbudził  
mnie z  
zadumania promień słońca, który wcisnąwszy się pomiędzy firanki,  
padł na obraz  
wiszący na prost mnie na ścianie. Omal, że nie krzyknęłam z  
podziwienia. Obraz  
ten, godzien stanąć między arcydziełami pierwszych mistrzów,  
przedstawił  
kobietę uderzającej piękności; kobieta ta przeglądała się w wodzie, a  
jedną ręką  
poprawiała sobie perły we włosach. Uderzający zarówno pięknnością  
kompozycji jak  
doskonałością szczegółów, obraz ten przecięty był przez środek, jak  
żeby go ktoś  
nożem był przekroił. Widocznie nie było to skutkiem wypadku, ale  
szalonym i  
występnym uczynkiem jakiejś ręki silnej i pewnej siebie. Ciekawość  
moja była  
rozdrażnioną do najwyższego stopnia, tak pięknnością obrazu, któremu  
napatrzeć  
się nie mogłam, jak tem barbarzyrskim okaleczeniem arcydzieła.  
Coś mnie  
paliło, żeby zapytać o imię autora i o imię złoczyńcy. Ten pokój  
ciemny i  
szczególny w swoim rodzaju, milczenie uporczywe tej dziewczyny,  
która pracując o  
dwa kroki odemnie, nie odezwała się do mnie ani

razu, oddech wreszcie mojego śpiącego Karolka ciężki i przyspieszony, wszystko to, w obec tego pociętego obrazu, przejmowało mnie jakąś zabobonną trwogą.

Spojrzałam na artystkę i zobaczyłam, że wielkie jej oczy we mnie były wlepione.

Musiała śnać przeczuć, co się działo w mojej myśli, bo odłożywszy na bok

pendzel, zbliżyła się do mnie, a kładąc mi rękę na ramieniu, rzekła głosem

bardzo wzruszonym, ale nie zmieniając w niczem poważnego i surowego wyrazu

twarzy:

"Nie pytaj mnie pani o ten obraz; serceby mi pękło, gdybym musiała o nim mówić."

I dwie duże łzy stoczyły się po jej licach. Wtedy ja nie mogłam już wytrzymać,

rzuciłam się jej na szyję i uściskałam z całego serca. Ona, nie uściskała mnie

nawzajem, ale dała się uściskać bez oporu.

"Słuchaj mnie pani — rzekłam — i ja także jestem artystką i nie mogę wytrzymać,

widząc ciebie i twoje obrazy, żeby o nich nie mówić. O tem arcydziele nie

wspomnę, skoro to panią boli, ale pozwól przynajmniej, żebym zobaczyła własne

jej roboty."

Zaprowadziła mnie do sztalugi, na której stał bardzo piękny krajobraz, prawie na

ukończeniu. Przedstawiał on przystań rybacką podczas burzy. Na brzegu smutnym i

opuszczonym stało kilka kobiet i kilkoro dzieci patrzących wyteżonym i

niespokojnym wzrokiem za łodziami, rzucanemi tu i owdzie burzą, lub spadającemi

w otchłań ze szczytu spiętrzonych bałwanów. Niebo ponure, ołowianego koloru,

tumany piasku niesione gwałtownym uraganem, słowem wszystkie żywiły razem, rozhukane i zbuntowane. Całość obrazu była przejmującą pięknnością i prawdą, szczegóły tylko zdradzały pewien brak praktycznego doświadczenia, rutyny, że się tak wyrażę. Zapytałam artystki, czy mi pozwala powiedzieć otwarcie, co myślę. "Proszę — odpowiedziała — ale pod warunkiem, że w tem, co pani powiesz, nie będzie ani cienia pochlebstwa, proszę; o czystą prawdę."

"Obiecuję pani czystą prawdę, nic więcej." I zaczęłam oceniać jej obrazy z całym zajęciem, jakie obudzało we mnie dzieło i autorka. Naprzód zganiłam parę rzeczy, żeby ją przekonać, iż nie myślę pochlebiać, następnie chwaliłam szczerze i gorąco, lecz po prostu, ten rysunek śmiały, ten pędzel, w którym nie było nic miękkiego, nic zniewieściałego. Porwana przedmiotem, mówiłam długo i dobrze; ona słuchała mnie z natężeniem, z chciwością. Skończywszy krytykę obrazu — mówiła dalej Oktawia — zapytałam, czy sąd mój wydaje jej się trafny. Odpowiedziała mi po chwili namysłu: "Sądziś pani wybornie to, co jest wymalowane tu na obrazie, ale tego nie możesz wiedzieć, jak mu daleko do tego, czembym go mieć chciała. Ach, gdybym mogła — dodała ożywiając się coraz bardziej — gdybym mogła oddać choćby setną część tych piękności, któremi moja wyobraźnia jest przepelniona! Ale cóż, nie mogę, nie umiem, zbywa mi na środkach wykonania, oddania tego, co czuję." I ukryła twarz w

dłoni, tłumiąc mimowolny wybuch płaczu.

Ja, przypatrywałam się jej z współczuciem, z podziwem i mówiłam sobie, że gdyby

wszyscy nasi artyści pojmowali sztukę, tak jak ta dziewczyna, nasze wystawy i

salony nie byłyby zaludnione takimi bazgrotarni, jak teraz. Po chwili zapytałam

jej, od kogo się uczyła, i nie dostałam odpowiedzi.

"Nie chcesz mi pani powiedzieć nazwiska swojego mistrza?"

"Nie miałam nigdy innego, prócz mego ojca — rzekła nie bez dumy, i spoglądając

mimowolnie na obraz przecięty. — Miałam zaledwo lat piętnaście, kiedy mój ojciec

umarł, a od tego czasu nie kierował moim pendzlem nikt, prócz jego drogiej

pamięci. Obecność kogoś obcego w tym pokoju, przy tej sztaludze, przy której mój

ojciec otwierał dla mnie wszystkie skarby swojego geniuszu, byłaby profanacją...

to też noga żadnego malarza nigdy u mnie nie postanie."

"Czy ostracyzm ten rozciąga się i do kobiet?" zapytałam, biorąc ją za rękę.

"Nie — odpowiedziała z pewną sztywnością — nie ! bo z kobiet malarek jedną tylko

uznaje, Oktawie St" a niema niebezpieczeństwa, żeby ta większość przyszła mnie

szukać tu, w tem schronieniu nieznanem światu i ludziom."

"Otóż w tem właśnie się mylisz, moja droga. Oktawia stoi przed tobą." — Na te

słowa dziewczyna omal nie padła na ziemię; nie ze wzruszenia, jak może sądzisz,

ale z radości. Nastąpiła mała scena patetyczna, którą przerwał mój Karolek.

Obudził się chłopiec z mocną gorączką, oczy mu błyszczały nienaturalnie, ręce

miał rozpalone; wystraszona odpowiedzialnością, posłałam natychmiast po lekarza, a ten przyszedłszy, ani słyszeć o tem nie chciał, żeby przewozić dziecko w takim stanie. Musiałam zostać. Alicya, bo tak się nazywała moja artystka, odstąpiła swojego łóżka dla małego, pomimo natarczywych próśb z mojej strony, a my obiedwie spędziłyśmy noc na sofie w jej salonie w nieustającej rozmowie o rzeczach sztuki. Czuję, że moje opowiadanie staje się za długim, ale mój przedmiot tak mnie zajmuje, że mimowolnie mówię o wrażeniach, które się odnawiają wspomnieniem, a które ciebie nie wiele zapewne obchodzą. Miej cierpliwość jeszcze na chwilę. Przejdę zaraz do rzeczy, tylko przedtem jeszcze muszę ci dać szkic choć niedokładny życia i charakteru tej szczególnej istoty.

— Mów, mów, nie żałuj mnie. Twoja Alicya zaczyna mnie niepospolicie zajmować. A potem charakter tak oryginalny a tak dobrze skreślony, może się przydać w przyszłości autorce. Może z niej być gotowa i wcale niezwykła heroina romansu.

Mów więc a nie szczędź szczegółów, bo podczas kiedy mówisz, ja sobie piszę w głowie.

— W książce — odpowiedziała Oktawia — mogłaby moja bohaterka źle się wydać, i być ostro krytykowaną przez tych wszystkich, którzy to tylko za piękne uznają, co nie przechodzi zakresu ich pojęcia. Alicya jest jedną z tych istot wyjątkowych, które zrozumieć może tylko dusza artysty.

— Jakto? — zawołała Delfina — czyż myślisz, że zależy mi na tem, żeby podobać się całej publiczności? Niech mnie Bóg broni. Być czytana przez kilku ludzi wyjątkowych, tym się podobać, to jest dopiero prawdziwe szczęście pisarza i miara jego literackiej wartości. Sąd ogółu jest najczęściej mylny, a niemal zawsze płaski.

— Jeżeli tak, to możesz rachować na zupełne powodzenie u malej liczby wybranych. Ale tymczasem muszę ci dokończyć portret Alicyi. Później szkic ten, umieszczony w rodzajowym obrazku, uwydatni się lepiej. U powierzchowności nie mam co mówić, bo ją widziałas; wiesz więc, że jest piękna, wysoka, blada, i że ma oczy niebieskie. Ojciec jej był malarzem, ale prześladowany nieszczęściem, o którym córka nic wyraźnego powiedzieć nie chciała, umarł, nie zrobiwszy nic wielkiego. Zdaje się, że namiętność iakaś, szalona, zapamiętała, wszechwładna, do kobiety, która jego godną nie była, zabiła talent i serce malarza. Kobieta ta, zazdrosna i podejrzliwa, zaczęła od tego, że oddaliła ręką od wszelkiej styczności z innymi artystami, a w końcu w obrazach samych dopatrzyła się niebezpiecznej dla siebie rywalizacyi. Nie pozwalała mu zatem pracować, zniechęcała go umyślnie, drażniła nieustannie, a nie dawała mu nigdy chwili spokoju, w której wyobraźnia artysty mogłaby była począć to, co później byłby wydał jego pędzel. Przeszły tak całe lata, lata bolesne walk, zapasów, poświęceń i wyrzeczeń, raz tylko

weselszym promieniem słońca rozświecone, przyjściem na świat córki, Alicyi.  
Macierzyństwo, które powinno było uśmierzyć nedorzeczne wymagania tej kobiety, rozdrażniło ją tem więcej. Dziecko stało, się teraz przedmiotem jej szalonej zazdrości. O malowaniu naturalnie mowy nie było. Razu pewnego jednak, dziwnym kaprysem wiedziona, zaczęła prosić męża, żeby zrobił jej portret. Malarz uszczęśliwiony, że znowu mógł ująć w rękę swój pendzel ukochany, wziął się do pracy i zrobił arcydzieło. Żona wtedy uroiła sobie, że artysta więcej kocha obraz jak oryginał, i jednej nocy, kiedy mąż upojony nadzwyczajną pięknnością swego dzieła,

mówił przez sen o obrazie, ona wstała, wzięła nóż, poszła do pracowni i przetrzała płótno od góry do dołu. Wkrótce potem malarz owdowiał, a na pociechę została mu tylko dziesięcioletnia córeczka. Mógłby był jeszcze być szczęśliwym, biedny, gdyż dziecko to niesłychanie od natury wyposażone, obiecywało spełnić wszystkie wymagania, wszystkie marzenia ojca i artysty. Ale długie lata cierpienia złamały jego organizm, niezmiernie wrażliwy i nerwowy. Rozchorował się, gasi pomału przez lat pięć, nie pracując, bo nie miał siły pracować, ale wyteżając całą energię, do jakiej był jeszcze zdolnym, żeby wpoić w córkę miłość

do malarstwa. Czując się bliskim końca, chciał, żeby to dziecko nauczyło się w ciągu lat kilku tego wszystkiego, czego niejeden artysta przez całe życie nabyć nie może. Talent, jaki miała z natury, rozwijał tak namiętnie, tak zapamiętałe, że doprowadził go do pełnego rozwoju, ale z uszczerbkiem dla szczęścia tej dziewczyny. Z wychowania moralnego, z zasad, wszczepił w nią jedną tylko, nienawiść miłości. Wpajał w nią przy każdej sposobności swoje urojenie, że miłość odziera artystę ze skrzydeł i że zabija jego talent... a z kilku słów jej wnoszę z bojażnią, że ten ojciec musiał na niej wymódl przysięgę, że nigdy kochać nie będzie. W piętnastym roku życia Alicya została samą na świecie, z wielkim talentem, z sercem gorącym, które zawsze poskromić i przytłumić usiłowała, z wyobraźnią namiętną i z nieprzewyciężonym wstrętem do miłości, której przypisywała wszystkie nieszczęścia i przedwczesny zgon ojca. W końcu zlitował się nad nią Bóg, którego znała zaledwo z imienia. Jakiś krewny jej matki, ksiądz, wyczytawszy w dziennikach o śmierci malarza, pospieszył ofiarować opiekę swoją sierocie. Alicya nie chciała go przyjąć; wrócił nazajutrz, wracał przez kilka dni z rzędu, aż wreszcie dziewczyna znużona rozpaczą i bezczynnością, ustąpiła i przyjęła go u siebie. Człowiek ten doświadczony poznał się odrazu na tym wulkanie, który gorzał w duszy młodej, namiętnej a zostawionej samej sobie, bez przewodnika i hamulca; poznał się i przestraszył zarazem. Szczęściem, czy też



wyższem wiedziony natchnieniem, użył na nią sposobu, który nie  
byłby się powiódł  
z żadną inną kobietą. Naprzód dal jej przeczuć wdzięk zajęć  
umysłowych i  
poważnych, nauk poprostu. Alicya rzuciła się do nich z tym zapalem,  
który jest  
jej wrodzonym, a po roku umiała już po łacinie, po grecku i nauczyła  
się kilku  
żyjących języków. Wyobraźnia była już oczywiście uspokojoną.  
Wypadało teraz  
zabrać się do duszy. Duszę tę chwycił ksiądz za stronę artystyczną i  
doprowadził  
ją do religii przez poezję. Przyznasz, że taki system wychowania,  
mógł się  
przyczynić do wykształcenia niepospolitego charakteru. Jedno tylko  
pozostało  
nietkniętem, to owa nienawiść miłości. Alicya nie wymawiała nigdy  
tego słowa bez  
goryczy, bez niechęci i wstrętu. Oprócz księdza, żaden mężczyzna nie  
przestąpił  
nigdy progu jej pokoju, nigdy nie chciała zasięgnąć rady żadnego  
malarza, choć  
czuła, że mogło to być z korzyścią dla jej talentu. Usposobienie to,  
szczególne  
i wyjątkowe, odbiło się nawet na jej twarzy, którą odznaczał jakiś z  
umysłu, z  
postanowienia przybrany wyraz surowości i prawie wzgardy; a jeżeli  
kiedy,  
przypadkiem, wymknął się jej jakiś mimowolny popęd czułości,  
wyprężała się  
natychmiast, żeby go stłumić, odwołać niejako, i wracała do swojej  
zwykłej  
sztywności, jak żeby zagniewana na siebie. Walkę taką widziałam,  
byłam nawet jej

powodem, a nietylko ja, ale i mały Karolek. W chwili, kiedyśmy mieli odjeżdżać, chłopiec nadstawił jej swoją buzię na pożegnanie; ona porwała go na ręce z jakimś uniesieniem, ale zaledwo uczuła pieszczoty dziecka, odepchnęła je z gestem przestachu. Możesz się domyśleć, wiele potrzebowалам czasu i wiele przyjacielskich podejść, zanim zdołałam zwabić do siebie tę upartą pustelnicę. Dała się wreszcie skłonić, ale tylko przez miłość dla sztuki, to jest, kiedy jej obiecałam, że poświęcę jej wszystkie czas wolny, jaki mi zbędzie od pracy. Portret skończony. Cóż mi o nim powiesz, Delfino? — Znajduję, że jest godzien oryginału. — A teraz przystąpmy do zapowiedzianego obrazu, na którego pierwszym planie znajdziesz znowu ten sam portret.

Przeszło cztery miesiące od mojej pierwszej bytności w pracowni Alicyi, a czas ten zaledwo mi wystarczył na poznanie szczególnej historii tej dziewczyny. Była ona tale zawsze w sobie zamkniętą, że mimowolnie posądzałam ją o jakąś tajemnicę ukrytą pod tą sztywnością i musiałam pierwej zgłębić, zbadać, poznać do gruntu tę naturę nerwową, ten umysł głęboko poetyczny, tę duszę, która dążyła ku światłu drogami tak nowemi i niezwykłemi, zanim ją pojęłam dobrze i pokochałam. Skarby swojej myśli ukrywała ona, jak skąpiec swoje złoto; swobodną, nieprzymuszoną, czuła była tylko ze swojemi obrazami. Im tylko samym zwierzała

się ze wszystkich fantastycznych pomysłów swojej wyobraźni, z  
marzeń i popędów  
tego serca, któremi w skutek życia tak nieodpowiedniego potrzebom  
jej wieku,  
żyła w ciągłej gorączce moralnej. I tu znowu jedna z niezliczonych  
sprzeczności  
tego osobliwszego charakteru. Alicya jest namiętna sercem, głową,  
wyobraźnią,  
krwią, a nie chce ani przypuścić potrzeby kochania. Ma jakąś swoją  
właściwą  
logikę, którąby się nikomu nie nadała, ale z którą jej dobrze. Logika ta  
zawarta  
jest cała w tych słowach, któremi odpowiedziała raz na niezliczone  
zarzuty,  
jakiemi zasypałam jej system dobrowolnej samotności: "Sztuka jest  
światłem",  
powiedziała mi, "zatem wszystko, co od sztuki odrywa, musi być  
ciemnością —  
Szczególne doprawdy — zawołała Delfina — ale pomimo tego,  
radabym widzieć tę  
kapłankę sztuki w zapasach z tem uczuciem, którego potęgi nie raczy  
uznawać.  
— To samo jej mówiłam, ale na pierwsze słowo, jakie mi się  
wymknęło, porwała się  
cała drżąc od wzruszenia, i zawołała głosem, którego nigdy nie  
zapomnę:  
"Musiałabym gardzić sama sobą, gdybym temi oczyma stworzonymi  
do patrzenia w  
szczytne utwory sztuki, patrzeć miała kiedykolwiek z upodobaniem na  
stworzenia  
ziemskie i poziome.  
Delfina uśmiechnęła się z niedowierzaniem.  
— Czyż za nic nie masz — rzekła — tego rozkosznego uczucia dumy,  
które wabi do  
pokonywania trudności, do

zwycięzania przeszkód? Nie jestże to uczucie, wielu bardzo kobietom właściwe?

— Zapewne; w tem też właśnie mógłby leżeć największy jej urok, a może i największe dla niej niebezpieczeństwo. Ale jakże miłość mogłaby się wśliznąć do tej fortecy, w której wszystko jest naprzód obmyślane i przygotowane, żeby jej nie dopuścić?

— Miłość? czyż nie wiesz, że miłość niczego tak nie lubi, jak wchodzić zamkniętymi drzwiami? Im więcej przeszkód na drodze, z tem większym przebywa je zapalem. Albo bardzo się mylę, albo to właśnie stanie się zgubą dla tej nieugiętej piękności. Ale tymczasem wracajmy do owego obrazu, bo znowu nam kto przerwie, a umieram z ciekawości, żeby usłyszeć koniec tego romansu.

— Oh! romansu jeszcze niema, ale jest fakt tak niepojęty i szczególny, że muszę ci go opowiedzieć, tak, jak do dziś dnia stoi mi przed oczyma. Gdybym tu miała pendzel, mogłabym ci wszystko odmalować na płótnie. Słuchaj więc uważnie.

— Nie potrzebujesz mi tego zalecać.

— Z tego co już wiesz, łatwo domyśleć się możesz, że nigdy nie mogłam otrzymać od Alicyi, by przyszła do mnie, gdy nie jestem zupełnie samą. Ile razy się zdarzyło, że mi kogo zapowiedziano, uciekała jak spłoszona sarna. Raz tylko jeden przymusiłam ją, że poszła ze mną na koncert, bo lubi namiętnie muzykę, jak wszystko, co należy do sztuki, i widziałam ją bladą jak śmierć, gdy po raz pierwszy usłyszała śpiew pani Viardot. Jednego dnia wszelako zaszedł nas ktoś

tak niespodzianie, w chwili, kiedy Alicya pozowała mi na głowę św.  
Cecylii, że  
nie miała czasu uciekać. A że jest równie dumna jak dzika, więc nie  
okazała  
swojego niezadowolenia niczem więcej, jak posągową  
nieruchomością oblicza. Był  
to Alfred M. Wiesz, że był on przyjacielem mego brata. Moja  
nieboszczka matka  
lubiła go bardzo, i ztąd wyrobiła się między nami szczerą przyjaźń,  
którą  
wzmocniły nasze wzajemne artystyczne stosunki. Nie widziawszy go  
przez kilka  
miesięcy,

bo wracał właśnie z podróży po Włoszech, ucieszyłam się do niego  
ogromnie, a on  
widząc to, ofiarował się zostać u mnie i rozpowiadać mi o swojej  
podróży, pod  
warunkiem, że nie przerwę mojej roboty. Ma się rozumieć, że  
przyjęłam. Znasz  
Alfreda; któż go nie zna? Możesz więc domyśleć się, ile było  
żywości, dowcipu,  
poezyi, natchnienia w tem opowiadaniu jego podróży po kraju słońca i  
sztuki.  
Słuchałam go z największem zajęciem, malując mój obraz, w którym  
on od czasu do  
czasu coś wytykał lub chwalił. Mój model siedział nieporuszony jak  
głaz, co w  
końcu tak zwróciło uwagę Alfreda, że mruknął sobie przez zęby  
recitativo z  
Barbiera: Sempre una statua. Alicya spuściła oczy, zbladła nieco, ale  
prócz tego  
nie dała najmniejszego znaku życia.  
Byliśmy więc razem na Wezuwiuszu, mówię byliśmy, bo byłam  
zupełnie pod wpływem

opowiadającego i jego wrażeń, kiedy Alfred zapytał mnie niespodzianie:

"Czy słyszałaś pani o stronie romansowej mojej podróży?"

Roześmiałam się, bo

istotnie obilo mi się kiedyś o uszy, że jakaś księżna grecka zawróciła sobie

głowę naszym ujmującym poetą, i że wywiązał się z tego cały dramat ze

wszystkimi akcesoryami, jakie do tego należeć powinny. Zazdrosny mąż, okrutny

ojciec, brat mściwy i krwiożerczy, sztylety, trucizny, słowem cały magazyn tym

podobnych teatralnych przyborów. Nie wiem, czy mój śmiech zrobił na nim przykre

wrażenie, czy też wspomnienie pięknej Greczynki nie zupełnie się jeszcze było

zabliźniło w jego sercu, dość, że naraz odeszła go cała swoboda i wesołość, i

zmieniwszy nastrój, zaczął mi opisywać dzieje swojej miłości. Za tło nadal jej

uroczystą i melancholiczną piękność Wenecyi; uniesienia kochanka przeplatał

wrażeniem poety. Wyobraź sobie przytem urok tego głosu dźwięcznego, tych słów

obrazowych i porywających, urok wreszcie jego spojrzenia, jego głowy tak

pięknej, tak gienialnej, a pojdziesz łatwo, że nie mogłam malować. Słuchałam go,

a moja wyobraźnia układała już obraz z piękną Greczynką

na przodzie, obok niej zakochany poeta, dalej czarna gondola, marmurowe pałace,

księżyc i tam dalej.

Zapomniałam na śmierć o Alicyi i o tem, że była na świecie, gdy nagle ujrzałam

oczy Alfreda zwrócone na nią z nieopisanym wyrazem. Spojrzałam na nią... i cóż ci powiem? jak opiszę choćby setną część zdziwienia, jakiego doznałam? Alicya, owa blada i surowa pustelnica, owa dumna kapłanka sztuki, która tylko co pozowała na głowę świętej panny i męczenniczki, owe dziecko dzikie i nieśmiałe, które byle czym się płoszyło, Alicya stała przed nami z wzrokiem gorejącym jak łuna pożaru, z czołem rozjaśnionem i wzniesionem do góry, z rękami złożonemi, jak żeby zdusić chciała w sercu to wzruszenie, które z niego gwałtem się wyrywało. Osłupiałam. Alfred, zmagnetyzowany tym płomienistym wzrokiem w niego wlepionym, przestał mówić. Było coś tak szczególnego, tak niepojętego w tym nagłeni przeobrażeniu twarzy, którą przed chwilą porównywaliśmy do posągu, że mi się to wydało snem, złudzeniem. Patrzali tak jedno na drugie przez kilka minut, oboje, jak żeby opanowani siłą jakąś nadnaturalną. Było w tem coś straszego, i wyznaję, że zdjął mnie strach o zmysły Alicyi. Zerwałam się, zbliżyłam ku niej, ale już chwila zachwyty minęła, już schodził rumieniec z jej twarzy, a skoro chciałam wziąć ją za rękę, zachwiała się i padła zemdlona w moje [objęcia. Zanieśliśmy ją na łóżko; Alfred poleciał po doktora; Linieliśmy niemało biedy, żeby ją przywrócić do przytomności. Nareszcie otworzyła oczy, my staliśmy wszyscy koło łóżka, czekając na pierwszy objaw powracającego życia. Pierwsze jej spojrzenie padło na mnie, poznała mnie i uśmiechnęła się. Wtedy Alfred nachylił się nad nią, żeby ją

lepiej zobaczyć, ale Alicya ujrzawszy go, wydała jakiś niepojęty krzyk  
trwogi i  
przestrachu, a lekarz przerażony gwałtownym ruchem, którym omal  
że z łóżka nie  
wyskoczyła, wyprowadził Alfreda czempędzej do drugiego pokoju.  
Pomału jednak  
uspokoila się, a doktor ulegając jej prośbom i nie mogąc sobie zdać  
sprawy

z osobliwszego jej stanu, pozwolił jej powrócić do doma. Odwiozłam  
ją, nie  
mówiąc ani słowa, bo uważałam, że najlżejszy odgłos wprawiał ją w  
nerwowe jakieś  
drżenie, a kiedy z pomocą służącej wprowadziłam ją do pokoju,  
przyciągnęła mnie  
do siebie i rzekła głosem osłabionym jeszcze, ale już spokojnym:  
"Jeżeli chcesz, żebym przyszła do ciebie, to zostaw mnie samą,  
zupełnie samą  
przez dni kilka. Samotność tylko i milczenie zdoła przywrócić mi  
spokój. Teraz  
odejdz, za trzy dni uwiadomię cię o sobie."  
Odeszłam nie bez niespokojności, bo kocham Alicyę, jak żeby była  
moją własną  
córką. Trzy dni później odebrałam od niej pakiet opieczetowany z  
listem  
następującej treści:  
"Samotność i praca uzdrowiły mnie zupełnie z owej słabości, która  
mnie przed  
trzema dniami napadła. Wszelako musiałam podwoić moją zwykłą  
pracę i nowych  
dodać jej żywiołów, żeby nerwy przywrócić do równowagi. Pracę tę,  
owoc nocy  
bezsennych, któremi poskromiłam powstające burze, posyłam ci.  
Twój charakter  
jest mi rękojmią dyskrecyi. Przyjdę do ciebie jutro."



W końcu kilka słów czułości i przywiązania. W załączonym zaś pakiecie był rękopis. Czytałaś go; rękopis ten to Noica Armida, a ów Filinas, uczony jak średniowieczny Benedyktyn, rozmarzony jak poeta, naprzemian głęboki i lekki, poważny i rzewny, namiętny i panujący nad sobą, ów Filinas, któremu chciałaś się rzucić na szyję, to młoda dziewczyna nieśmiała, bojaźliwa i dzika. Skończyłam. Do ciebie teraz, wielka znawczyni serca ludzkiego, do ciebie należy wytłómaczyć mi ten fenomen.  
— Wszystko to jest tak dziwne, że o mało, a myślałabym, iż to utwór twojej wyobraźni artystycznej.  
— Chcesz się przekonać, że to rzeczywista prawda? Patrz, oto jest bilet, który sama napisałaś przed chwilą, sprawozdanie z twojego wrażenia po przeczytaniu Armidy. Alicya wróci tu lada chwila. Jak zejdzie, dam jej go do czytania przy tobie. Nie zna cię, nie domyśla się kto ty jesteś, więc nie

bedzie się ukrywała ze swoim wrażeniem. Wczoraj jeszcze mówiła mi z tym uśmiechem, który jej tylko jest właściwym: "Gdybym była pisarzem, jednej tylko osoby pytałabym się o zdanie o moich dziełach, a tą osobą jest Delfina. U niej jednej tylko, rozum nie przynosi uszczerbku sercu."  
Delfina, słynna autorka, przyzwyczajona do kadzideł wszelkiego rodzaju, uczuła się wzruszona tym sądem o sobie tak zwięzłym i prostym, pochodzącym od istoty

tak niedocieczonej, a chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o Alicyi, zapytała:

— Cóż ona mówi na ten podziw, jaki powieść jej wywołała?

— Nie wiedziała o nim zrazu, bo nie czytuje dzienników, a kiedy jej zwiastowałam, że cały świat o niczem innym nie mówi, uśmiechnęła się tylko

jakimś szczególnym uśmiechem, w którym duma łączyła się z goryczą, ale nie

zdawało się, żeby była dzieliła radość, jaką mnie powodzenie jej sprawiło.

— Dziwna, dziwna rzecz — powtarzała Delfina, coraz więcej zamyślona. — A czy

widziała drugi raz Alfreda od czasu, jak ze zderzenia ich dwojga dusz wydobyła

się na świat ta iskra geniuszu?

— Nie, i pod tym tylko warunkiem zdecydowała się pracować u mnie, żebym go nie

przyjmowała nigdy, dopóki ona nie miałyby czasu wymknąć się drugimi drzwiami.

— Więc go się boi, to rzecz oczywista.

— Powiedziałam jej to samo, ale wtedy spojrzała mi w oczy wzrokiem tak zimnym i

tak dumnym, że aż prawie zawstydzić się musiałam. I od tego czasu w skutek

obustronnego milczącego porozumienia, imię Alfreda ani razu nie było wymówionem

między nami. Ale otóż otwierają się drzwi mojej pracowni, i Alicya wejdzie tu za

chwilę. Zmiłuj się, nie zdradź mnie, nie daj poznać najmniejszym ruchem,

najmniejszym słowem ciekawości lub sympatii, że zwierzyłam ci cokolwiek. W

przecywnym razie wszystko stracone, a Alicya nie wróci już do mnie póki życia.

Udawajmy, że mówimy o czem innym.

I zmieniając ton, rzekła:

— Czy byłaś wczoraj na pierwszym przedstawieniu?

— Nie, nie mogłam dostać łoża, ale wiem, że powiodło się zupełnie i świetnie.

Alicya tymczasem weszła i usiadła przy kominie. Twarz jej nosiła wyraz

zmęczenia, któremu Delfina radaby była przypatrzeć się zbliska i zbadać po

swojemu; ale Oktawia bojąc się jakiej nieuwagi z jej strony, podała jej album z

rysunkami i poleciła jej uwadze jakiś szkic Eugeniusza Delacroix, sama zaś

zwracając się do Alicyi, rzekła:

— Patrz, oto list w wiadomym interesie; przeczytaj.

Alicya otworzyła bilet spokojnie i czytała. Delfina pożerała ją wzrokiem udając

zajętą rysunkami, ale dojrzała tylko, że młoda artystka zbladła nieco a potem

złożyła list na nowo, nie mówiąc ani słowa, nie okazując niczem ani śladu nawet

wzruszenia. Obojętność taka dziwnie odbijała od namiętnego charakteru Delfiny i

od wrażliwej natury Oktawii, która nic nigdy ukryć nie umiały, i właśnie autorka

robiła sobie w duchu tę uwagę, kiedy niespodzianie zjawił się ktoś czwarty, a

zjawieniem swoim zmienił naturę i podniósł interes tej sceny.

Był to Alfred M., ów Alfred, sam w swojej osobie. Wszedł szybko, nie patrząc

naokoło siebie, jak człowiek żywo czemś zajęty i mający coś do opowiadania.

— Co za szczęście — zawołał — że zastaje tu panią Delfinę — i uściskawszy rękę

Oktawii, podszedł ku autorce, nie widząc wcale Alicyi. Alicya stojąca w cieniu,

nie ruszyła się, ale z bladej stała się biała jak trup.

— Cieszę się — mówił Alfred do Delfiny — że panią tu spotykam, bo mam pani

zrobić pewne smutne zwierzenie.

— To pan się nie ciesz, jeżeli mi masz zrobić przykrość.

— Ale za tę przykrość możesz się pani pomścić natychmiast.

Przynoszę w jednym

ręku zmartwienie, a w drugim zemstę; więc nie skarż się pani;

zemsta jest

rozkoszą bogów.

— A ofiara? gdzież jest ofiara? Masz ją pan w kieszeni? — zapytała ze śmiechem

Delfina.

— Ofiara jest, stoi przed nami; jest nią Oktawia, którą, nie bawiąc się, musimy zaraz poświęcić na ołtarzu Nemezy.

— Bez wyroku? bez sądu? Nie powiedziawszy mi nawet, o jaką zbrodnię jestem

oskarżona? —zawołała Oktawia.

— Bez tego wszystkiego, bo sprawiedliwość idzie w tym razie ręka w rękę z zemstą.

— Co za paradoks poetyczny!

— Zobaczymy czy paradoks. Proszę słuchać. Wiesz pani, bo byliśmy razem, z jaką

żywością, z jakim zapalem, z jaką namiętnością rozpowiadaliśmy wszyscy wczoraj

wieczór o Nowej Armhkie. Co do mnie, wiadomo całemu światu, co o niej myślę, bo

nic nie robię, tylko krzyczę w niebogłosy, że to arcydzieło pierwszego rzędu.

Delfina i Oktawia zamieniły między sobą ukradkowe ale wymowne spojrzenie; Alicya

z rękami konwulsyjnie ściśniętymi na kolanach, siedziała, jak skamieniała i

byłaby chciała zapaść się pod ziemię.

— Otóż więc — mówił dalej Alfred, zwracając się wyłącznie do Delfiny — ten

Filinas, którego nikt nie zna, o którego talencie rozprawiała wczoraj Oktawia ze

wszystkiemi pozorami świętej niewiadomości, Oktawia go zna,  
proteguje, ukrywa, a  
pani jej najlepsza przyjaciółka, i ja towarzysz jej dzieciństwa, ja, który  
ją  
kocham jak własną siostrę, nic o tem nie wiemy. Czy sądzi pani, że  
niewdzięczność tak potworna nie powinna zostać ukaraną? Czy nie  
byłoby to  
szczytem najprzewrotniejszej niemoralności?  
Delfina zajęta do najwyższego stopnia tym niespodzianym obrotem  
rozmowy, poddała  
domysł, że może to Oktawia sama ukrywa się pod zmyślonem  
imieniem Filinasa.  
— O nie! — zawołał poeta z zapalem — nie kobiece to pióro. Nikt  
więcej odemnie  
nie ceni zdolności waszych, moje panie... zresztą jesteście same  
najlepszym  
dowodem, do jakiego stopnia wyższości dojść mogą kobiety; ale ręka,  
która  
potrafiła stworzyć takie arcydzieło, jak ta Nowa Armida, to ręka  
mężczyzny, i  
wielkiego człowieka.

Oktawia przerwała.

— Mój kochany Alfredzie, bardzo mi przykro, że twoje znawstwo i  
przenikliwość

zabłądziły na najfalszywsze drogi. Filinas jest kobietą. Nie żartuję...  
daje ci

słowo, Filinas jest kobietą, a ja znam tę kobietę.

Alfred zerwał się z krzesła, jak na sprężynie.

— Kobieta? mówisz, że Filinas jest kobietą?

— Tak, i że ją znam.

— Kobieta... kobieta! a więc kiedy tak, kiedy ją znasz, Oktawio, to  
powiedz jej,

że klękam przed nią, że ją uwielbiam, że ją pojmuję, że o niej marzę,  
że ją

kocham. Tak jest, kocham ! powiedz jej, że ją kocham; kobieta, która tak myśli i pisze, musi mieć serce archanioła; powiedz jej, że jeżeli spotkam ją kiedykolwiek, poznam ją między tysiącem innych, bo musi mieć nad czołem aureolę światła i geniuszu, powiedz jej, że ją porwę w objęcia, żeby ją przenieść przez trudną drogę życia, że moje serce składam pod jej stopami, a zwłaszcza, nadewszystko, powiedz, mów, powtarzaj, że ją kocham, że miłość... W tej chwili wszedł służący z lampą. Czar został zerwany. Delfina wstała wielce pomieszana, Oktawia zaś pilnie śledziła okiem Alfreda, który teraz dopiero, przy świetle lampy dostrzegł obecności Alicyi. Ktoby ich był widział w tej chwili, byłby pomyślał, że piorun ma paść pomiędzy nimi. Lecz po krótkiej chwili milczenia, Alicya podniosła się blada i wyprostowana, skłoniła się Delfinie, podała rękę Oktawii, i wyszła nie rzuciwszy okiem na Alfreda, który patrzył za odchodzącą przykuty na miejscu z podziwu. Drzwi się zamknęły. Oktawia wtedy zbliżywszy się do poety i położywszy mu rękę na ramieniu: — Teraz wiesz, Alfredzie — rzekła — kto jest Filinas.

### III.

Gdyby Alicya, wracając do domu, nie była zapaściła na twarz gęstego woalu, przechodzień każdy widząc tę twarz, z rozpaczliwym wyrazem, byłby pomyślał: "Ta

kobieta musiała popełnić zbrodnię. " Wszedłszy zamknęła za sobą  
drzwi swojej  
pracowni i upadła na kolana przed obrazem ojca. Z piersi jej nie  
wyszło ani  
jedno westchnienie. Do późnego wieczora klęczała tak nieporuszona.  
Około  
dziesiątej dawna jej piastunka, niespokojna o panią, zaczęła stukać do  
drzwi,  
ale nadaremno; nikt nie odpowiadał; strwożona, myślała już gwałtem  
odbić zamek,  
gdy w końcu odsunęła się zasuwka, drzwi się otworzyły i Alicya  
stała na progu,  
ale tak blada, tak zmieniona a zarazem z wyrazem tak rozkazującym i  
tak  
stanowczym, że biedna staruszka nie śmiała się odezwać z wyrzutami,  
które jej  
gwałtem do ust się cisnęły.  
— Maryanno — rzekła Alicya — jutro o piątej rano wyjeżdżamy.  
Zabierz wszystko,  
czego możemy potrzebować do  
trzech miesięcznej podróży. Wyjazd ten nie może być odłożonym,  
rachuję na ciebie  
i na twoje poświęcenie, że się nie spóźnimy. Do jutra rana zaś zostaw  
mnie samą.  
I uściskawszy starą piastunkę, wróciła do swego pokoju.  
— Panie Jezu! — zawołała staruszka — jakieś nieszczęście... ani  
chybi... jakieś  
nieszczęście. Już tak wygląda, kubek  
kubek, jak nieboszczyk ojciec, kiedy to pani pokrajała jego ubiony  
obraz. Oj ci  
malarze, ci malarze, co im też w głowie siedzi, że nie mogą żyć, jak  
ludzie!  
I poszła przygotować wszystko do podróży. Nazajutrz około południa  
Oktawia  
siedziała przy śniadaniu myśląc o Alicyi, kiedy oddano jej list z  
poczty.  
Poznawszy pismo Alicyi na kopercie, rozdarła żywo pieczętkę i  
przeczytała co

następuje: "Fatalność, która zniszczyła całe życie ojca, prześladuje córkę.

Znasz moje życie, wiesz, że miłość może być dla mnie tylko nieszczęściem i zgubą. Od tej zguby, od

tej miłości uciekam. Zobaczymy, kto kogo przemoże, ja ją, czy ona mnie. Bądź zdrowa, Oktawio, niech cię Bóg błogosławi za twoją przyjaźń dla mnie. Jeżeli umrę, dowiesz się o tem; jeżeli zwyciężę, sława powie ci o mnie — Alicya."

\* \* \*

Przez rok cały nie miała Oktawia żadnej wiadomości o swojej dziwnej przyjaciółce. W sercu jej, wystawionem na walki i radości artystycznego zawodu, zaczęła się już zacierać z wolna pamięć tego epizodu, gdy raz spotkała w jakimś salonie Alfreda, który poprosił ją o rozmowę na dzień następny. Znalazła go dziwnie smutnym i przybitym, a nazajutrz gdy przyszedł o naznaczonej godzinie, wydał się jej jeszcze posepniejszym. Za nim szedł tragarz z paką na plecach, a złożywszy ją na ziemi, zaczął odbijać wieko. — Powyjmuj gwoździe — rzekł do niego Alfred — a potem możesz odejść. Resztę ja sam zrobię. Oktawii ścisnęło się serce nie wiedzieć dlaczego; uderzenia młotka przy wydobywaniu gwoździ, brzmiały w jej uszach tak, jak żeby to wieko od trumny zabijano. Spojrzała na Alfreda; stał ponury i przypatrywał się martwym wzrokiem



tej robocie, a skoro była już skończona, zbliżył się do Oktawii i rzekł:  
— Czy pamiętasz tę dziewczynę, która dwa razy widziałem u ciebie.  
Raz w twojej  
pracowni, kiedy zemdląca tak niespodzianie, a drugi raz tu, w tym  
salonie, kiedy  
przed tobą przed Delfina mówiłem z takim zapałem o Nowej  
Armidxie, nie wiedząc,  
że prócz was dwóch, był jeszcze ktoś więcej w pokoju.  
— Czy pamiętam? — zawołała Oktawia. — Jakżebym mogła Alicyi  
zapomnieć?  
— Przynoszę ci o niej wiadomość. Parę tygodni temu, wróciłem do  
siebie wieczorem  
i zastałem list, nieznanym pismem, w którym stało, że "osoba,  
której nie wiele  
czasu zostaje do życia, pragnie gorąco widzieć się z panem M.,  
mieszka w Como  
pod nazwiskiem pani Tessaro"; obok tego

nazwisko ulicy i numer domu. Nie mogłem wyjechać wieczornym  
pociągami, było  
zapóźno, musiałem czekać do rana; jechałem jak najspieszniej, z kolei  
kazałem  
się wieźć prosto do wskazanego domu; w bramie zastałem jakąś  
poważną kobietę i  
spytałem, czy tu mieszka pani Tessaro?  
"Niedługo już tu pomieszka — odpowiedziała — przyjeżdżasz pan  
bardzo późno."  
Wyszliśmy na górę i wprowadzono mnie do pokoiku oświetlonego  
słońcem tak pogodnym  
i wesołym, że aż przykre robiło wrażenie wobec smutnego widoku,  
jaki oświecało.  
Młoda dziewczyna, którą poznałem odrazu, pomimo, że bliska śmierć  
wypiętnowała  
się już na jej twarzy, leżała na posłaniu tak białem, jak jej oblicze i jak  
jej

ręce złożone na piersiach. Oczy miała zamknięte. Przy łóżku klęczała  
jakaś stara  
kobieta z twarzą ukrytą w dłoniach, ksiądz stał przy konającej z  
krzyżem w ręku  
i odmawiał te rozdzierające modlitwy, a kiedy mnie zobaczył:  
"Czy pan jesteś Alfred M. ?" — zapytał.  
"Przybliź się pan do niej, ona pana tylko czeka, żeby skonać."  
Schyliłem się nad Alicyą i wziąłem ją za rękę. Ona podniosła powieki  
i spójrzała  
na mnie z takim wyrazem czułości, żalu, tęsknoty, że gdybym miał  
żyć sto lat,  
nigdy wejrzenia tego nie zapomnę.  
"Cóż mogę zrobić dla pani?" — zapytałem, tłumiąc płacz, który mnie  
dławił.  
"Zamknąć mi oczy" — odpowiedziała z słodkim uśmiechem, a po  
chwili milczenia  
dodała:  
"Alfredzie, kocham cię od dnia, w którym cię po raz pierwszy  
widziałam, ale moje  
serce było związane przysięgą. Gdybym była mogła być twoją,  
bylibyśmy  
szczęśliwi. Bóg nie chciał. Spełniłam moje przeznaczenie,  
dotrzymałam przysięgi.  
Imię mojego ojca przejdzie do potomności, a ja... umieram. Patrz na  
ten obraz;  
kosztował mnie życie... weź go. "  
Ostatnie słowa odgadłem raczej, niż słyszałem, tak głos jej był  
osłabiony i  
cichy. Więcej nie mówiła, a w godzinę

później usnęła cicho, bez konania, bez walki, bez cierpień, z ręką w  
moich  
rękach, z oczyma utkwionymi w ukrzyżowanego Chrystusa.  
Zostałem tam jeszcze dwa dni, żeby się zająć pogrzebem, i przez ten  
czas mówiłem

wiele z księdzem, który był przy Alicyi w jej ostatnich chwilach. Nie  
mogę  
powtórzyć tego wszystkiego, co powiedział o Alicyi, bo przez całe  
dwa dni nie  
mówiliśmy o niczym, jak tylko o niej, a potem, nie wiem, czy dziś  
jeszcze  
miałbym siłę mówić o niej wiele, nawet z tobą Oktawio. Zresztą  
zrozumiesz i bez  
słów, ile to biedne dziecko musiało cierpieć przez cały ten długi rok  
walki  
rozpaczliwej między miłością a przysięgą, bo wyznała księdzu, że  
ojciec przy  
śmierci kazał jej przysiąc, że nigdy kochać nie będzie mężczyzny.  
Kiedyśmy  
powracali z cmentarza, pamiętam, powiedział ksiądz do mnie:  
"Gdy pomyślę, że świat nas mężczyzn nazywa płcią silną, to mnie aż  
litość  
bierze. Czy możesz pan między swoimi znajomymi znaleźć choć  
jednego, któryby był  
zdolny poświęcić tak, powoli i nieustannie, swoje życie dla przysięgi,  
z której  
każdy spowiednik byłby mógł, a nawet musiał rozwiązać tę biedną,  
dziewczynę?  
Mnie wezwała ona do siebie tego samego dnia dopiero, kiedy  
obrazowi swojemu dała  
ostateczne wykończenie. Opowiedziała mi całe swoje życie, a w  
końcu rzekła: "Mój  
ojcze, dotrzymałam przysięgi; moje powołanie jako artystki jest  
spełnione. Teraz  
ty zrób, żebym umarła jak chrześcianka, a ja poddam się  
wszystkiemu, co mi  
rozkazesz. " Posłuszeństwa tego nie odstąpiła ani na chwilę.  
Sprowadziłem zaraz  
światłego lekarza i objawiwszy mu część prawdy, zapytałem, czy  
łącząc chorą z  
tym, którego kochała, nie możnaby jej jeszcze uratować?  
Odpowiedział mi, że już

za późno, że życie ustać musi tem rychlej, im więcej, im namiętniej  
nadużywano  
sił tej ognistej duszy. Wtedy, miałem już tylko jedną myśl, jedno  
pragnienie, a  
tem było oderwać tę duszę od tej ziemskiej miłości, od tego bóstwa,  
które ją  
zabiło niechcący, a skierować te skarby czułości do źródła wszelkiej  
miłości. I  
przy pomocy

Bożej udało mi się to szczęśliwie. Stała się chrześciana, jak była  
artystką i  
kobietą, całą duszą i całym sercem. Miłość jej dla pana oczyściła się  
przez  
cierpienie ze wszystkiego, co w niej zbyt ziemskim być mogło, a  
zbliżającą się  
śmierć przyjmowała bez trwogi, prawie z radością.  
"Czuję mój ojczyźnie, że nie mogę już być szczęśliwą, jak tylko w niebie",  
mówiła mi  
na jakiś czas przed śmiercią, "a jednak chciałabym go raz jeszcze  
zobaczyć. "Żal  
ten, ta tęsknota za panem była głęboka, niezmierna; bałam się, by nie  
obłąkała  
jej w ostatecznej chwili, i dlatego napisałem do pana. Wszystko inne  
wiesz, tak  
jak ja."  
Alfred przestał mówić i ukrył twarz w dłoni. Oktawia płakała rzewnie.  
Po kilku  
chwilach uroczego milczenia, Alfred odsłonił obraz z papierów,  
którymi był  
przykryty.  
— I cóż Oktawio — spytał — nie popatrzysz na to dzieło, które  
Alicya przypłaciła  
życiem?  
Artystka podniosła oczy splakane i stała długo bez słowa wpatrzona w  
ten obraz

wspaniały. Pojęła, że arcydzieło takie nie mogło raniej kosztować, jak życie autora. Był to cud, okupiony męczeństwem.

## PRZEZNACZENIE.

### I.

Ruch panował niezwykły w salonach księżnej Flawii. Meżatki, panny, stateczni i młodzi mężczyźni, wszyscy z równą niemal żywością, o jednym i tym samym rozprawiali wypadku. Zajęcie było tak ogólne, że gdyby kto był nagle wpadł wśród zebrane towarzystwo, z wiadomością, że pod samą Warszawą ukazał się wulkan, którego ogień śmierć i zniszczenie naokoło leje, albo, że stado olbrzymich orłów miasto napadło, w szpony swe chwytając chodzące na ulicy dzieci, by je unieść gdzieś wysoko w krainę chmur i obłoków, mało czyja uwaga byłaby się dała odciągnąć od absorbującego wyłącznie przedmiotu.

— Odkąd świat światem — ze zwykłą sobie żywością mówiła pani Natalia — nie słyszał nikt, żeby powieść do tego stopnia ludzi rozciekawiała.

— C'est peu dire: rozciekawiała — odrzekł na to pan Zenon — niech pani raczej powie: rozgorączkowała, roznamiętniła, do szaleństwa doprowadziła umysły.

— I to powieść, zaledwo trzy arkusze druku zajmująca — dodała pani Natalia.

— Niechciałbym szanownym tu obecnym paniom uchybić — odezwał się książę Sergiusz

— ani im przykrości sprawić, ja, co długi żywot spędziłem (czy może zmarnowałem)

na uwielbianiu niewieściego rodu, ale wyznać muszę szczerze, że co mnie w tym

niebывałym dotąd, a tak zasłużonym sukcesie najwięcej zadziwia, to, że go

otrzymała... kobieta.

— Dziękujemy za komplement, dziękujemy in gremio — odparła śmiejąc się księżna

Flawia.

— A czy księżna czasem mego podziwu nie podziela?

— Owszem, dzielani najzupełniej... — A zatem?

— Zatem; primo: toute rerite n'est pas bonnc a dire; secundo: trzeba było to

ubliżające dla nas zdanie jakoś dyplomatycznie ubarwić, żeby i koza była cała i

wilk syty; tertio: przypominam szanownemu mówcy, że ów ród niewieści, przedmiot

jego wielce platonicznej miłości, znajduje się tu w znacznej większości; gdyby

przyjść miało do głosowania, książę ze swoim wnioskiem, prawdopodobnie

przepadłby z kretelem.

— Cóż z tego? albowiem to doświadczenie życia nie dowiodło od dawna, że słuszność

bywa często po stronie mniejszości...

Na to odezwał się powtórnie pan Zenon:

— Ale bo wszystko w tym utworze jest powodem do zadziwienia, a z wszystkiego

może najbardziej to, że choć autorka jest kobietą, i to kobietą z krwi i kości,

tajemnica dotąd tak doskonale się utrzymuje.

— Oho! bacznosc! Pan Zenon zbliża się zwolna do obozu księcia Sergiusza.

Maluczko, a mniejszość zostanie większością i przestanie mieć słusznosc za sobą...

— Czy państwo czasem nie myślicie — odezwała się, dotąd w milczeniu przysłuchująca się rozmowie, w podeszłym już wieku będąca kasztelanowa — że nasi panowie, nie dla czego innego z takim się wyrażają przekąsem o szalonym powodzeniu Maryi Donuty, jeno dlatego, że im niemiło tak świetne wawrzyny na niewieściem widzieć czole.

Te słowa ogólnym przyjęto śmiechem.

— Mnie się zaś widzi — rzekła księżna Flawia — że prócz zazdrości, srogo im jeszcze dokucza niemożliwość odkrycia tajemnicy, pod którą Marya Donuta się ukrywa, dokucza stokroć więcej niż nam, wbrew ustalonymu, a wedle mnie tak niesłusznemu zdaniu, że ciekawosc jest wyłączną przywarą naszej pici.

— A nieboszczka żona Lota? — wtrącił któryś z panów.

— To troche dawne czasy, ród niewieści w innych obecnie żyje waruukach. Niech

pan coś do naszego wieku bardziej zbliżonego zacytuje.

— Tymczasem — odezwała się znów stara kasztelanowa — każdy z panów, ilu ich tu obecnie się znajduje, dałby pół swego majątku, żeby wiedzieć, kto napisał

Przeznaczenie, a bodaj czy nie cały majątek, żeby nam tu mógł ową misterną Maryę

Donutę przyprowadzić i zgromadzonemu towarzystwu ją zaprezentować.

W drugim przyległym salonie, w którym zebrana była młodzież obojej płci, wrzało jak w ulu. Pannom, wszystkim bez wyjątku, w głowach się paliło; z młodych ludzi, każdy byłby poszedł na kraniec świata, żeby poznać ową czarodziejkę, której utwór i tajemnicze nazwisko, tak namiętnie całą zajmowały Warszawę. Dwie zwłaszcza panienki, żywością mowy i ruchów górowały nad resztą: jasnowłosa, wysmukła, piękna a nieco dumna Sabina, i maleńka, żywa jak iskra, a jak amorek ładna Kleosia.

— Jak się do końca tygodnia nie dowiem — rzekła Kleosia — kto jest Marya Douuta, to mnie wkrótce rodzice do Bonifratrów chyba odwiozą. Czuję, że mi się już w głowie mącić zaczyna.

— A mnie trawiąca gorączka niebawem do przedwczesnego grobu wtrąci — dodała piękna Sabina.

— Ależ ta nieszczęsna Marya Donuta, istne spustoszenie, w Warszawie zrządza — rzekł na to pan Ksawery, młody literat, któremu powodzenie, jak dotąd, tylko z bardzo daleka się uśmiechało, choć mu nie zbywało ani na zdolnościach, ani na wytrwałości w pracy.

Obok niego siedzący, szlachetnej postaci pan Szczęsny, na śmierć w Kleosi zakochany, także swoje uwagi dorzucił:

— Niech panie wyznaczą nagrodę (ale nie lada jaką nagrodę) temu, co odnajdzie tajemnicę, pod którą się ukrywa autorka Przeznaczenia. Wszyscy się rzucimy na złamanie karków, żeby celu dopiąć, i z tak pięknych raczek nagrodę odebrać.



— Przeciwno łamaniu karków żywo protestuję — odparła Kleosia —  
cóż w kawałki  
połamanemu bohaterowi przyjdzie z nagrody?  
— Trzebaby także zawczasu się umówić, jak wysoką miałyby być  
owa nagrana. —  
rzekła przerażona Sabina.  
— Wybór nagrody powinien być zostawiony samemu zwycięzcy —  
rzekł na to Szczęsny,  
wpatrując się w błyszczące oczy swej bogdanki.  
— Une discretion zatem! to niebezpieczne — szepnęła Kleosia,  
zmieszana zbyt  
wymownem spojrzeniem p. Szczęsnego.  
— Otóż ja państwu powiem — odezwał się młody literat — że,  
jakkolwiek nie wiem,  
kto napisał powieść Przeznaczenie, doszło mnie z pewnego źródła (tu  
pan Ksawery  
mijał się z prawdą, bo nic a nic nie wiedział, tylko chciał zwrócić na  
siebie  
wejrzenie tylu pięknych oczów), że autorka mieszka gdzieś bardzo  
daleko, i że  
trzebaby rzeczywiście karkołomną odbyć podróż, żeby z Maryą  
Donutą się spotkać.  
— Dziś niema już karkołomnych podróży — odparł na to pan  
Szczęsny — boć trudno  
przypuścić, żeby Marya Donuta mieszkała w Zanzibarze, zwłaszcza,  
że tam podobno  
się biją, czy bić mają.  
— A niechże ją Pan Bóg od tego broni — zawołała Sabina — zarazby  
powiedziano:  
Cherchez la Polonaise!  
— Może ma willę gdzieś między Hottentotami.  
— W każdym razie nie u Hottentotów zapożyczyła treści do swego  
romansu — rzekł  
ktoś z obecnych.  
— Ani z nich brała wzory do swych bohaterów.

— Wszystko to dobrze; państwo sobie żartujecie, mniej więcej  
dowcipnie, a tu  
naprawdę pomyślećby trzeba, jak się zabrać do dzieła, żeby Maryę  
Donutę wykryć —  
i to mówiąc, spojrzała piękna Sabina w stronę, gdzie siedział pan  
Ksawery,  
licząc na jego poparcie. Lecz on tylko odrzekł:  
— No... to myślmy! — i uśmiechnął się do niej, jak do  
rozpieszczonego dziecka,  
któremu gwiazdki z nieba się zachciało.

I tak do późnej nocy nie mówiono zgoła o niczem innym tylko o  
Przeznaczeniu,  
oraz o nieznaney autorce. Sama kasztelanowa, zwykle już o -ej  
spokojnie w  
łóżku spoczywająca, zapomniała o godzinie; dopiero gdy jej  
kamerdyner, długiem  
czekaniem zniecierpliwiony, kazał wreszcie powiedzieć, że powóz od  
dwóch godzin  
na nią czeka, powstała czempędzej z miejsca, przerażona tak srogiem  
uchybieciem  
zwyczajom, tradycjom, a bardziej jeszcze względem należącym się  
staremu  
furmanowi.  
— Dobranoc, kochana księżno — rzekła, żegnając się z panią domu.  
— Aż mi wstyd  
pomyśleć, że ta nieznaną czarodziejka (aby tylko nie pokazało się, że  
czarownica) i mnie starej w głowie zawróciła. To już istne opętanie.  
Wszystkim  
nam o niej dziś w nocy śnić się będzie.  
Wyszła kasztelanowa; zwolna, rozeszła się i reszta towarzystwa.  
Każda rzecz musi  
mieć swój koniec, nawet, niestety ! wieczory u księżnej Flawii.

II.

Jakich Kleosia niewieścich użyła fortelów, czy czarów, tego podobno nikt nigdy się nie dowie, dość, że w jakie dwa tygodnie po owym wieczorze u księżnej Flawii, nie zwierzywszy się nikomu, nie wyjąwszy nawet przyjaciółki od serca, pięknej Sabiny, wyszła raniutko z domu w towarzystwie panny Barbary, starej rezydeutki, która Kleosię wychowała od małego dziecka. Jak zwykle, udały się naprzód do Kapucynów na mszę św., którą, co prawda, Kleosia z niemalem wysłuchała roztargnieniem. Zaledwo dotrawszy do *Ite missa est*... wyszła szybkim krokiem z kościoła. Szły obie prędko i długo, zbyt prędko i zbyt długo, jak na siły starej panny Barbary, której po pół godziny tego przyspieszonego spaceru, zaczęło tchu nie dostawać.

— A długo to tak jeszcze panienka stare moję kości pędzić będzie? — zapytała wreszcie zadyszczanym głosem.

— Nie długo, moja złota panno Barbaro, nie długo. Za jakie pięć minut będziemy na miejscu. — Na to zapewnienie, panna Barbara nabrała trochę ducha, ale okazało się niebawem, że owe pięć minut Kleosi, jak polskie mile, ogromny miały ogon.

— Dlaczegoż mnie panienka nie ostrzegła, że aż do Łazienek się wybiera, byłabym się lżej ubrała; w tej grubej chustce, biegnąc jak koń wyścigowy, nie dojdę nigdy.

— Ależ my wcale do Łazienek nie idziemy. Nigdybym przecie kochanej panny Barbary tak daleko nie fatygowała. Ot! już dochodzimy. Tym razem istotnie, po paru minutach zatrzymała się Kleosia przed jedną z ostatnich kamienic na alei Jerozolimskiej. Panna Barbara dyszała jak miech kowalski, gdy Kleosia tymczasem rumiana, uśmiechnięta, ' przytem trochę wzruszona, wsuwając złotówkę w rękę stróża zamiatającego bramę, zapytała, czy tu mieszka pani Melito.

— Tak jest, proszę pani, na trzeciem piętrze, drzwi na lewo...

— Chryste Jezu! trzy piętra! toć mnie tam chyba od razu pochowacie — jęknęła panna Barbara.

— To panna Barbara tu na dole na mnie poczeka — rzekła Kleosia. — Portyer (stróżowi, na wyraz "portyer", miło się na sercu zrobiło) poda jakie krzesło, a ja za kwadrans, najdalej za pół godziny, będę z powrotem.

— A gdzież to panienska idzie? — zapytała zakłopotana panna Babara, przed oczami której stanęła nagle cała odpowiedzialność za tę tajemniczą ekskursję zacnej, ale bądź co bądź w tej chwili nieco tajemniczej pupilki. Zmiarkowała to Kleosia i rzekła:

— Mam list od starego przyjaciela papy, pana Jerzego X. do pani Melito, muszę go sama wręczyć — i to mówiąc, wyjęła list ojca z kieszeni; widok znanego dobrze pisma trochę uspokoił pannę Barbarę; zapytała wszakże:

— Więc pan pułkownik wie, żeśmy się tu wybrały. — Czy Kleosia nie usłyszała danego pytania, czy usłyszeć nie chciała?

dość, że nie dała odpowiedzi, ale zwróciwszy się ku schodom,  
czempredzej  
podążyła na to trzecie piętro, którego sam widok takim przerażeniem  
przejmował  
starą jej towarzyszkę.

— W gorącej wodzie dziewczę kąpane — rzekła pół głosem do siebie,  
siadając

wreszcie na ławce, starannie przez stróża z pyłu otartej — a czyjaż w  
teru wina,

jeśli nie moja. Wszakci nie czyje inne, jeno moję ręce ją skąpały, gdy  
na świat

przyszła! Masz tu teraz za swoje.

Tymczasem, owe w gorącej wodzie kąpane dziecko, już było na  
trzeciem piętrze.

Trochę zadyszana a bardzo wzruszona, zatrzymała się chwilę.

— Pierwsze drzwi na lewo mówił stróż... to tu... — Pociągnęła  
nieśmiało za

dzwonek, zbyt nieśmiało śnać, bo nikt się nie zgłosił. Zadzwońiła po  
raz drugi,

tym razem trochę mocniej; po chwili ukazała się we drzwiach osoba  
już w wieku, w

schludnem, skromnem ubraniu i zapytała, czem służyć może.

— Czy tu mieszka pani Melito ? — zapytała nieco drżącym głosem  
Kleosia.

— Tak jest, ja nią jestem, proszę do pokoju.

Weszła wreszcie Kleosia do przybytku wszystkich najgorętszych od  
trzech tygodni

marzeń swoich. Najważniejsze było więc osiągnięte; teraz przyszło jej  
już tylko

czekać na ukazanie się Maryi Do nuty. Lecz trzeba było przed panią  
Melito

wytłómaczyć powód wizyty. Zrozumiała to Kleosia, pomimo  
wzrastającego z każdą

chwilą wzruszenia i podając zapieczętowany list, z ujmującym rzekła  
uśmiechem:

— Oto moja karta legitymacyjna.

Rzuciwszy okiem na adres, pani Melito podała Kleosi krzesło,  
prosząc, żeby  
chwilkę poczekać zechciała, i z pokoju wyszła. Pozostawiona sobie  
samej, żywy  
rozpoczęła Kleosia monolog:  
— Gdyby to Sabinka, albo księżna Flawia widziały, gdzie ja w tej  
chwili  
jestem... kogo ja za chwilę obaczę!... — i to mówiąc, z wielkiego  
nadmiaru  
radości, Kleosia o mało po pokoju tańcować nie zaczęła. — Ale nie  
wiedzą... o  
nie...

a, co więcej, nigdy wiedzieć nie będą... Musiałam na to przysięż i  
przysięgi  
dotrzymam, choćby mnie na wolnym ogniu piec mieli... Łatwo mi to  
wprawdzie nie  
przyjdzie, nie dlatego, żebym języka za zębami trzymać nie umiała,  
lub tajemnicy  
dochować nie mogła, ale mnie mimowolnie zdradzić mogą oczy, o  
których pan  
Szczęśny mówi, że to są sśliczne ale gadatliwe gwiazdy" — i to  
mówiąc, spojrzało  
dziewczę w lusterko wiszące nad stołem. Lusterko wyraźnie  
odpowiedziało, że pan  
Szczęśny ma rację.  
— A Sabinka, czy się domyśli?... czegoś może się i domyśli, ale z  
pewnością nie  
tego, co zaszło... Prawdopodobnie będzie myślała, że po raz trzeci pan  
Szczęśny  
się oświadczy!  
i że go wreszcie, po długiej próbie, przyjął... Na tem się też  
zapewne kiedyś  
i skończy... Ale jakżeż ja w przyszłości sekret przed mężem  
utrzymani?... (na tę

myśl zarumieniła się Kleosia po uszy, o czym ją niedyskretne a już raz  
o zdanie  
zapytane lusterko, uwiadomiło). Wszakże żonie nie wolno mieć  
sekretów przed  
mężem... To grzech... grzech ciężki... gotowani rozgrzeszenia przy  
spowiedzi nie  
dostać...  
Pobożne, a może przedwczesne obawy Kleosi, przerwane zostały  
powrotem pani  
Melito, która rzekłszy: — Proszę za mną — wprowadziła Kleosię do  
przyległego  
pokoju, sama zaś wyszła.  
Na fotelu, przy oknie, szalem obwinięte mając nogi wyżej kolan,  
siedział starzec  
o dziwnie pięknych rysach i dużych, pełnych smutku oczach; włosy  
miał długie i  
jak śnieg białe. Na stolyczku tuż obok fotelu leżały papiery, książki,  
gazety, a  
na samym wierzchu otwarty, przez Kleosię przyniesiony list.  
— Niech pani darować raczy — dźwięcznym do wchodzącej odezwał  
się głosem — że  
nie wstaję aby ją powitać. — I to mówiąc, wskazał na otulone nogi.  
Kleosia spieszenie do fotelu podeszła i w podaną dłoń rączkę złożyła,  
w duszy zaś  
pomyślała:  
— Jaki on piękny! to pewno ojciec, albo dziadek Maryi Donuty...  
Jakaż ona piękna  
być musi!...

— Niech pani raczy usiąść — rzekł starzec, wskazując na krzesło. —  
Pisze mi mój  
przyjaciół, że otrzymawszy moje zezwolenie (bo ta sprawa już od  
dwóch tygodni  
między nami się traktuje) wskazał pani mój adres, i że pani  
przybywasz do mnie,  
żeby koniecznie poznać autorkę Przeznaczenia.

Kleosia zarumieniła się jak zorza w dzień pogodny, i wzruszonym odrzekła głosem,  
że gorąco tego pragnie. Starzec wpatrywał się w nią w milczeniu;  
zwolna  
zachodziły mu oczy łzami i dopiero po dłuższej chwili, opanowawszy  
wzruszenie,  
zapytał:

— Ale czy pani potrafi sekretu dotrzymać?

— Przysięgam, że nigdy, przed nikim okazanego zaufania nie  
zdradzę.

— Nawet przed rodzicami?

— Matki już nie mam — odrzekła smutno Kleosia — co się tyczy  
ojca, ten jest tak

zajęty, że mu na myśl nie przyjdzie zapytać, gdzie dziś rano byłam.

— A jakże będzie z mężem? bo pani niewątpliwie kiedyś, może za  
lada dzień,

obierze sobie dozgonnego towarzysza, przed którym mieć tajemnic  
nie godzi się

żonie. Jakżeż to będzie ?

— Ależ to nie będzie mój a, tylko cudza tajemnica, do wyjawienia  
której nawet

mąż prawa mieć nie może.

Uśmiechnął się starzec na te słowa, owym uśmiechem graniczącym ze  
łzami, co go

na ustach mają ludzie srogo przez los wypróbowani.

— Niech i tak będzie; ale pod jednym warunkiem.

— Słucham pana.

— Pod warunkiem, że gdy pani się przekona, iż dłużej przed mężem  
sekretu

utrzymać nie potrafi (i to bywa, jak żona męża bardzo kocha), że mnie  
pani

natenczas o tem uwiadomi natychmiast, osobiście, albo listownie.

Zgoda?

— Z całego serca, zgoda.

— Kiedy tak, musi pani naprzód wysłuchać cierpliwie opowiadania  
starca. Będzie

to wstęp do znajomości z Maryą Donutą.



— Słuchać pana będę z największą a wdzięczną uwagą. To mówiąc, Kleosia zbliżyła krzesło do fotelu starca. W tej chwili, nie dobrze zamknięte okno rozwarło się i chłodny wiatr przez pokój przeleciał. Kleosia prędko podbiegła, zamknęła okno, poczem rzekła, poprawiając kołdrę otulającą nogi starca:  
— Nie trzeba, żeby pana zawiąło.  
Starzec z widocznym rozrzewnieniem ścisnął rączki Kleosi, chwil parę się namyślił, potem w następujących słowach opowiadanie rozpoczął.

### III.

— Dawno temu, będzie już wkrótce lat dwadzieścia... Pani prawdopodobnie jeszcze na świecie nie było...  
— Właśnie że "było" — przerwała Kleosia — mam lat dwadzieścia i miesiące cztery.  
— A więc w roku, w którym wschodziła nad kolebką pani promienna gwiazda pomyślności, nad inną kolebką wschodziła równocześnie mniejsza, skromniejsza gwiazdeczka, która także wyglądała na posłanniczkę szczęścia. W kolebce tej spoczywało dziecię śliczne, rumiane, uśmiechnięte, z niebieskimi oczkami i jak len jasnymi kędziorkami... istny aniołek z nieba. Po jednej stronie kolebki, dobra, rozumna, troskliwa czuwała matka; po drugiej kochający ojciec. Dziecko rosło wesołe i szczęśliwe, na chwałę Bożą i pociechę rodziców. Bez chmurki na czole, ni Izy w oku, doszła Zosia do lat piętnastu. Od dnia tego poczęła

gwiazdeczka jej życia zwolna blednąc. Naprzód matka ciężko  
zaniemogła; wkrótce  
potem ojca wywieźli daleko na północ. W dziecinnym prawie będąc  
jeszcze wieku,  
szczęściem i swobodą żyjąca dotąd dziewczeczka, ujrzawszy się nagle u  
stóp krzyża,  
w pierwszej chwili widokiem krzyża się przeraziła. Zdawało się jej, że  
tyle  
bolu, tyle troski, to nad jej siły będzie, że jej zawczasie w życiu  
wszystko  
się rwie. Zwolna

wszakże przykład i zbawczy wpływ matki, tak srogo dotkniętej, a nie  
wyrzekającej  
nigdy na wyroki Opatrzności, uspokoiły miotającą się duszę Zosi.  
Choroba matki  
trwała blisko dwa lata; całe te dwa lata spędziła Zosia na umysłowym  
i moralnym  
kształceniu się przy matce, jednej z najbardziej wykształconych i  
najdoskonalszych kobiet na całą Polskę. Zosia skwapliwie chwyciła  
wiedzę,  
udzielaną jej przez tak drogie usta. Matka zaś czuła, że wzbogacając  
umysł córki  
i wpajając w nią zamiłowanie do pracy, oddali od niej czerne marzenia  
i tęsknotę  
za szczęściem, które zdawało się coraz dalej z oczów ich znikać.  
Wzmacniała ją  
do walki z życiem, zaopatrując w niezliczone skarby duszę, umysł i  
serce córki.  
Gdy wreszcie Bóg, po tak ciężkich i długich cierpieniach, matkę do  
siebie  
powołał, dziewiętnastoletnia Zosia dojrzałą była kobietą. Z całego  
szczęścia lat  
dziecinnych nie pozostało nic, nic. Gwiazda gdzieś bezpowrotnie  
zaszła, już jej

dojrzeć nie było można; szukała jej Zosia, a nie znalazłszy, obrała inną, jeszcze od tamtej skromniejszą, tak maleńką, że ją zaledwo na niebie dojrzeć

było można. Tą gwiazdeczką...

— Już wiem! — przerwała Kleosia, do głębi serca opowiadaniem starca wzruszona —

tą gwiazdką będzie zamiar połączenia się z ojcem. Czy tak?

— Tak, moje dziecko — odrzekł rozrzewniony starzec — zgadłaś.

Zamiar ten

owładnął całkowicie jej duszę, stał się jedynym celem jej życia.

Wytrwałością,

odwagą, siłą woli, nad stan i wiek, doszła do tego, że jej udzielono pozwolenia

udania się do Saratowa. Czem miało być dla ojca, po więcej niż trzechletnim

rozstaniu, połączenie się z jedynaczką, tego chyba pani nawet nie zgadnie.

Opanowany cisnącemi się do gardła łzami, zamilkł starzec na chwilę. Co do

Kleosii, ta oparłszy głowę na jego ramieniu, płakała jak dziecko.

— Nie minęło pół roku, cały Saratów Zosię uwielbiał. Rozumem, sercem,

niezrównanym wdziękiem czarowała ludzi, wrodzoną dobrocią przyciągając do siebie

wszystko co żyło,

nie wyjąwszy zwierząt domowych, garnących się około niej na zawołanie. Lecz

Zosia ofiarę z siebie robiła, wdając się z ludźmi, bo nadewszystko lubiła

samotność. Długie godziny, codziennie spędzane przez ojca w mieście, gdzie

udzielał lekcyj obcych języków, Zosia spędzała w swoim pokoiku, pisząc przy

biórku, albo z robotą w ręku, myśląc nad tem, co pisać będzie. Pytał się jej czasem ojciec, czy mu nie przeczyta pracy swojej? Odpowiadała na to, że dopiero wtedy przeczyta, gdy to, co pisze, doprowadzi do takiej doskonałości, na jaką ją stać, że o ile tylko być może, chce zrobić arcydzieło. Dziwny to był zaiste, niebywały dotąd w świecie objaw, ta żądza doskonałości dla tworzącego się dzieła, bez najmniejszego odcienia pychy, bez źdźbła ambicji osobistej. Gdy ją raz ojciec żartem zaczepił: "Chcesz, widzę, Zosieńko moja, na złotym rydwanie sukcesu przejść do potomności!" — odrzekła na to poważnie: "O nie ojczy, nie dla siebie ja pragnę chwały, cóżbym z nią zrobiła? dla mojej pracy, dla mego dzieła chcę chwały; chcę, żeby dzieło to było. jedyne w swoim rodzaju, o ile być może najdoskonalsze, żeby treścią przedmiotu, głębokością myśli, prawdą i ciepłem uczuć, a nie osobą piszącej, zajęci byli ludzie, czytając tę pracę. Już dwa lata blisko piszę, rozmyślam, zmieniam, dodaję, ujmuję, co dzień nowy przychodzi mi pomyśl, który dopiero opracować należy. Jeszcze z rok popracuję i przy pomocy łaski Bożej, o którą to łaskę codziennie do Nieba się modłę, wyjdzie kiedyś na świat... arcydzieło." I to mówiąc, opromieniona samą nadzieją przyszłego powodzenia utworu swego, rzuciła się w objęcia ojca, tuląc się do jego łona. — Przyszła zima; zawsze w tym klimacie mniej więcej sroga, jeszcze w tym roku sroższą była, niż zwykle. Odchorował ją ciężko ojciec, lecz anielską

troskliwością jedynaczki otoczony, niemal z żalem widział  
powracające siły i  
zdrowie. Gdy już był w stanie do dawnych powrócić zajęć, zapadła na  
zdrowiu  
Zosia. Zrazu lekarz miejscowy żadnego do obawy nie widział  
powodu; surowo  
przestrzegał, by unikała przeziębienia i nadmiaru pracy umysłowej.  
"To ostatnie  
najtrudniej będzie prze-

prowadzić", pomyślał srodze zakłopotany ojciec. Gdy wspomniał  
przed córką o  
przepisach doktora, uśmiechnęła się tylko i ku wielkiemu ojca  
zdziwieniu,  
smętnym nieco rzekła głosem: "Teraz już mogę spocząć... pracę  
skończyłam!..."  
Ojciec napał się wówczas, żeby mu wreszcie to swoje ukochane  
dzieło  
przeczytała. Odpowiedziała, całując go w rękę, że mu go wręczy i  
daruje maja,  
w dzień swej patronki. (Głos mówiącego stawał się coraz słabszym).  
Gdy dzień św.  
Zofii nadszedł... Zosia... Zosia... była...  
— O Boże mój! gdzie była Zosia ? — przerwała Kleosia, zsuwając się  
na kolana  
przed starcem.  
— Zosia była... w grobie...  
Przez chwilę, nic, tylko łkanie starca i dziewczyny słychać było w  
pokoju.  
Uspokoiwszy się trochę, trzymając w dłoni rękę zapłakanej Kleosi:  
— Już tylko parę słów dodam — rzekł starzec bardzo cichym głosem  
— bo i o panią  
troszczyć się w domu będą. Zresztą, to co mam dodać, krótkie będzie.  
Wracając z pogrzebu Zosi do pustego mieszkania, zastał ojciec na  
stole list od

miejscowego gubernatora, z uwiadomieniem, że może do Warszawy powrócić.

Prawdziwe kadzidło umarłemu, pomyślał ojciec. Pakując manatki i papiery córki,

natrafił na dużą, zapieczętowaną kopertę, z następującym napisem:

"Najdroższemu

ojcu polecam, aby tę moją pracę, za powrotem do kraju wydał, nie wyjawiając

nazwiska autorki." Na duszy i ciele złamany, wrócił ojciec do

Warszawy, pracę

córki wydał i świat dziś podziwia Zosi arcydzieło! Ojciec zaś czeka zmiłowania

Bożego, aby mógł, albo czempredzej połączyć się z córką, albo tyle sił odzyskać,

żeby do Saratowa wrócić i przy zwłokach jedynaczki stare złożyć kości.

— Opowiedziałem wszystko, teraz niech pani wraca do domu, już tam od chwili ktoś

u drzwi moich niecierpliwie dzwoni...

Powstała zwolna Kleosia. Otrzymawszy błogosławieństwo starca, oraz upoważnienie

odwiedzania go od czasu do czasu, aby o Zosi pomówić, wróciła do domu. Nigdy

przed nikim powierzonej tajemnicy nie zdradziła. Już po zaręczynach z panem

Szczęsnym, poprosiła go raz tylko, aby o nic nie pytając, ani dziś, ani w

przyszłości, poszedł z nią na pogrzeb starego jej przyjaciela.

**NIEWIERNY TOMASZ.**

## I.

Powiadają, że ludzie wrażliwi dwiema rzeczami najłatwiej się zdradzają; temi są: śpiew i chód. Jest w tem wiele prawdy. Znałem kobietę bardzo rozumną, silnego charakteru, a zimnej powierzchowności; dziwnie ona umiała sobą władać; nikt nigdy nie dostrzegł na jej pięknej twarzy najmniejszego śladu gniewu, zazdrości lub oczekiwania, tych tak trudnych do ukrycia uczuć. Miałem ją za osobę wyższą umysłowemi zdolnościami, lecz zimnego serca. Owóż, razu jednego zdarzyło się, że wszedłem do jej salonu niepostrzeżony, w czasie, kiedy śpiewała; osłupiałem z wielkiego zadziwienia. Twarz jej była całkiem przeistoczona, rozpromieniona, choć łzami zalana; jednym słowem, inna to była istota. Później, poznawszy ją lepiej, przekonałem się, że rzeczywisty stan jej duszy nie wesołej a obojętnej odbijał się powierzchowności, lecz w głębokim a napiętym zdradzał się śpiewie. To samo niemal powiedziećby można, śledząc ruchy człowieka chodzącego po pokoju; mówię po pokoju, bo na spacerze lub na ulicy, chód mimowolnie stosuje się do zewnętrznych okoliczności, do temperatury, do towarzystwa, bodaj nawet i do rodzaju interesu, za którym się chodzi. W pokoju zaś chód jest jakoby napiętnowany myślą, za którą się goni, czy gwałtownym, czy też powolnym krokiem. Teorya ta zwłaszcza do mężczyzn stosuje się w ogóle, a do pana Henryka B. w szczególności.

Chodzi on właśnie po pokoju, paląc a raczej gryząc cygaro; w ruchach jego różne przebijają uczucia: jest tani

i gniew tłumiony, i niecierpliwość wielka, a przytem jakaś niepewność, wahanie się. Chodzi szybko, zatrzymując się co chwila, a od czasu do czasu rzuca okiem

na młodego człowieka, wygodnie a bardzo spokojnie leżącego na kanapie. Spokój

ten wobec jego rozgorączkowania, drażnił do reszty zniecierpliwionego Henryka.

Spostrzegł to snąc przyjaciel jego, i pyta dosyć obojętnym głosem:

— Może ci zimno, Henryku, że tak biegasz po pokoju? To zadzwoń i każ przyłożyć na kominie.

— Nie, dziękuję ci, nie jest mi zimno.

— Więc cóż ci takiego? bo już ciż widzę, że coś niezwykłego krew ci w żyłach burzy.

— Zgadłeś — odrzekł Henryk, rzucając się na krzesło — ale widzisz, mój kochany, z takimi jak ty sceptykami, nie od razu z każdą myślą wywnętrzyć się można.

Serce masz poczciwe i szlachetne, nie wahałbym się ani na chwilkę prosić cię o

oddanie mi usługi; ale są rzeczy, a raczej uczucia, z którymi się przed tobą

taje, obawiając się twoich chłodnych, zamrażających sarkazmów.

Zaśmiał się z niejaką goryczą pan Zygmunt, wstał, podszedł do komina, parę

kawałków drzewa przyłożył, potem siadając na wygodnem krześle a przysuwając

drugie ku sobie:

— No, siadaj tu przy mnie — rzekł — piękny mój marzycielu! i powiedz, co ci na



sercu tak cięży?

Usiadł Henryk na wskazanem miejscu, popatrzył na płomień orzeźwionego ognia i milczał. Po chwili uderzywszy szczypcami od węgla w palące się drzewo, żeby sobie choć tem ulgę przynieść w tłumionych uczuciach, zdecydował się wreszcie przemówić.

— Słuchaj, Zygmuncie, jaby się chciał starać o rękę panny Zofii R. Cobyś ty na to powiedział?

— Że nigdy lepszego wyboru zrobić nie potrafisz. Rozumna, ładna i anielskiej dobroci Zosia, nawet twoje wymagające serce zadowolnię jest w stanie.

— A czy myślisz, że ona zechce pójść za mnie?

— Mój drogi, ja myślę (i ty tak samo myślisz, tylko ci twoja mniemana cześć dla pici pięknej tego wyrazić nie pozwala), że w naszym dziewiętnastym wieku, z Dyogenesa lampą nie znajdziesz panny, któraby odmówiła człowieka przystojnego, rozumnego, a mającego trzykroć sto tysięcy dochodu.

— Nawet gdyby ta panna w kim innym się kochała? — zapytał Henryk, wpatrując się pilnie w oblicze przyjaciela, lecz nie mogąc najmniejszego w nim wysledzić wzruszenia.

— Nawet gdyby się w kim innym kochała, jeżeli przedmiot jej miłości nie odpowiada tym samym świetnym warunkom.

— Nie, Zygmuncie, to być nie może, żebyś ty taką miał opinię o panie Zofii.

Moie bo się nawet czasem zdawało, że jej przyjaźń dla ciebie zakrawa na coś dużo

czulszego; a podobno, że kiedyś i ona tobie obojętną nie była?  
Zygmunt kilka razy pociągnął w milczeniu cygaro, nim na to  
zapytanie  
odpowiedział. Obrachowana ta obojętność okropnie Henryka drażniła,  
lecz chciał  
do końca dotrwać bez gniewu.

— Otóż powiem ci całą myśl moją — odrzekł wreszcie Zygmunt. —  
Zosia jest  
rozumniejsza i lepsza od innych kobiet; pokrewieństwo nasze (jestem,  
jak ci  
wiadomo, kuzynem jej matki), zbliżyło nas o tyle, że ją lepiej poznać i  
ocenić  
zdołałem. Powtarzam zatem, że jest rozumna i dobra; ale jest kobietą,  
i choćby  
to, coś powiedział, że we mnie się kocha, czemu przeczę, było  
prawdą, odkocha  
się ona wnet, jak u nóg swoich zobaczy pretendenta, którego sobie  
wszystkie mamy  
i wszystkie córki wyrywają. Leż zkądże wnosisz, że Zosia ma dla  
mnie inne  
uczucie nad swobodną przyjaźń, tak łatwą do wytłómaczenia  
pokrewieństwem naszym  
?

— Wczoraj na balu tańcząc z nią, mówiłem długo o tobie; słuchała z  
uwagą i  
odpowiadała bardzo trafnie, póki  
o zaletach twoich wyłącznie była mowa; lecz jak tylko przeszedłem  
do krytyki,  
zwłaszcza, jak zacząłem ubolewać nad tem zgubnem uczuciem  
zwątpienia o  
wszystkiem, co dobre  
i wzniosłe w sercu ludzkim, zbladła nieco i oczy jej łzami

zaszły. "Niech pan temu nie wierzy — rzekła po chwili trochę  
drżącym głosem — on

tylko tak udaje. Ja jedna znam jego serce. " I wachlarzem zasłoniła  
twarzyczkę,  
żebym snąć nie spostrzegł, jak spadające łzy chustką ocierała. Z  
uwielbieniem na  
nią patrzałem; w naszych bowiem czasach, tego rodzaju łzy rzadkiem  
są już  
zjawiskiem. Staranne a światowe wychowanie, wykształca w kobiecie  
to uczucie, że  
należy przedewszystkiem godność zachować wobec ludzi, choćby z  
uszczerbkiem  
serca.

— Aha! więc i ty przyznajesz, że dzisiejsze kobiety głową tylko a nie  
sercem się  
rządzą?

— Przyznaję, że ich jest dużo takich i ubolewam nad tem, ale nigdy  
wierzyć nie  
będę, że wszystkie równie są zimne i płoche; zwłaszcza nigdy o Zofii  
myśli tej  
nie przypuszczę.

— A gdybym ci dowiódł, że tak jest, dałbyś się przekonać? — zapytał  
szyderyczym  
głosem Zygmunt.

— Przekonać... o czym?

— O tem, że dziś każda kobieta, tak dobrze -to letnia dziewczeczka, jak  
-to

letnia panna, mając do wyboru między człowiekiem postawionym w  
świecie, jak ty  
nim jesteś, a mną, który mam nędzną wioseczkę w górach, choćby ją  
serce ku mnie  
ciągnęło, tobie rękę odda, a później może i serce, o tyle, o ile go ma.

— Zygmuncie, to być nie może, żeby takie było istotnie twoje  
przekonanie.

— Nie tylko, że jest mojem przekonaniem, ale wkrótce będzie i  
twojem. Chcę  
ciebie raz na zawsze wyleczyć z tej manii widzenia wszędzie  
bezinteresowności,  
kiedy jej niema nigdzie. Dziś świat cały oparty na obrachowaniu; jest  
to

specjalność naszego wieku, i gdybyś tylko zechciał patrzeć na ludzi  
inaczej, jak  
przez pochlebiające szkło twoich poetycznych marzeń, tobyś od razu  
widział, że  
ja trzymam z prawdą, a ty z urojeniami.  
— Niech i tak będzie. Wszakże pozwól mi powiedzieć, że to  
wszystko, co mówisz  
tak jasno i płynnie, są to tylko

ogólniki, a nie dowody; ogólnikami zaś nikt jeszcze nikogo nie  
nawrócił.

— Zatem żądasz dowodów na poparcie mojej teorii?

— Proszę o nie, choć w głębi duszy pewny jestem, że ani  
argumentami, ani  
dowodami nie zdołasz pozbawić mnie wiary w świętość niektórych  
uczuć kobiecego  
serca.

— Czas to pokaże, a raczej doświadczenie. Za przedmiot zaś onegoż  
doświadczenia  
biorę samą Zosię i nas dwóch. Jeżeli z tej próby wyniknie poświęcenie  
i  
abnegacya a nie obrachowany, zimny egoizm, uznam się od razu za  
kompletnie  
zwycięzonego i oddam ci się pieds et poings liés.

— Na czymże zależy ta próba? — zapytał Henryk niedowierzającym  
głosem.

— Na to zapytanie, nieco obszerniej już odpowiedzieć muszę. Słuchaj  
z uwagą. Nie

wiem, czy ci wiadomo, że dwa lata temu, o mało co nie pożegnałem  
się z tym

wesołym światem, wskutek bardzo gwałtownego zapalenia płuc.

— Wiem o tem, i wiem także, żeś się tej choroby nabawił, rzuciwszy  
się do rzeki

na dziesięć stopni mrozu, za tonącym dzieckiem.

— Może być, że ta okoliczność przyczyniła się do choroby. Mniejsza  
o to. Dosyć,

że chorowałem ciężko, i jeżeli masz jeszcze szczęście oglądać przyjaciela, to nie komu innemu, jak poczciwej Zosi szczęście to zawdzięczasz. W domu jej matki bowiem, dokąd byłem przyjechał w odwiedziny, zasłałem, i tam blisko trzy tygodnie leżałem, zupełną niemocą złożony. W ciągu tej długiej choroby pilnowała mnie Zosia, jak najczulsza siostra, a że nie mała to jest zasługa, za to ręczę ci, bo na świecie niema nieznośniejszego człowieka, jak ja nim jestem w chorobie.

— Nie widzę ja dotąd — przerwał Henryk — co w twojem opowiadaniu osłabiać może moją cześć dla kobiet?

— Zobaczysz dalszy ciąg. Powracam do mojej choroby. Dobroć Zosi, słodycz jej i niezrównana prostota, z jaką poświęcała mi całe dni, a czasem i noce, zniewoliły jej całkiem

serce moje. Czułem w miarę, jak mi zdrowie powracało, że wdzięczność dla mojej szarytki (jak ją żartem nazywałem), coraz to wybitniejszych nabierała odcieni gorętszego uczucia; niezrównana wszakże niewinność Zosi, takie we mnie wzbudzała zadziwienie i poszanowanie, że długo z samym sobą walczyłem, nie mając odwagi targnąć się na ten święty spokój nienaruszonego dotąd serca. Wszakże razu jednego, gdy mi już coraz lepiej na zdrowiu było, przyszła wieczorem do mnie Zosia, oświadczając mi, że matka, wybadawszy doktora, który zaręczył, że

niebezpieczeństwo całkiem minęło, zabroniła jej odtąd pielęgnować  
mnie w nocy  
naprzemian z moim starym Jakóbem, jak to od dwóch tygodni czyniła.  
Niewymownie  
przykro mi się zrobiło; przyzwyczailem się był, przy ciągłych  
bezsennościach,  
które mnie trapiły, zawsze widzieć tę cichą, białą postać, siedzącą  
przy mojem  
wezglowiu. Ona jedna umiała mi dogadzać, zgadywała każde moje  
życzenie, a lekkie  
stapanie jej drobnych nóżek, nie rozdrażniało nerwów moich,  
okropnie na każdy  
hałas wrażliwych. Wypowiedziawszy mi ten dekret matczynej woli,  
zaczęła się  
pomału krzątać po pokoju, różne rzeczy do porządku  
przyprawdając; wszystko to  
robiła tak cichutko, swobodnie i zwinnie, jak gdyby całe życie była  
spędziła na  
pielęgnowaniu chorych. Śledziłem ją rozczulonem okiem. Czułem, że  
obecność jej w  
tym pokoju była nieodzownie potrzebną do uzdrowienia i do szczęścia  
mojego. Ona  
zaś, ułożywszy każdą rzecz na swoim miejscu, jak to zwykła była  
robić przed  
nocą, usiadła przy mojem łóżku, życzliwem ale spokojnem okiem  
patrzając na mnie.  
"Wujaszki dziś wieczór dużo lepiej, wszak prawda? gorączki już  
niema."  
"Teraz niema — odpowiedziałem wzruszonym głosem — ale co dziś  
w nocy będzie,  
tego nie wiem."  
"A cóż ma być?" — odrzekła, uśmiechając się.  
"Smutek i samotność, kiedy mnie mój Anioł opiekuńczy opuszcza."  
"Ależ on wujaszka bynajmniej opuszczać nie myśli. Jutro

rano, skoro tylko słońce zaświeci, już tu będę, na pierwsze zawołanie."

Na te słowa serdecznym wyrzeczone głosem, wziąłem jej rączki i przytrzymałem w drżących dłoniach. Słowa na ustach zamierały, ale serce młotem w łonie bilo.

Czułem, że stanowcza w życiu mojem nadeszła chwila. Gwałtowne wzruszenie moje prądem elektrycznym przeszło w serce młodej dziewczyny. Zbladła nagle okropnie;

drząc cała chciała rączki wyrwać z mojej dłoni. "Wujaszkwowi gorzej jest —

zawołała z przestrawieniem. — Ja pójdę po mamę, poszle po doktora". — "Nic —

odpowiedziałem — " nic!" — W oczach mi się zaćmiło, czułem, że wzruszenie było

nad moje siły... zemdlałem. Nazajutrz było mi znacznie gorzej; chwilami tylko

wracała mi się przytomność, i wtedy widziałem, jak zawsze, siedzącą przy mojem

łóżu, spokojną, cichą Zosię. Chciałem do niej przemówić, lecz nie wiedziałem

jakiemi wyrazami, nie będąc pewny, czy gorące wspomnienie, które we mnie się

odzywało, było skutkiem maligny czyli też rzeczywistością. Patrzałem się więc

tylko na Zosię, wszystkie siły duszy skupiając w tem spojrzeniu; lecz ona

wlepione miała oczy w robotę, którą w ręku trzymała. Zażądałem wody; przyniosła

szklankę i do ust podała. "Doktór zakazał wszelkich wzruszeń — rzekła — nawet

mówić nie pozwala. Niech wujaszek spróbuje usnąć. " I poszła zasunąć firanki;

zdawała mi się bardzo blada. W kilka minut potem zasnąłem, patrząc na białą

sukienkę, która w ciemnym pokoju, jak obłoczek z nieba mi się zdawała. Od

następnego dnia, czy się choroba była przesiliła, czy też już ku  
uzdrowieniu się  
miałem, szybkim krokiem do sił powracać zacząłem. Zosia coraz  
rzadziej u mnie  
bywała i zawsze z robotą, albo z książką, którą mi głośno czytała.  
Nigdy nie  
wspomniała o tem, co między nami zaszło, a ja w niepewności, czy mi  
to wszystko  
nie było w gorączce się przywidziało, nie śmiałem o nic pytać.  
Wszakże  
miarkowałem, że Zosia nie miała już ze mną tej niemal dziecinnej  
swobody, tak  
pełnej powabu, i to mnie boleśnie uderzyło. W kilka dni później  
goście  
przyjechali; Zosia niemi zajęta.

już bardzo mało czasu mnie poświęcać mogła; pozostałem sam.  
Wtedy smutek mnie  
ogarnął nie do opisania i postanowiłem czempędzej wyjechać. Nie  
było już sobie  
co illuzji robić; czułem, że Zosię kocham; były nawet chwile, w  
których mi się  
zdawało, że ona miłość moją widzi i podziela; ale wiedziałem przy  
tem, że matka  
nigdyby na nasz związek nie zezwoliła, mając dla swej bogatej  
jedynaczki, daleko  
świetniejsze plany i widoki.  
W wigilią mojego wyjazdu pożegnałem się z panią R. dziękując jej z  
całego serca  
za gościnność i staranie około chorego, ofiarując zaś w zamian  
wszelkie usługi,  
w czasie zamierzonego jej pobytu w mieście. Potem zwróciłem się z  
bijącym sercem  
do Zosi, lecz ona zawołała od razu: "Oh! my się jutro zobaczymy; ze  
mnie ranny



ptaszek." I rozeszliśmy się. Nazajutrz przed -tą, zapukawszy do drzwi,  
weszła  
Zosia do mego pokoju. O mało nie krzyknąłem, tak przerażającej była  
bladości;  
ona zaś słowa jednego nie rzekłszy, przybliżyła się do mnie i główkę  
wsparłszy  
na mojem ramieniu, rzewnie się rozplakała. Chciałem do niej  
przemówić, chciałem  
jej powiedzieć, że ją kocham nad życie, ale ona namiętnem łkaniem  
mowę mi  
przerywała. Mną zaś wybuch jej niespodziewanego żalu tak był do  
głębi duszy  
wstrząs!, że nie wiedziałem jak ją utulić. Pocałowałem ją w czoło,  
szukając  
najspokojniejszych, na jakie się zdobyć mogłem wyrazów, którymi  
bym mógł jej  
powiedzieć co miałem na sercu; lecz ona wyrwała się gwałtownie z  
rąk moich i  
wybiegła z pokoju. W parę minut potem wyjechałem.  
Zatrzymał się chwilę Zygmunt w opowiadaniu swoim; Henryk zaś  
chmurny jak noc,  
czekał milcząc na dalszy ciąg.  
— Przyjechawszy do miasta — mówił dalej Zygmunt — napisałem do  
Zosi. Czy list  
ten nie doszedł, czyli też odpisać nie chciała, nie wiem; dosyć, że  
żadnego  
znaku życia od niej nie odebrałem. W pół roku później pani R.  
napisała do mnie z  
poleceniem, abym jej wynajął i urządził mieszkanie w mieście na całą  
zimę.  
Wziąłem się do tego z prawdziwą, a dla

mnie już dawno nieznaną radością, lecz nieszczęście chciało, że na  
tydzień przed  
ich przybyciem, nagłym interesem powołany do Wilna, nie mogłem  
zdążyć na czas,

żeby te panie powitać za ich przybyciem, i kiedy wreszcie stanąłem w  
stolicy,  
one już tam od dwóch tygodni bawiły. Zosia przywitała mnie z  
niejakiem  
pomieszaniem, ale jakoś chłodno. Serce mi się ścisnęło; chciałem  
zapytać o powód  
tak nagłej zmiany, ale Zosia tak starannie unikała wszelkich  
sposobności  
pozostania choćby tylko chwilę sama ze mną, że przyjść do tego nie  
mogłem. W  
świecie zaś, znalazłem ją bardzo otoczoną i podobającą się wszystkim  
bez  
wyjątku. Młody książę N. widocznie jej się zaleca; Witold C.  
równocześnie o jej  
rękę konkuruje. Jednym słowem, ogromny ma sukces. Matka rośnie  
jak na drożdżach;  
córka owszem przyjmuje te hołdy z wielką prostotą, jakby należące jej  
z prawa, i  
jak dotąd, nie zawraca jej to główki. Obejście jej zaś ze mną stało się  
coraz  
chłodniejsze. Czuję zatem aż nadto dobrze, że jeżeli matka ani na  
chwilę nie  
przypuściłaby myśli, żebym się o rękę jej córki mógł starać, to Zosia  
widząc się  
nagle przedmiotem ogólnego uwielbienia, innem już okiem na mnie  
patrzy. Otóż i  
koniec mej powieści — dodał z goryczą Zygmunt — dalszego ciągu  
się nie  
spodziewam.  
— Pozwól — rzekł wreszcie Henryk po długim milczeniu — że ci  
jedno zrobię  
zapytanie. Dziwisz się, że panna Zofia chłodna i niemal obojętna z  
tobą. A jakąż  
chcesz, żeby była, jeżeliś jej ani razu wyraźnie nie powiedział, że ją  
kochasz?  
Nie trudno bowiem domyśleć się, że list twój nigdy rąk jej nie  
doszedł. Zatem,

pokazuje się, że tylko raz jeden i to wśród maligny okazałeś jej  
gwałtowne,  
namiętne wzruszenie, które musiało niewinną dziewczynę bardziej  
przestraszyć,  
niżeli rozczulić. Wróciwszy do zdrowia, niczem jej nie udowadniasz,  
że to  
chwilowe wzruszenie było istotnie czem innym, niż objawem długą  
niemocą  
rozstrojonych nerwów. Jeżeli ty milczysz, czyż jej wypada mówić? W  
jej pamięci  
pozostaje tylko bolesne i dla jej dziewiczego wstydu upoka-

rzające wspomnienie, gwałtownie okazanego z jej strony żalu, przy  
ostatniem  
waszem rozstaniu... Pytam więc, czego od niej żądasz ?  
— Miłość prawdziwa inaczej sądzi i działa.  
— Nie, Zygmuncie, tylko ciebie zaślepia nieufność i fatalnie  
zakorzeniona zasada  
niewiary.  
— Oj! nie zaślepia, nie zaślepia! Zresztą przekonasz się niezadługo,  
do jakiego  
stopnia mam słusność. Taką ci robię propozycję. Wszak ci się Zosia  
bardzo  
podoba?  
— Więcej niżeli mi się podoba, bo kocham ją.  
— Tem bardziej skorym będziesz do przyjęcia mego planu. Ani  
księcia N... ani  
Witolda C... nie uważam za niebezpiecznych rywali dla ciebie.  
Starajże się o  
rękę Zosi. Ja ci w niczem przeszkadzać ani dopomagać nie będę. Zosi  
widywać nie  
przestanę, boby to całkiem nie odpowiadało moim zamiarom;  
będziemy z sobą jak za  
dawnych czasów, na stopie poufałej przyjaźni dwojga krewnych.  
Jeżeli mnie Zosia

istotnie kocha i miłości swej nie poświęci dla światowych, świętych  
korzyści,  
to ani wola matki, ani twoje przywiązanie, ani nawet moja udana  
obojętność,  
odstręczyć jej odemnie nie potrafią.  
— Żądasz zatem, Zygmuncie, żeby ciebie panna Zofia wiernie, czule i  
z  
poświęceniem kochała, nie wiedząc nawet  
o tem, czy jest wzajemnie kochaną?  
— Na tobym ci odpowiedzieć mógł, że prawdziwa miłości bez  
wzajemności istnieć  
potrafi, i to właśnie dowodzi całej jej potęgi. Ale czyż doprawdy  
możesz myśleć,  
że Zosia nie widzi w oczach moich, że ją kocham ?  
— W oczach widzi może miłość, lecz na ustach nigdy nic krom  
uśmiechu pełnego  
goryczy, lub wyrazów przepelnionych sarkazmami na biedną ludzkość  
w ogóle, a  
niemiłosierną zawziętością na kobiety.  
— To wszystko nie wzbrania człowieka kochać. Ale dajże mi  
skończyć określenie  
mego planu. Owóż, starasz się o rękę Zosi. Szlachetność twego  
charakteru i dawna  
przyjaźń dla mnie, są mi rękojmią, że mi w oczach jej szkodzić nie

będziesz. Z drugiej strony, miłość twoja dla niej zapewnia mnie, że za  
mną  
wstawiać się u niej nie możesz. Ja zaś zachowam się biernie wobec  
twoich  
konkurów; ani pomagać, ani przeszkadzać ci nie będę. Jeżeli Zosia  
ciebie  
przyjmie, pomimo przywiązania, które ma dla mnie, to ci przez to  
dowiedzie, co  
powtarzam od lat piętnastu, savoir: że dla każdej kobiety, na  
pierwszym planie

jest partya, a indywidualność człowieka dopiero na drugim. Jeżeli zaś,  
wbrew  
wszelkim prawidłom logiki, rozsądku i przyjętego zwyczaju, ciebie  
odrzuci przez  
miłość dla tak chudego pacholka jakim jestem, no, to wtedy uznani się  
za  
największego oszczercę; wyrzekani się na zawsze mego  
dotychczasowego przekonania  
co do uczuć niewieściego serca i przechodzę, *arec armes et bagages*  
do twojego  
obożu, bijąc czołem przed każdą kobietą, a Zosię uważając za anioła  
w ludzkim  
ciele.

Henryk zaczął znów szybkim krokiem po pokoju chodzić, gdy  
Zygmunt wciąż przed  
kominem spokojnie siedział. Spokój ten wszakże, dla każdego innego  
świadka byłby  
się łatwo zdradził jako pozorny tylko, lecz Henryk zbyt zajęty  
dyskusją, tak  
bezpośrednio jego przyszłości dotyczącą, ani spojrzął na przyjaciela.  
Nastąpiło

chwilowe milczenie, które Henryk pierwszy przerwał:

— Dalibóg, nie wiem, czy mogę propozycję twoją przyjąć.

— A to dla czego, ciekawym?

— Bo szansę nie są równe, dopokąd Zofia wiedzieć nie będzie, że ją  
kochasz.

— Ona to wie, choć jej tego nie mówiłem nigdy! — odrzekł Zygmunt  
ponurym głosem.

— Ja ci zaś zawczasu zapowiadam, że jej ciągle o mojej miłości  
mówić będę, i to

w najwymowniejszych i najgoretszych wyrazach.

— Wielką będziesz miał słusność.

— Zygmuncie, wiesz co? ja będę miał ciągle uczucie, że zdradzam  
przyjaciela dla  
kochanki.

— Zbyteczna skrupulatność. Wszakże ja, a nie kto inny, plan ten  
podałem? Gramy  
cartes sur table...

Henryk oparł się ręką o komin, z głębokim wrażeniem patrząc na  
przyjaciela.

— Mój kochany, ty całe szczęście twoje, całą przyszłość na jedną  
stawiasz kartę;  
mnie to strachem przejmuje.

— Szczęście! szczęście! alboż ono dla mnie stworzone? O tyle tylko  
zaznałam go,  
że mi na chwilę jasnym zabłysło promieniem, aby tem boleśniej dać  
uczucie  
następującą po nim ciemnotę.

— Niechże więc przeznaczenie między nami rozstrzygnie — odrzekł  
Henryk. —

Działamy otwarcie, uczciwie, i w żadnym razie, jakkolwiek zapadnie  
dekret,  
jeden do drugiego żalu mieć nie będzie.

— Zdaje mi się, że wzajemne położenie jak najjaśniej określone.

— Pozwól, że jeszcze jedno dodam słowo — rzekł Henryk, biorąc za  
kapelusz. —

Pannę Zofie kocham i będę się o jej rękę starał, naprzód, bo ją  
kochani, a potem  
dla tego, że nie mam bynajmniej przekonania, aby taki zakamieniały  
jak ty  
sceptyk, mógł kobietę kochającą szczęściem obdarzyć.

— I to być może — odparł Zygmunt — tem lepiej, to jeszcze jedna  
szansa więcej  
dla ciebie.

— To powiedziawszy, rękę sobie podali poważnie, niemal solennie,  
jakby przed  
pojedyńkiem; popatrzyli na siebie chwilę z wyrazem prawdziwego  
wzruszenia, choć

Zygmunt starał się to wzruszenie utaić, i Henryk wyszedł z pokoju.

Pozostawszy sam, Zygmunt poszedł do okna, czoło wsparł na zimnej  
szybie, i po

chwili mimowolnie wstrząsnął się cały. Niewiedzieć z kąd stanęły mu  
przed oczami,

jakby ogniem wyryte słowa Hamleta: Frailty, thy name is woman...  
(Słabości! imię  
twe jest kobieta).

## II.

Walka, jeżeli to walką zwać można, rozpoczęła się od razu. Henryk wziął się do dzieła z energią jemu właściwą, a tem bardziej, im więcej przykładła starań do osiągnięcia pożądanego celu, rosła w nim i potężniała miłość dla Zofii. Codziennie goręcej pragnął zwycięstwa, lecz uczciwość danego słowa nie pozwalała mu w niczem szkodzić rywalowi. Owszem, gdy między nim a Zofią mowa była o Zygmuncie, czuł się poniekąd obowiązany wychwalać przyjaciela, choć go to niewymownie kosztowało. Nie śmiał wprawdzie narzucać się Zofii z natarczywością, pomimo że była dla niego bardzo uprzejmą, a matka jej z widoczną życzliwością go przyjmowała; ale w obejściu tej swobodnej, spokojnej Zosi, było coś, co mu nie dozwalało nigdy naprowadzić rozmowy na drogę uczuciowych wynurzeń. Czy to czyniła od niechcienia, czy też z umysłu, dość, że gdy tylko Henryk stawał się czulszym, zawsze potrafiła nadać rozmowie inny kierunek, a skutecznie to z takim umiarkowaniem, z tak ujmującą słodyczą, że Henrykowi trudno było się pomiarkować, czy ona unika wyznania uczuć jego, czyli też całkiem nie widzi głębokiego wrażenia, które na sercu jego zrobiła. Tymczasem świat towarzyski, w

którym żyli, uważał ich za nadobną parę, wprost zmierzającą do ołtarza. Nie jedna wprawdzie zazdrosna matka, myśląc, że jeszcze może zaszkodzić zamiarom dążącym przeciw jej osobistym życzeniom, starała się o to z budującą gorliwością, usprawiedliwiając postępowanie swoje, dobrem własnej progenitury. Dopomagali jej w tem, choć w innym celu, zazdrośni a zakochani, Witold X. i miody książę N. Większa wszakże część towarzystwa sprzyjała sprawie życzliwie, bo szlachetny Henryk licznych miał przyjaciół, a prostota i uprzejmość Zosi korzystnie odbijała wśród towarzyszek, tak mało dziś troszczących się o zaskarbienie sobie przychylności osób poważnych, natomiast zaś kokietujących bez

upamiętania mężczyzn wogóle, a zwłaszcza majątnych kawalerów, z energią, zadziwiającą i godną lepszej sprawy. Co do Zygmunta, nie zmienił on w niczem postępowania swego. U pani R. bywał często, jako u najbliższej krewnej; z Zosią rozmawiał poufale, prawie swobodnie, zawsze wprawdzie przy świadkach, bo jakoś tak się rzeczy dziwnie składały, że nigdy sami nie byli. Henrykowi nie tylko że nie przeszkadzał, ale się nieznacznie usuwał, skoro tenże zbliżył się ku Zosi; i potem zdaleka tylko na nich spoglądał z dziwnym jakimś uśmiechem na ustach. Ludzie widzieli w nim krewnego, wielce zadowolonego ze świetnej przyszłości, którą los zdawał się na rodzinę zsyłać; lecz prawdziwy badacz serc ludzkich



byłby tam wykrył pełen goryczy kielich.  
Po dwóch tygodniach małych strategicznych utarczek Henryka, a  
dobrze udanej  
obojętności Zygmunta, wieczoru jednego znalazła się Zosia między  
nimi dwoma przy  
małym stoliku, na licznych zebraniach u pani A... Rozmowa szła trybem  
zwyczajnym,  
gdy nagle, niewiedząc z kąd, jakaś niezwykła, bujna fantazyja napadła  
Zygmunta.  
Najdziwaczniejszymi skokami przechodził z szalonej wesołości do  
głębokiej  
powagi, z poezji najszczytniejszej do zupełnego realizmu; chwycił  
przedmioty  
rozmowy przeróżne, żeby je wnet odrzucić, nadawszy każdemu  
właściwe piętno, czy  
to w różowych malując kolorach pierwsze marzenia poety, czy  
czarnym powlekając  
kirem obrazy rozczarowania, czy wreszcie wesołą zwrotką oddając  
sielankowe  
przyjemności wiejskiego życia. Słowa płynęły złotym strumieniem  
niezrównanej, a  
dziwnej wymowy. Ani Zofia ani Henryk zdążyć już za nim nie zdołali  
w ten  
nieprzystępny świat ekscentryczności; w milczeniu zatem  
przysłuchiwali się tylko  
gorączkowej improwizacji. Henryk z największym zdziwieniem  
patrzył na  
przyjaciela; nie poznawał go. Mógłże to być ten sam Zygmunt, który  
nigdy się nie  
unosił, nigdy nie zapala!, tylko zimnym, subtelnym rozumowaniem,  
na logice  
opartym, nielitościwym orężem szyderstwa przeciwnika swego  
pokonywał?

Zosia spoglądała na niego, bardziej zasmucona, niż zdziwiona. W tej  
dziewiczej

naturze, wszystko co zakrawało na objaw jakiegoś sztucznego życia,  
musiało  
obudzić uczucie politowania. Instynktem wiedziona, czuła, że cały ten  
potok  
szalonej wymowy był tylko zasłona, za którą się kryła jakaś  
nieodgadniona  
tajemnica, może boleść głęboka. Zamilkł wreszcie Zygmunt i spojrzał  
na Zosię.  
Smutne i poważne jej wejrzenie spotkało się z jego iskrzaczami  
oczami. Zdziwił  
się. Wszak on ją chciał olśnić, odurzyć, omamić Szekspirowską  
improvizacją — a  
tylko w niej politowanie obudził!  
— Otóż, chciałem cię przekonać, kochana Zosiu — rzekł śmiejąc się  
rozdrażnionym  
śmiechem — że stary wujaszek, który może w twoich oczach uchodzi  
za nudnego  
pedanta, potrafi jeszcze, jak mu do tego fantazyja przyjdzie, unieść się  
i  
szaleć.  
— Ja oddawna wiem, że u wujaszka wszystkie wrażenia, wszystkie  
uczucia są  
najniższymi sługami wszechwładnej woli — odrzekła Zosia poważnie.  
— A czy masz co przeciwko tej władzy?  
— Mam to, że tyranii nie lubię, pod żadną formą.  
— Nawet tyranii serca? — zapytał Henryk.  
— To co innego, to nie tyrania; bo serce jest i zawsze być winno  
kierownikiem,  
władzcą i najwyższą instancją wszelkich naszych uczuć.  
Zygmunt się zaśmiał.  
— Pokazuje się zatem z tego co mówisz, śliczna Zosiu, że serce i  
wola to, są  
jakby dwie dynastie, z których ty uznajesz jedną, a ja drugą.  
— Z tą wszakże różnicą — odrzekła Zofia — że ta którą ja bronie, jest  
od Boga  
wybraną, a wujaszka pretendent, to jakiś obcy przybłęda, który  
zawsze w końcu  
upaść musi, bo walczy przeciwko pomazańcowi bożemu.

— A gdzie pani widziała — zapytał Henryk — żeby zwycięstwo  
dobrym sprawom  
koniecznie sprzyjać miało?

— Być może, że w życiu inateryalności niesprawiedliwość nieraz  
bierze górę; ale  
tak być nie może i tak uie jest w rzeczach serca. Tam interes i egoizm  
trzymają  
w rękę szalę przeznaczeń; tu zaś miłość i poświęcenie. Jakżeż pan  
wątpić możesz,  
że po jej stronie jest słuszność?

— Słuszność może, ale nie zwycięstwo.

— Czas to pokaże — odrzekła Zofia i wstała, bo matka ją do siebie  
przywołać  
kazała, chcąc ją jakiejś poważnej pant przedstawić. Panią tą była  
matka Henryka.

Wiedziała ona już, że syn jej zakochany w Zosi i umyślnie z dalekich  
stron  
przybyła, pomimo podeszłego wieku i ostrej zimy, żeby czem prędzej  
poznać tę,  
którą wkrótce synową nazwać miała. Nie przypuszczała bowiem ani  
na chwilę, żeby  
się na Bożym świecie znajdować mogła istota, któraby nie uważała za  
szczyt  
najwyższego szczęścia, być wybraną przez jej syna za dozonną  
towarzyszkę życia.

Przypatrywała się zatem ładnej Zosi z rozrzuwnioną ciekawością,  
która nie uszła  
uwagi Zosinej matki. Cieszyła się pani B.,, że wszystko tak gładko  
idzie, i  
postanowiła otwarcie z córką nazajutrz pomówić.

Była to jedna z tych kobiet, jakich dziś już dużo na świecie: łatwa w  
pożyciu,  
wesołego humoru, bez najmniejszej goryczy w charakterze, ale  
obojętna na

wszystko, co się tyczy uczucia. Serca miała mało, bo już ją  
wychowano jak  
przystoi na dzisiejsze czasy, t. j. w przekonaniu, że przedewszystkiem  
należy  
myśleć o losie, a czy szczęście przyjdzie później, albo nie przyjdzie...  
mniejsza o to! Wcześniej ją też za mąż wydano za bardzo bogatego  
człowieka,  
którego starała się kochać o tyle, o ile to koniecznie potrzebnem było  
do  
uprzyjemnienia ich domowego pożycia. Straciwszy go za młodu,  
zajęła się  
wyłącznie i z niepospolitą do tego zdolnością, nieco zagmatwanemi  
przez męża  
majątkowemi interesami. Zajęcie tego rodzaju (a poświęciła mu się  
całkowicie),  
wytepiło do reszty tę trochę sercowego życia, co w niej jeszcze tlało.  
Pracowała  
wprawdzie dla dobra córki, i przekonana była, że przysparzając jej  
majątku,  
największy daje dowód macierzyńskiej miłości,

Zosia zaś tymczasem całkowicie oddana była opiece guwernantki.  
Szczęście  
chciało, a raczej Opatrzność Boska, że guwernantka ta była osobą  
bardzo sumienną  
i rozumu niezwykłego, a że miała do czynienia z dzieckiem, pod  
wszystkiemi  
względami dobrze od Boga obdarzonem, wychowanie udało się  
doskonale. Matka była  
zadowolniona, bo Zosia wyglądała na dziewczeczkę rozgarnioną, a  
przytem spokojną,  
dla której nie było się co obawiać romansowych marzeń; do tego,  
mówiła płynnie  
kilkoma językami, biegle grała na fortepianie i wcale nieźle rysowała.  
Zosia zaś

czuła instynktowo, choć sobie z tego nie mogła wyraźnie zdać sprawy,  
że  
wszystko, co nie wchodziło w ciasny, w praktyczny obręb interesów,  
dla matki jej  
było zupełnie obojętnem. Przywykła zatem od dziecińczych niemal lat  
do pewnego  
odosobnienia, urozmaiconego wprowadzie pracą, bo poczciwa  
guwernatka,  
przewidując, że przyjdzie chwila, w której będzie trzeba czemś  
zapełnić to żywe  
i gorące serduszko, wpoila jej wielkie zamiłowanie do umysłowych  
zajęć.

Nazajutrz po wieczorze u pani A... matka z córką siedziały przy  
śniadaniu, o  
różnych rozmawiając rzeczach. Niewprawna do żadnego rodzaju  
zwierzeń, nie  
wiedziała pani R. jakimi wyrazami rozpocząć rozmowę, w której szło  
o przyszłość  
córkę, a Zofia, jakby przeczuciem wiedziona, unikała, wesolem  
szczebiotaniem  
wszelkich poważniejszych przedmiotów. Nakoniec matka, nie mogąc  
wynaleźć żadnych  
krętych ścieżek żeby do swego dojść celu, wstępny bojem zapytała  
nagle:

— No cóż, Zosiu, będzie nam wkrótce trzeba o wyprawie pomyśleć?  
Mówiła wesoło, radośnie, bez najmniejszego wszakże wzruszenia.

Zofia bardzo

zbladła, lecz wysilając się na udany uśmiech, którym pokryć chciała  
gwałtowne

wstrząśnienie, spojrzała serdecznie na matkę.

— Mnie tak dobrze przy mamie, że doprawdy żadnej nie pragnę  
zmiany.

— To się tak mówi, kochaneczko — odrzekła matka —

ale zobaczysz, że jeżeli ci przy mamie dobrze, to ci jeszcze lepiej  
będzie przy

p. Henryku B.

Zosia czuła, że jej wewnątrz łzy serce zalewają, lecz nie wiedziała jak przystąpić do przedmiotu, którego treść zawczasu strachem ją przejmowała. Sama

czulego będąc serca, myślała, że choć tym razem czułością potrafi matkę

rozrzewnić i przekonać.

— A czy mama nie przypuszcza myśli, żebym ja przy niej na zawsze zostałą, i za

mąż całkiem nie poszła?

Pani li. się rozśmiała, bez najmniejszego gniewu.

— Może chcesz do klasztoru wstąpić, do Trappistek? Co?

Wesołość ta w tak poważnej chwili, raziła Zosię boleśnie, a matka ani się

domyśliła, jak serce dziewczęcia raniła. Ona tylko myślała w tej chwili, jak jej

to miło będzie pokazać wkrótce panu Henrykowi, jej mozolnem staraniem

oczyszczoną hipotekę, i pięknie zagospodarowany majątek. Zosia ręce złożyła —

ona by była wolała otwartą walkę, jak tę dobroduszną wesołość, z tak widoczną

cechą obojętności.

— Moja mamo, ja jeszcze młoda jestem, jeszcze życia nie użyłam.

Niech mi mama da

trochę w świecie się rozpatrzyć, a nie tak zaraz brać pierwszego lepszego, co

się o moją rękę stara.

— Pierwszego lepszego! — zawołała matka z wyraźnem oburzeniem.

— Pierwszego

lepszego! Tak nazywasz p. Henryka B ? To chyba oszalałaś, albo sobie ze mnie

żartujesz. Doprawdy nie pojmuję, jak możesz o tak stanowczym przedmiocie mówiąc,

w żart rozmowę obracać.

Zosia czuła, że należy odrazu prawdę powiedzieć, a wrodzona otwartość wskazywała

jej najprostszą iść drogą.

— To też ja bynajmniej nie żartuję, droga mamó. Wielkie zalety p. Henryka  
uznaje; podoba mi się, ale go nie kochani i za niego nie pójdę.  
Pani R. skoczyła na krzesło, jakby piorunem rażona, i spójrzała w osłupieniu na  
córkę. Poważna, smutna, a dziwnie stanowcza postać Zosi, była dla niej  
zjawiskiem niepojętem:

oglądała ją od stóp do głowy, nic nie mówiąc, bo nie rozumiała.  
W tej chwili wszedł do pokoju bez meldowania się, jak to zwykł był czynić,

Zygmunt. Od pierwszego wejrzenia zmiarkował, że coś ważnego się święci. Pani R.

bardzo rozjątrzona, choć jeszcze siła się na udaną wesołość, wyciągnęła rękę  
do kuzyna.

— W sam czas przybywasz, kochany Zygmunco, żeby się przysłuchać,

najdziwniejszej, jaką świat kiedy słyszał, komedyi.

Zygmunt rzucił okiem na bladą twarzyczkę Zosi; jemu ta komedia coś nie wesoło

wyglądała, udawał wszakże, że nic nie spostrzegł.

— O cóż takiego chodzi, kuzynko? Widzę, że jesteś z czegoś nie bardzo  
zadowolona.

— Ja? Bynajmniej — odrzekła szyderczym głosem pani R. —

Owszem, mnie to wszystko

do śmiechu pobudza; sama bowiem nigdy komedyi nie grałam, a widząc w córce tak

znakomitą artystkę, z podziwem jej się przysłuchuję. Ale niechże ciębie czem

prędzej wtajemniczę do pierwszego aktu dopiero co rozpoczętej reprezentacji,

abyś dalszy ciąg lepiej mógł zrozumieć.

Na te słowa Zosia wstała, żeby się oddalić, czuła bowiem, że jej coraz trudniej przyjdzie od łez się wstrzymać; lecz matka surowem spojrzeniem temu przeszkodziła.

— Zechciej chwilkę jeszcze poczekać.

Zosia usiadła, blada, milcząca, drżącymi rękami targając łańcuszek od zegarka, w

który uporczywie wlepiła oczy. — Po jakiej-że stronie stanie wujaszek? — pytała

się sama siebie i spojrzeć na niego nie śmiała, czując, że gdyby i on podzielał

szyderczy uśmiech matki, toby dłużej utrzymać nie zdołała gwałtownie cisnących

się łez. Lecz Zygmunt na nią się nie patrzył.

— Wystaw-że sobie, Zygmuncie — rzekła pani R., — że panna Zofia chce mi tu

wyperswadować najśmieszniejszą,

najdziwaczniejszą rzecz, jakby z jakiego romansu wyjętą, i myśli, że ja tenm

uwierzę.

I znów śmiać się poczęła.

— Ależ powiedz-że mi już, o co tu chodzi, bo doprawdy, że do najwyższego stopnia

ciekawość moją rozdrażniasz!

— Otóż, donoszę ci, kochany Zygmuncie, że uważamy p. Henryka B. za nie dosyć

świetną partyę dla nas. Zachciało nam się królewskiej korony, ni plus ni moins.

— Doprawdy, że nie wiem co chcesz przez to powiedzieć — rzeki nieco

zniecierpliwiony Zygmunt. — Widzę, że muszę do Zosi się udać o jaśniejsze

wytłómaczenie.



— I to rzekłszy zwrócił się do niej, lecz na młodej, ładnej twarzyczce, taki

wyczytał wyraz bólu, że o nic już pytać nie śmiał, tłumiąc w sobie  
wzrastające

oburzenie na nielitościwą wesołość matki, wobec, cierpienia  
jedynaczki. Nie

okazał wszelako uczuć swoich, chcąc wprzód całej dowiedzieć się  
prawdy.

— Jeżeli pragniesz zasięgnąć mojej rady, Emilio, to musisz się  
zdecydować

wyraźnie i bez śmiechu powiedzieć, jaki jest powód waszego  
nieporozumienia.

— Nasze nieporozumienie, jak to delikatnie nazywasz, jest na tem  
oparte, że

Zosia, jakby jakie szalone piętnastoletnie dziecko, dąsa się i droży,  
gdy

wspominam o nadchodzących jej zaślubinach z p. Henrykiem B.

Pojmujesz teraz

powód mojej wesołości i śmiechu?

Zygmunt nie pojmował wcale, ale z tem się nie odezwał.

— Czy masz co przeciwko Henrykowi, Zosiu? — zapytał łagodnym  
głosem.

— Mam to, że go nie kocham — odrzekła cicho, ale dziwnie  
stanowczo.

— Racya fizyka! — odezwała się zniecierpliwiona pani R. — Alboż  
to miłość

potrzebna do szczęścia? Niezaznałam jej nigdy, a dla tego mało kobiet  
na świecie

tyle użyło co ja swobody i spokojności w życiu. Drożysz się, Zosiu,  
bo ci się ni

ztąd ni z owad w głowie przewróciło, ale to wszystko nie ma za trzy  
grosze

sensu. Może ci się zachciało być księżną

i pójść za tego szalapatę N., który straciwszy majątek w karty, goni  
teraz za

okrągłym posagiem! Ale nic z tego, moja panno; za szulera nie pójdiesz, póki ja żyję; do klasztoru nie wstąpisz, boś stworzona na zakonnicę, jak ja na baletniczkę, a wątpię, żeby ei się chciało zostać starą panną. Jeżeli ci tylko to chodzi, żeby się tak na pozór trochę z panem Henrykiem podrożyć, to się pobaw, byle uie zbyt długo, bo go znudzisz i osadzi cię na koszu, coby ci się zresztą i należało. Możesz sobie teraz pójść do swego pokoju, bo ta twarz spłakanej Magdaleny, jest arcyniestósowna i śmieszna, wobec szczęścia, które cię spotyka.

Zosia wstała, matkę z uszanowaniem w rękę pocałowała i wyszła z salonu pomału, nie spojrzawszy nawet na Zygmunta. Pani R. nie wątpiąc ani na chwilę, że ma w kuzynie gorliwego a przytem rozumnego sprzymierzeńca, zaczęła się przed nim wynurzać, jak tylko Zosia drzwi za sobą zamknęła.

— Na co te wszystkie ceregiele się zdadzą, kiedy i tak za Henryka pójdzie. Pani

B. lada chwila zajedzie, żeby syna oświadczyć, bo mi to już wczoraj dała do zrozumienia; a cóż ja jej powiem, jak zażąda z Zosią się widzieć? Ale bo któżby to był powiedział, że to potulne, spokojne, rozsądne dziewczę tak się nagle rozdaśa, i to w chwili, kiedy jej się wszystko w życiu uśmiecha. Cóż mi radzisz zrobić Zygmuncie?

— Przedewszystkiem radzę Zosi nie naglić. — Ale cóż ja pani B. powiem ?

— Poprosisz o parę tygodni namysłu.

— To najmniejszego nie ma sensu, namyślać się, kiedy chodzi o oddanie ręki

człowiekowi, mającemu pozycję Henryka B. i . zlr. dochodu. Co oni  
sobie  
pomyślą... bo jużci na myśl im przyjść nie może, że się Zosia waha.  
Wszak ci  
Henryk jest najświetniejsza partya z całego tutejszego towarzystwa,  
jeżeli nie z  
całej Polski.  
— Typ mamy dziewiętnastego wieku! — pomyślał sobie po cichu  
Zygmunt. Siedział  
milczący, nie wiedząc, jak sobie postąpić wobec gniewu rozżalanej  
matki, a  
niemniej boleści córki.

Serce rwało się do Zosi, ale zakamieniały sceptyk, nie chciał uznać  
potęgi  
uczucia, które nim władało. Daleko mu jeszcze było do zrzeczenia się  
tysiącznych  
przesądów, sofizmatów i fałszywych zasad, któremi się był przejął do  
głębi  
myśli. Ziarnko wszakże, maleńkie ziarnko wiary w świętość i  
bezinteresowność  
kobiecego serca, dnia tego zasianem zostało; z czasem miało ono  
kiełkować i  
wzrastać, ogrzane gorącym promieniem prawdziwego uczucia. Walka  
już nastąpiła, ale  
on jeszcze chciał się bronić, bronić do upadłego.  
Zameldowano kasztelanową. Nie sposób było jej nie przyjąć, kazano  
zatem prosić;  
lecz Zygmunt wymknął się szybko tylnymi drzwiami, wytłómaczy  
wszy się przed  
kuzynką, że tam gdzie nawet kobieca przebiegłość o zwycięztwie z  
pewnością  
rokować nie może, niezgrabność i szorstkość mężczyzny, tylko  
utrudnia  
załatwienie sprawy.

### III.

Odmówić swych hołdów wszechwładnej dziś mamonie, byłoby jeżeli nie szaleństwem,  
to przynajmniej wielką niedorzecznością. Oddajmyż więc hardej tej pani należną  
część uznania, zakupując sobie niem prawo do wypowiedzenia całej  
naszej myśli, a  
może się znajdzie choć maleńka garstka sprawiedliwych, co zdanie  
naszę z odwagą  
podzielić zechce i przeszkodzi zupełnej zagładzie nowej Sodomy i  
Gomory. Owóż  
więc ta mamona, ileż to ona głów zawróciła? Ile poczciwych ludzi na  
złą  
skierowała drogę, dla iluż z nich była powodem nieszczęścia, hańby  
lub śmierci ?  
Aż strach o tem pomyśleć. Wszystkie te zbrodnie jednakże,  
gotowiśmy jej łaskawie  
darować, póki nad samymi mężczyznami się pastwi. Tam rachuba  
zimnego rozumu, tam  
samolubna zarozumiałość i pycha, aż nadto licznych dla niej  
przysposabiają  
czcicieli, w pośród nich więc niechaj szuka swych ofiar. Serca tylko  
kobiety  
tknąć się jej nie wolno, bo tam jest ostatni przytułek poświęcenia,  
bezintere-

sowności, wszelkich gorących uczuć i pragnień, będących duchowemi  
skarbami  
ludzkości. Kobieta, która niemi pogardza, zamiast być ich strażniczką,  
szafarką,  
choćby była cudem piękności, w istocie będzie tylko potwornością  
moralną. Taka  
kobieta, kobietą być przestaje, w najświętszym znaczeniu tego  
wyrazu; pozostaje

tylko w jej miejscu istota, w której chciwość wszystko przygłusza,  
zabija,  
niweczy — istota bez uroku, bez serca, bez duszy.  
Pani R., która lubiła pieniądze, nie należała wszakże do tej warstwy  
skąpców,  
co to zebrawszy złoto, zamykając je w misternej skrzyni, przepędzają  
dnie i noce  
na wartowaniu około swego skarbu. Owszem żyła wystawnie,  
żadnych ani sobie ani  
córcie nie żałując wygód, a nawet i niektórych zbytków; lecz  
przepędziwszy lat  
dziesięć w ciągłej pracy i w styczności z prawnikami, rządcami,  
dzierzawcami,  
tak się wdrożyła do tego rodzaju zajęcia, że w każdej głównej życia  
czynności,  
interes był dla niej na pierwszym planie. Wiedziała z doświadczenia,  
że pieniądz  
przychodzi ciężko, że go szanować i cenić należy; lecz to co było z  
początku  
zaletą, z czasem zamieniła w namiętność i doszedłszy do lat  
czterdziestu kilku,  
nie pojmowała już szczęścia tak dla siebie jak i dla córki, tylko w  
majątkowej,  
materalnej pomyślności. U tej dziwnej kobiety, cnota jeżeli to cnotą  
zwać  
można, była chłodną koniecznością, a wszelkie uczucie Oparte na  
poświęceniu lub  
zaparciu się samego siebie, najwyższym szczeblem ludzkiej głupoty.  
Nie dziw też,  
że taką teorią i taką praktyką rządony majątek rósł jak na drożdżach;  
a tylko  
cóż z tego, jeżeli on nie na co innego zdać się miał, jak tylko na stos  
ofiarny.  
Po tej pierwszej rozmowie matki z córką, rozpoczęło się tedy od razu,  
jakiś  
ciche, niewidzialne, a niemal nieustające prześladowanie biednej Zosi,  
która

narzekać nie chciała, nie mogła, a wreszcie i nie miała przed kim. Z dwóch prawdziwie życzliwych przyjaciół, jeden był przyczyną, dla której ją prześladowano, drugi zaś przedmiotem przewidywanego gniewu matki, a jej tajemną miłością. Przed żadnego więc z nich skargi

swej zanieść nie mogła. Osamotnienie jej było zupełne, a jak dla tak młodego, niedoświadczonego serca, bardzo bolesne. Czy to wskutek rozmowy pani R. z panią B., czyli też przez wrodzony pociąg do wierzenia w to, czego się najusilniej pragnie, Henryk nie uważał się bynajmniej za odrzuconego konkurenta. Kazano mu czekać; tem lepiej, to dobry znak. Odmowną odpowiedź daje się zwykle od razu, bez namysłu. Czekał zatem cierpliwie, nadzieją osładzając oczekiwanie. Trwało to już tydzień, kiedy Zygmunt nieco zachwiany w swoim niedowiarstwie (choć się do tego bynajmniej nie przyznawał), postanowił bądź co bądź przekonać się o rzeczywistej przyczynie, dla której Zosia nie chciała się skłaniać do woli matki i życzenia całej rodziny. Zaczął się więc starać wszelkimi sposobami, aby sam na sam rozmówić się z Zosią, i wówczas zmusić ją do wypowiedzenia mu całej prawdy. Lecz Zosia niemniej gorliwie podobnej rozmowy unikała, a tymczasem dzień po dniu upływał, z dniem zaś każdym wzrastało rozdrażnienie pani R., niecierpliwość rozkochanego Henryka i cierpienie biednej Zosi. Przed światem udawała ona wprawdzie jeszcze swobodę i wesołość, ale dla tych co ją lepiej

znali, dla Zygmunta zwłaszcza, było to tylko bolesnem udawaniem,  
które  
bezwątpienia, wróciwszy do swego pokoiku, gorzkimi okupywała  
łzami. Oj! bo  
płakało też to biedne dziecko, jak ją żadne ludzkie oko nie widziało.  
Jedna  
poduszka, na którą składała wieczór skołataną głowę, mogłaby była  
świadczyć o  
gorących łzach i ciężkiem strapieniu swej pani; lecz nikomu na myśl  
nie przyszło  
poduszki o to zapytać.  
— Czysta kokieterja — mówiła pani R. — kiedy i tak na tem się  
skończy, że za  
niego pójdziesz. Przecie w nikim innym się nie kochasz.  
Te ostatnie słowa nie były zapytaniem tylko potwierdzeniem, bo  
przekonanie swoje  
opierała matka na obojętności, z którą Zosia przyjmowała hołdy  
licznych  
wielbicieli. Gdyby zaś kto był pani R. powiedział, że córka, to dziecko  
własną  
jej piersią wykarmione, takiego miałaby się

dopuścić szaleństwa, żeby serce swe oddać człowiekowi  
pozbawionemu majątku i bez  
pozycyi w świecie, temubym nigdy nie była uwierzyła. Pod tym  
względem spokojność  
jej była tak nieograniczona, że nikomu innemu, tylko Zygmuntowi,  
polecała mówić  
z Zosią i nakłaniać ją do upamiętania się w szalonym uporze, którego  
powodu  
pojąć nie mogła. Milczenie, nawet Zygmunta, kiedy mu o tych swoich  
troskach  
wspominała, nie wprawiało ją w podejrzenie. Zygmunt zaś ciągle  
sobie powtarzał:  
"Jeżeli Zosia Henryka odmawia przez miłość dla mnie, dlaczegóż tak  
unika

spotkania i rozmowy ze mną?" Nie rozumiał dziewiczego wstydu,  
który nakazywał  
Zosi milczenie, wobec tego, którego kochała nad życie, bo  
sceptycyzmem zarazone  
serce Zygmunta, tych delikatnych a niewinnych uczuć już pojąć i  
ocenić nie  
mogło. Własną zaś dumę tłómaczył ubóstwem swoim, a tysiąc razy  
szlachetniejszej, bo świętej dumy kobiecego serca, uznać nie umiał,  
czy nie  
chciał. I tak, szczęście dwojga ludzi rozbijało się i do upadku chyliło,  
przez  
źle zrozumiane uczucia wzajemnej godności.  
Henryk tymczasem widocznie unikał dawnego przyjaciela, czując, że  
nie potrafi z  
nim mówić o Zosi, bez żalu, do którego nieznacznie i zazdrość się  
wkradła.  
Wszystko zatem pozostawało w zawieszeniu, wszyscy jakiejś  
oczekiwali zmiany,  
jakiegoś nieprzewidzianego wypadku, każdy na swoją korzyść. Jedna  
Zosia niczego  
się nie spodziewała, powtarzając z goryczą: "Jeżeli do tej chwili nie  
widzi, że  
go kocham, to chyba dlatego, że widzieć nie chce..." I rzewnymi  
zalewała się  
łzami.  
Bardzo niedelikatne i nie polskiego pochodzenia przysłowie mówi:  
"Gdzie dyabeł  
nic nie wskóra, tam babę poseła" Lecz tu, chwała Bogu, nikt z  
dyablem nie miał  
do czynienia; Opatrzność zaś tak zrządziła, że rzeczywiście kobietę  
wysłała, na  
rozgmatwanie tak pomięszanego wątku przeznaczeń. Kobietą tą była  
pani B.  
Kochając syna nad życie, na co ze wszech miar zasługiwał, cierpiała  
bardzo,  
widząc jego smutek i niespokojność. Nie przypuszczając wszakże ani  
na chwilę,  
żeby to miało być czem innym, jak tylko przedłużoną nieco próbą,



postanowiła, nie zwierzając się synowi, udać się wprost do Zosi, i z nią  
szczerze, w cztery oczy pomówić. Pojechawszy tedy do pani E., nie  
zastała jej w  
domu, z czego mocno uradowana, poszła wprost na drugie piętro, nie  
meldując się,  
w obawie, aby jej przyjąć nie chciano.  
Zastała Zosię w ślicznym niebieskim pokoiku, siedzącą na miękkiej  
sofce z robotą  
w rękę. Szyła koszulkę dla ubogiego dziecka; myślą stęsknioną  
wracała na wieś,  
do tych czasów swobodnych, kiedy po wyjeździe Zygmunta, marząc o  
nim z blogiem  
uczuciem szczęścia, pewna była jego wzajemności. Rzewny ten obraz  
przeszłości  
tak jasno malował się przed oczami jej duszy, że pomału cierpienie  
obecnej  
chwili całkiem znikło z pamięci. Zdawało się jej, że takim  
przywiązaniem nie  
mogła sobie nie zaskarbić błogosławieństwa niebios i szczęścia na  
ziemi. Marzyły  
jej się najpiękniejsze obrazy przyszłości, a choć oczy miała łzami  
zroszone  
(wszak i z radości się płacze) twarz była tak rozpromieniona  
wewnętrznie  
usposobieniem duszy, że Kasztelanowa wszedłszy do pokoju, z  
największym  
zadziwieniem na nią spoglądała, nie pamiętając, żeby ją kiedy  
widziała tak  
śliczną. Wkrótce jednak promyk ten szczęścia miał znowu schować  
się za chmurę.  
Starannie wychowana w tradycjach dawnej grzeczności, a przytem  
obdarzona  
wrodzoną dobrocią serca, Zosia jak najuprzejmiej przyjęła  
Kasztelanową, choć ta

niespodziewana wizyta nagle przerwała złote pasmo jej marzeń.  
Kasztelanowa zaś  
widząc w uprzejmości Zosi na dal dobrą wróżbę, postanowiła od razu  
serdeczną, a  
bynajmniej nie udawaną czułością, trafić do serca młodej dziewczyny.  
Nie trudno  
jej to przyszło, bo Zosia nie znająca pieśczęt zbyt obojętnej matki,  
lgnęła  
stęskniona do zacnej a tkliwej kobiety, zapominając całkiem, że  
przyjmując te  
pieśczęty, zobowiązywała się- poniekąd względem niej.  
Rozczarowanie wnet  
przyszło.  
— Moja Zosiu kochana — rzekła Kasztelanowa rzewnym głosem —  
ja ciebie naglić nie  
myszę, ale żebyś ty wiedziała, co za głęboki smutek opanował mego  
syna od tych  
kilku dni,

toby cię litość nad nim wzięła. Ty wiedzieć nie możesz, co to za złote  
serce,  
ale ja ci to powiem, bo od trzydziestu lat, jak mnie Bóg synem tym  
obdarzył,  
nigdy najmniejszego zmartwienia nie był dla mnie powodem. Widzisz  
moje dziecko,  
kto takim jest synem, ten musi być dobrym, kochającym mężem.  
I tu wymownie, bo z serca pochodzącymi wyrazami, zaczęła Zosię  
nęcić,  
opowiadając, jakie miłe, urocze, przyjemne życie, Henryk jej zgotuje,  
jak li  
tylko dla niej żyć będzie, jak miłość ich wzajemna i szczęśliwa,  
opromieni  
ostatnie lata jej starości.  
Potem mówiła ze łzą w oku, że Henryk tylko o swojej Zosi marzy i  
mówi, tylko za

nią tęskni, nigdzie bywać już nie chce, bo bez niej nic go bawić ani  
zająć nie  
zdoła. Wyrazów tych słuchała Zosia nie przerywając ani razu pani B.,  
a łzy  
rzesiste spływały po bladych jej licach. Pocziwa staruszka we łzach  
tych  
widziała zbliżające się już zwycięstwo na korzyść ukochanego syna,  
gdy tymczasem  
Zosia przysłuchując się tak żywemu obrazowi przywiązania Henryka,  
ciągle sobie w  
głębi duszy powtarzała boleśnie: "Czemuż to nie Zygmunt taką mnie  
kocha  
miłością?"  
Po długiej i wymownej rozmowie, a raczej monologu, Zosia bowiem  
mało co  
odpowiadała, wstała wreszcie pani B. i serdecznie uściskawszy tę,  
którą już za  
swą córkę uważała: — Cóż każesz, kochanie, Henrykowi powiedzieć?  
— zapytała.  
— Że go dziś wieczór oczekuję u mamy — drżącym głosem  
odpowiedziała Zosia.  
Uradowana wyszła pani B. Zdawało się jej, że odmłodziła o jakie lat  
, tak  
szybko zbiegła po schodach, żeby czempędzej uwiadomić syna o  
pomyślnym skutku  
swych zabiegów.

#### IV.

Wieczorem kilka osób zeszło się u pani R. Zosia stała jak zwykle przy  
dużym  
samowarze, spokojnie zajmując się rozdawaniem herbaty zebranych  
gościom. Henryk i  
Zygmunt,

obydwa obecni, zadziwieni byli, spostrzegłszy jakiś wyraz swobodnej powagi na tej twarzyczce, od dwóch tygodni tak ciągle bladej i wzruszonej. Każdy z nich to na swój sposób tłumaczył, nie udzielając sobie wszakże wzajemnych uwag.

— Oczywiście przeciągnęli ją do obozu matki i wyperswadowali, że tak będzie najlepiej — mówił Zygmunt, a serce mu się okropnie ścisnęło.

— Pocziwa mama — powtarzał sobie pocichu Henryk — ona jedna wiedziała, jak trafić do tego serduszka. Niech jej to Bóg stokrotnie odpłaci. I chciał się radować, ale mu jakieś dziwne przeczucie radość tę psuło. Złożył to na karb owej zabobonnej trwożliwości zakochanym ludziom właściwej.

Herbata się skończyła. Pani R. niby to od niechcienia, ale bardzo zrećznie, wszystkich swych gości zajęła w dużej sali, a ponieważ z umysłu nikogo z młodzieży tego wieczora nie prosiła, po chwilce tylko trzy osoby pozostały w opróżnionym saloniku. Były niemi: Zosia, Henryk i Zygmunt.

Spostrzegłszy to Zosia wstała, podeszła ku Henrykowi i cichym, ale wyraźnym rzekła doń głosem:

— Niech pan na chwilkę ze mną przejdzie do gabinetu mamy. Mam pana o coś zapytać.

Na Zygmunta ani spojrzęła; on zaś blady, osłupiały, popatrzał za wychodzącą parą, potem rzuciwszy się na kanapę, zakrył twarz drżącymi rękami.

— Otóż i po wszystkim! — zawołał pół głosem i gdyby nie obecność gości tuż obok będących, byłby może zapłakał. Tymczasem w sali pani B. i pani R., obie rozpromienione

szczęściem, ciągle na siebie spoglądały, szląc sobie wzrokiem nieme powinszowania.

Wszedłszy do gabinetu, Zosia, na pozór spokojna, choć bardzo blada, usiadła na

kanapie, wskazując krzesło Henrykowi. Byłby on wolał klęcząc jej mówić o swej

gorącej miłości, ale było coś tak poważnie smutnego w tej niemal dziecinnej

postaci, że patrząc na nią, nie śmiał ani klęknąć, ani przemówić.

— Panie Henryku — odezwała się Zosia po krótkim milczeniu — wiem, że mnie

kochasz, i czuję, ile miłość takiego człowieka powinna wzbudzić wdzięczności i

uznania. Lecz nie dosyć na tem; szczerze przywiązanie wymaga wzajemności i

zasługuje na nią, ja zaś panu tej wzajemności ofiarować niemogę.

— Schylił głowę w milczeniu Henryk, jakby ciężar tego wyznania był nad jego

siły. Po chwili odezwał się:

— Czy mi pani nawet najmniejszej nadziei na przyszłość nie pozostawisz?

— Niegodnem byłoby i pana i mnie, gdybym go łudzić chciała fałszywą nadzieją.

— Może to serce już komu innemu oddane? — zapytał z wyrazem głębokiego

cierpienia.

Zosia nic nie odpowiedziała, ale dwie łzy, których już dłużej wstrzymać nie

mogła, po bladych spływające licach, wymownie świadczyły, że zapytanie w bolesną

uderzyło stronę. Henryk patrzył na nią z wielkim smutkiem, ale z większem

jeszcze uwielbieniem, czcząc w niej świętą powagę prawdziwego uczucia. "Jakżeż

ona kochać go musi, kiedy ani jego obojętność, ani moja nieograniczona miłość, w niczem zachwiać jej przywiązania nie zdołały. "To sobie pomyślawszy w głębi duszy, wziął Zosię za rękę.

— Niech mi pani ze wszystkim otwarcie się zwierzy. Jeżeli nie mogę otrzymać

szczęścia być od niej kochanym, niechże przynajmniej jako przyjacielowi, wolno

mi będzie do jej szczęścia się przyczynić.

Zosia wśród łez z wdzięcznością na niego spojrzała, ale tak była gwałtownie

wzruszoną, że słowa wymówić nie mogła.

— Uspokój się pani, nie płacz, nie martw się, a przy pomocy Bożej wszystko się

jakoś ułoży. Wszak pani kochasz Zygmunta?

— Jakże pan to wiesz? — zapytała przerażona nieco Zofia.

— Kochając ciebie nad życie, mogłemże nie dojrzeć, nie zgadnąć, w którą stronę serce twe rwie się i dąży?

Na te słowa Zosia, ulegając nagłej i namiętnej chęci przekonania się odrazu o

rzeczywistych względem niej uczuciach Zygmunta, zapytała, nie śmiać wszakże

podnieść oczów na Henryka.

— Jak pan myśli, czy Zygmunt wie, że ja go... Ostatni wyraz zamarł na ustach.

Biedny Henryk! w jednej chwili obalone, rozwiane, zniszczone zostały najdroższe

jego marzenia i nadzieje przyszłości. Cios był okropny, lecz sama wielkość

cierpienia wzbudziła w nim myśl poświęcenia; czuł w sobie jakby żądzę

męczeństwa, chcąc od razu przytłumić wszelkie pragnienie uzyskania Zofii kosztem

jej własnego szczęścia.

— Zygmunt panią kocha — rzekł mocno wzruszonym głosem — lecz nie będąc pewnym

jej wzajemności, a przytem mając przekonanie, że pani Iv. z największą

trudnością na związek wasz zezwoli, nie śmiał wyjawić swych uczuć.

Przytem pani

go znasz, jemu wiara w miłość kobiety nie łatwo przychodzi.

To powiedziawszy Henryk powstał, ujął jej rękę i do ust drżących przycisnął,

poczem poszedł ku drzwiom dużego salonu. Ujrzał w nim Zygmunta, tak pogrążonego

w cichej rozpacz, że ledwo własnym oczom chciał wierzyć.

— Zygmuncie! — zawołał pół głosem — nie chcąc być słyszany od osób w sali

będących. Zygmunt wstrząsł się cały, jakby na straszny głos przeznaczenia, wstał

z kanapy i spojrzał na Henryka, ale w takim był pomieszaniu, że ani widział

zmiany na twarzy przyjaciela. Ten go wziął na wpół tylko

przytomnego za rękę i

zaprowadziwszy przed Zosię, sam bocznemi drzwiami z pokoju wyszedł.

— Zygmuncie! — zawołała Zosia głosem, w którym objawił się cały ogrom długo

przytłumionego uczucia. Zygmunt uchylił kolana. Zimny niedowiarek uczuł się

zwyciężonym od razu. Szczęście wpajało w niego wiarę.

— Zofio! Ty mnie kochasz? czy to być może?

Zofia zbladła, i dopiero po chwili milczenia, spuściwszy oczy w ziemię, wymówiła

półgłosem:

— Niewierny Tomasz! — To była jej cała odpowiedź.

W tej samej chwili Kasztelanowa przegrawszy kilka robrów, bo jej się zamiast królów, dam i waletów, ciągle Henryk i Zofia przed oczami migali, wstała i zwracając się do pani domu:  
— To coś za długo trwa — rzekła — czy nie zajrzeć tam do nich ?  
— Nie, nie, dajmy im się wygadać do woli...  
I poszły panie razem do bilardowej sali, przypatrzeć się nowo przybyłemu obrazowi z wystawy sztuk pięknych w Krakowie.

V.

Skoro wiara góry przenosi, czegoż miłość dokonać nie może?  
Nazajutrz po wieczorze, na którym przeznaczenie trojga ludzi tak różnie rozsądzone zostało, pani E., pamiętna rady Zygmunta, żeby Zosi nie naglić, o nic córki nie pytała, składając milczenie jej na karb dziewiczego wstydu, a może i miłości własnej, nie chcąc od razu przyznać się do ustępstwa.  
Przeczekwała zatem cały poranek z dziwnym spokojem, pozwoliwszy Zosi, narzekającej na ból głowy, pozostać w swoim pokoju. Około godziny -ej zameldował się Henryk. Serce matki zadrżało, ale nie z rozrzewnienia nad zbliżającą się zmianą losu swej jedynaczki, ani z tęsknoty na myśl, że jej wkrótce przyjdzie z nią się rozstać, lecz tylko przez uczucie zadowolnionej dumy i miłości własnej.  
Przyjęła przyszłego zięcia z godnością, w której przebijała źle utajona radość przy powitaniu się wzajemnem. Henryk usiadłszy na wskazanem krześle, rozpoczął rozmowę w sposób, całkiem dla pani R. niespodziewany.



— Wszak pani córkę swoją kochasz nad wszystko?

— Oczywiście, że kochani — odrzekła zdziwiona p. R.

— Niema zatem ofiary, którejby pani dla niej nie zrobiła?

— Ofiary! — na to słowo w mgnieniu oka stanęła przed oczami przerażonej pani R.

jakaś ogromna majątkowa ruina, oparta na niezliczonej ilości długów, które tak

mozolnie zebrany posagiem córki, przyjdzie jej może opłacić.

Zbladła na tę myśl

i gorąco jej się zrobiło.

— Nie wiem doprawdy, co pan chcesz mówić, ani w czym ten wyraz ofiara może mojej córki dotyczyć?

— Otóż właśnie, że się p. Zofii dotyczy, i to bezpośrednio — odparł Henryk

smutnym, lecz stanowczym głosem. — Niech pani raczy pozwolić, że się wytłómaczę.

— Słucham z największą uwagą — odrzekła pani R., ale widocznie w jej słowach

przebijał mimowolny chłód i jakaś nie wytłómaczona trwoga.

— Pani wiadomo, że wszystkim w życiu rozrządzać można, prócz sercem.

— Tylko do pewnego stopnia to uznaję.

Uśmiechnął się pan B. Czyż całe życie tej dziwnej kobiety nie było do tego

aksjomatu zastósowauem ? Pod jednym wszakże względem myliła się pani R. Ona nie

rozrządzała sercem swoim, tylko się go całkiem pozbyła.

— Owóż panna Zofia — ciągnął dalej Henryk — będąc jeszcze zbyt młodą i

niedoświadczoną, żeby z zimną rozważą o sercowych stosunkach sądzić, nie pytała

się rozsądku i sercem rozporządziła.

— Ale ja dobrze o tem wiem — odrzekła pani R., przypominając sobie długą

wczorajszą rozmowę córki z Henrykiem. — Wiem, komu serce oddała i nicbym przeciwko temu nie miała, gdyby nie ta dziwna wzmianka o jakichś ofiarach.

Możebyś pan zechciał jaśniej w tym względzie się wytłómaczyć, bo ja sobie

prosta, praktyczna kobieta, lubię wiedzieć od razu, czego się trzymać.

Niech pan

całą powie prawdę.

Henryk namyślił się chwilę, co tem bardziej panią R. potwierdziło w przekonaniu, że majątek jego skompromitowa-

nym być musi i że szlachetnością powodowany, chce ją o tem zawczasu uwiadomić.

Podobała się jej ta rzetelność, a wiedząc z drugiej strony, że nawet gdyby

Henryka majątek był nadwerężony, zawsze Zosia znaczne posiadała wiano,

łagodniejszym rzekła głosem.

— Niech pan się nie obawia wszystkiego wyznać. Wiem ja, co jest młodość i jak ją

czasem drogo okupić przychodzi. Córka moja ma przyzwoity posag, i nie potrzebuję

za milionami dla niej gonić.

— Jeżeli tak — odparł Henryk, biorąc panią R. za rękę, którą z uszanowaniem

pocałował, — to możemy uważać szczęście p. Zofii za zapewnione i powracam do

tego, od czego się rozmowa rozpoczęła, że dla serca kochającej matki niema

niemożliwej ofiary.

Pani R. się uśmiechnęła niby rozrzewniona, ale jej coś bardzo markotno było w

tej chwili na sercu. — Gdyby to już przynajmniej chciał powiedzieć, wiele ma

tych nieszczęśliwych długów — myślała sobie pocichu. — Ale to  
jakoś nie wypada  
tak wprost się zapytać.

Henryk zmiarkowawszy, że jeżeli całkiem celu nie dopiął, to już ku  
temu  
widocznie sobie drogę utorował, postanowił wreszcie wywieść panią  
R. z błędu.

Widział bowiem, iż nie przypuszczała dotąd myśli, żeby szło o kogo  
innego, jak o  
niego na rękę dla Zofii. Pilno mu też było ukończyć rozmowę, i tę  
mozolną,  
ciężką pracę dla uzyskania szczęścia swego rywala.

— Gdyby zatem kochana pani się przekonała, że ten, którego p. Zofia  
kocha, jest  
pozbawiony majątku, nie odmówiłabyś mu ręki swej córki?

Pani R, się zastanowiła chwilę. — Jeżeli powiem, że odmawiam, to  
wszystko

zerwane — pomyślała sobie w duszy, — a tu może tylko chodzi o  
kilkanaście

tysięcy. Oczywiście chce mnie na próbę wystawić. — Głośno więc  
odrzekła:

— Nie lubię ja wprawdzie małżeństw, które od spłacania długów  
pożycia swe  
rozpoczynają, ale darmo, jeżeli Zosia serce swoje oddała, cóż mam  
robić? ustąpić  
muszę.

— Może zatem p. Zofia rękę swą przyrzec temu, którego kocha? —  
zapytał głęboko  
wzruszony Henryk.

— Niech i tak będzie — odrzekła pani R. — Ale mi ją pan musisz  
uszcześliwić.

— Jakto! ja! — zawołał z udaniem zadziwieniem p. B. — Przecież to  
nie o mnie tu  
chodzi.

— Jakto, nie o pana... a o kogóżby?

— O tego, którego p. Zofia kocha, a który będąc pozbawiony majątku, nie śmiał ani przed panią ani przed jej córką wspomnieć o miłości swojej dla niej.

— Więc to o księciu N. mowa — z wielkiem oburzeniem rzekła pani R. — Zachciało się dziewczynie być księżną! Ale nic z tego nie będzie; to szuler, a ja nie na

karty zbierałam przez lat posag dla córki.

I gniewnym krokiem po pokoju chodzić zaczęła. Patrzył się na nią Henryk z

największym zadziwieniem, pojąć nie mogąc, że to, co on, od pierwszego poznał

wejrzenia, ona tego we własnym dziecku, do ostatniej chwili rozeznąć nie umiała.

Ale bo w rzeczach serca, tylko sercem jasno się widzi.

— Pojmuję i dzielam oburzenie pani na samą myśl powierzenia tak drogiego

skarbu w niegodne ręce. Milo mi zatem jest i pilno z przykrego wywieść ją błędu.

Nie księcia N. kocha Zofia, tylko Zygmunta.

Na to imię, jakby piorunem rażona pani R. o mało ze stołka nie spadła.

— Zygmunta?! — zawołała obłąkanym niemal głosem. — Zygmunta? To być nie może, to

się chyba panu przyśniło, albo ja źle słyszę. Przecie ja ich od Zosinego niemowlęstwa razem widuję. On jest jej wujem. Oni się jak brat i siostra a nie

jak kochankowie kochają. Nie, to być nie może! ja temu nie wierzę, a choćbym i

wierzyła, nigdy, przenigdy na tak szalony związek nie zezwolę.

Henryk przeczekawszy pierwsze, najgroźniejsze chwile burzy, zapytał po chwili:

— Czy wolno mi zapytać, co pani ma przeciwko Zygmutowi ?

— Jakto? Co mam przeciwko niemu? Wszystko! wszakże on żadnego nie ma majątku!

Gniewem uniesiona, już nie umiała taić, że to w jej oczach najgłówniejsza było przeszkodą.

— A czyż mi pani dopiero-co nie obiecała solennie, że brak majątku nie będzie

stał na przeszkodzie szczęściu jej córki ?

— Być może, ale to do pana, a nie do Zygmunta się odnosiło.

— Do mnie! wszakże taka rzecz do mnie odnosić się nie może! Lecz cóż pani prócz

tego Zygmunta zarzuca?

— Prócz tego! prócz tego! Doprawdy zabawny pan jesteś. Czyż majątek nie jest

główną podstawą małżeńskiego szczęścia ?

Gorzko się zaśmiał Henryk, pan tak licznych włości.

— Nie pani; dla osób takich, jak p. Zofia, są oprócz majątku, podstawy trwalsze

i dużo pewniejsze.

— Pan pozwoli, że ja sama osądzę, co do szczęścia mojej córki jest potrzebne.

— Niech mi wolno będzie jeszcze słówko powiedzieć — rzekł

Henryk, biorąc za

kapelusz. — Dopiero mówiłaś pani, że po dwudziestoletniej mozolnej pracy, nie na

to zebrałaś posag córki, żeby go na pastwę rzucić szulerowi. I wielką masz pani

słuszność. Ale tu nie o żadnego chodzi szulera, tylko o uczciwego, rozumnego,

godnego ze wszech miar człowieka, którego p. Zofia całym sercem pokochała; a

jeżeli Zygmunt majątku nie ma, to mozolna praca dobrej matki, tem więcej do

szczęścia córki przyczynić się zdoła...

— Więc ja na to pracowałam, żeby jemu życie ozłocić?

— Nie pani, ale na to, żeby jedyne dziecko prawdziwym szczęściem obdarzyć. Czyż

to nie dostateczne wynagrodzenie za podjęte trudy?

Pani R. widząc, że tym sposobem nie potrafi Henryka przekonać o niemożebności

tego małżeństwa, na inny wzięła się sposób:

— A cóż pan ma do powiedzenia na obronę przyjaciela, że bez względu na niestosowność tak nierównego związku, zbałamucił mi córkę potajemnie, zdradziecko, bez mojej wiedzy, i dopiero teraz przyznaje się do tych uczuć,

kiedy już całkiem zawojował serce niewinnej dziewczyny?

— Tę zbrodnię (jeżeli to istotnie jest zbrodnią) na siebie wziąć muszę.

P. Zofia

i Zygmunt kochają się od roku, ale do wczorajszego wieczora ani on ani ona nie

wiedzieli, że miłość ich jest wzajemna. Dopiero ja im oczy otworzyłem i do

wywyznania prawdy niemal zmusiłem.

— Ślicznie panu za tę usługę dziękuję. Pięknego dokonałeś dzieła.

Biedny Henryk! oto jedyne słowo, które go pokrzepić miało, w chwili, kiedy tak

bolesną zadawał sobie ranę dla szczęścia Zofii. "Jeżeli ona narzeka — pomyślał

sobie, patrząc na rozzaloną panią R. — to Cóżbym ja mógł powiedzieć!"

— Przepraszam panią szczerze — dodał głośno — za przykrość, której byłem dla

niej zwiastunem; ale jeżeli odkrycie wzajemnej miłości p. Zofii i Zygmunta było

dla pani bolesnym ciosem, to dla mnie jest ono zniszczeniem szczęścia całego

życia, całej przyszłości.

— Więc ja się nie omyliłam, sądząc, żeś pan Zosię pokochał? — zawołała z

żywością pani R., chwytając się namiętnie tej wątlej nadziei, jak tonący

brzytwy. Zmiarkował to Henryk i rzekł, chcąc jej od razu pokazać, ile ta nadzieja jest płonna:  
— Tak jest, przywiązałem się do niej z całego serca, tak dalece, że nie wahałem się ani chwili dla jej szczęścia własne szczęście poświęcić. To powiedziawszy, pożegnał panią R., zostawiając ją pod wrażeniem tych ostatnich wyrazów.

— A to piękna miłość! — myślała po wyjściu Henryka. — Zosie kocha, ale ją w objęcia rywala oddaje! Nie! nie! To się tak odrazu skończyć nie może! Rozłączę ich, Zosię wywiozę za granicę, do Wioch, do Paryża, w odmęt świata i zabaw ją rzucę. Zapomni o tej szalonej, bezprzykładnej miłości; a za rok, za dwa, dajmy nawet za trzy lata, namyśliwszy się, odda rękę Henrykowi. Tak być powinno. Tak być musi. To postanowiwszy, poszła do swego pokoju, bardziej niż kiedykolwiek pragnąc mieć Henryka za zięcia.

## VI.

Wróciwszy do siebie, zasiadł Henryk do biurka i na prędce następującej treści skreślił bilecik: "Kochany Zygmuncie! Któż kogo nawrócił? czy ty mnie do twojej dzikiej herezyi, czy ja ciebie do wiary w świętość kobiecego serca? Nie bluźń-że odtąd, i oddawaj należyta cześć aniołowi, który ciebie w życiu nadal strzedz będzie. Henryk B."

List ten zapieczętowany położył na stole, a sam udał się wprost do pokojów matki.

Kasztelanowa siedziała przed staroświeckim biurkiem i pisała. Postać ta, pełna godności i prostoty, wyglądała jakby ze starego rodzinnego portretu wykradziona.

Tak była zajęta, że Henryk po miękkim chodząc kobiercu, był przy niej, nim się spostrzegła, że ktoś wszedł do pokoju. Ukląkł przed matką milczący i wsparł głowę na jej kolanach.

— Henryku, co tobie się stało? — zawołała przerażona jego bladością. I tuliła go do siebie, jakby jakie biedne, nieszczęśliwe dziecko.

— Powiedz, synu mój, co tobie jest? Czy Zosia chora? czyby cię odmówiła? To być nie może!

Ale mówiąc to, czuła biedna matka, że tylko odrzucenie jego miłości przez Zofię, mogło go do takiego zupełnego doprowadzić przygnębienia.

— Matko maja, matko najdroższa, nie gniewaj się na mnie — odrzekł Henryk całując jej kolana — ale ja muszę wyjechać. Wyjechać na kilka lat i jak najdalej, żeby jej nie widzieć, nie być świadkiem ich szczęścia.

— I rzewnym zapłakał głosem. Kasztelanowa o nic więcej pytać nie śmiała, tylko coraz silniej przyciskała do piersi swej ukochanego syna, któremu kosztem życia nieba przychylić byłaby chciała.

Po chwili zerwał się Henryk i usiadł przy matce; blady był i zmieniony, jak człowiek z długiej powstający choroby.



— Matko droga — rzekł — ty jedna rozumiesz mnie i choć nic nie mówię, zgadujesz, co w sercu mojem się dzieje. Jestem bardzo nieszczęśliwy; o nic więcej nie pytaj; nie starczyłoby mi sił, żeby całą prawdę powiedzieć. Wkrótce, może już za parę dni napiszę obszernie i wszystko opowiem. Teraz chcę tylko kilka rzeczy powierzyć dobremu sercu najlepszej matki, nim w podróż się wybiorę. — Czy dziś jeszcze wyjeżdżasz Henryku? — zapytała drżącym od łez głosem Kasztelanowa.

— Wyjeżdżam za godzinę — odrzekł syn, serdecznem uściśnieniem dziękując matce, że się nie starała go wstrzymywać. Lecz Kasztelanowa dobrze знаła złote serce syna i odrazu sobie pomyślała: — Kiedy chce zaraz wyjeżdżać daleko i na długo, to dla tego, że inaczej być nie może. Jużby on mnie starej i osamotnionej nie opuścił, gdyby w kraju pozostać mógł. — Głośno więc dodała: — Jedźże moje dziecko, a mnie zostaw wszystkie twoje zlecenia. Powiedz, czego pragniesz? — Pragnę, droga mamó, abyś światłą twoją radą i nieoszacowanem sercem, w pomoc przyszła biednej Zosi. Pozostawiam ją na łasce matki, mocno rozgniewanej, a całkiem pozbawionej serca. Podaj rękę Zosi; dokończ tego, com ja kosztem szczęścia mojego rozpoczął. Niech się Zygmunt odrazu i gorliwie stara o jakieś zajęcie, aby dowieść pani R., że w danym razie byłby w stanie na życie sobie zarobić. Mogłabyś mu w tem tajemnie przyjść w pomoc, wszedłszy bez jego wiedzy

w układy z księgarzem, któremu zlecisz wydanie pism jego. Ma on  
rzeczywisty  
talent, tylko wielki z niego próżniak; lecz teraz gdy praca jego będzie  
miała  
cel, nie wątpię, że się do niej weźmie z energią, a pewno i z  
powodzeniem.  
Resztę zleceń w liście napiszę, bo w tej chwili wszystko jakoś w  
głowie mi się  
mąci. A teraz bywaj mi zdrowa, najukochańsza, najdroższa matko  
moja; nie długo  
ja wytrzymam bez widzenia się z tobą; ale tu w kraju siedzieć obecnie  
nie mogę.  
Wszak przyjedziesz do mnie zagranicę?  
— Przyjadę gdzie zechcesz synu mój — odrzekła biedna  
Kasztelanowa, gorącemi acz  
cichemi łzami zlewając głowę ukochanego swego jedynaka. — Niech  
ciebie Bóg  
miłosierny i aniołowie Jego święci od wszelkiego nieszczęścia strzegą  
— dodała,  
drżącą ręką krzyż na głowie jego kreśląc i błogosławiąc mu z głębi  
stroskanej  
duszy.  
Kiedy w godzinę potem Henryk ponury i milczący w obce kraje na  
nieograniczony  
czas wyjeżdżał, a Kasztelanowa klęcząc przed cudownym obrazem  
Matki Siedmiu  
Boleści, modlitwą i łzami za nim goniła, Zygmunt odebrawszy tylko  
co kartkę od  
przyjaciela, czytał ją z głębokiem wzruszeniem. W tej samej chwili  
Zosia  
przytulona w oknie swego pokoiku, kończyła robotę dla ubogich,  
zdając z  
zaufaniem przyszłość swą w ręce Opatrzności.  
— Pan Bóg na mnie miłość tę zesłał — mówiła sobie pocichu —  
dlaczegożby jej  
błogosławić nie miał?

A pani R. co o tym czasie robiła? Pani R. chodziła po swoim pokoju, coraz to nowy wynajdując powód, żeby Zygmunтови ręki córki nie oddać.

## VII.

Żółwim krokiem kilka upłynęło miesięcy od wyjazdu Henryka, kiedy dnia jednego przyniesiono stęsknionemu wygnańcowi, w Barcelonie wtedy bawiącemu, obszerny list od

matki. Rzucił się na to pismo z chciwością, którą tylko ci zrozumieć mogą, co ich fatalna konieczność lub smutne przeznaczenie zmusza do przedłużonego pobytu za granicą. Co tam w tym liście było miłości, tkliwych pieszczot, tęsknoty, rad macierzyńskich, tego żadne pióro oddać nie potrafi. Z wielkiem też i szczerem rozrzewnieniem czytał go Henryk; zdawało mu się, że sam widok pisma drogiej matki przenosi go odrazu na rodzinną ziemię, którą kochał namiętnie. Przeczytawszy pierwszą stronę, zawierającą same wyrazy przywiązania, doszedł do następującego ustępu: "W chwili, kiedy do ciebie piszę, synu mój najdroższy, cała stolica jednym tylko brzmi nazwiskiem Zygmunta. Pisma jego wzbudzają ciekawość, zajęcie i uwielbienie ogólne. Tryumf twego przyjaciela jest kompletny, a co dziwniejszego u nas, to, że mu ten tryumf odrazu i materyalną znaczną przyniósł korzyść. Wielką miałeś

słuszność, szlachetny mój Henryku, kiedyś mówił, że Zygmunt, gdy  
mieć będzie  
szczęście Zosi i swe własne na celu, pracą wnet się sławy dorobi.  
Pracuje on  
dnem i nocą, a pracą tą cała postać jego jakoby uszlachetniona,  
opromieniona.  
Szczęśliwa jego gwiazda zrzadziła, że właśnie w chwili, kiedy się  
najbardziej  
nim tak w towarzystwie jak i w mieście zajmowano, a dzienniki  
codziennie nowy  
panegiryk o nim wygłaszały, przyjechała pani R. na parę dni do  
miasta. Nie  
wątpię, że ogromny sukces literacki Zygmunta oparty na materyalnym  
zysku,  
zmiękczy do reszty upór tej dla mnie tak niepojętej matki! Dziś nawet  
dowiedziałam się, że przyjęła Zygmunta, i że bawił u niej przeszło  
godzinę.  
Uważam to za pierwszy krok ku zbliżającemu się pojednaniu.  
Niemiłosierne zaś  
rozłączenie tych dwojga kochających się serc, tylko wzmocni ich  
wzajemne  
przywiązanie. Piszę ci to wszystko synu mój drogi, bo ciebie znam i  
przekonana  
jestem, że zrobiwszy z siebie ofiarę, chcesz, żeby ta ofiara była  
całkowitą i  
Zofii szczęście zapewniła. Tak się też stanie. Wszystko to nie  
przeszkadza, że w  
moich oczach kobieta, która przekłada ko-

gokolwiekbądź nad ciebie, mój Henryku, jest kobietą szaloną, i od  
tego zdania  
nie odstąpię nigdy."  
Przeczytawszy ten ustęp z listu matki, Henryk w głębokiem  
pogrążony milczeniu,  
całą niemal noc po pokoju chodzi}, jak to zwykł był czynić, kiedy  
miał umysł

czem ważnym zajęty. Nad ranem, znużony bezsennością, a bardziej jeszcze bolesnymi myślami, rzucił się na łóżko, głośno prawie rzekłszy do siebie: — Nie, do kraju powrócić jeszcze nie mogę, nie wytrzymałbym. Pojadę do Drezna, dokąd matkę kochaną sprowadzę, żeby z nią kilka dni spędzić. Potem zwiedzę Szwecję i Norwegię, może i dalej się puszcę. Tymczasem oni się pobiorą... — Na tę myśl gorzko się uśmiechnął, lecz w tej chwili stanęła mu przed oczami duszy, świątobliwa postać matki; zdawało mu się, że słyszy z ust jej wyrazy dopiero-co w liście wyczytane: "Chcesz, żeby ofiara była całkowita..." Zdawało mu się, że mu matka błogosławieństwem swoim odwagi do dalszego życia dodaje. Westchnął więc głęboko i zasnął.

## SKORA DO BUNTU.

— Piotrusiu!  
— No co?... sądzisz może, że się nie domyślam, co mi każesz powtórzyć, i to powtórzyć po raz, co najmniej dziesiąty?  
— Gderaj sobie, gderaj ile chcesz, Piotrusiu, byleś powtórzył... Obiecuję ci, że po raz ostatni... to coś pod werandą podsłuchaj.  
— Jaktó: podsłuchał?... alboż to ze mnie szpieg, czy co?..  
— No, no, nie gniewaj się braciszku za ten niestosowny wyraz. Wiem, żeś nie podsłuchiwał.

— Ma się rozumieć, że nie podsłuchiwałem. Gdyby nie moja wrodzona poczciwość,

tobym na tem naszą rozmowę przerwał; ale ja jestem poczciwy...

— Wiem, żeś poczciwy, Piotrusiu; wiem, że mnie kochasz, a przytem widzisz mój ciężki frasunek; opowiedzże więc wszystko szczegółowo, i dosłownie powtórz, coś słyszał.

Przejęty ważnością położenia, a bardziej może jeszcze, ważnością przypadającej mu w niem roli, Piotruś jął w następujących słowach zaszle zdarzenie opowiadać.

— Mówiłem ci już, że podczas, gdy na najwyższym szczeblu drabiny, z twego polecenia zbierałem winogrona na deser, i zanim miałem czas dać znać o swej obecności, usłyszałem znienacka następujące słowa babci: "A ja tylko powtórzyć mogę i powtarzać będę, że Halka za pana pójdzie. Na co prezes odrzekł: "Oby Bóg dał, aby słowa pani się sprawdziły!" Babcia jeszcze coś dodała, ale po francuzku, a ty wiesz, że francuzczyzna nie zawsze mi dopisuje, a cóż dopiero, gdy położenie moje bliższe jest dachu niż ziemi.

— Widzisz więc Piotrusiu; oni ostatecznie postanawiają o moim losie, nietylko

bez mojej wiedzy, ale wbrew mojej woli! Alboż to my jesteśmy w Turcyi, gdzie

dziewczęta bywają wydane za człowieka, którego w życiu swoim nie widziały? Ale

ja nie Turczynka, chwała Bogu, i na żadne wschodnie obyczaje się nie zgodzę.

Wolałabym z najnędniejszymi wygnańcami do Brazylii o zebranym chlebie

powędrować, lub wstąpić do Karmelitanek bosych — tak jest: bosych  
— niż poddać

się tak dzikiej tyranii. Cóż oni sobie myślą? że ja jestem lalką, czy  
dzieckiem?

— Wiesz co, Halko, jeśli się zdecydujesz na wędrowkę do Brazylii,  
bo co do

Karmelitanek, i to jeszcze bosych, prawdopodobnieby mnie tam nie  
przyjęto, to

mnie zabierz z sobą. Zawsze byłaby to jakaś dla ciebie mężka opieka.

— A tybyś się przy tej sposobności wykręcił z egzaminu matury. Czy  
tak?

— Co prawda, nieźleby to było — śmiejąc się, odrzekł student. — Ale  
zanim nam

przyjdzie z torbą na plecach i kijem w rękę puścić się w drogę (nota  
bene, do

samej Brazylii piechotą nie dojdziemy, chyba, że nam święty Piotr  
miłosierną

rękę poda, aby nas na falach morskich utrzymać), zanim stanowcza  
chwila ta w

życiu naszym zajdzie, możebyś mi cichutko, bardzo cichutko, do ucha  
powiedziała,

dlaczego nie chcesz wyjść za prezesa?

— Oho! dla wielu bardzo przyczyn, z których najgłówniejszą jest ta...

— Ze sobie tego babcia życzy — przerwał niemiłosierny Piotruś.

— Nie. Nie dlatego, że sobie babcia tego życzy, ale dlatego, że mnie  
za prezesa

wydać chce ze swojej, a nie z mojej woli. Rozumiesz?

— Rozumiem. Ale może mi jeszcze powiesz, jakie inne masz prócz  
tego powody

niechęci dla prezesa, boć nie możesz nie przyznać, że jest on  
najzacniejszy,

najmilszy z ludzi, a przytem i bardzo dobra partya, o czym w naszych  
czasach

pamiętać trzeba, zwłaszcza, że o ile wiem, milionowego posagu nie  
posiadasz?

— Ja prezesowi żadnej z jego licznych zalet nie zaprzeczam.

Osobiście, jest mi  
on nawet bardzo sympatyczny, tylko nie...

— Tylko nie na męża — śmiejąc się, przerwał Piotruś. — Czy tak Halko?

— Owszem, może nawet i na męża — z coraz większym  
rozdrażnieniem odrzekła piękna  
dziewczyna — ale nie na męża obcą ręką narzuconego, i to niemal  
narzuconego  
gwałtem. Nawet gdybym się w nim szalenie kochała, po tem coś z ust  
babci dziś

usłyszał, jeszczebym mu kosza dała. Ale nie o to teraz chodzi, tylko o  
to, abyś

mi dopomógł w odnalezieniu środków... jakże to powiedzieć?...

— Środków odpornych — nieco ironicznie dorzucił brat.

— Nie śmieć się Piotrusiu, bo to wcale nie żarty; mnie się na płacz, a  
nie na  
śmiech zanosi.

Odezwał się w tej chwili dzwonek, o pół godziny poprzedzający  
obiad.

— Oj! oj! spóźnimy się na obiad — zawołała Halka — ja się jeszcze i  
przebierać

muszę i deser przyrządzić. Zaklinam cię więc tylko, mój Piotrusiu,  
na

wszystko zaklinam, abyś mnie w tej mojej niedoli nie opuszczał;  
przrzeknijże mi

raz jeszcze, zanim się rozejdziemy, że jak wynajdę sposób usunięcia  
się z pod

tyranii, chcącej mi ślubną obrączkę przemocą na palec wcisnąć, to mi  
rękę

podasz...

— Ma się rozumieć, że podani, Haleczko moja, tylko wyznać muszę,  
że twoje

pomysły jak dotąd, mianowicie: wędrówka do Brazylii, i to jeszcze w  
chwili, gdy

miły naród ten w rewolucję się bawi, albo wstąpienie do  
Karmelitanek bosych,

niekoniecznie wydają mi się praktyczne.



— Ależ, Piotrusiu, mnie przecież gwałtem do ołtarza nie zawloką ani dziś, ani jutro; jeszcze mam czas coś lepszego wykombinować.

— Kombinuj zatem, ale kombinuj póki dobra po temu pora. Teraz zaś pora, i to ostatnia, do przebierania się. Wiesz, że babcia z obiadem czekać nie lubi. — I

to powiedziawszy, rozbiegło się rodzeństwo, każde w swoją stronę. Gdy w pół godziny potem Halka, choć z pośpiechem i gustem ubrana, do jadalnego pokoju weszła, aby deser przyrządzić, ze zdziwieniem ujrzała, że tylko na trzy osoby nakryte było.

— Alboż to prezesa nie będzie dziś na obiedzie? Cóż się stało? Wszak to jego dzień u nas, od niepamiętnych czasów.

Nie — prezesa nie było.

Zasiedli zatem do stołu we troje: babka, swobodna, łagodna i jak zawsze w dobrym

humorze; Halka, milcząca, z lekkim w oczach odcieniem złego humoru; Piotruś,

widocznie zafrasowany, po trochu nawet zawstydzony.

Babka spostrzegła od razu, że w umyśle wnucząt coś niezwykłego się święci;

udawała wszakże niedomyślną, wiedząc, że i tak z czasem szydło z worka wyjdzie.

— Piotrusiu — rzekła po chwili do wnuka — zgadnij, co tu mani pod talerzem dla ciebie.

Nieczyste mając sumienie, zarumienił się chłopak po uszy.

— Doprawdy, że nie wiem, babciu. Może tego uczonego gila, cośmy go wczoraj podziwiali?

— Sądzę, że gil, choćby i najuczeńszy, tak spokojnieby się pod talerzem nie

zachowywał.

— To może mój dyplom zdanej bez zdania matury?

— Nie — śmiejąc się, odrzekła babka — taki fortel byłby w sprzeczności z moimi

zasadami. Może Halka będzie od ciebie domyślniejszą.

Lecz Halka, zła na siebie i zła na drugich, obojętnym rzekła głosem:

— Ja się jeszcze mniej od Piotrusia domyślam, o co chodzi.

Widząc, że ma do czynienia ze złem usposobieniem wnucząt, babka już nie nalegała

dalej, i podała Piotrusiowi kartę wizytową. Snać zawierała kartka ta jakąś

bardzo miłą niespo-

dziankę, bo raka upiekłszy, chłopak zerwał się z miejsca i począł babkę po

rękach całować.

— Skoczże teraz co tchu do miasta — rzekła ona — i kup sobie białe rękawiczki,

zanim sklepy zamkną. O godzinie -ej musisz być gotów; pani

Edwardowa tylko do

północy u siebie tańcować pozwala. Niechże na ciebie nie czekam.

Pełen radości, ale i skruchy pełen, Piotruś, biegnąc do sklepu, w duszy sobie

powtarzał: — Czyż mi się godzi w jakiś potajemny wchodzić spisek, przeciwko tej

kochanej, zawsze tak anielsko dobrej babci! Jedyna moja pociecha to, że z tego

spisku nic nie będzie; głową bowiem ręcę, że Halki nie ujrzą ani Brazylijczycy,

ani Karmelitanki... bosc.

Tylko dwanaście tańczących par wirowało u pani Edwardowej, ale animuszu było za

par pięćdziesiąt.

W różowej sukni, różowych trzewiczkach, z różowym gwoździkiem we włosach, Halka

rzeczywiście bardzo była ładna i bardzo o nią w tańcu się dobijano.  
Pomimo  
"ciężkiego frasunku" przygniatającego jej serce, bawiła się doskonale,  
i po raz  
pierwszy, trochę dla osobistej przyjemności, trochę na przekorę; babce  
i  
prezesowi, nie mniej doskonale na prawo i na lewo kokietowała.  
Równie jak siostra, używał i Piotruś; pomimo jego studenckich  
bowiem lat, nad  
wiek wysoki wzrost, zgrabne ułożenie i, dzięki wychowaniu babki,  
pewne  
wyrafinowane, tak dziś u młodzieży rzadkie uszanowanie dla dam,  
zjednały mu od  
razu życzliwość tancerek.  
Z macierzyńską miłością patrzyła na nich babka; raziła ją co prawda  
niewidywana  
dotąd zalotność wnuczki; składała to wszakże na karb "reakcji" po  
napadzie złego  
humoru i powtarzała sobie pocichu: "Klin klinem wybije" i jutro do  
równowagi  
powróci. " Co ją bardziej od kokieteryi Halki dziwiło, to nieobecność  
prezesa,  
tak iż już o niego pani domu zapytać się miała, gdy z pierwszym  
uderzeniem  
smyczka przygrywającego kadryla, ujrzała go prowadzącego Halkę do  
tańca, ale  
Halkę, w mgnieniu oka, zupełnie inną od tej, jaką była do owej

chwili wieczorku. Błada, z zaciśniętymi zębami, na towarzysza  
całkiem nie  
patrzyła, albo rzucała nań złowrogie spojrzenia, czem wszakże prezes,  
ku  
wielkiemu jej nieukontentowaniu, bynajmniej się nie alterował. Mieli  
za vis-a-  
vis młodziutką mężatkę, córkę pani domu, oraz pana Wiktora \*\*\*  
oficera od

ułanów. Jeśli oczy Halki na prezesa rzucały gromy, to natomiast  
pięknego  
porucznika obdarzały istnemi promieniami uroczych spojrzeń, do  
których nie mniej  
urocze dorzucała uśmiechy, chcąc koniecznie spokój prezesa zakłócić;  
lecz spokój  
ten, zdawał się silny jak opoka, co Halkę do największej  
doprowadzało złości.

— Uważa mnie za rozpieszczone dziecko — mówiła sobie in petto —  
ale przekona

się niebawem, że tego rodzaju dzieci, bywają niebezpieczne.

— Może mi pan rękę poda do kolacyi — szepnęła do ułana w chwili,  
gdy ją zwrot

figury do niego zbliżył.

— Podam z rozkoszą — odrzekł uradowany oficerek; półgłosem zaś  
dodał: — Ładna bo

ładna, ale na przyszłość... obiecująca.

Z ostatnim akkordem kadryla, otworzono drzwi od sali jadalnej;

prezes podał rękę

Halce, chcąc ją do kolacyi poprowadzić, lecz ona sztywnie wymówiła  
się dawniej

daną obietnicą i zbliżającemu się ułanowi rękę podała. Cała  
manipulacya ta udała

się jej tem gładziej, że babka, którą w pierwszej parze do stołu  
poprowadzono,

już od kilku minut przy kolacyi w innej sali siedziała i z tego co  
zaszło, nic

nie widziała. Do niej zbliżył się prezes, by się dowiedzieć gdzie  
znajdzie

zarzutkę Halki i takową odszukawszy, delikatnie ją na obnażonych a  
rozgrzanych

tańcem ramionach dziewczyny złożył, poczem sam opodal do kolacyi  
zasiadł.

Gdy kokieterja, nie tyle z chęci podobania się, ile z żądzy zrobienia  
komu na

złość, pochodzi, przybiera przerażające nieraz pozory, zwłaszcza u  
bardzo

młodych osób, którym brak doświadczenia, i koniec końcem,  
niewinność, zasłaniają  
granice, do przekroczenia dobrze wychowanej pannie niedozwolone.  
Raz równowagę  
straciwszy, nawet Halka się nie domyślała,

że ogólną zwraca na siebie uwagę. Z jednej strony, obecnością pięknej  
a zalotnie  
uśmiechającej się doń dziewczyny, coraz bardziej rozmarzony ułan, z  
drugiej,  
wybornie na pozór utrzymująca się obojętność prezesa, do reszty  
podniecały  
gorączkowe rozdrażnienie Halki. W innej sali, pomiędzy starszemi  
osobami  
siedząc, babka nie mogła wzrokiem śledzić wnuczki, co jej tem  
większą sprawiało  
przykrość, że już w czasie tańców z pewnym niepokojem dostrzegła  
tę, zwykle  
swobodną, wesołą, lecz zawsze pełną dziewiczej skromności, Halkę,  
naśladującą  
tego wieczora owe panny, o których sama nieraz mawiała, "że  
kobieterya ich  
całkiem pozbawiona jest dystynkcyi." Tymczasem pan Wiktor, to  
sobie, to Halce  
wina szampańskiego dolewając, do reszty głowę tracił; a kiedyżby  
tylko jej się  
nie traciło, jeśli nie w tych okolicznościach i w tym wieku! Wiedzieli  
ludzie,  
że piękny oficerek miał zaledwo lat dwadzieścia jeden i nikt też na  
niego  
kamieniem rzucać nie myślał, czego o Halce powiedzieć nie było  
można, w skutek  
czego zaczęły nieco starsze panie z ukosa już na nią patrzeć.  
Po kolacyi, na zakończenie wieczoru, miał nastąpić kotylion. Obiecała  
go była

Halka synowi pani domu; lecz obecnie zapragnęła gwałtownie  
zmienić umówionego  
partnera na młodego ulana, który ją o to błagał usilnie.  
— Ale jakżeż ja się przed panem Edmundem wymówię? — już  
mocno w dotrzymaniu  
słowa zachwiana, pytała Halka.  
— Ja sam pójdę do niego; z wolna przygotuję go do tego ciosu, a  
potem patii mu go  
zada ostatecznie.  
— Mile zadanie! ślicznie dziękuję.  
Tymczasem, na szczęście, czy na "nieszczęście" Halki, pan Edmund  
kochał się w  
pannie Róży C, a że jakimś niebywałym trafem, panienka ta, zwykle  
w tańcu bardzo  
poszukiwana, do tego właśnie kotyliona tancerza nie miała, p.  
Edmund zamianę tę  
przyjął z zadziwiającą filozofią, i gdy niebawem muzyka zabrzmiała,  
Halka i pan  
Wiktor, ręka w rękę do tańca stanęli, rozpromienieni jak dwie  
gwiazdy na niebie.  
Spoglądała

na nich babka Halki z coraz wyraźniejszą na czole troską, i gdy do  
niej zbliżył  
się prezes, wskazała mu obok siebie miejsce.  
— Dzisiejsza przepowiednia pani, coś nie bardzo wygląda, aby się  
ziścić miała —  
rzekł on do niej smutnym głosem.  
— Ach, kochany prezesie, jestem jak na Madejowem łożu. Nie wiem  
doprawdy, co  
dziś z Halką się stało; wygląda jakby opętana była. Odkąd jest na  
świecie, nie  
widziałam jej takiej. Ona, co dotąd za wzór służyć mogła innym  
pannom" tak, że  
mi jej niejedna matka zazdrościła, zachowuje się dziś jak  
wyrafinowana kokietka.

Co to być może?

— Czy jej pani nie wspomniała czasem o naszej dzisiejszej rozmowie?

— Broń Boże! anim pana dziś przed nią nie nazwała. Ale zkądże się tu, na moje

utrapienie, wziął ten piękny ułan? Zna go prezes?

— Prozentował mi się na początku wieczora. Podobno z niego kawałek hulaki, ale

taki młody może się jeszcze dziesięć razy ustatkować; jeszcze to ma mleko pod

wąsem. Że mu zaś Halka głowę zawróciła, temu się co prawda i dziwić nie można.

— Tembardziej, że się o to stara. — I to mówiąc, babka Halki aż łzy w oczach

miała. — Czy on tu na całą zimę przyjechał.

— Nie sądzę. Pułk, w którym służy, gdzieś tu w sąsiedztwie załogą stoi; wątpię,

aby mu udzielano częstych i długich urlopów.

— Dałby Bóg, aby mu ich całkiem nie dawano. Mam ochotę napisać do jego

pułkownika, aby...

— Aby go do kozy wsadził, za to, że się do pięknej dziewczyny zaleca! Czy tak? —

pytał śmiejąc się prezes; poczem dodał: — Mnie się zawsze zdaje, że taki

niewypierzony Don Juan nie musi chyba być bardzo niebezpieczny.

— Alboż ja wiem! — smutno odrzekła babka. — Halka jest dla mnie dziś

niewytłómaczoną zagadką, istnym sfinksem. W takim usposobieniu nigdy jej

jeszcze nie widziałam. Czy ona czasem nie ma gorączki? Mam ochotę do niej pójść.

— Może lepiej dać jej spokój. Jutro, albo za parę dni, nasz ułan wyjedzie, a

Halka nam się wróci taką, da Bóg, jak była przedtem.

— Wróci, albo i... nie wróci — półgłosem szepnęła babka, myślą wracając się do zmarłego jedynaka, ojca Halki, którego niepowściągliwy charakter, tyle jej był kiedyś łez kosztował.

Na przeciwległym końcu sali całkiem innego rodzaju tymczasem odbywał się dyalog.

— Więc już pański urlop w sobotę się kończy — pytała wirem walca zdyszana Halka.

— Niestety! — sentymentalnie odrzekł młody oficer. — Muszę dnia tego, o samej dwunastej stawić się przed moim pułkownikiem.

— A gdyby pan się nie stawił, cóżby się stało?

— Toby się stało, że wsadziliby mnie do kozy.

— Jak prostego złoczyńcę?

— Jak prostego złoczyńcę. Tego wymaga porządek i karność wojskowa.

— Oho! karność: ulubiony wyraz babci.

— To i pani wie, że jest na świecie "karność" i że koniec końcem, poddać się jej trzeba?

— Ze istnieje "karność", o tem wiem, ale żeby mi się miała koniecznie "podać", to mi jeszcze dowiedzionem nie jest.

— A czy pani już coś zbroiła? — rozmiłowanym okiem Halke obejmując, zapytał młodzieniec.

— Zbroić, jeszcze nie zbroiłam, ale wszystko mi się zdaje... że zbroję.

— Niech mi pani swoje frasunki powierzy; może będę mógł jaką dobrą radą dopomódz.

W tej chwili, prowadzący tańce zawołał na pana Wiktora, że na nich przypada

kolej; zerwali się z krzeseł, ale że rozmową zbyt zajęci, na ostatnią figurę

tańca nie uważali, nie wiedzieli co robić i porządek zmylili; ztąd, na niejednych ustach, niejednym złośliwy zjawił się uśmiech, co nie uszło uwagi



prezesa:

— Przysięgłbym, że tam coś jest, czego sobie wytłómaczyć nie mogę.  
W całej tej  
kokieterii Halki przebija wyraźnie chęć dokuczenia komuś, albo chęć  
zemszczenia

się; ale na kim? Prawdopodobnie na mnie? ale za co?

Młodzi tymczasem, powróciwszy na swoje miejsce, nawiązali nadal  
tańcem przerwana  
rozmowę.

— Otóż widzi pan... — rzekła Halka po chwili wahania się — ale  
właściwie z kądze  
ja to mam panu moje zmartwienia opowiadać? Wszak znamy się  
zaledwo od paru  
godzin.

— To nic nie dowodzi, proszę pani — z żywością odparł ułan. — Są  
w życiu  
godziny, co stają za lata, i w takich to właśnie godzinach zgadują się  
serca

wzajemnie. — W duszy sobie zaś dodał: Skądże mnie nagle taka  
napadła wymowa?

bohater z romansu ładniejby się nie wyraził.

Halka jeszcze z wypowiedaniem swem się namyślała, i byłaby go  
może nawet

całkiem zaniechała, czując przecież lekkie wyrzuty sumienia, gdyby w  
tej chwili

nie był się do niej zbliżył Piotruś, szepcząc jej do ucha:

— Halko, jeżeli chcesz burzy uniknąć, to się tak z twoim ułanem nie  
afiszuj, bo

babcia coś złowrogo na was spoziera.

Niefortunna uwaga chłopaka, była oliwą dolaną na ogień.

— Jakąże to burzą brat pani zagraża? — zapytał zaniepokojony pan  
Wiktor.

— Ot, tak sobie, niewczesny żart studencki — niby śmiejąc się,  
odrzekła Halka.

Ale niemniej, słowa Piotrusia ostatecznie przeważyły szalę na stronę buntu.

— Otóż, pan mnie widzi tańczącą, wesołą, śmiejącą się... a to wszystko jest tylko komedia... Tak panie, komedia... W rzeczywistości jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa!

— Pani nieszczęśliwa! czyż to być może? — i z głębokim politowaniem spoglądał pan Wiktor w śliczne, a w tej chwili na prawdę wzruszone oczy pięknej dziewczyny.

— Niech umie pan z uwagą posłucha, bo już nie wiele mamy przed sobą czasu...

— Słucham, słucham, sercem całym, całą duszą! — z zapalem odrzekł oficer.

— Otóż po śmierci naszych rodziców, babcia wzięła nas do siebie, mego brata i mnie, i od małości wychowywała; bardzo ona jest dobra i kocha nas oboje, i dała nam tego wymowne dowody, ale...

I tu się Halka zacięła.

— Ale... — wzruszonym głosem naglił pan Wiktor.

— Ale babcia ma żelazną wolę, i tę przeprowadzać chce zawsze, bez najmniejszego względu na uczucia bliźniego.

— Jakto, takiego nawet jak pani bliźniego?

— Takiego najbardziej właśnie, mając go zawsze pod ręką. Otóż widzi pan, jakżeż ja nie mam być nieszczęśliwą, skoro, nie poradziwszy się mnie nawet, obiecała

moją rękę, bardzo zresztą zacnemu człowiekowi, ale za którego ja pójść nie chcę

i nie pójdę, poprostu dlatego, że go nie kocham.

— Pani ma świętą rację; więcej powiem, pani ma obowiązek niepoddania się takiej tyranii, nie godzi się bowiem absolutnie rozporządzać czyimśbądź losem, a cóż dopiero losem wnuczki, i to takiej jeszcze wnuczki.

— To też poddać się, nie poddam... ale mi to łatwo nie przyjdzie. Okropne będą w domu sceny, a ja nie mam nikogo przy sobie, brat jest niemal jeszcze dzieckiem, nikogo, coby się za mną ujął.

— To ja panią w obronę wezmę! — z zapalem zawołał młody rycerz, dumny, że mu niespodzianie może wypadnie bohaterską odegrać rolę, i nie mniej dumny, że go się w tak ważnej sprawie radzono, co mu Oczywiście po raz pierwszy w życiu się zdarzało.

— Ale cóż pan zrobić możesz?

— Tego jeszcze nie wiem. Trzeba mi zostawić trochę czasu do namysłu, ale że wynajdę sposób, aby panią z tej przepaści uratować, za to rękę honorem.

I to rzekłszy, powstali z miejsca oboje i poszli... tańcować.

Przy ostatniej figurze kotyliona, już Halka, do najwyższego stopnia, jedynie w jej na wpół jeszcze dziecinnej wyobraźni istniejącymi, urojonem]' krzywdami rozdrażniona, obiecała była panu Wiktorowi, że gdy ją bardzo do muru przycisną, to napisze do niego, wzywając jego pomocy. On ze swojej strony, zobowiązał się rozmyślać nad środkami ocalenia tej nowoczesnej Ifigenii i środek ten odnalazłszy, do Halki pod kopertą Piotrusia napisać.

— A czy pani zupełnie pewna dyskrecyi brata? — przezorny, acz niedoświadczony

zapytał młodzieniec.

— O dyskrecyę Piotrusia już ja sama się postaram. Zaraz kotylion się skończy,

trzeba nam się rozejść, aby nikt domysleć się nie mógł, co między nami zaszło.

— Panno Heleno, jedno jeszcze przed pożegnaniem zadać pani muszę pytanie. Czy

ten przez babkę narzucony konkurent, bardzo jest w pani zakochany?

— On?... ani się do mnie zbliżył, odkąd pana... — Tu się Halka zacięła i

zarumieniła po same uszy, o mało bowiem nie wyrwało jej się: odkąd pana

kokietuję.

I oficerowi ta sama przyszła myśl, ale się nią nie zdradził.

— Więc wybrany ten tu jest? — ze zdziwieniem zapytał pan Wiktor.

— Niech mi go

pani pokaże.

Zanim Halka odpowiedzieć zdołała, uczuła na ramieniu rękę babki.

— Pójdź, Halko, już późno, jestem bardzo zmęczona. I to rzekłszy, oparła się na

rękę wnuczki i wyszły razem

do przedpokoju. Tam zastali prezesa i Piotrusia. Obie panie, troskliwie w futra

otulone, do powozu przez nich odprowadzone zostały. Na twarzy prezesa żadnej nie

dostrzegła Halka alteracji; gdyby go była widziała w chwili, gdy powóz się

oddalał, gdyby była mogła dostrzedz te pełne smutku i rzewności oczy, to kto

wie, czyby powieść ta w tem miejscu się nie była skończyła.

Halka myślała, że przez Piotrusia zapowiedziana burza już się w powozie

rozpocznie; lecz nie, babka milczała.

— Musi być zmęczona — szepnęła sobie pocichu dziewczyna, chcąc gwałtem zagłuszyć

sumienie, wyraźnie mówiące, że milczenia tego nie same tylko zmęczenie było powodem. Przybywszy do domu, babka jak zwykle pocałowała Halkę i na czole krzyżyk jej zrobiła, poczem się rozeszły każda do swego pokoju. — Burza odłożona do jutra — pomyślała Halka — tem gorzej; o tyle więcej przez noc zbierze się czarnych chmur. Długo zasnąć nie mogła, a gdy zasnęła wreszcie, najdziwaczniejsze miała sny: to przedstawiał jej się pan Wiktor w ciężkich okuty kajdanach, leżący na więziennym barłogu; to znowu widziała siebie w ślubnej sukni, w długim białym welonie i wianku mirtowym, u stóp ołtarza klęczącą obok prezesa, lecz w chwili, gdzie ksiądz miał na palec jej wsunąć obrączkę, zamiast prezesa, klęczał przy niej piękny ułan, a tuż obok, wsparta o ławkę babka na nią patrzyła, rzewnemi zalewając się łzami; i znów znikł ułan, a prezes miejsce jego na kobiercu zajął. Z tego gorączkowego snu zbudziła ją koło godziny dziesiątej panna służąca, podnosząc story od okien. Niewypoczęta i rozdrażniona Halka wstała jak najgorzej usposobiona, powtarzając sobie bezustannie, że na pierwszą wzmiankę o prezesie, stanie sztorcem wobec babki. Tymczasem babka do śniadania wcale nie przyszła, z powodu silnego bólu głowy i do siebie nikomu wchodzić nie pozwoliła, aż sama zadzwoni. Halka i Piotruś zasiedli zatem bez niej do śniadania. — No i cóż Piotrusiu, dobrześ się zabawiał na wczorajszym wieczorze? uważałam z przyjemnością, żeś żadnego nie opuścił tańca. — Nigdy w życiu tyłem jeszcze nie tańcował.

— A pomimo tego, wyglądasz jakoś melancholicznie; może dlatego, że jutro do klas wracać trzeba?

— Inne ja mam jeszcze powody do smutku.

— Proszę! możesz się jakiej pannie oświadczył i kosza dostałeś?

— Nie takim głupi, jak ci się zdaje. Kto wie nawet, czy z nas dwojga, choć ty

jesteś panną na wydaniu, a ja tylko maturzystą...

— I to nie zdanej jeszcze matury — złośliwie przerwała Halka.

— Czy na wczorajszym balu — nie zważając na przerwę, dalej mówił Piotruś — nie

ja byłem z nas dwojga rozsądniejszym?

— Jak babcię kocham, smarkacz ten będzie mi morały prawić! — z największym

oburzeniem zawołała Halka.

— Przydałyby ci się może.

— Przydały, czy nie, nie tobie w to wglądać. Tylkoby mi tego jeszcze potrzeba w

życiu, aby takie niewypierzone pisklę nademną rej wodziło. Już widzę, że ciebie

babcia przeciwko mnie zbuntowała.

— Babci wcale dotąd nie widziałem; zmyliłaś tym razem drogi, moja kochana. — To

może choć powiedziec raczysz, czem sobie zasłużyłam na te twoje Jowiszowe gromy?

— Nie ma tu ani Jowisza, ani gromów jego, Halko; jest tylko, miody wprawdzie,

ale życzliwy brat, który się wczoraj srogo zmartwił, widząc cię, naśladowając

takie wyszczekane kokietki, jak...

— Wytwornych dobierasz wyrazów, niema co powiedziec; ale cóż w tem dziwnego u

studenta. — Zapewne, że nic dziwnego; ale za to, co dziwne, i to w nieprzyjemny

sposób dziwny, to, że wczoraj u pani Edwardowej zachowywałaś się tak, że jeden z obecnych na balu młodych ludzi, zapytany, jak mu się twoja powierzchowność podoba, odrzekł półgłosem, ale nie dość cicho wszakże, abym słów jego niedosłyszał: "Śliczna bo śliczna, mais elle frise quelque peu les manières d'une Bacchante."  
W dziewiczej swej godności temi ubliżającymi wyrazami dotknięta Halka, z miejsca się zerwała, rumieniając się, to blednąc jak chusta. Nie wiedziała już, co z sobą począć.

— A czy ty się choć trochę domyślasz, Piotrusiu, dlaczego ja wczoraj miałam, les manières d'une jeune Bacchante? — spytała po chwili.  
— Prawdopodobnie, aby na złość zrobić prezesowi.  
— Zgadłeś. Tak jest: aby na złość zrobić prezesowi, babci... ale i tobie.  
— Mnie! — śmiejąc się, zawołał Piotruś. — A to z kąd zaszczyt taki na mnie spada, ciekawym?  
— Ztąd, żeś mnie w biedzie mojej opuścił, żeś do wrogiego obozu przeszedł, że przeciwko mnie trzymasz z babcią, z prezesem...  
— Powiedzże od razu — przerwał obrażony Piotruś — żeś cię zdradził, że jestem przez nich przekupiony; nie kępuj się Halko; tem prędzej dopełnisz miary uprzejmych rzeczy, któremi zaprawiasz mi śniadanie.  
Przerażona nieco myślą, że zadzierając z Piotrusiem, zrywa z jedynym, jakiego ma w rodzinie sojusznikiem, łagodniejszym już głosem odezwała się Halka:

— Słuchaj Piotrusiu, słuchaj i nie gniewaj się. Mówiłam ci już wczoraj, gdyś mi rozpowiadał rozmowę babci z prezesem na werandzie, że nie chcę zostać żoną prezesa.

— Powiedz raczej, Halko, że nie chcesz, aby cię do tego namawiano.

— To na jedno wychodzi. Dość: nie będzie on moim mężem, to ja ci powiadam.

Dlatego zatem, i nie chcąc, aby się łudził nadzieją, że kiedybądź rękę moją

otrzyma, z umysłu pokazałam się mu w tuk niekorzystnym świetle; odejdzie go tym

sposobem wszelka ochota ubrania się w taką żonę.

— Nie wątpię, że ci się dyplomatyczny manewr całkowicie udał; zapomniałaś o

jednej tylko rzeczy, to że w tem samym, wielce niekorzystnym świetle,

pokazywałaś się nietylko prezesowi i biednej babci, która najpewniej nie z czego

innego, tylko wskutek tego "manewru" dziś w łóżku leży, ale i całemu wczorajszemu towarzystwu. Że zaś ogólną na siebie zwróciłaś uwagę, najwymowniej

świadczą dopiero zacytowane ci słowa

tego młodego człowieka. Jeszcze jedną rzecz ci powiem Halko, także prosząc, byś

się na mnie nie gniewała; otóż, mnie się jakoś widzi, że na wzór Don Kiszota,

staczasz walkę z wiatrakami, boć przecież nikt ciebie gwałtem do ołtarza wlec

nie będzie.

— Bywają i moralne gwałty.

— To im nie ulegniesz. Ale skoro o sprawie tej mówimy otwarcie, powiedz mnie,



nie mniej otwarcie, co ty właściwie masz przeciwko prezesowi;  
jedyńy, jaki mu  
bowiem zrobić możesz zarzut, to że jest o jakie piętnaście lat od ciebie  
starszy, ale ja doskonale pamiętam, jakieś mi mówiła kiedyś że nie  
chciałabyś  
pójść za człowieka bardzo młodego.  
— Ja mu też lat jego nie zarzucam.  
— Więc cóż mu zarzucasz? Ma piękne nazwisko, ładny majątek,  
zaszczytną sytuację,  
kocha się w tobie i jak sama wczoraj przyznałaś, jest ci sympatyczny.  
O cóż  
zatem chodzi, Halko?  
— Zkądże się u ciebie nagle taka wymowa zrodziła? Powinienbyś się  
na adwokata  
kształcić, Piotrusiu; wnetbyś do sławy doszedł.  
— Możebym i doszedł, ale zanim do "sławy" tej przyjdzie, możebyś  
mi na pytanie  
moje odpowiedzieć raczyła.  
— A jeśli odpowiedzieć "nie raczę", uważając pytania twe za  
niedyskretne?  
— To wówczas, ja za ciebie odpowiem. Dobrze?  
— A i owszem; proszę.  
— A nie będziesz się na mnie gniewać?  
— Może i nie będę: to się dopiero pokaże.  
— Otóż, Halko, mnie się wszystko zdaje, że ty zwłaszcza dlatego za  
prezesa iść  
nie chcesz, że drudzy tego chcą.  
— Niech i tak będzie — obrażonym tonem odrzekła Halka. —  
Zresztą, niech ci się  
zdaje, co ci się żywnie podoba, jest mi to najzupełniej obojętne... Ale  
otóż i  
dzwonek babci się odzywa; bądź co bądź, pójdę do niej, jak zwykle,  
na dzień-  
dobry.

— Idź, idź Halko; ale zanim pójdziesz, pozwól, że ci jeszcze słówko w sprawie

tej powiem, słówko ostatnie.

— A to chwala Bogu, że "ostatnie". Mów prędko.

— A więc mówię, i mówię prędko: o co tylko zechcesz, z tobą się zakładam, a

możeby i babcia o to się założyła, że...

— Że?...

— Że koniec końcem, będziesz... panią prezesową!

I racę tę puściwszy, gniewnie odpychając go siostrę Piotruś uściskał, i z

pokoju wybiegł. Poczciwy chłopiec stanowczo nie miał w sobie ani żdźbła

dyplomatycznego zmysłu.

\* \* \*

Ku wielkiemu Halki zdziwieniu, ale i pewnemu zaniepokojeniu, oczekiwana przez

nią burza, nie nadeszła. Nie dała jej babka poznać żadną uwagą, żadnym słowem,

że z zachowania się jej na wieczorze u pani Edwardowej niezadowolona była;

jedyny, bardzo przykry co prawda, dowód żalu jej do Halki było odmawianie, pod

pozorem nadwątłego zdrowia, wszelkich przez jaki tydzień zaproszeń, oraz

nieprzyjmowanie, z wyjątkiem prezesa, żadnych wizyt, a że tymczasem i Piotruś do

szkół wracać musiał, Halka pozostała sam na sam, z kipiącymi w sercu jej

najróżnorodniejszymi uczuciami, których w karbach utrzymać ani umiała, ani

chciała. Zbyt wielka babki i wnuczki różnica wieku, a bardziej może jeszcze,

zbyt wielka różnica charakterów, źle tym razem babkę natchneli. U dobrych

jedynie, samotność, dobre budzi myśli; u krnąbrnych, nawet gdy nie mają złego  
serca, tworzy pewną gorycz, pewien ferment, a u młodych, miarę buntu dopełnia  
jeszcze poczucie, że jest się od Boga i ludzi opuszczonym i że się jęczy pod  
rodzajem więziennego dozoru. Łagodnego, nawet serdecznego, ale zarazem stałego  
będąc charakteru — jedno drugiego bynajmniej nie wyklucza —  
powiedziała sobie  
babka: W Halce zbyt uczciwa tkwi dusza, aby namyśliwszy się, nie uczuła całej  
niestosowności postępowania swego na owym nieszczęsnym wieczorze. Temu  
przeświadczeniu, trochę wcześniej, trochę później

ulegnie, sama do mnie przyjdzie, do winy się przyzna, przeprosi, a ja "marnotrawną wnuczkę" do serca przytulę, i dopiero przytuliwszy, zwolna jej  
dowiodę, że nikomu, tylko sobie samej zaszkodziła " Ale nadzieja babki była  
złudzeniem; ani Halka do niej nie przysłała, ani do winy się nie przyznała, a tem  
mniej przeprosiła, ani też do serca babki przytuloną nie została. Coraz też  
większa dzieliła ich przestrzeń; coraz się bardziej w uporze zacinała. Lada  
pozór mógł sprowadzić wybuch, a pozór się znalazł. Urządzono w towarzystwie teatr amatorski dla jakiejś wyjątkowej  
nędzy" (jakby to  
u nas "nędza" była wyjątkową!) i chciano, aby Halka podjęła się roli bohaterki w  
sztuce; dziewczynie uśmiechał się projekt ten niewypowiedzianie, lecz babka ani

na chwilę o tem słyszeć nie chciała, zwłaszcza, gdy się dowiedziała,  
że rolę  
"kochanka" miał odegrać pan Wiktor. Prezes, którego doszło było, że  
piękny ułan  
ze zbyt głośnym uwielbieniem o Halce się wyrażał, nie mógł jak  
tylko, choć  
skrycie, również być przeciwnym jej występowaniu w tej  
reprezentacji. Zniżyć się  
do prośby, na myśl hardej dziewczynie nie przyszło, ale zawód ten  
nowym był  
cierniem, wśród tylu innych cierni, nowym pozorem do użycia  
wszelkich sposobów,  
aby wyjść z tego położenia. Gdyby w psychologicznej chwili tej,  
Halka była  
chciała wywnętrzyć się przed kimkolwiek bądź, choćby tylko przed  
szesnastoletnim  
Piotrusiem, nigdyby nie było w głowie jej tyle szalonych projektów  
się  
spiętrzyło; lecz pozorny, choć nieco smutny spokój babki, w którym  
ona widziała  
jedynie, niczem nie zachwianą pewność, że postanowienie swoje  
względem  
przyszłości wnuczki przeprowadzi, nie mniej, udawana obojętność  
prezesa wobec  
ciężkiej jej troski, której całkiem Halka ukryć nie zdołała, długie  
przytem  
godziny w samotności spędzane, wszystko to razem, moralnie i  
fizycznie tak  
dalece Halkę rozstroilo, że coraz głośniej w siebie wmawiała, iż  
ciężąca nad nią  
tyrania jest zbrodnią, wszelkie z jej stron)', choćby najszaleńsze,  
usprawiedliwiająca kroki, że zaś kroków tych gorzko kiedyś pożałują,  
i babka i  
prezes.

Jakie one być miały te kroki, tego sama dobrze jeszcze nie wiedziała,  
licząc na  
to, że się zjawia jakieś sprzyjające okoliczności, mające jej ułatwić  
uwolnienie  
z tej "moralnej katorgi."  
Dowiedziawszy się, że Halce zabroniono wziąć udział w teatrze  
amatorskim, w  
którym on główną miał grać rolę, p. Wiktor, jakkolwiek nie był  
dokładnie  
poinformowany o tem, co się z Halką działo, zaczął także w siebie  
wmawiać  
(młodość zawsze mniej więcej ta sama), że ona jest nieszczęśliwą,  
prześladowaną  
ofiara, i że obowiązek ratowania jej, jemu przypada. Był więc u  
ojojga grunt  
obopólnie przygotowany; chodziło już tylko o to, aby się mogli  
spotkać, umówić i  
dalszy plan ułożyć.  
O ile tylko mogła, starała się Halka ze zwykłym być wobec babki  
uszanowaniem;  
wszakże, była to natura, o tyle szczerą, o ile krnąbrną, mającą wstręt  
do  
wszelkiego udawania; brzydziła się wszystkim, co na kłamstwo  
zakrawało; ztąd  
też mimowolnie, z uszanowania tego wszelka uleciała była  
serdeczność. Czuła to  
babka z prawdziwym bólem serca, lecz drugich sądząc po sobie, nie  
wątpiła ani  
chwili, że gdy u wnuczki kryzys ta się skończy, powróci z wolna do  
dawnych  
względem niej uczuć przywiązania i wdzięczności; co się zaś tycze  
potwornych, w  
rozgorączkowanej wyobraźni Halki gnieźdzących się zamiarów, te nie  
byłyby nigdy  
przystępu znalazły u tej, dawnego autoramentu wytwornej staruszki.  
Nie mniej od  
niej zmartwiony był i prezes, ale w jego zmartwieniu był i niepokój,  
niemal

trwoga; było bowiem w oczach Halki coś, czego sobie wytłómaczyć  
nie mógł, coś,  
co go do głębi duszy przerażało. Ukochaną tę dziewczynę najczulszą  
od dwóch lat  
otaczał opieką, w lot chwycił, i o ile mógł, spełniał każde jej życzenie,  
myśli  
jej odgadując. Aż do tych czasów ostatnich sprzyjała mu ona  
widocznie,  
nieograniczone okazując mu zaufanie; widywali się prawie co dzień,  
swobodnie o  
wszystkiem z sobą rozmawiając; i oto, bez wiadomego powodu, z  
dnia na dzień, bez  
przygotowania, jak grom z pogodnego nieba, spada na prezesa, ta  
niczem  
niewytłomaczoną niechęć, niemal na nienawiść zakrawająca. "Cóż się  
stać mogło? —  
pytał siebie — cóż

ja takiego zrobiłem?" I sumienie roztrząsał do samego gruntu, żadnej  
w niem  
wszelako nie mogąc odnaleźć winy; nie mógł bowiem ani się  
domyśleć, ani za to  
odpowiadać, że gdy owego wieczora na werandzie o zamiarach swych  
i gorących  
życzeniach rozmawiał z babką, uważając zamiary te i życzenia za  
niemal już  
osiągnięte, dlatego, że spełnienia ich tak gorąco pragnęła — Piotruś  
niechęący  
rozmowy dosłyszał, i z właściwą temu wiekowi przesadą nieopatrznie  
dosłyszane  
słowa siostrze powtórzył.  
Nadszedł wreszcie, przez całe towarzystwo z upragnieniem  
oczekiwany teatr  
amatorski, w sali starostwa. Dwie dowcipne i zabawne grano sztuki, i  
to grano z

niemałem powodzeniem. Zwłaszcza pan Wiktor z prawdziwym zacięciem oddał rolę "kochanka", w patetycznych chwilach gorące rzucając spojrzenia w stronę sali, gdzie przez okienko kurtyny dojrzał był, w gronie licznych panien, siedzącą Halkę. Ależ bo ślicznie mu było w kontuszu i przy kara beli, a bezustannie wznoszące się oklaski, jeszcze mu animuszu dodawały; jednym słowem, pan Wiktor odegrał swą rolę wyśmienicie, ku wielkiej, jakkolwiek starannie tajonej, radości Halki, a głębokiemu babki i prezesa frasunkowi. Gdy komplementami obsypany piękny porucznik zbliżył się wreszcie do Halki, oboje tak byli wzruszeni, jakby niewiedzieć co między nimi było zaszło. A jakież było właściwie tego wzruszenia źródło? U Halki pochodziło bezwiednie ztąd, że od paru tygodni widziała w panu Wiktorze możliwego dla siebie zbawcę i jedyną deskę zbawienia; o wiele mniej romansowy charakter miały pobudki wzruszenia pana Wiktora. Ktoś mu był przed tygodniem żartem szepnął, że Halce zabroniono grać z nim komedję, bo wiadano, że jej wpadł w oko, i że w rodzinie jej zachodziła obawa, aby się w nim nie zakochała. Jakżeż tego rodzaju zwierzenie mogło nie wbić w dumę tak młodego chłopca? Postanowił zatem światu dowieść, że nietylko zasługuje na to, aby go kochano, ale jeszcze, że w dwudziestym trzecim

roku życia, można zostać bohaterem. Już im wszakże teraz tak swobodnie jak

kiedyś u pani Ewardowej, rozmowa pójść nie miała; przerywano im  
co chwilę, to  
jedni, to drudzy, przypadkiem lub z umysłu, a pełne smutku oczy  
babki na Halkę  
zwrócone, zmuszały ją do wielkiej ostrożności. Ale im krótsze były  
rozmowy tej  
odłamki, tem właśnie w nich więcej pomieścić trzeba było treści; że  
zaś treść  
nie była bez znaczenia, wymownie dowodziły ostatnie zamienione  
między nimi  
słowa:

— Na wszystko gotów jestem, aby tylko panią uratować. Jutro  
wracani do pułku,  
dalszych czekając od niej rozkazów; choćbym miał wypełnienie  
rozkazów tych  
życiem przypłacić, nic mnie nie wstrzyma; pani ma mój adres; proszę  
mną  
rozzządzać całkowicie.

— Bóg zapłać, panie Wiktorze, Bóg zapłać! Gdy już ze mną bardzo  
źle będzie, dam  
panu znać.

— Niech pani do mojej rady się zastosuje; innego wyjścia doprawdy  
nie widzę.

W tej chwili starościna zbliżyła się do Halki; pan Wiktor z miejsca  
powstał, i  
już odtąd nie zdołali z sobą mówić sam na sam.

Na wieczorze tym prezesa nie było; powołany telegramem do chorego  
stryja, przed  
kilkoma godzinami na wieś był wyjechał.

Ogólnie przyjętem jest mniemanie, że "przeciwieństwa wzajemnie się  
dopełniają."

Nie zawsze to się sprawdza; gdy żyjące pod jednym dachem osoby,  
zanadto się  
charakterem różnią, gdy w nich nie ma zgoła żadnej wspólności, czy  
to zalet, czy  
przywar, wówczas, jedynie głębokie przywiązanie, co bynajmniej przy  
kontrastach



wykluczonem nie jest, lub niezwykła umysłowa i moralna wyższość,  
mogą potęgą swą  
przeciwieństwa przemódz. Przywiązaniem swem dla sierót po  
zmarłym jedynaku,  
miała babka Halki potęgę tę w ręku; wrodzona przytem dobroć serca,  
wreszcie i  
wiek, skłaniały ją do pobłażania, do tej najpóźniej w duszy ludzkiej  
wyrabiającej się cnoty. Młodzi ludzie pobłażania nie mają i sądy ich  
są nieraz  
nawet całkiem pozbawione litości, nie żeby byli z natury źli, ale  
dlatego, że o  
ludzi i o świat nie dość się jeszcze otarli;

dopiero z latami, gdy im przyjdzie nie jedno przeżyć, nie jedno  
zglębić, nie  
jedno przeboleć, będą na bliźniego i na jego uczynki,  
miłosierniejszem okiem  
spoglądali. I nasza dziewiętnastoletnia Halka, miała serce poczciwe,  
odziedziczone po matce, a przez samą babkę wykształcone, ale  
równocześnie  
pokutował w niej, od czasu do czasu, i charakter ojca, człowieka, dla  
którego  
bezwzględne wypełnienie własnej woli, tak dobrze w ważnych, jak i  
w drobnych  
rzeczach, było jakoby jedynym w życiu celem. Tacy ludzie mogą być  
użyteczni,  
mogą dojść do wysokich zaszczytów, ale osoby do ich najbliższego  
kółka należące,  
z pewnością szczęścia z nimi nie zaznają, bo kto zawsze robi tylko to  
co zechce,  
ten nie robi nigdy tego co chcą drudzy. Jakkolwiek w liomeopatycznej  
tylko dozie  
tkwił w Halce samolubny upór ojca, okupywała wadę tę wielką  
szczerością, uczuć i  
wdanym razie zdolną była do poświęceń. Gdy się więc w niej odzywał  
krnąbrny duch

ojca, miał on do staczania walkę z dobrym duchem matki, biednej istoty, pomiatanej i gnębionej za życia, ale tem może pozagrobowem wstawianiem się silniejszy, że nie siebie, ale córkę w opiekę swą brała. Na nieszczęście, w chwili, gdzie najpotrzebniejszym było, aby w Halce wpływ matki brał górę, z większą niż zwykle siłą, odezwał się właśnie temperament ojca. Trudno było babce dłużej udawać, że nie dostrzega choć po części, co w duszy wnuczki się dzieje; postanowiła zatem, nie stosując się tym razem do rady prezesa, łagodnie, delikatnie, z właściwą sobie dobrocią, zgłębić ten nagły, niczem nieusprawiedliwiony u Halki zamęt. Ale na pierwsze zaraz słowa, tak oschle i lodowato przyjętą została, że zrażona i ciężko zasmucona, dodała już tylko, drżącą rękę na głowę wnuczki kładąc:  
— Pamiętaj moje słowa, Halko; mam lat siedmdziesiąt i pięć; od pewnego czasu siły moją znacznie podupadły, a do reszty podupadną, jeżeli mnie, co do twojej przyszłości, spokoju pozbawisz. Piotruś, poczciwy, szlachetny chłopiec, ale obecnie nie stać go jeszcze, aby ci moją opiekę całkowicie zastąpił. Nie wiem, i już drugi raz pytać nie będę, co w tobie się

dzieje; zaufania przemocą się nie narzuca. Obowiązkiem moim jest wszakże, a zresztą nagli mnie do tego i przywiązanie moją do ciebie, powtórzyć ci raz jeszcze, i to raz ostatni, że się nie godzi, bez powodu i bez namysłu odtrącać

szczęścia, gdy nam je Opatrzność podaje.

— A o jakimże to szczęściu babcia mówi? — niby z zadziwieniem zapytała Halka.

— Nie udawaj, że tego nie rozumiesz. Przeszło rok, jak ci prezes wszelkiemi sposobami dowodzi, że ciebie całem sercem kocha; ty sama mówiłaś mi jeszcze

niedawno temu, że go wysoko cenisz, i że ci jest bardzo sympatyczny. Ze związek

ten najgorętszem jest mojem życzeniem, o tem nie wspominał, aż nadto przekonana

będąc, że na szali twoich pragnień moje życzenia wcale nie ciężą.

Zasłużoną, a tak łagodnie wypowiedzianą wymówką zawstydzona, prawie skruszona,

Halka głowę spuściła; na nieszczęście następujące słowa babki, błędnie przez

wnuczkę zrozumiane, znów ją od razu na manowce buntu zapędziły.

— A ja ci powtarzam, dziecko, że ty i tak za prezesa pójdziesz, i że później,

gdy ja już w grobie, po ciężkim żywocie snem wiecznym spoczywać będę, wdzięczną

myślą, może nawet wdzięcznem sercem, dzisiejsze moje słowa wspominać będziesz.

Babka mówiła w głębokiem przekonaniu, że ja Bóg natchnął przecuciem przyszłego

losu wnuczki, gdy wnuczka w słowach tych widziała tylko stanowcze narzucanie jej

cudzej woli, nakaz, tyranie. Zaczęła się krew w niej burzyć na dobre, i gdyby

nie przejeżdżający w tej chwili pod oknami ciężki wóz, zagłuszający odpowiedź

Halki, nie byłaby babka wyrazów jej do grobowej deski zapomniała.

Pod tem złowrogim wrażeniem do pokoju swego wróciwszy, Halka do biórka zasiadła

i drżącą od wzruszenia ręką, napisała następujący list:

"Nic innego nie pozostaje mi na świecie, prócz pańskiej opieki.

Dowodnie dziś

się przekonałam, że aby zamierzonego celu dopiąć, nie cofną się przed niczem,  
przed przemocą na-

wet nie, a ja na wszystko się zgodzę, tylko uie na oddanie ręki prezesowi. We  
środe będziemy na wieczorze u pani Edwardowej; niech tam pan będzie koniecznie,  
i to z dobrą, stanowczą, radą,. Ani zmusić się przez nich nie dam, ani na śmierć  
zamartwić. Niech pana Duch św. natchnie. H."  
Musiał co prawda Duch św. nie pomału się zadziwić, że światła Jego do takiej  
wzywano pracy; w tem bowiem, co pan Wiktor na uratowanie swojej Dulcynei  
wymyślił i ukartował, nie przebijał żaden z najwyższych Jego darów. Danego sobie słowa dotrzymując, już się babka w sprawie tej nie odzywała; nie  
domyślała się nieboga, jak fatalne być miały skutki ostatniej rozmowy jej z  
Halką. Zaszła tymczasem, w naprężonem tem położeniu nieprzewidziana dywersya, w  
osobie Piotrusia z obwiazaniem gardłem i rozpalonem! policzkami; zanosilo się mu  
na wrzód w gardle i przerażony profesor, u którego mieszkał, nie chcąc brać  
odpowiedzialności na siebie, naglony przytem prośbą samego Piotrusia, odesłał go  
do babki na czas nieograniczony. Starania około chorego wnuka, odwróciły  
chwilowo umysł babki od. bolesnych domowych utrapień, a że trzeba było  
bezustannie Piotrusia doglądać, babka na przemian z wnuczką przy nim siedziały.  
W obawie będąc, aby czasem Piotruś na twarzy jej nie wyczytał, że na coś

niezwykłego się zanosi, Halka, pod pozorem, że mu doktor mówić zakazał, nie dopuszczała go do słowa.  
Pomimo choroby, nie w ciemną bity Piotruś, dostrzegł wszakże od razu w oczach siostry ślady ciężkiej troski, i w chwilach od gorączki wolnych, niespokojnym śledził ją wzrokiem.  
Jakkolwiek w stanie chorego niebezpieczeństwa dotąd nie było, domyślała się Halka, że babka na zapowiedziany we środę wieczór u pani Edwardowej pójść nie zechce. Sama tedy napisała do niej dyplomatyczny list, zaklinając ją, aby dla niej otrzymała od babki zezwolenie udania się na ten wieczór pod opieką samej pani domu. Zapewniwszy się, że pana Wiktora w mieście nie ma, a żadnego nie przypuszczając podstępu, babka wdzięcznie propozycję pani Edwardowej przyjęła.

Nieco przed godziną dziewiątą, już w stroju wieczorowym, Halka poszła na chwile do brata; zastała go samego. Piotruś w nią się wpatrywał, a po chwili, trochę chrypliwym zapytał głosem:  
— Cóż ty się uróżowała, Halko?  
— Ja?... a to zkąd?  
— No, to jeżeliś nie uróżowana, to chyba masz gorączkę; spojrzij tylko w zwierciadło.  
— Może ja i mam gorączkę — z wzrastającym wzruszeniem odrzekła Halka — nie zbywa mi do tego powodów.  
— No, cóż znów takiego? czy cię prezes prześladowuje?  
— Nie; tego powiedzieć nie mogę.

— To ci babcia dokucza?

— Dokuczać mi, nie dokucza, ale mnie po prostu... zabija!

— No! no! moja Halko, tylko też nie przesadzaj. Znam ja babcię i wiem, że gdy jej przychodzi zabić komara, to się jeszcze namyśla, czy mu życia nie daruje.

— Snać komary większą od wnuczki mają u niej laskę.

Pomimo gorączki i trapiącego bólu gardła, Piotruś przecież tyle jeszcze był

przytomny, żeby sobie w duszy powiedzieć, że biedna babka, od lat blisko

dwudziestu wnukom życie swe poświęcająca, na inne od Halki zasługiwała uczucia;

lecz widząc coraz to większe siostry rozdrażnienie, uwagę tę zachował dla

siebie. Trapiła go wszakże myśl, że kiedy on na same ukazanie się Halki

dostrzegł od razu, iż w nienaturalnym jest stanie, toć i obce osoby to samo

dostrzedz mogą; rzekł więc do niej serdecznym, choć coraz cichszym głosem:

— Haleczko, wiesz przecież, że ci nikt lepiej odemnie nie życzy.

Proszę cię

zatem, jako o prawdziwy dowód przywiązania twego dla mnie, abyś ostatecznie

niczego bez mojej wiedzy nie postanawiała. Czy obiecujesz? — I to mówiąc,

rozgorączkowaną dłonią rękę siostry ścisnął.

— Obiecuję — serdecznością brata ujęta, ze łzami w oczach odrzekła Halka.

— Pamiętaj, żeś obiecała — dodał jeszcze Piotruś, z coraz to wzrastającym niepokojem.

— Dotrzymam słowa, Piotrusiu, ale pod warunkiem, że i ty mi coś obiecasz.

— Cóż takiego?

— Ze cokolwiekbądź ci z moich zamysłów powierzę, ty o tem babci nic nie powiesz.

— Nie powiem.

— Słowo dajesz!

— Daję... Ale otóż i po ciebie już przychodzą. Jedź na ten wieczór, Halko, baw

się dobrze, za siebie i za mnie. — Patrząc zaś za oddalającą się siostrą, szepnął półgłosem: — Gotowa zrobić jakieś szaleństwo; wyraz jej oczów niepodoba

mi się; trzeba pilnie na nią uważać... Ale jakżeż ja to zrobię?... Sam leżę w

łóżku, a babci nic powiedzieć nie mogę... Bieda będzie i tyle !... Całe szczęście, to, że naszego niebezpiecznego ulana tu niema... babcia się o tem

zapewniła... Oj! moje gardło! moje gardło! jakżeż mnie boli!

Znacznie się następnego dnia nad ranem stan zdrowia Piotrusia pogorszył;

gorączka dochodziła do czterdziestu stopni; lekarz delikatnie po raz pierwszy

wspomniał, że prawdopodobnie przyjdzie zrobić małe nacięcie w gardle.

Ciężko zaniepokojona babka posłała po prezesa; nie minęło dziesięć minut, a już

stał przed nią.

— Wiedziałam, że na pana zawsze liczyć mogę — rzekła, obie ręce do niego

wyciągając — ale taki pośpiech...

— Nie zasłużyłem na to, aby się pani temu "pośpiechowi" dziwiła. O cóż chodzi?

czy Piotrusiowi gorzej?

— Znacznie gorzej. Otóż, chciałabym, mój drogi prezesie, abyś doktora sam na sam

dokładnie wybadał; mnie on. całej prawdy nie powie, zwłaszcza, jeżeli prawda

jest groźną. —

I dwie łzy zwolna stoczyły się po białych licach staruszki.

— A kiedyż ma doktor wrócić?

— O dziewiątej; teraz dochodzi siódma.

— Mam zatem dwie godziny przed sobą. Skoczę do domu; co pilniejszego załatwię i za jaką godzinkę już tu będę.

— Jesteś najlepszym z ludzi, prezesie.

— O tem nie wiem; ale jeżeli mani nim być istotnie, to pod warunkiem, że mi pani pozwoli noc dzisiejszą spędzić przy chorym. Pani sił swoich nadużywać nie powinna, tembardziej, że choroba Piotrusia będzie prawdopodobnie dłuższych wymagała starań. Nie trzeba więc ani do zbytku się męczyć, ani do zbytku troskać.

— Oho! troska i ja, to starzy znajomi; beczkę soli zjedliśmy już z sobą. Idźże więc do domu czempredzej, kochany prezesie, a jeszcze przedzej "powracaj", abyś się czasem z doktorem nie rozminął. Ja tymczasem każę Halkę zbudzić.

— Jeszcze śpi?

— Późno wróciła z wczorajszego wieczoru u pani Edwardowej; nie kazałam do niej wchodzić przed dziewiątą. Czy byłeś na tym wieczorze prezesie?

— Nie; nie stało mi czasu, a prawdę powiedziawszy i ochoty zabrakło.

— Rozumiem to.

Przez prezesa zbadany lekarz oświadczył, że w stanie chorego bezpośredniego niebezpieczeństwa nie widzi. Poleciał wszakże, aby go ani na chwilę nie pozostawiano samego i obiecał powrócić przed wieczorem dla zrobienia operacji, gdyby takowa nieuniknioną się okazała.



— Przedewszystkiem uważać należy, aby pacjent największy miał  
spokój, gorączka  
bowiem jest silną — rzekł doktor, żegnając się z prezesem.  
Trawiona niepokojem o brata, trawiona własnymi myślami, Halka jak  
widmo snuła  
się po pokojach; w oczach jej jakaś niema, niewytłomaczoną  
przebijała się  
rozpacz, tak, że babka unikała starannie wszelkich uwag, mogących ją  
rozdrażnić.  
Przed powrotem doktora wrzód w gardle Piotrusia sam z siebie pęki,  
co serce  
babki napęmiło radością, bała się bowiem jak ognia wszelkiej  
operacyi. Znacznie  
więc uspokojona zasiadła wraz z prezesem do późnego obiadu, Halce  
powierzywszy  
doglądanie chorego, z poleceniem, aby go w największym zostawić  
spokoju. Koło  
godziny jedenastej w nocy, pomimo że się bez

nacięcia obeszło, i że choroba, sama z siebie usuwać się zdawała,  
pomimo, że  
prezes bez przerwy zimne przykładał choremu okłady, gorączka  
znacznie u  
Piotrusia się wzmogła tak iż niebawem majaczyć zaczął. Wyrywało  
się mu z ust co  
chwile imię Halki z dźwiękiem pełnym tak niewysłowionej trwogi, że  
trwoga ta  
przejęła i prezesa, trwoga o Piotrusia, ale niemniej trwoga i o Halkę.  
Pytać  
chorego o nic nie śmiał, w obawie, aby badaniem tem gorączki jego  
nie zwiększyć.  
Tenże jednak coraz gwałtowniej rzucał się na Józku, od czasu do  
czasu dyszącym  
głosem wołając:  
— Szalona dziewczyna... szalona... Babcię to zabije... święcie zabije...

Ratujcież ją, ratujcie!... jeszcze czas... któraż to godzina ? ja sam pójdę...

I gdyby nie silna dłoń prezesa, byłby chłopak z łóżka wyskoczył. Gdy ze świtem

stan ten widocznie się pogorszy], zatrwożony prezes posłał po doktora; tenże,

znalazł gardło takim, jak się spodziewał, i pojąć nie mógł, z kąd się nagle taka

szalona wzięła gorączka.

— Bez mała czterdzieści i jeden stopni! Tu coś niezwykłego zajść musiało, o czym

ani ja, ani prezes nie wiemy. Był tu kto u chorego prócz jego babki i pana"?

— W czasie obiadu siedziała przy nim siostra, której poleconem było, nie

dopuścić go do słowa.

— Hm! A czy w czasie, gdy chory majaczył, nie mógł prezes zmiarkować co mu na

sercu ciąży, bo jest rzeczą widoczną, że jakiś moralny powód doprowadził go do

tego groźnego stanu ?

— Wyrywały się mu pojedyncze wykrzykniki — wymijająco odrzekł prezes; — zdawało

mu się, że chcą babkę zamordować, wołał o pomoc, ale z tego wszystkiego nic

wyraźnego dorozumieć się nie mogłem.

— A tu właśnie dorozumiećby się trzeba, aby usuwając powód tej jego gwałtownej

trwogi, dalszemu wzmaganiu się gorączki zapobiedz. Zapiszę mu krople, które go

uśpią; gdy ze snu tego się zbudzi, będzie miał prawdopodobnie chwile, ale tylko

chwile, zupełnej przytomności. Z tej to chwili niech

prezes skwapliwie skorzysta, aby się dowiedzieć, co choremu mózgu tak przygniata.

Niech tu przed moim powrotem absolutnie nikt do pokoju chorego nie wchodzi, nie wyjąwszy naszych pań, a ponieważ będą się do niego wyrywać, zostawię kartkę na biurku w salonie, z wyraźnym żądaniem, aby się moich rozkazów trzymało. Zresztą, niech prezes drzwi na klucz zaniknie. Kolo godziny siódmej będę tu z powrotem.

Gdyby gorączka zwiększyć się miała, to byłby stan bardzo groźny, tego panu nie ukrywam.

Przepisane przez lekarza krople zażywszy, Piotruś w samej rzeczy zasnął. Prezes, tuż przy jego łóżku siedząc, z ciężkim sercem wyczekiwał chwili, w której chłopiec, zbudziwszy się ze snu, miał wypowiedzieć, co go tak srogo dręczy, że zaś Halka w dręczeniu tem tkwiła, o tem niestety wątpić nie było można.

Kolo godziny czwartej zrana, niepokojem i czuwaniem strudzony, prezes zdrzemnął się na chwilę; gdy się po kilku minutach ocknął, spotkał się od razu z szeroko rozwartymi, wlepionymi w niego oczami Piotrusia, i to oczami zupełnie przytomnymi.

— Teraz, albo nigdy! — powiedział sobie prezes, i od razu położył rękę na rękę chłopca.

— No cóż, Piotrusiu, jakże się czujesz, wczoraj nie mogliśmy się niczego od ciebie dowiedzieć?

Piotruś wciąż na prezesa patrzył, a w wejrzeniu tem było coś tak nalegającego, zatrwożonego, głęboko smutnego, że prezesowi łzy w oczach stanęły.

— Widzę, że masz mi coś do powiedzenia. Piotrusiu, mów śmiało, masz do czynienia z przyjacielem.

— Wiem o tem... mówić nie mogę... wisi nad nami nieszczęście...  
gorzej... wisi  
hańba!...

— Znów majaczy — z przerażeniem pomyślał prezes.

— Ja nie majaczę — szepnął Piotruś, myśl prezesa zgadując po wyrazie jego twarzy

— jestem zupełnie przytomny... ale mnie dusi...

— To mów, czego żadasz, Piotrusiu, ale md w półgłosem, w jak najkrótszych

słowach, i bądź zupełnie spokojny; nie dopuszczę ja do was ani nieszczęścia, ani

hańby. Czy o Halkę chodzi ?

Piotruś z wysileniem zaczerpnąwszy trochę powietrza, przerywanym wyrzekł głosem:

— Jutro wieczornym pociągiem, Wiktor X... uprowadza ztąd Halkę...  
Ratujcie... na

Boga, ratujcie!...

I to powiedziawszy, chłopiec tak osłabł, iż już tylko wzrokiem dał poznać

prezesowi, że go słyszy i rozumie.

— Bądź spokojny Piotrusiu i nie martw się. Halka ocalona będzie...  
tylko się

uspokój.

Gorączkowym ruchem Piotruś chwycił jeszcze rękę prezesa i wyjęknął:

— Ale babcia... biedna!...

— Babci nie powiemy nic. Zaraz zażyj lekarstwo i staraj się zasnąć,  
bo jak

doktor za chwilę przyjdzie, to od razu pozna, że tu coś niezwykłego się stało, i

będzie bardzo zły. Uspokójże się, aby się niczego nie domyślił i nie dostrzegł

naszego wzruszenia.

Mógł o wzruszeniu swem prezes mówić, bo blady był jak ściana i zimne przebiegały

go dreszcze. Chciał Piotruś jeszcze coś powiedzieć, ale mu już prezes mówić nie dozwolił, grożąc mu oddaleniem się z pokoju i z domu, jeżeli go słuchać nie będzie. Zadawszy choremu lekarstwo, sam usiadł przy oknie; ciemno mu się przed oczami zrobiło; twarz zakrył rękami, aby przed Piotrusiem zakryć miotającą nim burzę.

— Czyżby go ona na prawdę kochała? — mówił do siebie. — Nie, ona go nie kocha... to tylko szalony wybryk krnąbrnego dziecka, chcącego jednym zamachem wszelką możliwość związku ze mną usunąć... Ależbym ja jej przecież wbrew jej woli za żonę nie wziął!... Tymczasem, ona może sobie takim krokiem, na resztę życia reputację zwichnąć... Nuż ich kto na kolei spotka... to też nie trzeba dopuścić, aby na dworzec pojechała. Jakże tu zrobić?... zamel-

dować się do niej nie mogę, bo mnie oczywiście w obecnych warunkach nie przyjmie... Babce nic mówić nie można... pisać jeszcze mniej... Boże, mój Boże! co to z tego będzie! Gdybym ja jej choć tak nie kochał... Powinienbym jej nie kochać... Ale Kocham, o tak, Kocham i... uratuję, choćby i nie dla własnego szczęścia. Doświadczony i przenikliwy psycholog, poznał doktor od razu, po ciężko strapionej twarzy prezesa, że się nie był pomylił, w pogorszonym stanie chorego widząc jakiś powód moralny; z delikatną wszakże dyskrecją zapytał tylko prezesa,

czy zdołał dotrzeć do powodów tej tak nagle zdwojonej u Piotrusia gorączki.

— O same powody nie pytam — dodał z serdecznym współczuciem

— i wiedzieć ich nie

potrzebuję, ale czy powody jakieś istnieją rzeczywiście, o tem wiedzieć muszę.

— Niech kochany doktor przekonany będzie, że delikatność jego i złote serce,

wyżej jeszcze cenię, niż rozum jego i wiedzę, choć i rozum i wiedzę tę mam za

potężne. Powiem zatem, co tylko powiedzieć mogę, wiedząc, że to pozostanie

między nami na zawsze.

— Mów, prezesie, jakby przed spowiednikiem.

— A więc, niech doktor z uwagą słucha. Majaczenie Piotrusia dzisiejszej nocy,

już mnie naprowadziło było po części na trop tego, co go tak dręczy.

Nad ranem,

po zadanych kroplach zasnął, i jak kochany doktor przepowiedział, zbudziwszy się

z tego snu, miał chwilę zupełnej umysłowej przytomności, z czego korzystając,

bez namysłu, jakkolwiek z ostrożnością, zbadałem go co do powodu jego niepokoju

i zbadawszy, zdołałem go zaspokoić, na siebie wzięwszy zupełne załatwienie

sprawy, która go tak ciężko martwiła.

— Tośmy już najważniejsze uzyskali. Teraz zabiorę się do oglądania chorego, a

kochany prezes niech przez ten czas pójdzie paniom powiedzieć, że niebawem

pozwolę im Piotrusia odwiedzić; ta nieoszacowana babka, łzami się tam zalewa, że

jej zabraniam chorego wnuka doglądać.

Gdy prezes wszedł do salonu, o mało, że biednej staruszce okrzyk  
przerażenia się  
nie wyrwał.

— Mój Jezu kochany! jakżeż prezes wygląda! to już tam mój Piotruś  
na śmierć  
chyba skazany.

— Nie tylko że nie skazany, ale mu jest lepiej i o żadnej operacyi już  
mowy nie  
ma. Nad ranem zasnął nawet dość spokojnie.

— A jakżeż było w nocy?

— Noc była bardzo ciężka; nie spał i majaczył.

— Rozumiem teraz — ze łzami w oczach rzekła babka — że kochany  
prezes tak  
zmizerniał. Czy ja kiedy znajdę, ja, cobym ci nieba przychylić chciała,  
sposobność wywdzięczenia ci się za ten nowy dowód przyjaźni.  
Prezes ze smutnym uśmiechem rękę zacnej kobiety ucałował, poczem  
o ile mógł  
najspokojniejszym dodał głosem.

— Skoro mi było danem być zwiastunem lepszych wiadomości, niech  
mi pani za to  
pozwoli samemu je Halce udzielić.

— Halki w domu nie ma.

Na te słowa dreszcz po prezesie przeleciał.

— Jakto, w domu nie ma? Co to znaczy? przecież o tak wczesnej  
godzinie, wizyt  
oddawać nie może.

— To znaczy, mój drogi prezesie, że wczoraj, widząc pogarszający się  
stan

Piotrusia, okropny mnie zdjął strach, czy też choroba ta nie jest  
rodzajem

ukrytej dyfteryi, a że ja na chorobę tę troje wnucząt straciłam, nie  
namyślając

się długo, odesłałam dziś Halkę do pani Edwardowej z prośbą, aby ją  
u siebie

zatrzymała, póki się stan Piotrusia nie polepszy.

— I Halka na ten wyjazd się zgodziła?

— Zgodziła się bez najmniejszego oporu — z lekkim odcieniem żalu  
odrzekła babka.

— Może się zresztą i ona sama dyfteryi obawia; od lat najmłodszych słyszy, z jakim ja przerażeniem o chorobie tej wspomina.

— To niech mi pani nakaze pójść do wnuczki, aby ją zaspokoić.

— Nie, prezesie; ja tylko jedno nakazuję, ale nakazuję stanowczo, to jest, abyś

wrócił do siebie, i na własnym Józku kilka godzin się przespał.

Wprost od nas

udając się do pani Edwardowej, mógłbyś tam jeszcze chorobę

niechcący zawlec. Ja

do Halki napiszę.

— Niechże i tak będzie — odrzekł prezes, który nadewszystko w tej chwili pragnął

samotności, aby mózgi zebrać i postanowić, co robić wypada. —

Pójdę więc na

parę godzin do domu, a pani przy Piotrusiu zostanie. Dobrze?

— Dobrze, mój ty najdoskonalszy przyjacielu — i za oddalającym się prezesem

krzyżyk w powietrzu zrobiła, nie domyślając się nawet, ile mu w tej chwili

wstawienie się do Boga potrzebnem było.

Okolo godziny dziesiątej wieczór, przed dworzec kolejowy

zajechawszy, prezes

udał się naprzód do sali pierwszej klasy; nie było w niej żywej duszy.

W sali

drugiej klasy pełno tłoczyło się podróżnych, ale tych, których szukał, nie

znalazł. Wsunął srebrny pieniądz w rękę portyera, aby go puścił na perron, gdzie

przed drugim dzwoniem wstęp był zabroniony. Rozpatrzywszy się, dostrzegł po

chwili w najciemniejszym kąci, wciśnięta za kolumnę, drobną kobiecą postać.

Poznał Halkę. Sama była.



— Towarzysz podróży prawdopodobnie bilety kupuje — rzekł sobie prezes — trzeba z tego skorzystać.

I szybko podszedłszy, nagle stanął przed Halką. Ona z wolna głowę podniosła. W chwili tej, stało się coś tak niespodziewanego, taki cud Boży, że prezes oniemiał. Otóż, zamiast okrzyku gniewu, przerażenia, wstydu, rozpacz, wyrwał się Halce okrzyk tak serdecznej, tak szczerzej, tak niewypowiedzianej radości, że się na nim nie było można pomylić. Zerwawszy się z miejsca, obie ręce do prezesa wyciągnęła.

— Pan tu po mnie przyszedł? — drgającym od wzruszenia zapytała głosem.

— Tak jest, po panią.

— A to pana sani Pan Bóg tu przysłał. Spieszmy.

I gwałtownym ruchem wsunęła drżącą rączkę pod rękę prezesa. Idąc ku wyjściu, spotkali się z dążącym w ich stronę panem Wiktorem.

Ujrawszy ich, młody porucznik stanął jak wryty; zdziwienie jego było tak wielkie, że nawet zapomniał prezesowi się ukłonić. Przechodząc koło pana

Wiktora, i udając, że go nie dostrzega, prezes głośno rzekł do Halki:

— Piotrusiowi się pogorszyło; trzeba nam się spieszyć. — Po cichu zaś dodał: —

Niech pani temu nie wierzy, Piotrusiowi jest lepiej.

I szybkim krokiem oboje podążyli ku głównemu wyjściu, niedoszedłszy bohatera

pozostawiwszy na peronie, stojącego niby posąg z kamienia.

Noc była ciemna. Śnieg z deszczem bil przechodniów po twarzy; po same uszy

podniósłszy kołnierze, z nasuniętymi na oczy czapkami, podróżni borykali się z wiatrem, całkiem nie zajmując się bliźnim. Przeszli więc oboje niepostrzeżenie aż do powozu prezesa i wsiedli doń. Gdy konie ruszyły, Halka rozpląkała się na głos jak dziecko; prezesowi serce się ścisnęło, ale słowa nie rzeki, tylko od czasu do czasu futrzaną kołdrą otulał kolana łkającej dziewczyny; zresztą, cóżby był powiedział, kiedy do tej chwili zrozumieć nie mógł, dlaczego Halka przywitała go z radością, kiedy on myślał, że ujrzawszy go, z gniewnem oburzeniem od niego uciekać będzie. Postanowił w milczeniu przeczekać wybuch ten Halki; może też od niej samej dowie się wszystkiego. Dworzec był znacznie od miasta oddalony, miał więc jeszcze z pół godziny czasu przed sobą. Po chwili, Halka drżącą rękę położyła na ręku prezesa; coś powiedzieć chciała, lecz na żadne słowo zdobyć się nie mogła; drżała jak listek, wciąż rzewnie płacząc. Chcąc ją uspokoić, prezes rzekł, o ile mógł najspokojniejszym głosem:  
— Babcia nic nie wie, i nic nigdy wiedzieć nie będzie. Jest to tajemnica między panią i Piotrusiem.

— I panem... — łkającym głosem dorzuciła Halka, i w uniesieniu niewysłowionej wdzięczności, rękę prezesa chwyciła, chcąc ją pocałować. Tego już dłoń było nadto; objął dziewczynę i namiętnie do siebie przytulił. Podczas długiego tego,

gorącego, pełnego opiekuńczej siły uścisku, spadła nagle z oczów Halki łuska, zasłaniająca dotąd przed własnymi oczami prawdziwy stan jej uczuć. Niepohamowana, dla obojga całkiem niespodziewana, radość Halki, gdy na perronie ujrzała przed sobą postać prezesa, a nie mundur pana Wiktora, dowodziła wymownie, po której stronie była rzeczywistość i w całej pełni swej prawdziwe przywiązanie. Jak uraganem zmordowana ptaszyna, tuliła się Halka... do prezesa; chciała od razu, z całą szczerością jej naturze właściwą, z całą pokorą prawdziwej skruchy wypowiedzieć wszystko temu, który ją z toni uratował, ale doznane moralne i fizyczne wstrząśnienie, było nad jej siły; chciała mówić, i nie mogła.

— Cicho, dziecko, cicho! później opowiesz mi wszystko! Teraz uspokój się, nie płacz.

I nie dal Halce mówić, a sani także milczał, do głębi duszy tem co zaszło wstrząśnięty. Gdy już dojeżdżali do domu pani Edwardowej, serdecznym rzekł głosem:

— Pani Edwardowej powiedzieć trzeba, że tu przyjechał panią zawieźć na godzinę do babki. Tym sposobem ani tu, ani w domu, nikt niczego się nie domyśli.

Piotrusiowi dziś jeszcze powiem, że na czas przybył na kolej. Co do babki, nic nigdy wiedzieć nie będzie. Dobranoc, dziecko moje.

I znów dziewczynę do siebie przytulił. Powóz stanął; prezes chciał wyskoczyć, lecz go Halka zatrzymała:

— Jaby panu chciała coś jeszcze powiedzieć — rzekła z głębokim wzruszeniem.

— Cóż takiego, Halko moja jedyna?

- Ale się pan nie będzie gniewał?
- Może i nie.
- I pan uwierzy temu, co powiem?
- Uwierzę.

Nachyliła się wtedy Halka do ucha prezesa, i półgłosem szepnęła: "Ja pana kocham".

Gdy prezes do Piotrusia powrócił, zastał babkę jego do najwyższego stopnia zatrwożona. Od godziny wyrywały się chłopcu co chwila jakieś niedorzeczne wykrzykniki, w których imię Halki, połączone z imieniem p. Wiktora, ciągle powracało. Ujrzawszy wchodzącego prezesa, obie wyciągnęła do niego ręce.

— Prezesie, Piotruś w okropnym jest stanie; bezustannie majaczy; mnie już ostatnia rozpacz bierze.

— Niech mnie pani zostawi z nim sam na sam; przestrach jest zaraźliwy, i być może, że Piotruś, pomimo maligny, widzi malującą się na twarzy pani twogę.

Uspokoję ja go, i potem po panią przyjdę.

Zbliżyła się babka do wnuka i na gorącym jego czole, niemniej gorący złożywszy pocałunek, z pokoju wyszła.

Prezes siadł przy łóżku chłopca, położył rękę na jego rękę; gdy dostrzegł, że

Piotruś na niego się patrzy, rzekł wolnym, spokojnym głosem:

— Piotrusiu, wracam od Halki. Jest u pani Edwardowej, zkał się ruszać nie myśli,

aż jej babka pozwoli do domu wrócić. Pan Wiktor powrócił do swego pułku.

Przyniosłem ci pocieszające wiadomości te, pod warunkiem, że się teraz uspokoisz

zupełnie, co ci przyjdzie tem łatwiej, że już do żadnego niepokoju powodu nie ma.

— A babcia? — zapytał uradowany chłopiec.

— Babcia o niedoszłych zamiarach Halki nic nie wie, i nigdy nic wiedzieć nie będzie.

\* \* \*

— Halko — pytał żony dnia jednego prezes — coby się w ów pamiętny wieczór było stało, gdybym się był o kwadrans na kolej żelazną spóźnił? Na to Halka bardzo pokornem odpowiada milczeniem.

## BÓG ZAPŁAĆ!

### LEGENDA.

Z ojca i matki sierota, z litości przez starą ciotkę przygarnięta, Magdalena za miodu szyć się nauczyła, ale jeszcze gruntowniej nauczyła się znosić niedostatek, w miłosierdziu Boga i Tegoż wszechmocności nieograniczone pokładając zaufanie, które jej w dalszych życia kolejach za wszystko stać miało.

Gdy po ciężkim, pracowitym a długim żywocie, ciotka Magdaleny poszła odebrać

wieczną nagrodę tam, gdzie "płaczącym i łaknącym" wszelkie obiecane są

błogosławieństwa, piętnastoletnia dziewczyna pozostała już sama na świecie.

Miękkie i wrażliwe w tak młodym wieku serce, żadne bywa opieki;  
ogarnęła też  
biedną Magdalenę boleść ciężka, lecz w niczem nie naruszająca  
zupełnego poddania  
się woli Opatrzności.  
Od kolebki wiedziała, że ją w życiu czeka ubóstwo i praca; do  
jednego i do  
drugiego nawykła już była; trudniej jej przyjść miała wprawa do  
zupełnego  
osamotnienia. Zabrała się wszakże odważnie do roboty, a że szyła  
pięknie i  
starannie, że na naznaczony dzień punktualnie odnosiła zamówioną  
robotę, nie  
zbywało jej na zamówieniach. To, co szyciem zarabiała, zaledwo jej  
starczyło, co  
prawda, na opłacenie komornego od izdebki na poddaszu, na bardzo  
skromną  
żywność, a jeszcze skromniejszy przyodziewek, ale, koniec końcem,  
starczyło, i  
gdy wieczorem, po ukończeniu całodziennej pracy, Magdalena do  
pacierza klękała,  
cisnęło się jej do ust więcej wyrazów dziękczynienia, niż wyrazów  
prośby.  
Dopiero po upływie dwóch lat pracowitego żywota, miała się dla niej  
rozpocząć  
krzyżowa droga, iście sierocego przeznaczenia.  
Ni ztąd ni zowąd, ukazał się nagle w miasteczku przez Magdalenę  
zamieszkanem,  
tyfus plamisty, mnogo, zwłaszcza

wśród młodzieży obojej płci, zabierając ofiar. Nieco zamożniejsze  
rodziny, te  
właśnie, które Magdalenie najwięcej dostarczały roboty, wraz z  
dziećmi,  
przerażone, zaczęły co tchu miasto opuszczać. Biedna dziewczyna  
udając się do

obcych domów, najczęściej odbierała odpowiedź, "że się ma swoją, od dawna znaną szwaczkę."

Z dnia na dzień coraz mniej zarabiając, coraz też nędzniejszą żyła strawą, i

najczęściej z pustym żołądkiem kładła się wieczór do łóżka.

A był to dopiero początek jej biedy. Dnia jednego, gdy z rannej Mszy św. do domu

powracała, takie ją nagle napadło Osłabienie, że musiała stróżki domowej

poprosić, aby jej dopomogła dostać się na poddasze.

— Prześpij się z godziną i lepiej mi się zrobi.

Ale lepiej jej się nie zrobiło, i gdy wieczorem, litościwa stróżka skoczyła do

izdebki zajrzeć, co dziewczę porabia, zastała ją jak węgiel rozpaloną, z

wypiekami na policzkach i niecałkiem przytomną. Dała znać właścicielowi domu;

ten, niezły zresztą człowiek, ale obdarzony liczną rodziną, której bezpieczeństwo na jego spoczywało odpowiedzialności, posłał po doktora. W

godzinę potem, już Magdalena leżała w szpitalu, w sali chorób zakaźnych.

Sumienny lekarz, anielskiej słodczy siostry św. Wincentego, a nadewszystko

miłosierdzie Boże, uratowały jej życie, ale choroba, tak ciężki i tak długi

miała przebieg, że aż dwa miesiące minęły, zanim biedna szwaczka szpital opuścić

mogła.

Promieniami słońca i powietrzem odurzona, chwiejnym jeszcze krokiem udała się

zwolna ku domowi, gdzie przed chorobą mieszkała, jakkolwiek mało miała nadziei,

aby jej izdebka wolną była. Na progu właśnie stojący właściciel, w pierwszej

chwili nie poznał bladej, wynędzniałej dziewczyny, i dopiero poznawszy,

życzliwie powitał.

— No cóż, moja biedna Magdaleno, ciężko was coś choroba zmogła?

— Oj ciężko, proszę pana, bardzo ciężko — stłumionym odrzekła głosem.

Nastało chwilowe milczenie. Magdalenie zbywało na odwadze, by zapytać, czy będzie mogła dawną zająć izdebkę na poddaszu. Szczęściem dla niej, miała do czynienia z człowiekiem ludzkim.

— A nie zapytacie się tam czasem o wasz pokoik? — spytał, uśmiechając się dobrotliwie.

— Zapytałabym... ale nie śmiem.

— Ot, widzicie, moja Magdaleno! zamożny ja nie jestem, Bóg mnie liczną obdarzył dziatwą, i pieniędzmi szastać nie mogę, ale mi ludzka bieda do serca przemawia,

bo mi za młodu dokuczyła nie mało. Chcąc się Opatrzności wywdzięczyc za to, że

mi dzieci od zarazy ustrzegła, postanowiłem waszej izdebki nie wynajmować;

wróćcie więc do niej. Komorne zapłacicie mi dopiero na przyszły kwartał;

tymczasem znajdziecie sobie robotę. No, no! nie dziękujcie mi — dodał wzruszonym

głosem, widząc, że mu się biedna dziewczyna do nóg chce rzucić — macie tu klucz

od izdebki. — I to mówiąc, wrócił do siebie.

Gdy Magdalena znów się ujrzała w pokoiku, w którym życie swoje spędziła, błogie

ogarnęło ją uczucie. Widocznie Bóg nad nią czuwał.

Po chwili, lekko do drzwi zastukawszy, weszła do izdebki córeczka właściciela, z

dzbanuszką w jednej ręce, a kromką chleba w drugiej.



— Mama kazała pannę Magdalenę pozdrowić, a że tu ognia jeszcze nie ma, przysyła trochę ciepłego rosółu. — I dzbanuszek, wraz z chlebem na stole postawiwszy, nieśmiałe dziewczątko czempędzej uciekło, słysząc tylko, jak Magdalena drżącym głosem wołała:  
— Bóg zapiać! Bóg zapiać!  
Ale po tym przemijającym promieniu słońca, nastały znów srogie ciemności.  
Wszędzie, gdzie tylko Magdalena po robotę się udawała, odpowiadano jej, że już nową wzięto szwaczkę,

która na maszynie szyć umie, albo, że państwo jeszcze ze wsi nie powrócili. W jednym domu tylko, jakaś stara jejmość, litością zdjęta nad wycieńczoną postacią dziewczyny, dała jej sześć koszul do uszycia, oraz parę złotych zadatku. Temi paroma złotemi, żyła Magdalena chlebem i mlekiem dni dziesięć, poczem ukończoną robotę odniosła i resztę należytości odebrała. Nie dużo tam tego było. Wracając, wstąpiła na chwilę do kościoła; uklękła przed obrazem Jezusa ukrzyżowanego i z przepelnionego serca długo się modliła, jak zwykle "dziękując" gorąco, o nic nie "prosząc." Potem poszła do zakrystyi, gdzie sędziwy proboszcz z konfesyonału wróciwszy, komżę i stulę zdejmował.  
— Proszę księdza proboszcza, chciałabym na jutro żałobną Mszę św. zakupić. Czy wolny dzień?  
Ksiądz zajrzał do książki i odrzekł, że wolny.

— Otóż, chciałabym, aby ta Msza św. odprawioną została na intencje duszy, którą już tylko rok jeden od nieba oddziela, aby jej Bóg miłosierny rok ten darować raczył, wybór duszy Sobie pozostawiając.

Proboszcz spojrział na dziewczynę z pewnem zdziwieniem, chwilę się namyślił,

poczem odrzekł, że Mszę tę sam odprawi jutro o godzinie siódmej.

Wówczas

Magdalena wręczyła mu, dopiero co odebraną całą zapłatę za ukończoną robotę, i do siebie wróciła z głębokim w duszy spokojem. Nazajutrz przed -mą, udała się

do kościoła naczczo, chcąc do Św. Sakramentów przystąpić; zresztą i nadal

naczczo pozostać miała, nic bowiem już nie było w domu a i w kieszeni także nic.

Gdy Magdalena do kościoła wchodziła, ktoś ją lekko w ramię trącił.

Obejrzała się

zdziwiona; przyzwoicie ubrany, o szlachetnych rysach, ale blady i jakby ciężką

jakaś niemocą przygnębiony miody człowiek, stał przed nią.

— Panienska podobno roboty szuka — rzeki do dziewczyny, cichym, smętnym głosem.

— Tak jest, z upragnieniem roboty szukam — odpowiedziała z pewnem wzruszeniem

Magdalena.

— Właśnie tez szukają dobrej szwaczki na ulicy Tkackiej, w domu pod Okiem

Opatrzności, na drugim piętrze, u p. Bogdanowiczowej. Niech tam panienska dziś

jeszcze się uda.

— Bóg zapać stokrotnie za życzliwą opiekę! Ale zkadże pan wie, że ja roboty

szukani? Zkąd pan mnie zna? — zdziwiona pytała dziewczyna. Lecz już się był miody człowiek oddalił, i wnet za drzwiami kościoła zniknął.

— Biedny człowiek — rzekła Magdalena do siebie — wygląda, jakby jakim wielkim nieszczęściem przybity!... taki blady! Przytem miłosierny być musi, skoro mi się o zarobek postarał. Niech mu to Bóg wynagrodzi stokrotnie.

Po ukończonem nabożeństwie, w ciągu którego modliła się gorąco za ową duszę, mającą być z mąk czyścowych ofiarą tej Mszy św. wyzwoloną, Magdalena podążyła szybko na ulicę Tkacką, do wyznaczonego domu. Nieśmiałą ręką za dzwonek pociągnęła; wpuszczono ją od razu do dużego pokoju, gdzie kilkanaście dziewcząt przy dużym stole śniadanie spożywało; każda miała przed sobą garnuszek gorącego mleka i spory kawał chleba.

— Czy tu mieszka pani Bogdanowiczowa ? — zapytała nowoprzybyła.

— Tak jest; proszę wejść, zaraz panią zawiadomię — odrzekła jedna ze starszych pańienek.

Po chwili weszła do pokoju osoba, już niemłoda, w grubej żałobie, z łagodnym, acz niewypowiedzianym smutnym wyrazem twarzy.

— Czego żądasz, moje dziecko? — zapytała Magdaleny.

— Powiedziano mi, że pani przyjmuje szwaczki do roboty — drżącym głosem odrzekła zapytana.

— Tak jest. Mam w tej chwili, co prawda, wszystkie miejsca zajęte... — lecz widząc, że oczy dziewczyny łzami się zapełniają, pani Bogdanowiczowa czempędzej dodała: — Ale się zawsze jeszcze robota znajdzie. Kto ci powiedział, żebyś się do mnie zgłosiła?

— Gdy z kościoła dziś wychodziłam, jakiś młody człowiek zapytał się  
mnie, czy  
może roboty nie szukam, i wskazał mi adres pani.  
— A zkadże znasz tego młodego człowieka?  
— Ja jego nie znam, proszę pani, nigdy go nie widziałam. Musiał mu  
chyba sam Pan  
Bóg szepnąć — dodała półgłosem — że mi zarobku potrzeba.  
— Jagusiu! — zawołała pani domu do krzątającej się koło stołu  
dzieweczki — dajno  
tu ciepłego mleka i chleba. Srogie dziś zimno; trzeba naszą nową  
robotnicę  
naprzód ogrzać, to ją potem do roboty zasadzimy.  
— Właśnie też przynieśli dziś rano tuzin koszul od pani mecenasowej  
— rzekła  
jedna ze szwaczek — z poleceniem, aby były jak najspieszniej  
ukończone; a tu  
tyle jeszcze mamy roboty około wyprawy córki pana doktora.  
— Dobrze się więc stało, że nam Opatrzność pomoc przysłała —  
rzekła pani  
Bogdanowiczowa, z zajęciem przypatrując się Magdalenie.  
Doświadczona a litościwa kobieta, widziała na młodej tej twarzy  
wyraźne ślady  
ciężkiej doli, mężnie i cierpliwie znoszonej; coś ją też dziwnie do tej  
młodej  
postaci ciągnęło.  
Gdy w południe dziewczęta do domu na obiad rozchodzić się zaczęły,  
pani  
Bogdanowiczowa pod pozorem, że ma Magdalenie jakąś robotę  
pokazać, zatrzymała  
ją, chcąc się o jej położeniu wywiedzieć. Na zapytanie, jakim  
sposobem, szyjąc  
tak ładnie, pozostała bez roboty, ujęta okazywaną życzliwością  
dziewczyna, z  
prostotą opowiedziała ciężko przeżyty tyfus w szpitalu, i nie mniej  
ciężki

zawód, jakiego doznała, gdy po dwóch miesiącach do siebie  
powróciwszy, zastała  
inne szwaczki, zajmujące miejsca, gdzie przedtem najczęściej  
znajdowała roboty.

Tym to sposobem, w chwili właśnie, gdy ze szpitala wychodząc,  
najwięcej byłaby  
potrzebowała zarobku, znalazła się nagle wobec... biedy.  
— Nie masz ani ojca, ani matki?

— Rodzice odumarli mnie dzieckiem, a dwa lata temu pochowałam  
ciotkę, która mnie  
z litości przygarnęła i wychowała.

— Jesteś więc zupełnie sama na świecie?

— Tak jest, zupełnie sama. Ale Bóg dobry nie opuści mnie; wszak mi  
już dzisiaj  
drugi daje swej opieki dowód. — I to mówiąc, Magdalena z serdeczną  
wdzięcznością  
ucałowała rękę swej chlebodawczyni.

— Jużbyś się i tak na obiad spóźniła, Magdaleno; pójdź ze inną.

Znajdzie się tam  
przecież w kuchni talerz rosółu i kawałek mięsa.

Gdy obie weszły do przyległego pokoju, Magdalena stanęła jak wryta,  
wpatrując  
się w obraz wiszący nad biurkiem; przedstawiał postać młodego  
mężczyzny.

Śledziła ją zdziwionem okiem pani Bogdanowiczowa, poczem rzekła  
drżącym od  
wzruszenia głosem:

— To portret mego syna... jedynaka mego!...

— A więc to syn pani powiedział mi dziś rano, abym się tu po robotę  
zgłosiła?

poznaję go doskonale; tylko, że nie tak dobrze wygląda.

— Ależ mój syn już od trzech lat nie żyje! — wyrwało się biednej  
matce, wraz z  
cichym łkaniem.

— Ale ja pani przysięgam, że to był on — odrzekła z wielką stanowczością

Magdalena.

Pani Bogdanowiczowa zsunawszy się na krzesło, rzewnie się rozplakała. Do głębi

duszy wzruszona, biedna dziewczyna nie wiedziała co począć. Obawa powiększenia i

tak już gwałtownej boleści nieszczęśliwej matki, wstrzymywała słowa na jej

ustach. Postanowiła zatem milczeć i jeszcze się namyśleć, co jej powiedzieć

wypadnie.

Wieczorem, gdy po ukończonej całodziennej robocie i odebranej należytości,

wolnym krokiem do domu wracała, ujrawszy kościół jeszcze otwarty, wstąpiła doń

Magdalena na chwilę, by Bogu podziękować za uzyskaną pomoc i opiekę. Po chwili,

słyszac brzęk kluczy zapowiadający zamknięcie kościoła, wyszła zwolna, żałując,

że jej tak mało pozostało czasu dla wynurzenia

Bogu swej wdzięczności. Jakież było jej wzruszenie, gdy na tem samem, co rano,

miejscu, tego samego ujrzała młodego człowieka; ten sam wzrost, to samo ubranie,

te same rysy, tylko już nie ten sam wyraz! Oczy te, rano jeszcze tak głębokim

przepełnione smutkiem i niewypowiedzianą jakąś tęsknotą, teraz dziwnie, niemal

nadludzkiem lśniły światłem, jakby słońca promień w ciemny ten zakątek kruchty

rzucając. — Z bijącym sercem, ale bez najmniejszego przerażenia, Magdalena

patrzała na jasną postać młodego człowieka, szepcząc półgłosem:

— To on! to on!

Za skuteczną opiekę podziękować mu chciała, ale stosownych słów znaleźć nie mogła! On tymczasem, promiennem tem wejrzeniem na nią chwilę popatrzywszy, cichym ale wyraźnym rzekł głosem:  
— Bóg zapiać!  
I znikł bez śladu. W kruchcie ciemno się zrobiło od razu; kościelny coraz głośniej kluczami brzękał.  
Następnego dnia poszła Magdalena o godzinę wcześniej niż była zamówiona do pani Bogdanowiczowej, prosząc, aby ją na osobności i bez świadków wysłuchać raczyła.  
Udały się do przyległego pokoju, do tego właśnie, gdzie na ścianie wisiał portret młodego człowieka.  
Długo słyhać tam było cichą rozmowę i tłumiony, ale już nie rozpaczliwy płacz biednej matki.  
Gdy po godzinie obie z pokoju wyszły, Magdalena już nie była sierota.

## BEZ MIŁOŚCI.

Czyż jest na świecie coś dla oka — i dla serca — miłszego, jak widok dwojga ludzi młodych, zakochanych i szczęśliwych? Tego właśnie rodzaju widok miało się przed oczami, patrząc na pannę Cecylię i na pana Zdzisława. Ona, hoża, piękna, zdrowia i życia pełna, uśmiechająca się do świata, do ludzi, do przyszłości i...

do narzeczonego. On, dorodny młodzieniec, tym uśmiechem  
ukochanej upojony, w  
duszy sobie przysięgał, że uśmiechu tego świadomie, przenigdy nie  
zamieni na  
łzy, że przenigdy nie stanie się dla tej umiłowanej istoty powodem  
zawodu,  
gniewu lub zmartwienia, że nietylko całą siłą duszy kochać ją będzie  
do  
ostatniej chwili życia, ale że z pod nóg jej starannie usunie każdy  
kamyczek,  
cierń każdy, najmniejszą choćby grudkę twardej ziemi. I tak, od rana  
do nocy  
śpiewali — ten sam zawsze, a zawsze niezmiennie wspaniały, hymn  
miłości. Prócz  
urody i zacnego nazwiska, panna Cecylia posiadała jeszcze i dość  
znaczny posag.  
Pan Zdzisław majątku wprawdzie nie miał a nazwiska sam się  
dorabiał, ale i  
jednego i drugiego dorabiał się tak szybko i tak świetnie, że utwory  
jego  
pendzła, nie tylko na całą Polskę, jak długa i szeroka, znane były, ale  
że i za  
granicą dobijano się o obrazy polskiego malarza. Niezwykłej miary  
talent,  
spotęgowany zamiłowaniem do swego zawodu, zapewniał więc  
przyszłość młodemu  
artyście; miał przed sobą szeroką drogę, mającą się z dnia na dzień  
coraz to  
piękniej, sławą i złotem zaścielać. — Rodzice panny Cecylii, od  
pradziadów na  
ziemskim majątku żyjący i pracujący, byliby dla jedynaczki woleli, co  
prawda,  
jakiego statecznego, wiejskiego szlachcica, o ile być może od



nich nie zbyt oddalonego; niepokoił ich po trochu, zawsze mniej  
więcej ryzykowny  
i zawsze pełen gwałtownych wzruszeń artystyczny zawód przyszłego  
zięcia. Ale  
jakżeż tu było sprzeciwiać się związkowi temu, skoro panu  
Zdzisławowi zgoła nic  
zarzucić nie było można, a Cesia — jedynaczka u nich — w nim się  
kochała!  
Powiedzieli sobie więc rodzice: "Byle z nim była szczęśliwa, to o nas  
niniejsza." I przy zrękowinach, u nóg ich klęczącej pięknej parze,  
serdecznie,  
choć ze łzami, błogosławili, myśl o własnym osamotnieniu, jakby jaką  
grzeszną  
pokusę od siebie oddalając  
Do dnia ślubu brakowało już tylko dwa tygodnie; zajmowano się więc  
na wszystkie  
strony w Rożnowie przysłem weselem, aby tylko uroczystość była na  
wysokości  
rodzicielskiej miłości państwa Józefów dla swej jedynaczki. Pan  
Józef, o wiele  
częściej niż zwykle, zaglądał do stajni, do wozowni, do piwnicy. Pani  
Józefowa,  
liczną niewieścią służbą otoczona, spisywała całe arkusze hekatomb,  
których  
wykonanie, o kilka dni wesele poprzedzić miało. Najwięcej ze  
wszystkich wszakże,  
nad zapewnieniem świetności zbliżającej się uroczystości, zadawała  
sobie pracy,  
panna Krystyna. Ze wschodem słońca już ją widywano na nogach;  
wieczorem zaś, gdy  
w salonie rozmawiano, śpiewano, lub "gruchano", nieraz nawet, gdy  
już cały dom  
od dawna w śnie spoczywał, panna Krystyna, w swoim pokoju przy  
biórku siedząc,  
różne jeszcze robiła spisy i notatki, by czasem czego nie zaniedbano,  
lub nie  
zapomniano. Ale czemże była panna Krystyna w Rożnowie? szafarką,  
klucznica, czy

gospodynią? Oficjalnie, z powyższych urzędów nie piastowała  
żadnego; natomiast  
była "wszystkiem tem" w domu, a w dodatku, była państwa Józefów  
dość bliską  
krewną, ale krewną "ubogą"; można więc było wszystko jej  
powierzyć, wszystkiego  
od niej żądać, we wszystkim zawsze na nią liczyć, a bardzo nią się  
zajmować nie  
było potrzeby. Ależ bo niema to jak prerogatywy pokrewieństwa!

Ojciec Krzysi, pan Izydor, stryjeczny brat pana na Rożnowie, mając  
lat  
dwadzieścia i dwa, wbrew woli rodziny, ożenił się z dziewczyną bez  
majątku, w  
której się kochał; — toż dopiero szaleniec! — Miała ona zaród ukrytej  
choroby  
piersiowej. Wywiózł ją więc mąż do Palermo, z kąd po dwuletnim  
tamże pobycie,  
"szaleniec" ten powrócił do matki na Podole, z trzecemiesięczną  
dzieciną na  
rękach, oraz tak długą podróżą znacznie uszczuplonym, a już i bez  
tego nie  
wielkim majątkiem. Zabrał się odważnie do pracy na ojcowiznie,  
dotąd przez matkę  
zarządzanej, ale odwykł był od tego rodzaju zajęcia, i wszystko mu się  
w ręku  
jakoś rwało; gryzł się, a po zmarłej żonie tak niewypowiedzianie  
tęsknił, że go  
owa tęsknota wraz z nadmiarem pracy niebawem do grobu wtrąciła.  
W ręce matki  
oddawszy kilkoletnią córeczkę, do śmierci jak do snu się ułożył,  
nietylko z  
zupełnem poddaniem się woli Opatrzności, ale ze szczerą — choć,  
przed matką  
starannie tajoną — radością w wieczności dopatrując się spoczynku,  
spokoju i

wreszcie, tak gorąco upragnionego, połączenia z ukochaną zmarłą.  
Wypróbowałszy  
ciężko za życia, prawdopodobnie go Bóg miłosierny wszystkim tem,  
czego w duszy  
pragnął, obdarzył. Ten sam też Bóg miłosierny, pozostałą po zgonie  
syna sędziwą  
matkę zbawienną natchnął myślą, aby powierzoną sobie wnuczkę —  
gwoli mającej na  
nią przypaść "doli sierociej" — na taki wychować sposób, by jej na tę  
"sierocą  
dolę" do końca żywota sił na duszy i na ciele starczyło. Zasady swe w  
młode  
serce sieroty wpajała ona wszakże swobodnie, bez żdźbła smutku,  
żalu lub  
goryczy; przeciwnie, starała się usilnie zaopatrzyć ją w  
przeświadczenie, że w  
pracy i w wypełnianiu przypadających obowiązków, znajdzie nie tylko  
spokój duszy,  
ale i zupełną dla serca swobodę. Zamierzonego celu sędziwa babka  
dopięła  
całkowicie, i gdy z czasem na nią kolej przyszła trudy żywota na  
wieczny spokój  
zamienić, pozostawiła szesnastoletnią wnuczkę, mężną i swobodną,  
zahartowaną do  
pracy, doczesnego szczęścia nie wymagającą, jednym słowem, w sam  
raz  
kwalifikującą się do sierociego przeznaczenia, niewieścią duszę.

Po odbytym pogrzebie krewnej, państwo Józefowie, po . trochu z  
poczucia  
obowiązków rodzinnych, po trochu z litości nad losem sieroty,  
wioszczyń jej w  
dzierżawę puścili a Krzysię z sobą do Rożnowa zabrali, nie bardzo  
wszakże  
wiedząc, jakie jej tam wyznaczyć stanowisko. Lecz od pierwszego  
zaraz dnia,

Krzysia własną ręką wątpliwość tę usunęła, opiekę i dowody  
życzliwości o tyle  
tylko przyjmując, o ile jej stryjostwo pozwolią za życzliwość tę i  
opiekę  
odwdzięczać się wszelką pracą, do którejby się zdolną czuła. Że jej  
zaś żadna  
praca obcą nie była, o tem pani Józefowa w bardzo krótkim czasie się  
przekonała;  
już po kilku bowiem tygodniach, na młodych barkach cichej a dzielnej  
dziewczyny  
spoczywały wszystkie obowiązki, i od nich nieodłączne troski  
domowego  
gospodarstwa i pałacowego zarządu, ku wielkiej radości pani  
Józefowej, nie  
mającej do zajęć tych najmniejszego zamiłowania. Ze służbą  
pałacową i folwarczną  
żadne odtąd nie zachodziły starcia, bo osobistem doświadczeniem z  
pracą obeznana  
Krzysia, choć najmniejszego nie przepuszczała zaniedbania, nie miała  
także nigdy  
przekraczających poszczególne obowiązki tego lub owego sługi  
wymagań;  
wrozumiałość i sprawiedliwość w połączeniu z silną wolą, za regułę  
postępowania  
wziąwszy, wzbudzała ogólne poszanowanie, ale i ogólną, z powodu  
dobroci serca,  
miłość. Nadziwić się pani Józefowa nie mogła, że od pewnego czasu,  
w domu tak  
jakoś wszystko "gładko szło", że się nikt do niej z żadnemi nie odnosił  
skargami, i że jej, z dnia na dzień, tyle ubyło kłopotów.  
Takie sobie była panna Krystyna wyrobiła w Rożnowie socyalne  
położenie.

\* \* \*

— Że też to ciebie nigdy zastać nie mogę inaczej, tylko bardzo zajętą  
— rzekła

dnia jednego panna Cecylia, wchodząc do pokoju kuzynki, która, pochylona nad stosem kwitów i rachunków, wciągała je w ogromną księgę domowych wydatków.

— Zajętą, czy nie zajętą, zastaniesz mnie zawsze gotową do pogadanki z tobą,

Cesiu — i to mówiąc, obie siadły na kanapce pod oknem.

— Wiesz ty, Krzysiu, że ja ciebie bardzo podziwiam... podziwiam i... wysoko cenię.

— Za wysoko, prawdopodobnie — śmiejąc się, odrzekła Krzysia. — Cóż takiego

"nadzwyczajnego" robię?

— Robisz "wszystko" w domu, Krzysiu. To jest prawdziwa "nadzwyczajność"; druga

zaś jest, że się tem nigdy, przed nikim nie pochwalisz.

— Jeszczeby tego brakowało, żebym się z tak prostych rzeczy chwaliła.

— Ale kiedyż właśnie nie są to tak "proste" rzeczy. Jabym nigdy żyć nie mogła

jak ty, Krzysiu, żyjesz, i powiem ci w sekrecie, że mnie to trochę martwi, bo

mając wkrótce własnym domem zarządzać, czuję, że przypadających na mnie

obowiązków nie będę umiała dopełnić.

— Alboż to taka wielka filozofia — wesoło zawołała Krzysia.

— Mnie się widzi, że "bardzo wielka" i właśnie dlatego powtarzam, że ciebie

wysoko cenię.

— No, to trochę rozwiń i wytłómacz mi twój pogląd na tę filozofię, którą ja,

twojem zdaniem, z teorii w praktykę wprowadzam.

— A i owszem, już ci to dawno powiedzieć chciałam. Otóż, widzisz Krzysiu, to, co

ja najbardziej w tobie podziwiam, a czego ci nawet potrochu  
zazdroszczę, to nie  
tyle twoją praktyczną, intelligentną, niezmordowaną pracę, ile twoją,  
nigdy  
niczem nie zamaconą przy tej pracy swobodę.  
— Wierzaj mi, Cesi, że to nie jest żadną psychologiczną zagadką.  
Jestem przy  
pracy swobodna, bo mam rzeczywiste do niej zamiłowanie. Oto i cały  
sekret.  
— Ależ bo to właśnie w tym tkwi twoja moralna wyższość, to, że  
będąc umysłowo  
wykształconą i mając w umysłowych rzeczach upodobanie (sama mi  
to nieraz  
mówiłaś),

miłujesz się przytem w zajęciach domowych, które mnie, i nawet  
mamę, nudzą,  
śmiertelnie.  
— Może one ciebie nudzić przestaną, gdy ci przyjdzie niebawem  
zajmować się nimi  
we własnym domu.  
— O nie! tej illuzji sobie nie robię. Mnie domowe obowiązki zawsze  
i wszędzie  
nudzić będą; już ja to dobrze, choć ze smutkiem, czuję. Zresztą ciebie  
babskie  
gospodarstwo w Rożnowie nie nudzi, choć nie jest twoje własne.  
— To inna rzecz, Cesi; byłyśmy wychowane w innych całkiem  
warunkach. Mnie od  
lat dziecinnych babcia do pracy wdrażała, ale wdrażała swobodnie,  
niemal wesoło,  
nie pozwalając nigdy, abym pracę uważała za przykrość w życiu, a  
cóż dopiero za  
nieszczęście. Pokochałam więc pracę już za młodu, i zamiłowanie to,  
pozostanie  
mi, tak dopomóż mi Panie Boże, do końca życia.

— A niemogłabyś ty, choć trochę tego zamięłowania na mnie przelać, Krzysiu?

— Z sercabym to zrobiła, moja Cesi — odrzekła Krzysia, białe, miękkie rączki kuzynki obejmując własną, bynajmniej nie ordynaryjną ręką, ale po której

przecież znać było, że dłoń ta nie próżnuje. — Mnie się zdaje, że byłeś się

szczerze starała przemódz w sobie ten wstręt do domowych zajęć, tobyś się go w

krótkim czasie pozbyła.

— Nie myśl tego, Krzysiu. Patrzysz na mnie przez różowe szkło przyjaźni. Mnie

sam widok tej, ot! tam, piramidy rachunków, na twojem biurku leżącej, grozą

przejmuje. Dziś rano, z łóżka wstawszy przypatrywałam ci się przez okno: stałaś

otoczona folwarcznymi dziewczętami, każdej z osobna coś polecając; one się w

ciebie wpatrywały jak w obraz, a ty Krzysiu — i tu właśnie występuje twoja

filozofia — nie wyglądałaś znudzona; przeciwnie, wyglądałaś kontenta! Ja, na

twojem miejscu, byłabym włosy rwała z desperacji!

— Te śliczne, złote włosy!... Cóżby na to pan Zdzisław powiedział?

— Oj! zmartwiłby się, srogo zmartwił, mój Zdziś ukochany!... Ale właściwie po co

ja się mara zawczasu troskać tem, że się kiedyś z gospodarstwem mojem borykać

będę. Dosyć na to będzie czasu, gdy do kraju powrócimy. Po ślubie, jak ci

wiadomo, jedziemy na całą zimę do Wioch; starać się będę, aby zima ta potrwała

co najmniej sześć miesięcy.

— Rzadkie to będzie we Włoszech zjawisko, taka syberyjska zima.

— Po tej. nad zwykłą południową miarę przedłużonej zimie, postaram się o to, aby mi jaki uprzejmy lekarz, na wzmocnienie nerwów, przepisał kilkumiesięczny pobyt w górach, i pojedziemy do Szwajcaryi, n. p. do Lucerny, do tej ślicznej, zachwycającej Lucerny, za którą przepadam.

— A nie obawiasz się, Cesi, abyś temi przedłużonymi podróżami mężowi w jego pracy nie przeszkadzała? Artyści muszą chyba pewnego spokoju potrzebować, dla przelania natchnień swych na płótno. Jak każesz panu Zdzisławowi tak bezustannie przenosić się z miejsca na miejsce, to gotowo natchnienie się ulotnić, wraz z przyzwyczajeniem do pracy.

— A choćby sobie mój Zdziś nieco i wypoczął! Mój posag starczy na długo, a w dniu, w którym Zdziś do pracy powróci zechce, to się zamówień na portrety znajdzie aż nadto.

— O tem, że się znajdują, i chwili nie wątpię; ale możeby i należało trochę z przyszłością się liczyć.

— O co nie, to nie. Ja chcę używać danego mi szczęścia, a nie troszczyć się o jakąś, bardzo daleka przyszłość. Zresztą, przecież i w Piśmie Świętem wyraźnie jest powiedziane: "Dosyć ci ma dzień na swej nędzy". Widzisz zatem, moja ty rozsądnicka, że sam Pan Jezus nie pozwala nam się zawczasu kłopotać o to, co kiedyś będzie.

— Mnie się zdaje, że te słowa z Ewangelii całkiem inne mają znaczenie.

— A jakież jest, według ciebie, ich znaczenie? Ale na to ciekawe zapytanie pięknej kuzynki, Krzysia już odpowiedzieć nie



zdołała, bo ją nagle do gospodarstwa

zawezwano, gdzie obecność jej, bez zwłoki potrzebną była. Uściskała więc Cesię serdecznie, i czempredzej z pękiem kluczy w ręku z pokoju wybiegła, pozostawiwszy za sobą kuzynkę głęboko zadumaną. Po chwili, niemal z dziecinną

naiwnością, Cecylia szepnęła półgłosem:

— Ona, więcej ma moralnej wartości w małym palcu, niż ja w głowie całej, ale

swoją drogą, nie zamieniałabym się z nią... O! nie... Do tego domowego jarzma

wprzódz ja się nie dam... wolę ładne powieści czytać, ładne piosnki śpiewać,

ładne robótki, przy Zdzisiu siedząc, wyszywać... Każdy ma swoje na świecie

powołanie.

Taki byt ostateczny rezultat filozoficznej pogadanki kuzynek.

Na jaki tydzień przed weselem Cesi, spodziewano się w Rożnowie przybycia

starszego, bogatego i... bezdzietnego brata pana Józefa. Od lat dziesięciu

osiadł był pan Romuald w Paryżu, rzadko do kraju zaglądając; stosunki rodzinne

były się ztąd trochę rozluźniły. Oczekiwano go wprawdzie z upragnieniem, ale i

nie bez pewnej obawy; pani Józefowa niepokoiła się, że takiemu "Paryżaninowi" na

komforcie, do jakiego przywykł, zbywać w Rożnowie będzie; pan Józef, aczkolwiek

serdecznie kontent, że po tylu latach rozłączenia brata uściska, powtarzał sobie

w duszy, że do zagranicznej wykwinności przywykły, w towarzystwie okolicznej

szlachty, brat ten prawdopodobnie potężnie nudzić się będzie, a zjazd owej

szlachty miał być i liczny i długotrwały, wesele jedynaczki bowiem nie na dzisiejszą odbyć się miało modłę, ale na sposób "staropolski." Już tylko z tradycyi wie dziś młode pokolenie, co takie "staropolskie" wesele znaczy; państwo Józefowie chcieli się tej tradycyi wiernie trzymać. — A panna Cecylia? Ta jedna oczekiwała przybycia pana Romualda z wyraźną niechęcią, darować stryjowi nie mogąc, że gdy mu ojciec jej doniósł o przyjęciu pana Zdzisława za przyszłego zięcia, przysłał list, wprawdzie serdeczny, ale w którym nie ukrywał, że związek ten z "artystą" do gustu mu nie przypada bynajmniej.

— Choćby mnie stryj i wydziedziczyć miał, nigdy mu tego nie zapomnę — mówiła Cesia, ale mówiła pocichu, aby czasem rodzice o jej uczuciach względem pana Romualda się nie domyślili. Kolo godziny szóstej wieczorem, pan Józef kazawszy zaprządź najlepsze konie do nowego koczuka, sam po brata na stacyę kolei żelaznej pojechał; pani Józefowa zaś, gdy tylko usłyszała turkot zajeżdżającego przed pałac powozu, bardziej niż zwykle nerwowa, ale uśmiechnięta, wyszła do przedsionku, obie ręce do szwagra wyciągając. Pan Romuald serdecznie, całkiem po bratersku, bratową uściskał, co ją od razu uspokoiło. Po tem, nadspodziewanie swobodnem przywitaniu, zwróciła się pani Józefowa do męża; ale ujrzawszy go, krzyknęła przerażona: — Jezus Marya! co tobie Józefie ? Błady jak śmierć, stał pan Józef na miejscu jakby przykuty.

— Alboś nagle zasłabł, albo się coś stało!

— Głowa mnie, rozbolała — odrzekł mąż, dziwnie zalterowanym głosem. — Ale

pójdźmy do biblioteki. Romuald ogrzeje się przy kominku. Pójdź z nami.

Poszła za nimi cała drżąca i ze ściśnionem sercem, czując, że nieszczęście

jakieś nad domem zawisło.

Krzysia tymczasem siedziała w swoim pokoju, jakąś pilną kończąc robotę. Po

chwili zapukano do jej drzwi.

— Proszę wejść -- a ujrzawszy służącego — co tam Jędrzeju?

Państwo proszą, aby panna Krystyna przyszła do biblioteki, ale bardzo proszą,

aby przyszła zaraz.

Krzysia robotę rzuciła i spiesznie do biblioteki pobiegła. Wszedłszy, na

pierwszy rzut oka dostrzegła, że coś złego zaszło. Stryj Józef, okropnie

zmieniony, nerwowym krokiem chodził po pokoju; stryjenka, na kanapie

spazmatycznie łkała, twarz obiema rękami zasłoniwszy. Z niewypowiedzianem

przeżeniem popatrzała na nich Krzysia, lecz, że milczeli oboje, widocznie na

żadne nie mogąc zdobyć się słowo, podeszła do stojącego przy kominie pana

Romualda i rzekła:

— Na miłość Boską, niech mi pan powie co się tu stało? Pan Romuald odrzekł

przyciszonym głosem:

— Zaszedł wypadek na kolei; zderzyły się dwa pociągi pod samem miastem. Kilku

ludzi zabitych; dużo więcej rannych; między tymi ostatnimi, znajduje się pan

Zdzisław.

— Święty Boże! — zawołała Krzysia, i ukląkłszy przed stryjenką, w objęcia ją wzięła, tuląc do siebie gorącym uściskiem. Nastąpiła chwila milczenia; słysząc

tylko było płacz i łkanie. Milczenie przerwał pan Romuald:

— Trzeba koniecznie biedną Cesię do tego ciosu z wolna

przygotować, aby się

czasem przez służbę domową nagle o wszystkim nie dowiedziała.

Na wzmiankę o córce, biedny pan Józef aż na głos zaszlochał. Krzysia do niego

podeszła; on wtedy, obie ręce na jej ramiona kładąc, dziwnie

zmienionym głosem

zawołał:

— Zlituj się nad nami Krzysiu i pójdz do Cesi! Niemym, pełnym

trwogi i żalości

ruchem, biedna Krzysia

rękami twarz zakryła, ale już po chwili, drżącą rękę stryja

ucałowawszy:

— Idę do Cesi — rzekła z prostotą, którą sobie na zawsze serdeczną życzliwość

pana Romualda zaskarbiła.

Szła z wolna ku pokojom kuzynki, zbierając myśli i wyrazy, którymi miała za

chwilę przerażający cios ten zadać Cesi. Drżała na całym ciele, kolana pod nią

się uginały, ale jej nawet przez głowę nie przeszło pytać, dlaczego nie stryj,

lub stryjenka, ale właśnie ona, straszne zadanie to wypełniać musi.

Doszedłszy

do drzwi Cesinego pokoju, gorącym westchnieniem o pomoc Boga

poprosiła i z wolna

drzwi otworzyła.

Przed wielkim zwierciadłem, szeregiem jarzących świec

oświetlonem, Cesia, w

całej wspaniałości urody swej, ślubną suknię przymierzała. Jedna

panna służąca

przy niej stała; druga na dywanie klęcząc, układała powłóczyste fałdy,  
jak  
kryształ w świetle świec migocącego się atlasowego trenu. Odbijała  
się w  
zwierciedle, piękną i szczęśliwą rozpromienioną postać  
oblubienicy;  
ogłądaniem zaś sukni tak była zajęta, czy zachwy-

cona, że nie usłyszała wchodzącej Krzysia. Dopiero jedna z panien  
służących,  
obejrząwszy się, przerażona zawołała nagle: "A pannie Krystynie co  
się stało?  
może wody podać?" I to mówiąc, podsunęła jej czempredziej stołek.  
Krzysia obie  
służące oddaliła, coś im pocichu szepnąwszy, drzwi za niemi  
zamknęła, poczem  
zbliżywszy się do Cesi, objęła ją całą i do serca przycisnęła.  
Biedna matka tymczasem, której nie stało było na odwagę udzielenia  
bolesnych  
wieści jedynaczce, nie mogąc dłużej na miejscu bez wiadomości o  
niej wytrzymać,  
pod drzwi Cesi podszedłszy, z bijącym sercem podsłuchiwała, co się  
tam dzieje.  
Przez pierwszych parę minut nic słyszać nie było, tak cichym szeptem  
Krzysia  
biednej ofierze cios zadawała. Aż nagle rozległ się krzyk tak  
rozdzierający, tak  
rozpaczliwy, tak nieludzki niemal, że słysząc go, biedne serce matki o  
mało nie  
pękło; wpadła do pokoju córki. Jak posąg z białego marmuru, z twarzą  
jeszcze od  
marmuru bledszą, Cesia, jak długa leżała na ziemi, istnym morzem  
fałdów ślubnej  
szaty otoczona.

\* \* \*

Około godziny dziewiątej, na duszy i na ciele złamane i ogromem  
wstrząśnień  
całkiem z sił wyczerpane, i matka i córka twardym snem zasnęły.  
Wówczas dopiero  
opuściła ich Krzysia, by się zająć stryjami. Zapewniwszy się naprzód,  
czy w  
pokojach pana Romualda nic do jego wygody nie brakowało, wróciła  
do biblioteki,  
by zakrzętać się koło herbaty. Wtedy zbliżył się do niej pan Romuald  
i  
serdecznie za obie wzięwszy ją ręce, rzekł do niej:  
— Dowiedziałem się dopiero przed chwilą, kim jesteś Krzysiu, teraz  
więc jako  
stryj, powtórnie przychodzę cię pozdrowić. Znalem w Palermo  
zacnego ojca twego,  
i śliczną twoją matkę, ze stosunków z niemi najmilsze zachowałem  
wspomnienie i  
szczerze się cieszę, że wreszcie córkę ich poznał.  
Na te pełne szczerego uznania wyrazy, Krzysia, której w domu  
stryjostwa nikt  
nigdy o jej rodzicach nie wspomniał —

chyba na to tylko, aby szaloną nieroztropność ich potępiać — za serce  
odrazu  
ujętą zostają, ale nie mogąc się na żadne słowo zdobyć, zwróciła tylko  
na pana  
Romualda oczy pełne łez. Spojrzenia tego wymowę stryj snąć  
zrozumiał, bo po raz  
drugi ręce Krzysi serdeczną uściskał dłonią. Zasedli we troje do  
herbaty.  
— Niechże mi stryj teraz z łaski swojej powie — rzekła po chwili  
Krzysia,  
zwracając się do pana Józefa — jak się to całe nieszczęście stało i  
jakie były  
jego skutki dla pana Zdzisława, bo nic prawie nie wiem.

Na to zapytanie Krzysi, odpowiedział pan Romuald:

— Zaledwo na dwie godziny przed mojem przybyciem do miasta, pociąg w waszą stronę z dworca dążący, zderzył się z pociągiem towarowym i gdyby nie to, że ów pociąg osobowy, dopiero co w ruch wprowadzony, jeszcze wolno szedł, katastrofa byłaby o wiele straszniejszą. Podążyłem od razu na miejsce, gdzie zdarzyło się nieszczęście. Rannych już pod dozorem kilku lekarzy do miasta przewieźli; zastałem tam już tylko dwóch księży, którzy umierających na wieczny spoczynek zaopatruwszy, czekali, aby ciała zabitych ofiar zabrano. Jeden z księży uspokoił mnie o was, bo się obawiałem, czy czasem jedno z was tym pociągiem nie jechało; on mi leż powiedział, że narzeczony waszej córki ma zdruzgotaną rękę, że go w oplakany, jeśli nie rozpacziwym stanie powieźli do miasta, do...

— Przecież nie do matki? — niemal z przerażeniem zawołała Krzysia.

— Nie; do kliniki go odwieźli.

— Tem lepiej — rzekła Krzysia.

— Dlaczego tem lepiej?

— Dlatego, że matka pana Zdzisława od dwóch lat na obie nogi sparaliżowana albo

w łóżku leży, albo nieruchomo siedzi w krześle. Tak nagły cios mógłby ją zabić;

zresztą, będąc w takim stanie zupełnej niemocy, i tak nie mogłaby biedna matka

zająć się pielęgnowaniem syna.

— Czy posłaniec twój jeszcze nie wrócił? — zapytał brata pan Romuald.

— Nie wrócił dotąd. Na wszelki przypadek dwa listy napisałem; jeden do doktora, który jest prymaryuszem w klinice, drugi, do kolegi i wielkiego Zdzisiowego przyjaciela, prosząc, aby nam udzielił jak najwięcej szczegółów o stanie biednego chłopca, a jutro raniutko sam pojedę przekonać się jego stanie. Czy pytałeś się księdza, która ręka zgruchotaną?

— Pytałem; prawa niestety!

W jednej chwili, wszystkim trojgu, ten sam stanął przed oczami obraz, rozdzierający obraz malarza, pozbawionego prawej ręki, to jest, wyzutego z wszelkiego osobistego majątku, z pracy, w której się miłował, z dalszej sławy — artysta bowiem, nawet gdy sobie sławę już wywalczył, zawsze jeszcze za powiększeniem jej tęskni, bo dąży do niej nietylko dla osobistej, wielce szlachetnej zresztą ambicyi, ale i przez cześć dla samej sztuki, której służy i którą miłuje. Znamca i miłośnik malarstwa, pan Romuald, lepiej od innych zgłębił to wszystko i zrozumiał; zgłębiła to i rozumiała także Krzysia. Zbyt jeszcze, fizycznie i moralnie grozą położenia wstrząśnięty, jeden pan Józef nie zdawał sobie dobrze sprawy z całego położenia rzeczy; był jakby zdrętwiały.

— Ciężki to dla was wszystkich cios, najcięższy wszakże dla biednej Cesi — mówił dalej pan Romuald.

— Żeby to stryj był słyszał — rzekła na to Krzysia łzy ocierając — ten krzyk rozpaczy...

— Słyszeliśmy go aż tu, Krzysiu — odezwał się biedny ojciec, przemocą tłumiąc wyrywające mu się z piersi łkanie.



Po chwili milczenia pan Romuald rzekł:

— Cesi nie widziałem odkąd jest dorosłą panną; nie znam więc jej, i przesądzać

nie mogę, jak sobie wobec tego nieszczęścia postąpi.

— Jaktó, stryju, alboż to są dwa sposoby postępowania w takim nieszczęściu? — z

oburzeniem zawołała Krzysia. — Jeżeli kiedy, to właśnie teraz Cesia narzeczonemu

wiary do-

trzyma, skoro mu się w życiu już tylko ona i przywiązani jej pozostało.

— Moje dziecko — odrzekł na to pan Romuald, ude rzony szlachetnością uczuć córki

pana Izydora — nie każda kobieta jest na wysokości takiego poświęcenia, takiego

bohaterstwa; nie każda zgodzi się zostać żoną... kaleki.

— Niechno tylko stryj naszą Cesię pozna — przerwali mu Krzysia, niemal poważnie

na stryja patrząc swemi dużemi pełnemi szlachetnego ognia oczami — a przekona

się, że ją znam lepiej, lepiej serce jej oceniam, i że się stryj na uczuciach

jej dla przyszłego męża nie zawiedzie!

W tej chwili służący wręczył panu Józefowi list od Zdzisiowego kolegi; widocznie

z wielkim pośpiechem pisana kartka następującej była treści:

"Amputacya prawej ręki dokonana, i, jak twierdzi doktor dokonana szczęśliwie. Co

do mnie, widzę tylko, że od chwil wypadku, Zdziś przytomności nie odzyskał, i że

wygląda, jakby już do tej ziemi nie należał. Dzisiejszą noc spędzę przy jego

łóżku." Z poważaniem

Alfred X.

Głuche nastąpiło milczenie. Przerwał je po chwili par Romuald:

— Możeby dla tego biednego chłopca i lepiej było, gdyby go Pan Bóg do siebie powołał. Artystyczna jego dusza, już chyba tylko błąkać się będzie na świecie, żalem przygnębion i tęsknotą za dziś już niemożliwą pracą! Prawdziwego szczęścia nie zazna on już w życiu, to pewne.

— Nawet z Cesią go nie zazna? — z wyrzutem w głosie odrzekła Krzysia.

Lecz na to pytanie odpowiedzi nie otrzymała. Pan Romuald milczał, milczał i pan Józef. Zamilkła i Krzysia, ale z gniewnym w duszy ku obydwu stryjom żalem.

W skromnym, ale z pewnym gustem urządzonego pokoju, siedziała w krześle podparta poduszkami, siedmdziesięcioletnia kobieta, długą niemocą wycieńczona. W drobnej, zmizerowanej twarzy jej, jednych tylko oczu przemódz choroba nie zdołała tak, jak i nie przemogła serca. Temi to, pełnymi uczucia oczami, patrzyła na siedzącą u nóg jej młodą parę; tem to, macierzyńską miłością płonącym sercem, do niej przemawiała cichym wprawdzie, ale w serdeczności swej wyraźnym głosem. W milczeniu, z wyrazem nietajonej, ale nieco smutnej rzewności, młodzi ludzie słów staruszki słuchali.

— Przed chwilą. Bóg Wszechmocny połączył was węzłem nierozdzielny. Niechże teraz dzieci moje, drogie i jedyne, pobłogosławi wam matka — i to mówiąc na schylone przed nią głowy, drobne, niemal przeźrocyste położyła ręce —

słuchajcie słów moich z uwagą, w dobrej myśli, z dobrze usposobionem sercem.  
Smutni jesteście oboje; ani się temu dziwię, ani wam tego za złe nie biorę. W  
cli wili, gdy przyszłość mego biednego Zdzisia samemi promieniami świecić się  
zdawała, ujrzał nagle wszystkie promienie te za czarną zachodzącą chmurę...  
wszystkie, i te promienie, co na niego Bóg zsyłał, i te, co dlań z oczu ukochanej świeciły. Ma więc Zdziś mój prawo być smutnym, tylko nie ma prawa  
rozpaczać, bo Chrześcianinowi rozpaczać nie wolno nigdy. Ty, Krzysiu droga,  
innym smutkiem smutna jesteś, smutkiem dziewczyny oddającej rękę — i przyszłość  
całą — człowiekowi zacnemu wprawdzie, szlachetnemu, dobremu, który cię ceni i  
szanuje, ale nie "miłością" kocha... tak jak i ty dla niego nie masz "miłości"  
we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Nie wymawiam ci więc tego smutku, choć się  
nim sama, w cichości serca martwię. O jedną was tylko oboje rzecz proszę, dzieci  
moje, proszę usilnie, to jest, abyście nie przesądzali o przyszłości; jest ona w  
ręku Boga, a nie w waszych rękach; niechże tam w tych rękach Wszechmocnych  
pozostanie. Dziś smutni jesteście oboje, wiemy już dlaczego, i w smutku tym  
wstydu niema. Majątkowe wasze położenie jest przytem bardziej niż skromne; jest

pełne trudności; ale o ile znam charakter Krzysi — a zdaje mi się, że go znam

dokładnie — nie będzie to w jej oczach nieszczęściem; tkwi w niej  
bowiem nie

tylko zacna, ale i dziwnie mężna dusza!

Krzysia, głęboko wzruszona, rękę matki męża do gorących ust  
przycisnęła; czuła

się zrozumianą, i zrozumiała, że poczucie to będzie jej bodźcem i  
pociechą w  
życiu.

Matka, po chwili wytchnienia, dalej mówiła:

— Z powodu waszego smutku, nieśmiało, zaledwie cichym szeptem  
odważam się wam

dziś przepowiedzieć (wzrok matki sięga i w przyszłość, gdy o dzieci  
jej chodzi),

że z czasem, nie tylko smutek wasz przeminie, ale, że słońce szczęścia  
i dla was

kiedyś zaświeci; dla ciebie mój Zdzisiu — i to mówiąc staruszka do  
łona tuliła

głowę biednego kaleki — będzie słońce to, wprowadzie mniej od  
tamtego świetne,

ale będzie pewniejsze, trwalsze. Na gruncie wdzięczności, w twojem  
sercu, synu

mój, niebawem kiełkować zacnie uczucie czulsze gorętsze, z dnia na  
dzień

przeistaczające się w miłość. Ni należysz, chwała Bogu do ludzi, dla  
których

wdzięczność jest ciężarem. U ciebie zaś, Krzysiu, miłość zrodzi się z  
poświęcenia; jest to nierzadkie w kobiecem sercu zjawisko; do miłości  
tej

dojdiesz pocuciem, że bez ciebie byłby Zdziś najnieszczęśliwszym z  
ludzi, że

jesteś wszystkim dla męża; poczucie to wielką ma w sobie potęgę.

Widzicie więc,

moję dzieci kochane, że waszego smutku nie ganię; zaklinam was  
tylko i

macierzyńską, od Boga nadaną władzą nakazuję, abyście w przyszłość  
patrzali

odważnie, i o ile się da, swobodnie. Idźcie teraz, dziecieczki moje, do  
waszego

obecnie jeszcze smutnego gniazdeczka; idźcie z zaufaniem w potęgę  
Boskiego  
miłosierdzia...

— I z zaufaniem w potęgę matczynego błogosławieństwa! — ze łzami  
w oczach  
przerwał Zdziś.

I kolana matki raz jeszcze ucałowawszy, państwo młodzi poszli do  
siebie.

Gdy we trzy lata później, po nagłym zgonie pana Romualda,  
otworzono jego  
testament, pokazało się, że pozostałe po nim znaczne kapitały,  
podzielił na trzy  
równe części. Jedna z nich, przeznaczona była na poparcie sil kilku  
uczciwych,  
konserwatywnych, peryodycznych pism w kraju, utrzymywał bowiem  
nieboszczyk i  
przy każdej sposobności wymownie powtarzał, że ludzie pióra w  
Polsce — czy to z  
dziedziny historii, czy filozofii, czy wreszcie powieściopisarstwa —  
umysłową  
pracą, z niemałym nieraz połączoną moralnym i fizycznym  
wysileniem, zarabiają  
mniej od dobrego kowala lub zręcznego szewca, co bywa dla autorów  
nieraz  
nieszczęściem, a jest dla polskiego społeczeństwa prawdziwą hańbą;  
postanowił  
zatem, datkiem dwóchkroć sto tysięcy reńskich, nietylko autorom  
dodać bodźca,  
wymagając dla nich znacznie podwyższonego honorarium, ale i  
społeczeństwo nasze  
przekonać, że nietylko "pisząca", ale niemniej i czytająca publiczność,  
na tym  
akcie sprawiedliwości dobrze wyjdzie, dużo bowiem utalentowanych  
ludzi

zmuszonych jest pisać dla chleba. Druga część majątku pana Romualda przeszła na Cecylię, córkę brata jego, Józefa z Rożnowa, od lat trzech żonę hrabiego Ildefonsa z Ukrainy. Trzecia część spadku wręczona została Krzysiu, z następującym własnoręcznym pana Romualda przypiskiem: "Dla poczciwej, zacnej, mężnej Krzysiu, jako dowód, że stryj na jej wartości od pierwszego dnia się poznał. "

Jakby z nieba spadły majątek ten zastał Zdzisławów spełniających co do joty przepowiednię, już w grobie spoczywającej matki: z jednej strony wdzięczność — bezustanne poświęcenie z drugiej, z wolna doprowadziły obojga do tej przez matkę zapowiedzianej miłości, spotęgowanej przybyciem dwojga dzieci. Gdy Zdzisław odebrany z Paryża telegram przeczytał, ukląkł przed żoną i rzekł do niej:

— Krzysiu, nie jedną ciężką przebyliśmy przez te trzy lata chwilę; nieraz bieda do okien naszych zaglądała, a ja pomimo tego z głębi serca Bogu dziękuję, że dopiero dziś,

a nie trzy lata temu, majątek ten zesłał. Czy domyślasz się dla czego?

— Może i domyślam się.

— Na to powiedz...

— Może dla tego, Zdzisiu, że przez te trzy lata, dzięki naszej cierpliwości i pracy naszej, wywalczyliśmy sobie szczęście i miłość; a w dostatkach, i bez tej walki, kto wie, czybyśmy byli do portu wpłynęli.

— Zgadłaś, Krzysiu moja.

— Ja zgadłam... a matka, przepowiedziała.

"WART PAŁAC PACA, A PAC PAŁACA."

Pan Grzegorz miał lat siedmdziesiąt pięć, żona jego sześćdziesiąt dziewięć.

Maluczko, a mieli obchodzić złote wesele. Od pół wieku tem serdeczniej się kochali, że im Bóg dziątek nie dał; trzeba więc było wzajemnem przywiązaniem pustkę tę zapełnić i zawód przeboleć. Pustka zaś była ogromna, a zawód bardzo ciężki; już w sędziwym byli wieku, a jeszcze im brak ten w. życiu dokuczał.

Było to w lutym. Nieznośny, mroźny wiatr nietylko na ulicy srogo ludziom czuć się dawał, przemykał on wszędzie, nie wyjąwszy najstaranniej opatrzonych drzwi i okien, to świstał, to jęczał, to znów jakieś dziwne, a zawsze żałosne wydawał glosy. Staruszkowie zasiedli tuż, tuż przy kominie, na którym rażny palił się ogień; żona robiła nicianą siatkę dla parafialnego kościoła; mąż, przeczytawszy gazetę od deski do deski, zapalił fajkę. Czy wskutek tak smętnie jęczącego wiatru, czy dla jakiego niewiadomego powodu, wbrew zwyczajowi oboje milczeli, jakby każdemu z osobna jakaś troska na sercu ciążyła.

— Czytałaś Czas, Marto? — zapytał Grzegorz.

— Czytałam; ale ty wiesz, że mnie polityka mało interesuje; zawsze mi się widzi,

że to nie zbyt uczciwa imość, żyjąca z cudzej krzywdy. Nie mam do niej  
najmniejszego zaufania.

— Bo na zaufanie nie zasługuje; to się też nią nie zajmujemy. Ale  
prócz  
polityki, masz w Czasie przecież i kronikę miejscową, w której  
zawsze znajdzie  
się coś interesującego.  
— Jak czasem.

— A w dzisiejszej, nic takiego nie znalazłaś?

Na to pytanie, pani Marta, niby od niechcenia rzuciła ukradkiem  
spojrzenie na

męża, poczem odrzekła, o ile mogła najobojętniejszym głosem:

— I owszem, znalazłam; ale cóż z tego, skoro znalazłszy, bardziej się  
tem  
zasmuciłam, niż zainteresowałam.

I to powiedziawszy, znów się do siatki zabrała, w której ciągle jakieś  
niefortunne węzły się robiły.

Tym razem mąż na żonę z podełba spojrzął, lecz nic nie dostrzegł, bo  
oczy miała  
spuszczone, z temi właśnie borykając się. węzłami.

— No, i cóż ciebie takiego w dzisiejszej kronice zasmucił?

— Rozdzierający opis wszystkich nędzarzy, co na ten mróz  
przenikliwy, tułają się

po ulicach bez ciepłego odzienia, bez ciepłej strawy, bez dachu nad  
głową. Jak

takie rzeczy czytam, to nietylko mi się serce kraje, ale jeszcze doznaję  
uczucia

niemal wstydu, że oni tam mrą od zimna i głodu, a mnie tu ciepło,  
wygodnie i

dostatnio. Czy ty tego uczucia nie doznajesz, Grzesiu?

— I owszem; bardzo często, zwłaszcza gdy pomyślę o biednych,  
opuszczonych...  
dzieciach!



Na wyraz: o dzieciach, pani Marta już nie ukradkiem, ale otwarcie  
mężowi w oczy  
spójrzała.

— Byłam tego pewna — wzruszonym odrzekła głosem. — Co do  
mnie, gdy o takich, na  
wpół nagich, ogłodzonych i umarznionych dzieciach myślę, to mi się  
poprostu,  
jakby we wnętrznościach coś rwie.

I słów tych dotuwiając, pani Marta z trudnością wstrzymała się od  
łez.

Widocznie wzruszeniem jej zarażony, pan Grzegorz rzekł nieco  
drżącym głosem:

— Gdybym był bogaczem, tobym wszystkie takie opuszczone  
biedactwa do siebie  
przygarniał.

— A przygarnąwszy — z żywością dodała żona, jakby chcąc myśl  
ręża rozwinąć —

zaopiekowałbym się niemi na dobre. Czy tak Grzesiu?

— Ma się rozumieć: zaopiekował, i każdą taką sierotę na ucziwe  
stworzenie  
wykierował.

— I to wykierował nie na żadnych paniczów, ani na żadne  
wyelegantowane

"kapeluszone" panny, ale po bożemu, wedle ich stanu, na zdolnych  
rzemieślników,

na przyzwoite szwaczki, praczki, pokojówki...

— Słowa mi z ust wyjmujesz, Marciu. Jak my się dobrze rozumiemy.  
Serdeczna z

ciebie dusza! — I to mówiąc, pan Grzegorz drżącą dłoń żony ścisnął,  
dodając z

pewnym w głosie smutkiem: — Ale my, niestety! bogaczami nie  
jesteśmy. Daleko do

tego; a szkoda, bo zdaje mi się, że robilibyśmy dobry z naszego  
majątku użytek.

Na tę filozoficzną uwagę już pan Grzegorz odpowiedzi nie odebrał;  
nastąpiło znów  
milczenie, ale wzruszeniem drgające; i siatka pani Marty ciągle się  
zrywała, i  
fajka pana Grzegorza co chwila, bez powodu, gasła.

Tego rodzaju, pełne palnych materiałów milczenie, długo trwać nie  
może; przerwał  
je też niebawem pan Grzegorz.

— Skoro na dziecięcą nędzę tak czule masz serce, to rozumiem  
Marciu, że ciebie  
dzisiejsza kronika wzruszyć musiała.

— Więc i ty o tej dziewczynce czytałeś? — zdławionym głosem  
zapytała żona.

— Czytałem \_\_\_\_\_

— No i cóż?

— Jeśli ci mam całą prawdę powiedzieć, czytając opis ten, aż mi się  
niedobrze

zrobiło. Straszna rzecz! lekarz, zaledwo się docuciwszy dziecka,  
orzekł, że

biedactwo od dwudziestu czterech godzin nic w ustach nie miało!  
I to mówiąc, zacny staruszek miał oczy łez pełne.

Stają przy nim żona, blada, wzruszona, cała drżąca, ale takim  
blaskiem miłości

bliźniego opromieniona, że z tej pocziwej, wiekiem i zmarszczkami  
zornej

twarzy, iście anielskie

biło światło. Na ramieniu męża obie ręce położywszy, wolnym.,  
wzruszonym, a

przecież wyraźnym rzekła głosem:

— Grzesiu, bogaczami nie jesteśmy; nawet nam, jak powiedziałeś, do  
tego daleko;

ale z łaski Opatrzności, jeszcze nam dalej do ubóstwa. (Idzie starczy  
na dwoje,

tam, wierzaj mi, i na troje starczy...

— Zwłaszcza, gdy to trzecie, ma zaledwo trzy lata.

— Więc się zgadzasz! — już tym razem łkając zawołała starowina, obiema rękami za szyję męża obejmując.

— Jużci, że się zgadzam! — nie mniej od żony wzruszony odrzekł pan Grzegorz. —

Więcej ci powiem, ale w sekrecie... rozumiesz kobieto: w największym sekrecie; oto, od samego rana, od owej chwili, w której przeczytałem dzisiejszy Czas, o niczem innym nie myślę, jak tylko o tem, aby tę biedną, opuszczoną dziewczynkę przygarnąć.

— No, i dlaczegożeś nie gadał?

— Chciałem, abyś ty zaczęła... Ale kiedy tak, to zaraz idę... biegnę... I zerwał się z miejsca, krzepki zresztą jeszcze starzec, oglądając się za czapką.

— Ino chwilkę poczekaj, Grzesiu; dokuczliwe jest zimno; niech Kasia skoczy po dorożkę.

Domawiając słów tych, pani Grzegorzowa szybko wyszła, niemal wybiegła z pokoju, o jakie lat dwadzieścia radością odmłodzona.

— Pocziwe tez to, z kośćcami pocziwe, to moje żonisko — mrucał pod nosem pan

Grzegorz, grube naciągając rękawice.

Nie minęło pięć minut, a już pani Marta stała przed mężem.

— No cóż, posłałaś po dorożkę? — Nie, Grzesiu, nie posłałam.

— A to dlaczego? — niemal z gniewem zapytał pan Grzegorz.

— Dlaczego, Grzesiu?... Ot!... dlatego.

I wysunąwszy się nieco, pani Marta ukazała mężowi stojącą tuż za nią, o smętnych oczach i bladej cerze trzechletnią dziecinę.

— Jakto! — z największym zdziwieniem zawołał pan Grzegorz. — A ona tu zkad się wzięła?

— Otóż, tak się stało... Tylko się na mnie nie gniewaj. Przeczytawszy  
dzisiejszą  
kronikę w Czasie, tak mnie coś za serce ścisnęło, że nie namyślając  
się  
długo... a powrotu twego doczekać się nie mogąc, pobiegłam wprost  
na policję  
i... dziecko zabrałam.

— Oj! te kobiety! te kobiety! — zawołał pan Grzegorz, i do  
wykrzyknika tego  
chciał koniecznie dodać jakąś krytykę, jakąś naganę, choćby jaką  
żartobliwą  
uwagę, ale nic, zgoła nic w głowie znaleźć nie mógł; zdał się więc na  
serce, i  
starą żonę z całej duszy uściskał.

Tego samego wieczora, w sypialnym pokoju państwa Grzegorzów,  
ogrzane,  
nakarmione, w czystą koszulkę odziane biedactwo, na własnej  
kanapce, smacznym  
snem spoczywało. Około północy, cichutko, aby męża czasem nie  
zbudzić, pani  
Marta z łóżka wstała, na palcach do kanapki podeszła, poprawiła  
zwieszoną  
kołderkę, i w główkę dziecinę pocałowawszy niemniej cichutko  
wsunęła się  
napowrót do łóżka. Jakie dwie godziny później, pan Grzegorz, kubek  
w kubek to  
samo zrobił.

Nazajutrz, przy śniadaniu, ani mąż, ani żona, do niczego się broń  
Boże! nie  
przyznali, choć pani Marta z rozrzewnieniem patrzyła była na męża,  
gdy na  
palcach do kanapki podchodził i nad śpiącą dzieciną krzyżyk w  
powietrzu robił, a  
pan Grzegorz udając, że chrapie (co mu się od czasu do czasu zdarzało  
naprawdę),  
doskonale widział i słyszał skradającą się do dziewczątka żonę.  
Czy nie czasem do takich ludzi stosują się słowa Pawła świętego de  
Kolossan: "A

nad wszystko miejcie miłość, która jest ogniwem doskonałości."